

Frederick Forsyth
"Pięść Boga"
Tom II
Przełożył: ARKADIUSZ NAKONIECZNIK

Tytuł oryginału
THE FIST OF GOD
Autor ilustracji
KLAUDIUSZ MAJKOWSKI
Opracowanie graficzne
IMI design studio/prepress
Redaktor
MIRELLA REMUSZKO
Konsultacja arabistyczna
BARBARA WRONA
Copyright (c) Transworld Publishers Ltd. 1994
Polish edition published by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.
All rights reserved.
ISBN 83-7082-355-6
Warszawa 1994. Wydanie I
Druk: Łódzka Drukarnia Dziełowa

Rozdział dwunasty

Po jedenastu latach sprawowania władzy i trzech kolejnych zwycięstwach wyborczych, 20 listopada brytyjska pani premier została zmuszona do ustąpienia ze stanowiska. Swoją decyzję podała do publicznej wiadomości dopiero dwa dni później. Rozplotkowany polityczny świątek Londynu główną przyczynę jej upadku upatrywał w izolacji, w jakiej znalazła się w gronie przywódców Wspólnoty Europejskiej. Była to oczywista bzdura, gdyż Anglicy nigdy nie obaliliby swego premiera tylko dlatego, że działał na nerwy cudzoziemcom.

Nie minęło nawet trzydzieści miesięcy, kiedy włoski rząd, który podczas konferencji w Rzymie w największym stopniu przyczynił się do porażki pani Thatcher, przestał istnieć, a niektórzy spośród jego członków trafili do aresztu, oskarżeni o korupcję na skalę uniemożliwiającą efektywne kierowanie tym, pod każdym innym względem wspaniałym, krajem.

Także rząd francuski upadł w okolicznościach jako żywo przypominających Noc św. Bartłomieja, natomiast kanclerz Niemiec borykał się z narastającą recesją, bezrobociem i neofaszyzmem, a jakby tego jeszcze było mało, instytucje zajmujące się badaniem opinii publicznej dostarczały mu regularnie wyniki kolejnych sondaży, wykazujące jasno, że jego współobywatele nie mają najmniejszego zamiaru wyrzec się ukochanej i potężnej Deutschmarki na rzecz jakichś żalonych eurożetonów monsieur Delorsa z Brukseli.

Na klęskę pani premier złożyły się cztery, połączone ze sobą, przyczyny. Pierwszą było żądanie jakiegoś mało znanego członka parlamentu, który wygrzebał z annałów dawną zapomnianą uchwałę partii i zażyczył sobie, żeby Margaret Thatcher poddała się osądowi konserwatywnych posłów. Pani premier musiała się na to zgodzić, popełniła jednak ogromny błąd w doborze ludzi, jacy mieli jej pomóc w uzyskaniu akceptacji.

Po drugie, właśnie w najgorętszym okresie, czyli 18 listopada, poleciała na międzynarodową konferencję do Paryża, zamiast niestrudzenie przemierzać korytarze Westminsteru, namawiając, zapewniając i obiecując, przekonując nieprzekonanych i utwierdzając w poglądach tych, którzy zdecydowali się obdarzyć ją zaufaniem. Rolę jęczyczka u wagi w głosowaniu miało odegrać około 50 posłów Partii Konserwatywnej, którzy wygrali w swoich okręgach

minimalną większością głosów - często poniżej 5000 - i obawiali się, że w następnych wyborach poniosą porażkę, jeżeli nie nastąpi zmiana u steru rządu. Większość z nich opowiedziała się przeciwko pani premier, co i tak niewiele im pomogło, gdyż niedługo potem przegrali z kretesem.

Zyskać przychylność tych 50 posłów można było bardzo łatwo, łagodząc najostrzejsze i najbardziej krytykowane zasady ściągania tzw. podatku pogłównego, który większa część społeczeństwa uważała za niesprawiedliwy i niepotrzebny. Wystarczyła jedna wzmianka na ten temat, a pani Thatcher odniosłaby zwycięstwo już w pierwszej turze głosowania. Miałoby to ten skutek, że nie doszłoby do drugiej tury, a jej konkurent zostałby odsunięty w polityczny niebyt. W głosowaniu z 20 listopada do wymaganej większości dwóch trzecich głosów zabrakło jej zaledwie czterech. W ciągu kilkunastu godzin parę kamyków toczących się leniwie po zboczach zamieniło się w prawdziwą lawinę. Po konsultacjach z członkami gabinetu, którzy powiedzieli, że w drugiej turze na pewno przegra, Margaret Thatcher złożyła dymisję. Premierem został John Major, minister finansów w jej rządzie. Zgłosił on swoją kandydaturę właściwie wyłącznie po to, by uniemożliwić objęcie tego stanowiska człowiekowi, który stał się przyczyną całego zamieszania.

Kiedy wiadomość o tym, co wydarzyło się w Londynie, dotarła nad Zatokę, podziałała na żołnierzy niczym uderzenie obuchem w głowę - i to nie tylko na Brytyjczyków, ale także na Amerykanów. Stacjonujący w Omanie amerykańscy piloci, którzy codziennie spotykali się z rozlokowanymi w pobliżu żołnierzami SAS, pytali swoich brytyjskich kolegów, o co w tym wszystkim właściwie chodzi, ale w odpowiedzi otrzymywali jedynie bezradne wzruszenie ramion.

Żołnierze 7. Brygady Panczernej, słynne "Szczury Pustyni", spędzający coraz chłodniejsze noce na ziemi, pod podwoziami swoich challengerów, słuchali nadawanych przez radio informacji i klęli, ile wlezie.

Mikę Martin dowiedział się o wszystkim od irackiego kierowcy, który podszedł do niego i poinformował o najnowszych doniesieniach z Londynu. Martin zamyślił się głęboko, po czym wzruszył ramionami i zapytał:

- A kto to jest, ta kobieta?

- Wódz Bani Nadzi, głupcze! - parsknął kierowca. - Teraz już na pewno zwyciężymy.

Wrócił do samochodu, by dalej słuchać radia. Kilka minut później pierwszy sekretarz Kulikow wyszedł szybkim krokiem z willi, wszedł do limuzyny i pojechał do ambasady.

Tego wieczoru Martin nadał kolejną transmisję do Rijadu, zawierającą nie tylko najświeższe informacje dostarczone przez Jerycha, ale także prośbę o dalsze instrukcje. Potem, przykucając obok skierowanej na południe anteny w otwartych na oścież drzwiach, aby w porę dostrzec ewentualnych intruzów, czekał na odpowiedź. Nadeszła dopiero o wpół do drugiej nad ranem.

Major Mikę Martin zdemontował antenę, schował ją wraz z nadajnikiem pod podłogą chatki, skopiował informację w zwolnionym tempie, po czym włączył odtwarzanie w magnetofonie.

Rijad przesłał nową listę pytań do Jerycha oraz zgodę na przekazanie na jego konto kolejnej wypłaty. W ciągu niespełna miesiąca zdrajca zarobił ponad milion dolarów.

Martin otrzymał także instrukcje. Polecono mu, aby przekazał agentowi wiadomość, która - przynajmniej należało mieć taką nadzieję - dotrze do osób odpowiedzialnych za podejmowanie najważniejszych decyzji w Bagdadzie. Informacja ta (a raczej

dezinformacja) sugerowała, że najnowsze wydarzenia, jakie rozegrały się w Londynie, stanowią niezbity dowód, iż jeśli Saddam zachowa nieugiętą postawę w sprawie Kuwejtu, to nie można wykluczyć, że wojskowa operacja sił koalicyjnych zostanie odwołana.

Nie wiadomo, czy stało się to za sprawą tej właśnie, fałszywej informacji, ale niespełna tydzień później Saddam Husajn ogłosił w jednym ze swych przemówień, że obalenie pani Thatcher jest dowodem wielkiej sympatii, jaką żywią do niego obywatele Wielkiej Brytanii.

Rijad polecił również Martinowi, aby zapytał Jerycha, czy ten słyszał kiedykolwiek o broni, albo o całym systemie uzbrojenia zwanym Pięścią Boga.

Pozostała część nocy Mikę Martin spędził przy migotliwym blasku świecy, spisując po arabsku na cienkim papierze pytania, które miały dotrzeć do Jerycha. Niecałe dwadzieścia godzin później lista trafiła do skrytki za obłuzowaną cegłą w murze niedaleko świątyni w dzielnicy Azamijja.

Odpowiedzi nadeszły po tygodniu. Po przetłumaczeniu ich na angielski Martin doszedł do wniosku, że z wojskowego punktu widzenia są niezwykle interesujące.

Dywizje Gwardii Republikańskiej stacjonujące przy granicy Kuwejtu z Arabią Saudyjską - Tawakkulna, Madina i Ham-murabi - były wyposażone w trzy typy rosyjskich czołgów: T-54/55, T-62 i T'-72. Jednak podczas niedawnej inspekcji generał Abd Allah Kadiri z dowództwa wojsk pancernych stwierdził z przerażeniem, że większość załóg wymontowała z maszyn akumulatory, by podłączyć do nich wentylatory, grzałki, radia i magnetofony. Było bardzo prawdopodobne, że gdyby teraz rozpoczęto działania wojenne, to dałoby się uruchomić zaledwie kilka czołgów. Paru żołnierzy skazano na śmierć i rozstrzelano, dwóch dowódców zaś zdegradowano i odesłano do Bagdadu.

Ali Hasan Madżid, przyrodni brat Saddama, a obecnie gubernator Kuwejtu, donosił w swoich meldunkach, że okupacja zaczęła przypominać koszmar, gdyż ataki na irackich żołnierzy ciągle przybierają na sile, a liczba dezercji rośnie z każdym dniem. Ruch oporu zdaje się rozwijać w najlepsze, pomimo intensywnych działań prowadzonych przez pułkownika Sabawiego z policji politycznej oraz dwukrotnych inspekcji przeprowadzonych przez jego zwierzchnika, Umara Chatiba.

Co gorsza, Kuwejtczycy zdobyli skądś semteks, materiał wybuchowy znacznie silniejszy i bardziej niebezpieczny niż zwykły przemysłowy dynamit.

Jerycho ustalił także położenie dwóch kolejnych ważnych ośrodków dowodzenia; oba były ukryte głęboko pod ziemią i niewidoczne z powietrza.

W najbliższym otoczeniu Saddama Husajna panowało obecnie przekonanie, że to on sam w znacznej mierze przyczynił się do ustąpienia Margaret Thatcher. O żadnym wycofaniu się z Kuwejtu nie mogło teraz być mowy.

Niestety, Jerycho nigdy nie słyszał o Pięści Boga, ale natychmiast da znać, gdyby przy jakiejś okazji natrafił na tę nazwę. Osobiście wątpi jednak, żeby Irak dysponował jakąś bronią nie znaną jeszcze aliantom.

Martin nagrał odpowiedź na taśmę, przyspieszył ją i nadał w eter. Technik obsługujący radiostację w Rijadzie zanotował dzień i godzinę przyjęcia: 30 listopada 1990, 23.55.

Lajla Al-Hilla zatrzymała się w drzwiach łazienki, uniosła ramiona, oparła je o futrynę i zastygła na chwilę we wdzięcznej pozie. Padające od tyłu światło sączyło się przez peniuar, ukazując zarys pełnego, zmysłowego ciała. Peniuar był czarny, uszyty z cienkiej koronki i kosztował małą fortunę. Został zrobiony we

Francji, kupiono go zaś w jednym z butików w Bejrucie. Potężny mężczyzna leżący na łóżku pożerał kobietę spojrzeniem, nieświadomie przesuwając czubkiem języka po grubych wargach. Przed każdą miłosną sesją Lajla lubiła zmitrężyć trochę czasu w łazience. Należało przecież pewne części ciała dokładnie umyć i namaścić wonnymi olejkami, musnąć tuszem brwi i rzęsy, poszminować usta i poperfumować całe ciało, stosując różne zapachy do różnych jego rejonów.

Było to dobre, trzydziestoletnie ciało, właśnie takie, jakie najbardziej lubili klienci: nie za tłuste, ale przyjemnie zaokrąglone tam gdzie należy, o pełnych biodrach i piersiach, ze sprężystymi mięśniami ukrytymi pod gładką skórą.

Opuściła ramiona i kołysząc biodrami podeszła do łóżka stojącego w pograżonym w półmroku pokoju. Pantofle na wysokich obcasach dodawały jej wzrostu, czyniąc chód jeszcze bardziej zmysłowym.

Ale nagi mężczyzna o ciele niemal w całości porośniętym gęstymi, kręconymi włosami zamknął oczy.

Tylko nie zaśnij, kretynie! – wrzasnęła na niego w myślach. Nie dzisiaj, kiedy cię potrzebuję.

Usiadła na krawędzi łóżka, po czym przesunęła długimi czerwonymi paznokciami po jego brzuchu i piersi, przez chwilę pieściła sutki, następnie zaś ponownie sięgnęła w dół, jeszcze niżej, do podbrzusza. Pochyliła się i pocałowała mężczyznę namiętnie w usta, próbując rozewrzeć mu wargi językiem, ale on prawie nie zareagował, Lajla zaś poczuła wyraźną woń araku.

Znowu się upił, pomyślała. Czy on naprawdę nie może się bez tego obejść? Chociaż miało to także dobre strony... Zresztą, nieważne. Do roboty.

Lajla Al-Hilla była znakomitą kurtyzaną i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Niektórzy twierdzili, że nawet najlepszą na całym Bliskim Wschodzie, a już z pewnością jedną z najdroższych. Wiele lat temu, jeszcze jako dziecko, trafiła do prywatnej szkoły w Libanie, gdzie starsze dziewczęta uczyły się tajników sztuki miłosnej z Maroka, Indii i Japonii, młodsze zaś przyglądały się i starały się wszystko zapamiętać.

Po piętnastu latach zawodowej pracy na własny rachunek wiedziała już, że po to, by zostać dziwką najwyższej klasy, wcale nie trzeba mieć niepohamowanego apetytu erotycznego, ani potrafić takie apetyty zaspokajać. To dobre tylko w filmach i pismach pornograficznych.

Najważniejsze było opanowanie sztuki komplementu, żartu, pieszczoty, pochlebstwa oraz najróżniejszych drobnych podstępów, po to, by uzyskać prawdziwą samczą erekcję w sytuacji, w której zazwyczaj dochodzi do obezwładniającego konfliktu między nadmiernie wzbudzonym apetytem a niewielkimi możliwościami.

W gęstwinie włosów na podbrzuszu wyszukała penis mężczyzny i ciężko westchnęła w duchu. Miękki jak ślimak. Generał Abd Allah Kadiri, dowódca wojsk pancernych Republiki Iraku, tego wieczoru będzie wymagał pewnej zachęty.

Lajla sięgnęła pod łóżko, wydobyla ukryty tam wcześniej, płócienny woreczek i wysypała jego zawartość na prześcieradło. Otworzywszy niewielki pojemniczek zanurzyła palce w tłustej maści, posmarowała nią mały vibrator, podniosła jedną nogę generała, po czym wprawnym ruchem wprowadziła mu vibrator do odbytnicy.

Kadiri poruszył się, stęknął, otworzył oczy, spojrzał na nagą kobietę pochyloną nad jego genitaliami i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając białe, błyszczące w mroku zęby.

Lajla uruchomiła vibrator. Delikatne, jednostajne drżenie rozeszło się po wewnętrznych organach generała. Już po kilkunastu sekundach kobieta wyczuła, że wiotki penis zaczyna pęcznić jej

w dłoni.

Z plastikowej tubki wycisnęła sobie do ust nieco pozbawionej smaku i zapachu galaretki, po czym wzięła do ust drżący organ. Połączone działanie ciepła, gładkich mięśni i fachowych dotknięć języka zaczęło odnosić pożądany skutek. Po dziesięciu minutach ssania, głaskania i pieszczona Lajla doszła do wniosku, że chyba już wystarczy, gdyż jeszcze chwila, a wyskoczy jej szczeka, natomiast szansę na uzyskanie pełniejszego wzwodu równają się praktycznie zeru.

Szybko, żeby nie stracić tego, co z takim trudem uzyskała, usiadła okrakiem na podbrzuszu mężczyzny i sprawnym ruchem wprowadziła go w siebie. Cóż, żadna rewelacja, ale może da się z tego coś zrobić. Miejmy nadzieję.

Pochyliła się do przodu i przesunęła piersiami po jego twarzy.

- Ach, ty mój wielki, silny niedźwiedziu! - szepnęła namiętnie. - Jesteś wspaniały, tak jak zawsze!

Uśmiechnął się ponownie, a ona zaczęła podnosić się i opadać, nie za szybko, tak żeby główka zatrzymywała się między wargami, a zaraz potem całość zanurzała się w nią najgłębiej, jak było można. Przez cały czas Lajla poruszała specjalnie wyćwiczonymi mięśniami, na zmianę zaciskając je i rozluźniając.

Wiedziała, że w krótkim czasie powinno dać to zamierzone efekty, i nie myliła się. Generał Kadiri najpierw zaczął jęczeć i stękać, potem zaś wydawać krótkie, chrapliwe okrzyki, ogarnięty podnieceniem wywołanym rytmicznym pulsowaniem w odbytnicy i ciepłą śliskością poruszającej się na nim coraz szybciej kobiety.

- Tak, tak! Wspaniale! - dyszała mu w twarz. - Jeszcze, najdroższy! Jeszcze głębiej!

Kiedy poczuła jego wytrysk, wyprężyła się gwałtownie, odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła krzyczeć z rozkoszy, udając orgazm. Zaraz po spełnieniu członek mężczyzny zwiotczał i wysunął się z pochwy. Lajla wyjęła wibrator z odbytnicy generała, ale położyła go w zasięgu ręki na wypadek, gdyby jej ognisty kochanek zbyt szybko zasnął. Była to ostatnia rzecz, jakiej życzyłaby sobie po tak ciężkiej pracy. Miała jeszcze co nieco do zrobienia.

Przytuliła się całym ciałem do mężczyzny i zaczęła gładzić go po twarzy.

- Biedny miś... - przemawiała kojąco. - Tak bardzo się zmęczyłeś? Zbyt ciężko pracujesz, mój wspaniały kochanku. Dzisiaj znowu miałeś jakieś kłopoty? Znowu okazało się, że tylko ty potrafisz rozwiązywać wszystkie problemy? Opowiedz o tym swojej Lajli, ona cię zrozumie. Jej wszystko możesz opowiedzieć... Zrobił to, po czym zapadł w głęboki sen.

Nieco później, kiedy generał Kadiri chrapał głośno, pokonany przez alkohol i miłość, Lajla zamknęła się w łazience, usiadła na misce klozetowej z tacą na kolanach i zanotowała zgrabnym arabskim pismem wszystko, czego się dowiedziała. Rano ukryje karteczki cienkiego papieru w wydrażonym tamponie, umieści go w przeznaczonym do tego miejscu, po czym zanieśie notatki człowiekowi, który jej płaci.

Doskonale zdawała sobie sprawę, jak niebezpiecznego podjęła się zadania, ale przynosiło jej znaczne dochody - podwójne pieniądze za tę samą pracę! - ona zaś postanowiła, że pewnego dnia będzie bogata, żeby na zawsze wyjechać z Iraku i otworzyć własną szkołę, może w Tangerze, gdzie nie zabraknie młodych dziewcząt, z którymi mogłaby się kochać, i młodych marokańskich chłopców, których mogłaby biczować, kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota.

Jeżeli Gidi Barzilai był zdenerwowany środkami ostrożności, jakich przestrzegano w Banku Winklera, to dwa tygodnie obserwacji Wolfganga Genutlicha doprowadziły go niemal do rozpaczy. Ten

człowiek wydawał się wręcz niesamowity.

Gdy tylko "fotograf zidentyfikował Gemutlicha na zdjęciu, agenci Mosadu dotrwali, aż bankier skończy pracę, i podążyli za nim do jego domu. Nazajutrz grupa techniczna zaczęła, aż Frau Gemutlich wyjdzie na zakupy; jedyna kobieta znajdująca się w składzie tej grupy ruszyła za nią, za pomocą krótkofalówki utrzymując przez cały czas łączność z resztą zespołu, aby ostrzec kolegów, gdyby Austriaczka zechciała zbyt wcześnie wrócić do domu. Zakupy trwały jednak ponad dwie godziny, a więc dużo dłużej, niż było trzeba.

Sforsowanie prostych zamków nie stanowiło dla najwyższej klasy ekspertów żadnego problemu. Błyskawicznie zainstalowali mikrofony w salonie i sypialni oraz założyli podsłuch w aparacie telefonicznym, po czym dokonali fachowego przeszukania, nie pozostawiając po sobie najmniejszych śladów, ale także nie znajdując nic interesującego. Sfotografowano wszystkie dokumenty, w tym paszporty, świadectwa urodzenia i akt małżeństwa, oraz wyciągi z kont bankowych, lecz nawet lektura tych ostatnich nie wykazała choćby jednego przelewu z Banku Winklera. Trzeba było pogodzić się z okropną myślą, że Wolfgang Gemutlich może okazać się kryształowo uczciwym człowiekiem.

Ani w szafach, ani w szufladach stojącej w sypialni komody nie znaleziono niczego, co mogłoby świadczyć o jakichś dziwnych upodobaniach – coś takiego zawsze stanowiło wygodne zaczepienie do ewentualnego szantażu, szczególnie w przypadku osób należących do zamożnej klasy średniej. Szefa zespołu, który zdażył przyjrzeć się dokładniej Frau Gemutlich, kiedy ta wychodziła z domu, nie zaskoczyło to specjalnie.

Jeżeli sekretarka wiceprezesa Banku Winklera przypominała skromną myszkę, to jego żonę można było porównać do zmiętego, nikomu niepotrzebnego papierka. Izraelczyk doszedł do wniosku, że chyba jeszcze nigdy w życiu nie widział równie niepozornej, mało atrakcyjnej, zasuszonej kobiety.

Kiedy dziewczyna zameldowała przez krótkofalówkę, że żona bankiera ruszyła w drogę powrotną do domu, agenci Mosadu już dawno skończyli robotę, jeden z nich zaś, w przebraniu technika z firmy telefonicznej, starannie zamykał frontowe drzwi.

Od tej pory członkowie zespołu technicznego mieli czuwać na zmianę w zaparkowanej przy tej samej ulicy furgonetce, w której zainstalowano magnetofony rejestrujące wszystko, co działo się we wnętrzu domu.

Dwa tygodnie później zrozpaczony dowódca grupy poinformował Barzilaia, że nie zapełnili jeszcze nawet jednej taśmy. Pierwszego wieczoru zarejestrowali osiemnaście słów:

– Kolacja na stole, Wolfgang – poinformowała żona, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Później zapytała, czy mogliby kupić nowe zasłony do salonu, na co usłyszała krótkie "Nie". Pod koniec posiłku głos zabrał pan domu:

– Jutro muszę wcześnie wstać, więc chyba pójdę już do łóżka.

– Powtarza to codziennie, i wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że robi to od trzydziestu lat! – uzalał się zdesperowany agent.

– A co z seksem? – zapytał Barzilai.

– Chyba żarty sobie robisz, Gidi. Jeśli oni nawet ze sobą nie rozmawiają, to jak mieliby się pieprzyć?

Wszystkie próby odnalezienia jakiejś skazy na wizerunku Wolfganga Gemutlicha spełzły na niczym. Nie uprawiał hazardu, nie deprawował małych chłopców, nie uczęszczał do nocnych klubów, nie miał kochanki, nie wypuszczał się potajemnie na wycieczki do dzielnicy rozpusty. Jednak kiedy pewnego wieczoru wyszedł z domu, funkcjonariuszom Mosadu zabiły żywiej serca.

Gemutlich miał na sobie czarny płaszcz i takiż kapelusz, i mimo późnej pory ruszył przed siebie na piechotę. Kilka przecznic dalej zastukał do drzwi stojącego samotnie domu. Po chwili drzwi otworzyły się i agenci dostrzegli kobietę o poważnej twarzy, ubraną w powłóczystrą białą szatę. Zaraz potem na parterze zapaliło się światło, ale okna były zasłonięte grubymi kotarami. Jakież wspólne kąpiele? Koedukacyjna sauna z udziałem umięśnionych panienek wymachujących wierzbowymi różgami? Niestety, nazajutrz rano okazało się, że mieszkanka domu jest emerytowana pedikiurzystką, która od czasu do czasu przyjmuje u siebie klientów. Wolfgang Gemutlich dbał o swoje stopy.

1 grudnia Gidi Barzilai otrzymał pilną depeszę z Tel-Awiwu. Kobi Dror przypominał mu, że Operacja Jozue nie może trwać bez końca. Rada Bezpieczeństwa dała Irakowi czas do 16 stycznia na wycofanie się z Kuwejtu. Po tym terminie z pewnością wybuchnie wojna i mogą wydarzyć się różne rzeczy, więc czy mogłby się pośpieszyć, do jasnej cholery?

- Gidi, możemy zajmować się tym palantem do końca świata, a i tak niczego nie znajdziemy - powiedział dowódca grupy wywiadowców podczas kolejnego spotkania z katsą. - Nigdy w życiu nic nie przeszkobał. Po prostu nie mamy się do czego przyczepić.

Barzilai znalazł się w piekielnie trudnym położeniu. Naturalnie można było porwać żonę bankiera i uwolnić ją w zamian za ujawnienie sekretów firmy, ale istniało poważne prawdopodobieństwo, że ten zimny drań pozwoliłby porąbać ją na kawałki, a nie podałyby nawet wysokości rachunku za obiad w restauracji. Co gorsza, mogłby zawiadomić policję.

Mogli także porwać samego Gemutlicha, ale wtedy i tak musiałby wrócić do banku, żeby zlikwidować konto Jerycha, a wówczas na pewno skorzystałby z okazji i wszczął taki wrzask, że zwałyby im się na kark policja z całej Austrii. Rozkazy Kobi Drora były jasne: żadnych wpadek i żadnych śladów.

- Przerzucamy się na sekretarkę - zdecydował. - Takie paniusie czasem wiedzą tyle samo co szef, albo i więcej. Oba zespoły bezzwłocznie skoncentrowały uwagę na niepozornej Fraulein Edith Hardenberg. *

Na jej całkowite rozpracowanie trzeba było jeszcze mniej czasu, bo zaledwie dziesięciu dni. Zajmowała niewielkie mieszkanie niedaleko Trautenauplatz w 19 dzielnicy, na przedmieściu Grinzing. Mieszkała sama. Żadnego kochanka, przyjaciela, nawet psa albo kota. Dyskretne przeszukanie ujawniło, że jest posiadaczką skromnego konta bankowego oraz ma matkę w Salzburgu - to samo mieszkanie wynajmowała wcześniej matka, zanim przed siedmiu laty postanowiła wrócić w rodzinne strony.

Edith jeździła małym seatem, którego trzymała na ulicy pod domem, ale drogę do pracy najczęściej odbywała środkami komunikacji miejskiej, z pewnością ze względu na trudności ze znalezieniem miejsca do parkowania w centrum metropolii.

Okazało się, że dostaje bardzo skromną pensję ("Skąpe drańie!" - warknął agent, który znalazł odcinki czeków), zaś z odpisu aktu urodzenia wynikało, że liczy sobie trzydzieści dziewięć lat ("A wygląda na pięćdziesiąt" - zauważył ten sam agent).

W mieszkaniu znajdowały się tylko trzy fotografie: jedna przedstawiała matkę, druga obie kobiety podczas wycieczki nad jakimś jeziorem, trzecia zaś zmarłego przed kilku laty ojca w mundurze straży celnej.

Jeżeli w jej życiu był jakiś mężczyzna, to wydawało się, że jest nim Mozart.

- Ona ma świra na punkcie opery - zameldował Barzilaiowi dowódca zespołu wywiadowczego po przeszukaniu mieszkania. -

Zgromadziła dużą kolekcję longplayów - nie przerzuciła się jeszcze na płyty kompaktowe - i wszystkie są z muzyką operową. Założę się, że wydaje na nie prawie wszystkie oszczędności. Ma też mnóstwo książek o historii opery, kompozytorach, śpiewakach i dyrygentach, plakaty i aktualny terminarz przedstawień w Operze Wiedeńskiej, choć zdaje się, że nie bardzo stać ją na bilet.

- I żadnego chłopca, powiadasz? - mruknął zamyślony Barzilai.

- Poleciałaby może na Pavarottiego, gdybyś go tu ściągnął. Poza tym, możesz dać sobie spokój.

Jednak Barzilai nie dał sobie spokoju, gdyż pamiętał przypadek, który przed wieloma laty zdarzył się w Londynie, kiedy to Rosjanie podsunęli pewnej samotnej urzędniczce z Ministerstwa Obrony oszałamiająco przystojnego Jugosłowianina. Podczas rozprawy nawet sędzia zdawał się mieć zrozumienie dla oskarżonej.

Jeszcze tego samego wieczoru Gideon Barzilai wysłał do Tel-Awiwu długą, zaszyfrowaną depezę.

W połowie grudnia rozlokowane na południe od granicy Kuwejtu siły sprzymierzonych przypominały wezbrana, potężną falę ludzi i sprzętu. Trzysta tysięcy kobiet i mężczyzn, obywateli trzydziestu krajów, zajmowało szeroki pas saudyjskiej pustyni ciągnący się od samego wybrzeża aż sto pięćdziesiąt kilometrów w głąb pustyni. Porty Dżubajl, Damman, Bahrajn, Duha, Abu Zabi i Dubaj były zatłoczone do niemożliwości statkami, które przywiozły działa i czołgi, paliwo i namioty, żywność i łóżka polowe, amunicję i części zapasowe. Z nabrzeży wyruszały długie konwoje, podążające na zachód Droga Naftowa. Transportowały ładunki do baz logistycznych, które w przyszłości miały zaopatrzyć walczącą armię.

Pewien pilot myśliwski z dywizjonu stacjonującego w Tabuk opowiadał kolegom, że wracając z pozorowanego ataku na stanowiska irackiej obrony przeciwlotniczej napotkał konwój ciężarówek i przeleciał nad nim od początku do samego końca. Mimo że pędził nad ziemią z prędkością ponad ośmiuset kilometrów na godzinę, zajęło mu to prawie sześć minut. Konwój więc liczył sobie co najmniej 80 kilometrów długości, a odległości między ciężarówkami nie przekraczały dziesięciu metrów.

Część logistycznej bazy Alfa zajmowały baryłki z paliwem ustawione po trzy jedna na drugiej w prostopadłości o krawędzi podstawy długości dwudziestu metrów, w takich odstępach, żeby mógł się między nimi zmieścić wózek widłowy. Ten magazyn pod gołym niebem miał 40 kilometrów długości i tyle samo szerokości.

A to było tylko paliwo. Inne, zbliżone rozmiarami magazyny bazy Alfa mieściły amunicję, granaty ręczne, rakiety, moździerz, karabiny maszynowe, rusznice przeciwpancerne i granatniki. W jeszcze innych zgromadzono żywność i wodę, maszyny i części zamienne, akumulatory i ruchome warsztaty samochodowe.

Samo wojsko zajmowało pustynne tereny dokładnie na południe od Kuwejtu. Bagdad nie wiedział jednak, iż generał Schwarzkopf podjął już decyzję, żeby przed samym atakiem przerzucić część sił dalej na zachód, na drugą stronę Wadi al-Batin, by umożliwić im bezpośredni atak na Irak, a następnie oskrzydlenie i zniszczenie doborowych oddziałów Gwardii Republikańskiej.

13 grudnia "Rocketeers", czyli 336. Dywizjon Dowództwa Lotnictwa Taktycznego USAF, opuścił bazę Sumarit w Omanie i przeniósł się do Al-Chardż w Arabii Saudyjskiej. Rozkaz w tej sprawie wydano 1 grudnia.

Al-Chardż to najbardziej polowa, a raczej pustynna, ze wszystkich polowych baz, gdyż składa się wyłącznie z pasów startowych

i manewrowych oraz płyty głównej. Nie ma tam niczego więcej, żadnej wieży kontrolnej, żadnych hangarów, warsztatów ani budynków mieszkalnych. Po prostu kilka tysięcy ton betonu wylanych na pustynię.

A jednak było to pełnowartościowe lotnisko. Władze Arabii Saudyjskiej wykazały wcześniej daleko idącą przezorność, budując na pustyni tyle lotnisk, że bez trudu pomieściłyby one nawet pięciokrotnie liczniejszą flotę powietrzną od tej, jaką dysponowało saudyjskie lotnictwo wojskowe.

Po 1 grudnia do działania przystąpili amerykańscy budowniczy. W ciągu trzydziestu dni wokół lotniska powstało namiotowe miasteczko zdolne pomieścić pięć tysięcy ludzi i pięć dywizjonów myśliwskich.

Podczas budowy prąd dostarczało czterdzieści potężnych generatorów Sił Powietrznych. Część sprzętu dotarła drogą lądową, większość jednak przyleciała na pokładach transportowców. Pracujące w największym pośpiechu ekipy zmontowały z prefabrykatów hangary, warsztaty, magazyny, pomieszczenia dowodzenia, sale odpraw, wieżę kontrolną i garaże. Z myślą o pilotach i obsłudze naziemnej postawiono setki namiotów, wytyczono ulice, ustawiono przenośne latryny, łazienki, kuchnie i jadalnie, a nawet wzniesiono wieżę ciśnień, do której wodę dowoziły codziennie konwoje cystern.

Al-Chardż leży 80 kilometrów na południowy wschód od Rijadu – tak się przypadkiem złożyło, że dokładnie 5 kilometrów poza zasięgiem irackich scudów. Przez trzy miesiące miało tam stacjonować pięć dywizjonów: dwa wyposażone w F-15 E, czyli "Rocketeers" i "Chiefs", 335. Dywizjon z bazy Seyomura John-sona, który dopiero teraz został przerzucony w rejon Zatoki; jeden wyposażony także w F-15, tyle tylko, że w czysto myśliwskiej wersji C, oraz dwa dywizjony myśliwców przechwytyjących F-16 falcon.

Budowniczy pomyśleli nawet o specjalnym osiedlu dla 250 kobiet, wśród których znajdowały się prawniczki, kierowcy ciężarówek, specjalistki od żywienia, pielęgniarki oraz oficerowie wywiadu.

Piloci przylecieli z Sumarit swoimi samolotami, obsługa naziemna zaś odbyła podróż na pokładach maszyn transportowych. Przenosiny zajęły dwa dni, ale prace budowlane trwały w dalszym ciągu; miały się zakończyć dopiero tuż przed świętami. Don Walker mile wspominał okres spędzony w Sumarit.

Kwatery były niemal luksusowe, a ponieważ w Omanie nauki Koranu nie są przestrzegane tak ściśle jak w Arabii Saudyjskiej, na terenie bazy pojawiały się napoje alkoholowe. Tam właśnie po raz pierwszy zetknął się z Brytyjczykami z SAS oraz z wieloma innymi "oficerami kontraktowymi" służącymi w siłach zbrojnych Omanu.

Odbyło się wiele niezapomnianych przyjęć, przedstawicielki płci przeciwnej chętnie umawiały się na randki, a pozorowane loty bojowe w kierunku granicy Iraku stanowiły wspaniałą zabawę.

Po wycieczce lekkim samochodem terenowym po pustyni, jaką Don Walker odbył wraz z żołnierzami SAS, powiedział do swego nowego dowódcy, pułkownika Steve'a Turnera, tylko jedno zdanie: – Ci idioci są zdrowo walnięci.

W Al-Chardż miało być zupełnie inaczej. W Arabii Saudyjskiej, gdzie znajdują się dwa święte miasta muzułmanów, Mekka i Medyna, obowiązuje ścisła prohibicja oraz całkowity zakaz pokazywania przez kobiety nawet skrawka ciała poniżej szyi, z wyłączeniem stóp i rąk.

W swoim pierwszym rozkazie generał Schwarzkopf zabronił używania alkoholu we wszystkich koalicyjnych jednostkach, które trafiły pod jego komendę. Oddziały Stanów Zjednoczonych prze-

strzegały tego zakazu, odnoszącego się także, rzecz jasna, do bazy Al-Chardż. Jednak amerykańscy żołnierze pracujący przy rozładunku statków w porcie Damman nie mogli się nadziwić ogromnym ilościom szamponu przeznaczonym dla brytyjskich Królewskich Sił Powietrznych. Niezliczone skrzynie z szamponem jedna za drugą nikły w brzuchach transportowych herculesów, które dostarczały je do miejsc stacjonowania dywizjonów RAF-u. Amerykanie za nic nie mogli pojąć, dlaczego ich brytyjscy koledzy poświęcają tak wiele uwagi pielęgnacji włosów, tym bardziej że we wszystkich bazach wymagano od personelu oszczędnego gospodarowania wodą. Zagadki tej nie rozwiążali do końca wojny.

Po drugiej stronie półwyspu, w pustynnej bazie Tabuk, gdzie stacjonowały brytyjskie tornada i amerykańskie falcony, piloci USAF byli jeszcze bardziej zaintrygowani widokiem swoich brytyjskich kolegów siedzących o zachodzie słońca pod płóciennymi daszkami i popijających szampon do włosów z dodatkiem butelkowanej wody.

W Al-Chardż nie było szamponu, a warunki mieszkalne w nich nie przypominały tych z Sumarit. Tylko dowódca skrzydła otrzymał do dyspozycji własny namiot, pozostali natomiast, w zależności od stopnia, zostali zakwaterowani po dwóch, czterech, sześciu, ośmiu i dwunastu.

Najgorsze jednak było oddzielenie kwater personelu kobiecego od reszty bazy. Sprawa ta urosła do rangi prawdziwego problemu przede wszystkim dlatego, że wierne obyczajom wyniesionym z rodzinnego kraju Amerykanki opalały się w bardzo skromnych kostiumach za ogrodzeniami, które wzniosły dokoła swoich namiotów. Niebawem najbardziej poszukiwanymi autami na terenie bazy stały się dostosowane do jazdy po pustyni samochody terenowe o znacznie podniesionym zawieszeniu – stojąc na palcach na dachu takiego pojazdu można było zapuścić żurawia za płot, by przekonać się, czy panie nadal znajdują się w dobrej formie. Każdy pilot, nawigator czy mechanik uważał za swój patriotyczny obowiązek czynić to za każdym razem, kiedy jechał do hangaru lub na lotnisko, nie zważając na to, że czasem musiał dwu- lub nawet trzykrotnie nadłożyć drogi.

Poza tym jednak rzeczywistość nie prezentowała się najpiękniej, gdyż spoglądano na nią przede wszystkim z perspektywy skrzypiących polowych łóżek i wojskowych śpiworów.

Nastrój zmienił się także z innego powodu: Organizacja Narodów Zjednoczonych wreszcie przedstawiła Saddamowi ultimatum, w którym poleciła mu wycofać wojska z Kuwejtu do 16 stycznia 1991 roku. Bagdad natychmiast kategorycznie odrzucił to żądanie, a wówczas po raz pierwszy dla wszystkich stało się zupełnie jasne, że niebawem rozpocznie się wojna. W tej sytuacji nawet loty treningowe przestały przypominać niewinną zabawę.

15 grudnia w Wiedniu zrobiło się bardzo ciepło. Słońce świeciło na bezchmurnym niebie, a temperatura szybko rosła. W porze lunchu Fraulein Hardenberg jak zwykle wyszła z banku, by spożyć skromny posiłek; tknięta nagłym impulsem postanowiła kupić kanapki w barze i zjeść je w Parku Miejskim, zaledwie kilka przecznic od Ballgasse. Chodziła tam zawsze przez całe lato, a czasem nawet do późnej jesieni, ale wówczas przynosiła kanapki z domu. Rankiem 15 grudnia nie przygotowała ich sobie, gdyż nie przypuszczała, że dzień będzie aż tak ciepły.

Kiedy jednak w schludnym tweedowym płaszczu wyszła z banku i zobaczyła błękitne niebo nad Franziskanerplatz, doszła do wniosku, że należy wykorzystać niespodziewany dar Natury, łaskawie ofiarującej wiedeńczykom nieco babiego lata w środku zimy. Istniał pewien szczególny powód, dla którego tak chętnie odwiedzała niewielki park po drugiej stronie Ringu; otóż znajduje

się tam Hiibner Kursalon, elegancka restauracja o przeszklonych ścianach; w porze lunchu niewielka orkiestra grywa w niej utwory Straussa, tego najbardziej wiedeńskiego ze wszystkich kompozytorów.

Ci, którzy nie mogą sobie pozwolić na posiłek w drogim lokalu, zasiadają na ławeczkach na zewnątrz i przysłuchują się za darmo muzyce. Co więcej, w samym środku parku, pod kamiennym hakiem, stoi pomnik genialnego Johanna.

Edith Hardenberg kupiła kanapki w pobliskim barze, usiadła na ławce w słońcu i zaczęła powoli jeść, słuchając dźwięków walca dobiegających z wnętrza restauracji.

- Entschuldigung...

Aż podskoczyła, wyrwana z zamyślenia przez czyjś cichy, nieśmiały głos.

Spośród licznych surowych zasad, jakimi panna Hardenberg kierowała się w życiu, jedną z najważniejszych było nie reagować na zaczepki nieznanym mężczyznom. Spłoszona, zerknęła szybko w bok.

Zobaczyła, że chłopak jest ciemnowłosy i ma łagodne brązowe oczy. Mówił z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. Chciała już spiorunować go wzrokiem i odwrócić głowę, kiedy dostrzegła, że młodzieniec trzyma w ręku ilustrowaną broszurę i wskazuje palcem jakieś słowo. Odruchowo popatrzyła i przekonała się, że to nie broszura, tylko program ze spektaklu "Czarodziejskiego fletu" Mozarta.

- To chyba nie jest niemieckie słowo, prawda?

Palec wskazywał wyraz "partytura".

Powinna była wtedy natychmiast wstać i odejść. Nawet zaczęła już zawijać napoczętą kanapkę.

___ Nie - odparła krótko. - To po włosku.

- Ach, tak... - westchnął młody mężczyzna. - Uczę się po niemiecku, ale nie rozumiem po włosku. Czy to znaczy "muzyka", proszę?

- Nie. Partytura to zapis nutowy.

- Dziękuję pani! - powiedział z wdzięcznością. - Bardzo trudno jest rozumieć wasze opery, ale ja je bardzo kocham.

Palce Edith Hardenberg zaczęły poruszać się jakby nieco wolniej.

- Ona dzieje się w Egipcie - wyjaśnił młodzieniec.

Cóż za pomysł, żeby tłumaczyć to jej, która zna na pamięć każde słowo i każdy dźwięk "Czarodziejskiego fletu"!

- Istotnie - odparła lodowatym tonem.

Dość tego, zbesztiała się w duchu. Cóż za bezczelny młody człowiek! Ktoś mógłby pomyśleć, że udało mu się wciągnąć ją do rozmowy.

- Tak samo jak "Aida" - dodał, ponownie koncentrując uwagę na programie. - Lubię Verdiego, ale chyba więcej lubię Mozarta.

Kanapki były już zapakowane. Wystarczyło wstać i odejść.

Spojrzała na niego jeszcze raz, a on akurat w tej chwili podniósł głowę i uśmiechnął się do niej.

Był to bardzo nieśmiały, niemal przeproszający uśmiech. Przy okazji zauważyła, że chłopak ma długie rzęsy, o jakich z pewnością marzyła każda modelka.

- Nie ma porównania - stwierdziła sucho. - Mozart jest .najlepszy.

Uśmiech stał się znacznie szerszy, a między wargami błysnęły śnieżnobiałe, równe zęby.

- On tutaj kiedyś mieszkał. Może nawet siedział tu, na tej ławce, i pisał swoją muzykę?

- Bardzo wątpię - odparła. - Ta ławka z pewnością nie jest tak stara.

Podniosła się, a wówczas chłopak także poderwał się z miejsca i uklonił się szarmancko.

- Bardzo przepraszam, że pani przeszkadzałem. Wielce dziękuję za pomoc.

Wściekła na samą siebie wyszła szybkim krokiem z parku i skierowała się z powrotem do banku. Ładne rzeczy: pogaduszki z nieznanymi młodymi ludźmi! Ciekawe, na co pozwoli następnemu mężczyźnie?! Z drugiej strony, to przecież tylko zagraniczny student, który chce dowiedzieć się jak najwięcej o operze. Przecież nie ma w tym nic złego... Minęła słup z afiszami. Rzeczywiście, za trzy dni w Staatsoper miało odbyć się przedstawienie "Czarodziejskiego fletu", na które prawdopodobnie wybierał się nieznamy z parku.

Pomimo swej operowej pasji Edith Hardenberg nigdy nie była w przybytku sztuki przy Ringu. To znaczy, wielokrotnie zwiedzała sam gmach, ale nie widziała ani jednego spektaklu.

O abonamencie na cały sezon nawet nie miała co marzyć, gdyż przekazywano je sobie z pokolenia na pokolenie jedynie w najzamożniejszych rodzinach. Wejściówkę, także bardzo kosztowną, zdobywało się jedynie po znajomości, a na zwykły bilet najzwyczajniej w świecie nie było jej stać. Westchnęła ciężko i skręciła w uliczkę, przy której znajdował się Bank Winklera.

Ten ciepły, niemal wiosenny dzień okazał się krótkotrwałym wybrykiem Natury, gdyż już nazajutrz niebo zasnuły szare chmury, wraz z nimi zaś wrócił przenikliwy chłód. Edith Hardenberg ponownie zaczęła jadać popołudniowe posiłki w tej samej kawiarni, co zawsze, za każdym razem przy tym samym stoliku. Była osobą lubiącą porządek i chętnie hołdującą przyzwyczajeniom.

Kiedy na trzeci dzień po spotkaniu w parku punktualnie co do minuty zjawiła się przy swoim stoliku, dostrzegła na sąsiednim dwie książki wyglądające na podręczniki uniwersyteckie - nawet nie spojrzała na tytuły - i na w pół opróżnioną szklanę wody mineralnej. Ledwie zdążyła zamówić posiłek, naturalnie ten sam, co zwykle, właściciel książek wrócił z toalety i na jej widok aż przystanął ze zdumienia.

- Och, Griiss Gott\ Miło panią znowu spotkać!

Zacisnęła usta w wąską kreskę. Kelnerka postawiła przed nią zamówione danie; panna Hardenberg znalazła się w potrzasku. Młody człowiek był nieustępliwy.

- Przeczytałem już cały program. Myślę, że teraz już wszystko rozumiem.

Skinęła głową i zabrała się do jedzenia.

- To znakomicie. Studiuje pan w Wiedniu?

Dlaczego o to zapytała? Co za zaleństwo nagle w nią wstąpiło? Jednak w kawiarni panował przytłumiony gwar, przy sąsiednich stolikach także trwały rozmowy... Czym się niepokoisz, Edith? Przecież chyba nie ma nic złego w kulturalnej rozmowie, nawet z cudzoziemskim studentem? Ciekawe, co by sobie pomyślał Herr Gemutlich. Z pewnością nie byłby zachwycony.

Ciemnowłosy młodzieniec skinął radośnie głową.

- Tak, studiuje na Politechnice. Kiedy uzyskam dyplom, wrócę do domu i będę pomagał w rozwoju mojego kraju. Mam na imię Karim.

- Fraulein Hardenberg - odparła oschle. - Skąd pan pochodzi, Herr Karim?

- Z Jordanii.

Dobry Boże, Arab! Z tego, co wiedziała, na Politechnice - jej siedziba wznosiła się zaledwie kilka przecznic dalej, przy Kartner Ringu - studiuowało ich całe mnóstwo, ale większość tych, z którymi kiedykolwiek się zetknęła, sprzedawała dywany na chodnikach

przed sklepami, roznosiła gazety i sprawiała ogromne kłopoty policji. Jednak młody człowiek siedzący przy sąsiednim stoliku sprawiał bardzo dobre wrażenie. Prawdopodobnie pochodzi z lepszej rodziny... ale mimo wszystko jest Arabem. Pośpiesznie dokończyła posiłek i poprosiła o rachunek. Czas pożegnać się z młodzieńcem, mimo że zachowywał się nad wyraz grzecznie - jak na Araba, ma się rozumieć.

- Ale i tak myślę, że chyba tam nie pójde - powiedział ze smutkiem.

Kelnerka przyniosła rachunek. Panna Hardenberg grzebała w portmonetce.

- Dokąd?

- Do Opery. Zobaczyć "Czarodziejski flet". Bałbym się. Tam przychodzi tyle ludzi... Nie wiedziałbym jak się zachować ani kiedy bić brawo...

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Wydaje mi się, młody człowieku, iż nie pójdzie pan przede wszystkim dlatego, że nie dostanie pan biletu.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Och, nie. To żaden problem. - Wyjął z kieszeni dwa skrawki papieru i położył na jej stoliku. Obok jej rachunku. Drugi rząd na parterze. Zaledwie kilka metrów od wykonawców. Dokładnie pośrodku. - Mam przyjacielą w ONZ. Dostają je za darmo, ale on nie interesuje się operą, więc oddał je mnie. Oddał. Nie odsprzedał, tylko oddał. Coś wręcz bezcennego. Młody człowiek zawahał się wyraźnie, po czym zapytał nieśmiało:

- Czy pani... Czy pani zechciałaby zabrać mnie ze sobą? Bardzo proszę...

Sformułował pytanie w taki sposób, jakby to o n a miała bilety i mogła zdecydować, z kim chce pójść na spektakl.

Wyobraziła sobie, że siedzi w tej wielkiej, cudownie udekorowanej, pełnej złocień i rokokowych ozdób sali, wsłuchując się we wspaniałe głosy basów, barytonów, tenorów i sopranów, które porywają jej duszę, ulatując ku wysokiemu, pokrytemu malowidłami sklepieniu...

- Nawet nie ma mowy.

- Och, ogromnie przepraszam. Obraziłem panią.

Wziął bilety ze stolika i zrobił ruch, jakby chciał je przedrzeć.

- Nie! - Złapała go za rękę, zanim stało się nieodwracalne nieszczęście. - Proszę tego nie robić.

Zaczerwieniła się aż po koniuszki uszu.

- Ale skoro nie mogę z nich skorzystać...

- Wydaje mi się... To znaczy...

W jego oczach zabłyśły ogniki radości.

- A więc pokaże mi pani waszą Operę? Tak?

Pokazać mu Operę... To co innego. Nie randka, nie spotkanie, z którego nie wiadomo co może wyniknąć, tylko raczej coś w rodzaju wycieczki. Uprzejma wiedenka przedstawiająca zagranicznemu studentowi uroki austriackiej stolicy. Z pewnością nie było w tym nic niewłaściwego.

Piętnaście po siódmej spotkali się na schodach przed gmachem Opery. Panna Hardenberg przyjechała samochodem i, o dziwo, bez trudu znalazła miejsce do zaparkowania. Wmieszali się w tłum widzów, w którym dało się wyczuć nastrój radosnego oczekiwania. Jeżeli Edith Hardenberg, stara panna, która od dwudziestu lat nie zaznała miłości, kiedykolwiek wyobrażała sobie, że znalazła się w przedsiönku rajy, to właśnie wtedy, w ten grudniowy wieczór 1990 roku, gdy siedziała kilka metrów od sceny, rozkoszując się cudownymi dźwiękami muzyki. Nigdy w życiu nie była pijana, nie wiedziała więc, jak określić uczucie, jakie ogarnęło ją, kiedy

zanurzyła się w falującym, niematerialnym żywiole wznoszących się i opadających głosów.

W pierwszym akcie, podczas skocznej arii Papagena, męska, szczupła ręka dotknęła delikatnie wierzchu jej dłoni. Edith odruchowo cofnęła swoją, ale kiedy to samo powtórzyło się w drugim akcie, pozostawiła rękę na miejscu.

Po spektaklu była jak zaczadzona – musiała być, gdyż w przeciwnym razie na pewno nie pozwoliłaby zaprosić się do ulubionej kawiarni doktora Freuda, Cafe Landtmann, której kilka lat temu przywrócono dawną świetność. Obsługiwał ich sam główny kelner. Potem Karim odprowadził ją do samochodu. Edith zdażyła już nieco ochłonać i ponownie przywdziać pancierz chłodu i rezerwy. – Bardzo bym chciał, żeby pani pokazała mi prawdziwy Wiedeń – powiedział cicho. – Ten Wiedeń, w którym są muzea i odbywają się wspaniałe koncerty. Inaczej nigdy nie uda mi się zrozumieć austriackiej kultury.

– Do czego pan zmierza, Karim?

Zatrzymali się przy samochodzie. Nie, z pewnością nie proponuje mu, że odwiezie go do jego domu, gdziekolwiek to jest, a jeśli on wspomni choć słowem, że chciałby pojechać z nią do jej mieszkania, to przynajmniej ujawni swoje prawdziwe zamiary, pozbawiając ją zawczasu niepotrzebnych złudzeń.

– Chciałbym znowu panią zobaczyć.

– Dlaczego?

Jeżeli powie, że jestem piękna, to go uderzę! – postanowiła.

– Bo pani jest dla mnie miła.

– Och...

Dobrze, że było ciemno, bo zaczerwieniła się jak piwonia.

Karim pochylił się, pocałował ją delikatnie w policzek, po czym odwrócił się bez słowa i odszedł. Wróciła do domu sama.

Tej nocy dręczyły ją niespokojne sny. Powróciła w nich do dawno minionych lat, do wspomnień o Horście, który kochał ją przez całe gorące lato 1970 roku, kiedy miała dziewiętnaście lat i była jeszcze dziewicą. Sprawił, że ona także go pokochała i oddała mu się, a zimą zniknął bez śladu, nie pozostawiając nawet liściku z wyjaśnieniami i słowami pożegnania.

Początkowo myślała, że doznał wypadku i przez pół nocy dzwoniła do wszystkich szpitali. Potem doszła do wniosku, że widocznie musiał gdzieś nagle wyjechać w interesach – był komiwojażerem – i że lada chwila zatelefonuje.

Dopiero znacznie później dowiedziała się, że wziął ślub z dziewczyną z Grazu, z którą spotykał się nawet wtedy, kiedy jej, Edith, wyznawał gorącą miłość.

Pląkała aż do wiosny, potem zaś zebrała wszystkie pamiątki po nim i wrzuciła do ognia. Spaliła też wszystkie prezenty od niego, i wszystkie zdjęcia z wycieczek, na jakie zabierał ją do pałacowego ogrodu Laxenburg, przede wszystkim zaś fotografię drzewa, pod którym kochali się po raz pierwszy i gdzie uczynił ją swoją własnością.

Od tego czasu nie miała żadnych mężczyzn. Każdy mężczyzna prędzej czy później zdradzi cię i opuści, mówiła matka, a ona zawsze miała rację. Edith przysięgła sobie, że już nigdy nie zada się z żadnym z nich.

Jednak tej nocy, na tydzień przed Bożym Narodzeniem, kiedy leżała skulona w łóżku, przyciskając operowy program do wątlej piersi, jej twarz wypogodziła się, a z kącików oczu i ust zniknęła część zmarszczek. W pewnej chwili, tuż nad ranem, Edith Hardenberg uśmiechnęła się lekko.

Z całą pewnością nie było w tym nic niewłaściwego.

Wielki szary mercedes z najwyższym trudem radził sobie w ulicznym tłoku. Kierowca musiał bez przerwy naciskać klakson, by utorować sobie drogę wśród niezliczonych samochodów osobowych, furgonetek, wózków i przenośnych straganów, wypełniających przestrzeń między ulicami Chulafa i Raszid. Była to najstarsza część Bagdadu, gdzie od dziesięciu stuleci handlowano złotem, przyprawami, ludźmi i w ogóle wszystkim, co można było sprzedać lub kupić.

Limuzyna skręciła w zastawioną po obu stronach samochodami ulicę Bankową, potem zaś w ulicę Szardża, na której rozlokowali się sprzedawcy przypraw.

- Dalej nie dam rady - powiedział kierowca.

Lajla Al-Hilla skinęła głową, ale poza tym nie wykonała najmniejszego ruchu. Miejsce obok kierowcy zajmował Kamal, potężnie zbudowany adiutant i zarazem ochroniarz generała Kadiriego. Dosłużył się w wojskach pancernych stopnia sierżanta, a od wielu lat był niemal cieniem generała. Lajla serdecznie go nienawidziła.

Dopiero po dłuższej chwili sierżant wygramolił się z samochodu, wyprostował na całą wysokość i otworzył tylne drzwi. Kobieta doskonale zdawała sobie sprawę, że po raz kolejny zdołała go upokorzyć; można było poznać to po sposobie, w jaki na nią patrzył. Nie zaszczyciwszy go nawet jednym spojrzeniem wysiadła z limuzyny i bez słowa ruszyła przed siebie.

Nienawidziła Kamala przede wszystkim dlatego, że wszędzie za nią łąził. Naturalnie robił to na wyraźne polecenie Kadiriego, ale ten fakt w najmniejszym stopniu nie wpływał na zmianę jej stosunku do ogromnego sierżanta. Trzeźwy Kadiri był twardym, doświadczonym żołnierzem, ale cierpiał na obsesyjną zazdrość i dlatego właśnie wydał rozkaz, aby Lajla ani na chwilę nie zostawała sama. Nienawiść brała się także stąd, że Lajla doskonale zdawała sobie sprawę, iż Kamal pożąda jej gorąco. Jako kobieta bardzo doświadczona w tych sprawach, a zarazem niespecjalnie wybredna, bez trudu mogła sobie wyobrazić, że oddaje się każdemu, kto zapragnął jej bujnego ciała, ale pod jednym warunkiem: człowiek ten musi bardzo dużo zapłacić. Żądza Kamala stanowiła dla niej obelgę, gdyż sierżant był najzwyczajniej w świecie biedny. Jak śmie w ogóle o mnie marzyć! - myślała często z wściekłością. A jednak śmiał, obdarzając ją przedziwną mieszanką pogardy i zwierzęcego pożądania. Obserwowała to na jego twarzy zawsze, ale nie w obecności generała Kadiriego.

On z kolei dobrze wiedział, że Lajla nim gardzi, więc mścił się obmacując ją wzrokiem, choć kiedy zwracał się do niej, zachowywał pozory obojętnej uprzejmości.

Wielokrotnie skarżyła się Kadiriemu, lecz on tylko wybuchał śmiechem. Każdy inny człowiek musiałby drogo zapłacić za jedno pożądliwe spojrzenie, lecz Kamalowi wiele rzeczy uchodziło płazem, gdyż ocalił kiedyś życie generałowi podczas bitwy z Irańczykami na mokradłach Al-Fau i był gotów w każdej chwili zginąć za swego dowódcę.

Sierżant zatrzasnął drzwi i szybkim krokiem podążył za kobietą. Ta część starego Bagdadu nosi nazwę Agid an-Nasara, czyli Dzielnica Chrześcijan. Łącznie z protestantami, dla których Brytyjczycy zbudowali po drugiej stronie rzeki kościół św. Jerzego, w mieście żyją przedstawiciele czterech wyznań chrześcijańskich - w sumie nie więcej niż siedem procent jego mieszkańców. Największą liczebnie grupę stanowią chrześcijanie obrządku sryjskiego, czyli koptowie - ich katedra wznosi się w Agid an-Nasara, tuż przy ulicy Szardża. Półtora kilometra dalej, opleciony gęstą siecią krętych uliczek tworzących Dzielnicę Ormiańską, stoi kościół wyznawców tego obrządku, natomiast tuż

obok katedry wznosi się kościół św. Józefa, w którym gromadzą się na modlitwy członkowie najmniej licznej grupy, Chaldejczyków. Jeżeli obrzędy koptyjskie przypominają nieco te znane z greckiego kościoła ortodoksyjnego, to Chaldejczycy najwięcej wspólnego mają z katolicyzmem.

Najbardziej znanym przedstawicielem tej grupy wyznaniowej był Tarik Aziz, ówczesny minister spraw zagranicznych Iraku, choć wiernopoddańcze uwielbienie, jakim darzył Saddama Husajna, oraz poparcie dla polityki ludobójstwa wskazywały na to, że niezbyt głęboko wziął sobie do serca nauki Księcia Pokoju. Lajla Al-Hilla także została ochrzczona w tym obrzędzie, co teraz okazało się bardzo przydatne.

Kiedy dotarli do wykonanej z kutego żelaza bramy, która strzegła dostępu na wykładany kamiennymi płytami dziedziniec świątyni, Kamal zatrzymał się, kobieta zaś skinęła mu obojętnie głową i weszła na teren kościoła. Sierżant, jako muzułmanin, nie uczyniłby tego za nic w świecie. Stojąc bez ruchu; obserwował, jak Lajla kupuje świeczkę na małym straganie przy wejściu do kościoła, narzuca na głowę szal z gęstej czarnej koronki i wchodzi do ciemnego, wypełnionego kadzidłanymi zapachami wnętrza.

Ochroniarz wzruszył ramionami, odsunął się od bramy, kupił od ulicznego sprzedawcy puszkę coca-coli, a następnie zajął się szukaniem jakiegoś zacienionego miejsca, w którym mógłby usiąść i spokojnie obserwować drzwi świątyni. Nieraz zastanawiał się, dlaczego jego pan pozwala na te głupoty. To przecież najzwyczajniejsza dziwka; generał osobiście obiecał mu, że jeśli kiedyś znudzą go jej wdzięki, on, Kamal, będzie mógł zrobić z nią, co mu się spodoba. Uśmiechnął się na tę myśl i strużka coli pociekła mu po brodzie, a stamtąd na mundur.

Po wejściu do kościoła Lajla zatrzymała się na chwilę, by zapalić świeczkę od jednej z wielu, jakie płonęły w pobliżu drzwi, po czym, z nisko pochyloną głową, skierowała się ku konfesjonałom stojącym przy ścianie po drugiej stronie głównej nawy. Minał ją ksiądz, lecz nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Spotkanie zawsze odbywało się w tym samym konfesjonale.

Podeszła tam dokładnie o wyznaczonej godzinie, ubiegając jakąś starszą kobietę, której grzechy z pewnością nie zainteresowałyby kapłana tak bardzo jak to, co ona miała zamiar wyznać.

Lajla zamknęła za sobą drzwiczki i usiadła na drewnianej ławeczce. Po prawej stronie miała także drewnianą, gęstą kratkę. Niemal natychmiast usłyszała delikatny szelest; ksiądz już tam był. Zawsze czekał na nią, kiedy zjawiała się o wyznaczonej porze. Kto to jest? – zastanawiała się często. Dlaczego płacił tak szczerze za informacje, których mu dostarczała? Z pewnością nie jest cudzoziemcem, gdyż mówił po arabsku tak, jak może mówić tylko ktoś urodzony i wychowany w Bagdadzie. I dawał mnóstwo pieniędzy.

– Lajla?

Głos był niewiele donośniejszy od szeptu. Lajla zawsze pojawiała się w konfesjonale, gdy spowiednik już tam siedział; kiedy odchodziła, duchowny jeszcze zostawał. Na samym początku ostrzegł ją, żeby nie próbowała na niego czekać na zewnątrz, ale jak mogłaby to zrobić, mając na karku Kamala? Ten dureń z pewnością natychmiast doniósłby na nią swojemu panu.

– Słucham cię, córko.

– Ojciec, uległam pokusom mego grzesznego ciała i nie jestem godna dostąpić łaski wybaczenia.

To on wymyślił tę formułkę i kazał nauczyć się jej na pamięć.

– Co mi dzisiaj przyniosłaś?

Sięgnęła* między uda, odsunęła na bok wąski pasek fig i wyjęła specjalnie spreparowany tampon, który także otrzymała od swego

tajemniczego mocodawcy. Odkręciła końcówkę, wyjęła z wnętrza zwitek cienkiego papieru nie grubszy od ołówka i podała go przez kratę.

- Zaczekaj.

Usłyszała szelest rozprostowywanych kartek. Mężczyzna przez dłuższą chwilę zapoznawał się w milczeniu z treścią notatek dotyczących przebiegu wczorajszej narady wojennej, prowadzonej osobiście przez Saddama Husajna, a w której brał udział także generał Abd Allah Kadiri.

- Bardzo dobrze, Lajla. Znakomicie.

Tym razem wypłata nastąpiła we frankach szwajcarskich, banknotami o bardzo wysokich nominałach. Kobieta ukryła je w tym samym miejscu, w którym wcześniej schowała notatki. Wiedziała, że przez kilka dni w miesiącu muzułmanie uważają to miejsce za nieczyste i jedynie lekarz pracujący dla znienawidzonego Al-Aman al-Amm mógłby tam czegoś szukać.

- Jak długo to jeszcze potrwa? - zapytała.

- Już niedługo. Wkrótce wybuchnie wojna, w wyniku której ra'is zostanie obalony. Władzę przejmą inni ludzie, a ja będę jednym z nich. Dopiero wtedy otrzymasz właściwą nagrodę, Lajlo. A teraz zachowaj spokój, rób dalej to co robisz, i bądź cierpliwa.

Uśmiechnęła się z nadzieją- "Dopiero wtedy otrzymasz właściwą nagrodę..." Pieniądze, mnóstwo pieniędzy - tyle, żeby wyjechać daleko stąd i nie mieć żadnych trosk do końca życia.

- Idź już.

Wstała z ławeczki i wyszła z konfesjonału. Stara kobieta, która ubiegła przed kilkoma minutami, znalazła innego spowiednika. Lajla wyszła z kościoła na zalany słonecznymi promieniami dziedziniec. Ten dureń Kamal sterczał za bramą, miażdżąc w potężnej ręce puszkę po coca-coli i pocąc się obficie. Bardzo dobrze, niech się poci. Gdyby wiedział, pociłby się jeszcze bardziej... Minęła go, jakby był powietrzem, i ruszyła przez zatłoczone targowisko w kierunku samochodu. Kamal, czerwony z wściekłości, ale całkowicie bezradny, chcąc nie chcąc podążył za nią. Lajla nie zwróciła najmniejszej uwagi na biednego wieśniaka prowadzącego rower z przymocowanym do bagażnika wiklinowym koszykiem, on zaś nawet nie spojrzał na piękną kobietę. Przyjechał tu na polecenie kucharki, która kazała mu kupić gałkę muszkatołową, kolendrę i szafran.

Człowiek w czarnej sutannie pozostał jeszcze przez chwilę w konfesjonale, aby mieć pewność, że jego agentka wyszła już na ulicę. Było niezmiernie mało prawdopodobne, żeby go rozpoznała, ale w grze o tak wysoką stawkę należało unikać nawet najmniejszego ryzyka.

Wierzył w to, co jej powiedział. Zbliżała się wojna. Nie mogło tego zmienić nawet odejście Żelaznej Damy. Amerykanie wgrzyźli się w przeciwnika jak rozwścieczony buldog i nie mieli zamiaru się cofnąć.

Przynajmniej dopóty, dopóki ten głupiec z pałacu przy moście 14 Tammuzza nie zepsuje wszystkiego i nie wycofa wojsk z Kuwejtu, ale na całe szczęście wydawał się ślepy i głuchy, prac twardo ku samounicestwieniu. Amerykanie wygrają wojnę, a potem zjawia się w Bagdadzie, aby dokończyć dzieła. Z pewnością nie poprzestaną na wyswobodzeniu Kuwejtu. Ktoś, kto jest tak potężny, nie może być jednocześnie aż tak głupi.

Kiedy nadejdą, zechcą utworzyć nowy rząd. Z pewnością zaczną szukać kogoś, kto biegle mówi po angielsku, rozumie ich sposób myślenia i kto będzie wiedział, co mówić i jak postępować, aby zyskać ich przychylność.

Zachodnie wykształcenie i obycie w świecie, które obecnie

stanowiły dla niego źródło częstych kłopotów, zaczął wówczas przemawiać na jego korzyść. Teraz nie mógł brać udziału w najbardziej tajnych zebraniach ani uczestniczyć w podejmowaniu najważniejszych decyzji, ponieważ nie należał do plemienia At-Tikriti, nie był od młodych lat fanatycznym zwolennikiem partii Ba's ani jednym z przyrodnych braci Saddama, nie został też generałem. Z plemienia At-Tikriti wywodził się natomiast Kadiri, który cieszył się całkowitym zaufaniem raisa. Mierny generał wojsk pancernych, o upodobaniach wielbłąda w okresie rui, kiedyś bawił się z Saddamem w rymsztokach Tikrit, i to w zupełności wystarczyło. Teraz znał wszystkie sekrety i najtajniejsze plany prezydenta, a on, człowiek w czarnej sutannie, także musiał je znać, by odpowiednio przygotować się do nadchodzących wydarzeń.

Kiedy był już pewien, że ma wolną drogę, wstał i wyszedł z konfesjonału, ale zamiast udać się do głównego wejścia, wślizgnął się do zakrystii, skinął głową prawdziwemu księdzu, który właśnie przygotowywał się do nabożeństwa, i wymknął się na zewnątrz tylnymi drzwiami.

Akurat tam, w odległości zaledwie pięciu metrów, stał wieśniak z rowerem. Przypadek sprawił, że spojrzął w twarz księdza w chwili, kiedy ten przymknął na sekundę oczy, oślepiiony jaskrawym blaskiem słońca, i zdążył w porę pochylić się, udając, że poprawia coś przy łańcuchu. Człowiek w sutannie rozejrzał się uważnie dokoła; co prawda zauważył biedaka majstrującego kilka metrów od niego przy rowerze, ale nie przyjrzał mu się dokładniej, tylko ruszył szybkim krokiem w kierunku zaparkowanego w pobliżu, niepozornego samochodu.

Wieśniak miał twarz zlaną potem i słyszał szum krwi tłoczony przez bijące w szaleńczym tempie serce. Cholera, ależ niewiele brakowało! Do tej pory celowo unikał okolic budynków rządowych w obawie, żeby nie doszło do takiego jak to, przypadkowego spotkania. U licha, co ten człowiek robił tu, w dzielnicy chrześcijańskiej, i w dodatku w przebraniu księdza?!

Mój Boże, ileż to już lat minęło od chwili, kiedy po raz ostatni bawili się wspólnie na dziedzińcu szkoły pana Hartleya, odkąd uderzył irackiego chłopca za to, że tamten znieważał jego młodszego brata, odkąd recytowali poezję, nigdy nie mogąc odebrać pierwszego miejsca Abd al-Karimowi Badriemu. Tak, wiele wody upłynęło w Tygrysie od czasu, kiedy po raz ostatni widział swego przyjaciela Hasana Rahmaniego, obecnie szefa kontrwywiadu Republiki Iraku. Zbliżało się Boże Narodzenie, więc myśli 300 000 Amerykanów i Europejczyków zgromadzonych na pustyni w północnej części Arabii Saudyjskiej coraz częściej kierowały się ku domom. Mimo przedświątecznej pory rozbudowa największych sił inwazyjnych, jakie zgromadzono w jednym miejscu od czasu lądowania w Normandii, trwała nadal.

Siły koalicji w dalszym ciągu zajmowały stanowiska dokładnie na wysokości granicy z Kuwejtem. Nic nie wskazywało na to, że już niebawem połowa tych wojsk zostanie przerzucona dalej na zachód. Do portów przybywały coraz to nowe oddziały, Brytyjska 4. Brygada Pancerna dołączyła do 7. "Szczurów Pustyni", by wspólnie utworzyć 1. Dywizję Pancerną. Francuzi zwiększyli liczebność swoich oddziałów do 10 000 ludzi, wśród których byli także członkowie Legii Cudzoziemskiej. Amerykanie sprowadzili -- lub mieli zamiar lada chwila to uczynić -- 1. Dywizję Kawalerii Powietrznej, 2. i 3. Pułk Kawalerii Pancernej, 1. Dywizję Piechoty Zmechanizowanej, 1. i 3. Dywizję Pancerną, dwie dywizje marines oraz 82. i 101. Dywizję Powietrznodesantową. Najbliżej granicy, czyli dokładnie tam, gdzie chciały, znalazły się wojska saudyjskie wspomagane przez oddziały z Egiptu, Syrii oraz kilku innych, mniejszych państw arabskich.

Na wodach północnej części Zatoki Arabskiej zrobiło się dosłownie gęsto od okrętów wojennych państw należących do koalicji. Właśnie tam, a także na Morzu Czerwonym, po drugiej stronie Półwyspu Arabskiego, Stany Zjednoczone umieściły pięć zespołów uderzeniowych, w skład których wchodziły lotniskowce "Eisenhower", "Independence", "John F. Kennedy", "Midway" i "Saratoga". Wkrótce miały pojawić się jeszcze "America", "Ranger" oraz "Theodore Roosevelt". Liczba samolotów, jaką wiozły na swoich pokładach - najróżniejszych tomcatów, hornetów, intruderów, prowlerów, avengerów i hawkeye'ów - mogła przysporzyć o zawrót głowy.

W samej Zatoce Perskiej trwał na posterunku amerykański pancernik "Wisconsin", do którego w styczniu miał dołączyć "Missouri".

Każde lotnisko na Półwyspie Arabskim, które zasługiwało na to miano, było zatłoczone myśliwcami, bombowcami, powietrznymi cysternami, transportowcami oraz samolotami wczesnego ostrzegania; wszystkie one latały na zmianę przez całą dobę, nie naruszając jednak irackiej przestrzeni powietrznej, w przeciwieństwie do samolotów szpiegowskich, krążących na niebotycznych wysokościach, poza zasięgiem rakiet.

Często zdarzało się, iż na tym samym lotnisku stacjonowały dywizjony USAF i RAF-u. Ze względu na brak przeszkód językowych łatwo dochodziło do porozumienia, szybko zawierano przyjaźnie, pomijając konwenanse. Mimo to czasem dochodziło do nieporozumień; największe dotyczyło tajnego, znanego tylko Brytyjczykom miejsca, które nazwali PPP.

Niemal na samym początku operacji Pustynna Tarcza kontroler lotu zapytał pilota brytyjskiego tornada, czy dotarł już do wyznaczonego miejsca, w którym miał zawrócić i skierować się z powrotem do bazy. Pilot odparł, że jeszcze nie, i że nadal znajduje się nad PPP.

W miarę upływu czasu coraz więcej Amerykanów słyszało o tym tajemniczym miejscu i przyglądało się przez lupę mapom, aby je odnaleźć. Brytyjczycy odwiedzali je niemal podczas każdego lotu, ale wszystko wskazywało na to, że PPP nie figuruje na żadnej z map, jakimi dysponowali piloci i nawigatorzy USAF.

Przez kilka tygodni krążyła plotka, że w grę wchodzi zwykłe przejęzyczenie, ale okazało się to nieprawdą i poszukiwania podjęto ze zdwojoną energią. Kiedy jednak nie przyniosły rezultatu, Amerykanie złożyli broń - nie wiedzieli, gdzie leży tajemnicze PPP, i wszystko wskazywało na to, że nigdy się tego nie dowiedzą. Dopiero znacznie później brytyjscy piloci ujawnili, że PPP oznacza po prostu Przekłętą, Pieprzoną Pustynię.

Żołnierze sił lądowych musieli żyć w samym sercu PPP. Dla wielu z nich, spędzających noce pod czołgami, pojazdami opancerzonymi i działami samobieżnymi, były to bardzo ciężkie tygodnie - a co gorsza, nudne.

Od czasu do czasu urozmaicały im pobyt wizyty przedstawicieli sojusznicznych oddziałów. Przy okazji tych spotkań wyszło na jaw, że w amerykańskich namiotach stoją nadzwyczaj wygodne polowe łóżka, które natychmiast stały się obiektem zazdrości Brytyjczyków, oraz że Amerykanie dostają do jedzenia konserwowe potrawy, jakie nigdzie i w nikim nie mogłyby wzbudzić ani odrobiny zazdrości. Recepturę PNZDS, czyli Posiłków Natychmiast Zdatnych do Spożycia, opracował zapewne jakiś urzędnik Pentagonu, który prędeż umarłby, niż wziął do ust choć kęs tego smakołyku, a tym bardziej jadł go trzy razy dziennie.

Amerykańscy żołnierze bardzo szybko doszli do wniosku, że skrót PNZDS oznacza w rzeczywistości Posiłki z Nadpsutych Dup Sztabowców. Ponieważ Brytyjczycy otrzymywali znacznie smacz-

niejsze jedzenie, zgodnie z kapitalistyczną etyką, w szybkim tempie rozwinął się ożywiony handel wymienny, w którym główną rolę odgrywały amerykańskie łożka i brytyjskie racje żywnościowe. Wydarzeniem, jakie dogłębnie wstrząsnęło Amerykanami, była wiadomość o złożeniu w brytyjskim Ministerstwie Obrony zamówienia na pół miliona prezerwatyw dla żołnierzy stacjonujących nad Zatoką. Ponieważ dokoła, jak okiem sięgnąć, rozciągała się bezludna pustynia, należało przypuszczać, że Anglicy wiedzą o czymś, o czym Amerykanie nie mają zielonego pojęcia. Tajemnica wyjaśniła się w przeddzień rozpoczęcia inwazji lądowej. Amerykanie przez trzy miesiące codziennie czyścili broń, prowadząc beznadziejną walkę z wciskającym się w najmniejszą szczelinę pyłem, podczas gdy ich brytyjscy koledzy po prostu ściągnęli prezerwatywy z pistoletów i karabinów maszynowych, odsłaniając doskonale czystą, błyszczącą oliwą stal. Jeszcze jednym ważnym wydarzeniem, które miało miejsce przed samymi świętami, było ponowne włączenie się Francuzów w planowanie działań operacyjnych aliantów.

W początkowym okresie trwania operacji Pustynna Tarcza Francuzi musieli borykać się z nieszczęściem w postaci Jean-Pierre Chevenementa, który, pełniąc wówczas obowiązki ministra obrony, zdawał się pałać gorącą sympatią do Iraku i wydał polecenie, aby dowódca francuskiego kontyngentu na bieżąco informował Paryż o wszystkich decyzjach podejmowanych w alianckim dowództwie. Kiedy dowiedzieli się o tym generałowie Schwarzkopf i sir Peter de la Billiere, niewiele brakowało, a obaj parsknęliby śmiechem, monsieur Chevenement sprawował bowiem w tym samym czasie funkcję przewodniczącego Towarzystwa Przyjaźni Francusko-Irakskiej. Tak więc, mimo iż dowódcą francuskiego kontyngentu był wówczas bardzo dobry oficer, generał Michel Roquejoffre, Francję natychmiast odsunięto od udziału w podejmowaniu najważniejszych decyzji.

Na szczęście pod koniec roku ministrem obrony został Pierre Joxe, który bezzwłocznie odwołał polecenie wydane przez swego poprzednika, dzięki czemu generał Roquejoffre mógł ponownie uczestniczyć w ściśle tajnych naradach sztabowych.

Dwa dni przed Bożym Narodzeniem Mikę Martin otrzymał od Jerycha odpowiedź na pytanie sprzed tygodnia. Jerycho informował, że kilka dni temu odbyło się nadzwyczajne posiedzenie gabinetu, w którym oprócz Saddama Husajna uczestniczyli jedynie członkowie Rady Dowództwa Rewolucji oraz najważniejsi generałowie. Podczas obrad wypłynęła sprawa ewentualnego wycofania się z Kuwejtu. Z pewnością nie był to oficjalny wniosek, gdyż nikt nie okazał się tak głupi, żeby go zgłosić. Wszyscy przecież doskonale pamiętali, jak podczas wojny z Iranem Saddam poprosił zaufanych współpracowników o opinię na temat ewentualnych ustępstw, które miałyby poczynić wobec Teheranu. Minister zdrowia powiedział wówczas, że takie mądre posunięcie pozwoliłoby na jakiś czas zmylić przeciwnika. Saddam poprosił ministra, żeby przeszedł z nim do sąsiedniego pokoju, wyjął z kabury pistolet, zastrzelił go, po czym jakby nigdy nic wrócił, by dalej przewodniczyć obradom. Kwestia ewentualnego wycofania wojsk z Kuwejtu pojawiła się wtedy, gdy wszyscy jednogłośnie potępili Organizację Narodów Zjednoczonych za to, że śmiała wystosować taką propozycję. Zaraz potem uczestnicy spotkania zaczęli spoglądać niepewnie na Saddama, czekając, aż prezydent powie albo zrobi coś, co pozwoli odgadnąć jego nastrój i dopasować do niego dalszy ciąg dyskusji. On jednak trwał w bezruchu, niczym gotowa do ataku kobra, przenosząc spojrzenie z jednej twarzy na drugą, jakby poszukiwał tam choćby najmniejszych śladów świadczących o braku lojalności. Nic dziwnego, że w pokoju zapadła cisza, gdyż nikt nie chciał

zaryzykować, wiedząc, jak niebezpieczne mogą być skutki narażenia się na gniew dyktatora. Przeciągające się milczenie przerwał dopiero sam prezydent, który zaczął mówić jednostajnym, monotonnym głosem, jak zawsze, kiedy ogarniała go największa wściekłość. Treść jego przemówienia sprowadzała się do tego, że każdy, kto mógłby choć przez chwilę dopuścić do siebie myśl o tak potwornym upokorzeniu, musi być zdrajcą i sługą Amerykanów, a dla takiego człowieka nie może być miejsca przy tym stole.

Zebrani bezzwłocznie zaczęli jeden przez drugiego zapewniać ra'isa, że nigdy, ale to przenigdy nie brali pod uwagę takiej możliwości.

Potem dyktator powiedział coś jeszcze: Irak może wycofać się z Kuwejtu tylko w jednym przypadku - jeżeli odniesie miażdżące zwycięstwo, o którym wszyscy przekonają się na własne oczy.

Uczestnicy zebrania pokiwali na to poważnie głowami, choć nikt nie wiedział, co właściwie prezydent ma na myśli.

Raport Jerycha był bardzo obszerny, mimo to Mikę Martin zdołał przetłumaczyć go i nadać do Rijadu jeszcze tej samej nocy.

Chip Barber i Simon Paxman spędzili nad meldunkiem wiele godzin, po czym każdy z nich postanowił wrócić na kilka dni do kraju, pozostawiając prowadzenie Martina i Jerycha w rękach Juliana Graya z SIS oraz szefa placówki CIA w Rijadzie. Za dwadzieścia cztery dni upływał termin ultimatum wystosowanego przez Organizację Narodów Zjednoczonych i należało się spodziewać, że zaraz potem generał Chuck Horner rozpocznie powietrzną wojnę przeciwko Irakowi. Oba mężczyznom zależało na tym, żeby przedtem wpaść choć na chwilę do domu, a raport Jerycha dał im ku temu znakomitą okazję.

- Jak sądzisz, co on miał na myśli mówiąc: "zwycięstwo, o którym wszyscy przekonają się na własne oczy"? - zapytał Barber.

- Nie mam pojęcia - odparł Paxman. - Damy to najlepszym analitykom, może oni będą mądrzejsi od nas.

- My też to zrobimy. Zdaje się, że przez kilka najbliższych dni i tak nie da się z nikim gadać, więc zasugeruję Stewartowi, żeby zagonił do roboty paru jajogłowych, zanim przekaże ten raport dyrektorowi i Departamentowi Stanu.

- Ja także znam pewnego jajogłowego, któremu chciałbym to pokazać - powiedział Paxman. Zaraz potem obaj mężczyźni pojechali na lotnisko, gdzie każdy z nich wsiadł do samolotu odlatującego w inną stronę.

W wigilię Bożego Narodzenia, w przytulnej londyńskiej winiarni Simon Paxman pokazał doktorowi Terry'emu Martinowi raport Jerycha i zapytał, czy uczony mógłby się zastanowić, jakie prawdziwe znaczenie miały zagadkowe słowa Saddama Husajna.

- Jeżeli już o tym mowa... - odparł Martin. - Wiem, że to wbrew wszelkim regułom, ale skoro wyświadczam wam różne przysługi, to może mógłbym poprosić o jedną w zamian? Naprawdę ogromnie się niepokoję. Jak Mikę radzi sobie w Kuwejcie? Czy nic mu nie grozi?

Paxman przez kilka długich chwil przyglądał się znakomitemu arabiście.

- Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że Mikę nie jest już w Kuwejcie - powiedział wreszcie. - Tylko nie chwal się nikomu, że dowiedziałeś się tego ode mnie, bo już następnego dnia byłbym bez pracy.

Terry Martin odetchnął z ulgą.

- To najwspanialszy prezent świąteczny, jaki mogłem sobie wymarzyć! Dziękuję ci, Simon. - Uśmiechnął się szeroko i żartobliwie pogroził rozmówcy palcem. - Tylko niech wam nie przyjdzie do głowy posyłać go do Bagdadu!

Paxman przepracował w swoim zawodzie już piętnaście lat, więc, choć z trudem, zdołał jednak zachować kamienną twarz. Nie ulegało wątpliwości, że uczony tylko żartował.

- Naprawdę? - zapytał z udawaną obojętnością. - A to dlaczego?

Martin właśnie podniósł do ust kieliszek wina i dlatego nie zwrócił uwagi na błysk niepokoju w oczach oficera wywiadu.

- Mój drogi Simonie, Bagdad jest chyba jedynym miastem na świecie, w którym Mikę nie powinien się pojawiać. Pamiętasz te taśmy z nagraniami, które dostałem od Seana Plummera? Otóż udało się zidentyfikować niektóre głosy, a ja rozpoznałem jedno z nazwisk. To naturalnie całkowity przypadek, ale wiem, że na pewno się nie mylę.

- Nie wątpię. Mógłbyś powiedzieć o tym coś więcej?

- Minęło już sporo czasu, ale dam sobie głowę uciąć, że to ten sam człowiek. Wyobraź sobie, że teraz jest szefem irackiego kontrwywiadu, głównym łowcą szpiegów na dworze Saddama Husajna!

- Hasan Rahmani... - mruknął Paxman. Terry Martin powinien trzymać się z dala od alkoholu, nawet w święta. Nie daje sobie rady z obciążeniem psychicznym, a po wypiciu nawet jednego kieliszka przestaje panować nad językiem.

- Właśnie on. Chodzili razem do szkoły... Co ja mówię, wszyscy chodziliśmy! Do starej, dobrej szkoły pana Hartleya. Mikę i Hasan byli najlepszymi kumplami. Teraz rozumiesz, dlaczego on nie może pokazać się w Bagdadzie?

Kiedy wyszli z winiarni, Paxman długo stał przy krawężniku i spoglądał na oddalającą się, pękata sylwetkę uczonego.

- Niech to szlag trafi... - wyszeptał. - Niech to wszystko nagły szlag trafi!

Ktoś właśnie zepsuł mu święta, a on miał zamiar już za chwilę zrobić to samo Steve'owi Laingowi.

Tak jak każdego roku, Edith Hardenberg pojechała do Salzburga, by spędzić święta z matką. Dzięki temu jordański student Karim mógł zjawić się w mieszkaniu Gidiego Barzilaia, gdzie kierujący Operacją Jozue katsa urządził małe, zaprawiane alkoholem przyjęcie dla członków obu podlegających mu zespołów. Tylko jeden pechowy wywiadowca musiał wyjechać do Salzburga, żeby mieć na oku pannę Hardenberg na wypadek, gdyby zechciała wcześniej wrócić do stolicy.

W rzeczywistości Karim nazywał się Awi Hercog. Miał 29 lat, do Mosadu zaś trafił przed siedmiu laty z jednostki numer 504, oddziału wywiadu wojskowego specjalizującego się w krótkich wypadach za granicę. Doskonale mówił po arabsku, a ze względu na jego olśniewającą urodę oraz zwodniczo łagodny i nieśmiały sposób bycia Mosad już dwukrotnie wykorzystywał go w operacjach zbliżonych charakterem do tej, w której obecnie brał udział.

- Jak ci idzie, kochasiu? - zapytał Gidi, nalewając drinki.

- Pomału - odparł Awi.

- To się pośpiesz. Pamiętaj, że Staremu zależy na wynikach.

- Kiedy to prawdziwa cnotka! - poskarżył się Awi. -

Interesuje ją tylko wspólnota umysłów - przynajmniej na razie...

Mosad ulokował go w Wiedniu w małym mieszkanku razem z jeszcze jednym agentem, także udającym Araba, który jednocześnie był specjalistą od zakładania podsłuchów telefonicznych. Na wypadek gdyby pannie Hardenberg lub komuś innemu przyszło do głowy sprawdzić, czy Jordańczyk Karim rzeczywiście jest studentem, zapisano go na Politechnikę, a w mieszkaniu, na regałach, biurku i podłodze, walało się mnóstwo fachowych książek i podręczników.

- Wspólnota umysłów, dobre sobie! - parsknął sublokator Awiego. - Pieprz to, chłopie.

- Na razie nie mogę.

Zaczekał, aż śmiech ucichnie, po czym dodał:

- Skoro już o tym mowa, będę potrzebował dodatkowych pieniędzy.

- Dlaczego? - zapytał Gidi. - Boisz się, że odgryzie ci go, jak tylko spuścisz spodnie?

- Nie, ale zanim to zrobię, będę musiał ganiać na różne wystawy, koncerty, opery i recitale. Mam nadzieję, że nie umrę z nudów.

- Rób wszystko najlepiej jak potrafisz, chłoptasiu. Jesteś tu przecież tylko dlatego, iż nasi szefowie doszli do wniosku, że masz coś, czego my nie mamy.

- Rzeczywiście - wtrąciła jedyna dziewczyna z grupy wywiadowców. - Równe dwadzieścia centymetrów!

- Nie mądrzyj się, Jael, bo odeślę cię z powrotem do drogówki i będziesz kierowała ruchem w Jerozolimie!

Suto zakrapiana alkoholem zabawa trwała w najlepsze. Nad ranem Jael przekonała się, że miała całkowitą rację.

- I co o tym myślisz, Terry?

Steve Laing i Simon Paxman zaprosili Terry'ego Martina do jednego z wynajmowanych przez Firmę mieszkań w Kensington. Potrzebowali ciszy, dyskrecji i spokoju, których nie mogła im zapewnić żadna restauracja. Do Nowego Roku pozostały jeszcze dwa dni.

- Fascynujące - powiedział doktor Martin. - Absolutnie fascynujące. Czy jesteście pewni, że Saddam naprawdę to powiedział?

- Dlaczego pytasz?

•- Wybaczcie, ale to dosyć dziwny materiał jak na podsłuchaną rozmowę telefoniczną. Można raczej odnieść wrażenie, że narrator relacjonuje przebieg spotkania, w którym brał udział... Jego rozmówca przez cały czas nie odzywa się ani słowem.

Dwaj oficerowie pod żadnym pozorem nie mogli zdradzić uczonemu, skąd naprawdę pochodzi materiał.

- Pominęliśmy jego wypowiedzi, bo nie miały najmniejszego znaczenia - skłamał gładko Laing. - Raz czy dwa zapytał o coś, a poza tym tylko potakiwał.

- Ale Saddam użył dokładnie tych słów?

- Tak należy przypuszczać.

- Fascynujące... Po raz pierwszy mam okazję zapoznać się z jego wypowiedzią, której nie przygotowano z myślą o szerokiej publiczności.

To, co doktor Martin trzymał w rękach, naturalnie nie było oryginalnym raportem Jerycha - ten został zniszczony w Bagdadzie zaraz po tym, jak Mikę zarejestrował jego treść na taśmie - tylko transkrypcją tekstu, jaki dotarł drogą radiową do Rijadu, z dołączonym przekładem na język angielski.

- Najbardziej interesuje nas ten ostatni zwrot - powiedział Paxman (jeszcze tego samego wieczoru miał wrócić do Rijadu). - "Zwycięstwo, o którym wszyscy przekonają się na własne oczy"... Czy coś ci to mówi?

- Oczywiście. Tyle tylko, że słowo "zwycięstwo", którego użyto w przekładzie, ma w naszej kulturze trochę inny odcień znaczeniowy niż w świecie arabskim. Ja osobiście zamieniłbym je na "sukces".

- W porządku, Terry. Wobec tego, czy mógłbyś nam wyjaśnić, w jaki sposób Saddam chce odnieść sukces w starciu z Amerykanami i całą koalicją?

- Upokarzając przeciwnika. Już ci kiedyś mówiłem, że jedyne, na czym mu naprawdę zależy, to upokorzyć Stany Zjednoczone.

- Ale nie wycofa się w ciągu najbliższych dwudziestu dni

z Kuwejt? To dla nas niezwykle ważne.

- Pamiętajcie, iż wkroczył tam dlatego, że nie chciano spełnić jego czterech żądań: przekazania wysp Warba i Bubijan, co dałoby mu swobodny dostęp do morza; rekompensaty za ropę, którą - według niego - Kuwejt kradnie ze wspólnych pól naftowych; położenia kresu kuwejckiej nadprodukcji ropy naftowej oraz umorzenia długu sięgającego piętnastu miliardów dolarów, zaciągniętego podczas wojny z Iranem. Jeżeli uda mu się zrealizować te cele, wówczas może się wycofać z honorem, bo to także będzie zwycięstwo.

- A uważa, że ma jakiegokolwiek szansę to osiągnąć? Martin wzruszył ramionami.

- Ciągle jeszcze wydaje mu się, że ONZ w ostatniej chwili postanowi pójsć mu na rękę. Stara się zyskać na czasie, licząc na to, że w Radzie Bezpieczeństwa przewagę uzyskają zwolennicy pokojowych rozwiązań. Kto wie, czy nie ma racji...

- Ale przecież to zupełnie bez sensu! - parsknął Laing. - Termin ultimatum mija 16 stycznia, czyli za niecałe dwadzieścia dni. Zaraz potem jego wojska zostaną starte na miazgę!

- Chyba że w ostatniej chwili któryś ze stałych członków Rady Bezpieczeństwa wysmaży jakiś cholerny plan pokojowy - zauważył Paxman.

- Paryż, Moskwa, albo i jedni, i drudzy - mruknął z ponurą miną Laing.

- A jeśli mimo wszystko dojdzie do wojny, to czy uważa, że wtedy też zwycięży? - zapytał Paxman. - Przepraszam: odniesie sukces?

- Tak - odparł Terry Martin. - I w tym momencie ponownie pojawia się problem, o którym także już wspominałem: liczba ofiar po "stronie amerykańskiej. Nie zapominajcie, że Saddam to rzeźmieszek spod ciemnej gwiazdy. Jego zwolennicy nie wywodzą się z kręgów dyplomatycznych, tylko z biednych dzielnic, gdzie aż roi się od ubogich półanalfabetów, nienawidzących Izraela oraz popierającej go Ameryki. Każdy, kto zada jej głęboką ranę, bez względu na ostateczny wynik wojny, w oczach tych ludzi zostanie bohaterem.

- Ale przecież Saddam nie zdoła tego zrobić! - powtórzył z uporem Laing.

- Wygląda na to, że on myśli inaczej - odparł Terry Martin.

- Na pewno liczy na broń chemiczną... - mruknął Paxman.

- Być może. Aha, przy okazji: dowiedzieliście się może, co znaczy ta nazwa, która padła podczas rozmowy telefonicznej? Laing spojrzał na Paxmana: znowu Jerycho. Nie wolno wspomnieć o nim ani słowem.

- Nie. Nikt nigdy o czymś takim nie słyszał, a my nie zdołaliśmy niczego wymyślić.

- To może być bardzo ważne, Steve. Może chodzi o jakąś broń, którą udało mu się przed nami ukryć...

- Posłuchaj mnie, Terry - powiedział Laing, zmuszając się do zachowania cierpliwości. - Za niecałe dwadzieścia dni Amerykanie, Francuzi, Włosi, Saudyjczycy, o nas już nie wspominając, rzucają przeciwko Saddamowi największą powietrzną armadę, jaką widział świat. W ciągu kolejnych dwudziestu dni na Irak spadnie więcej bomb i pocisków, niż użyto podczas całej drugiej wojny światowej. Generałowie, którzy planują tę operację w Rijadzie, są dość zajęci. Nie możemy polecieć tam i powiedzieć: "Wiecie co, chłopcy? Wstrzymajcie się jeszcze chwilę, bo nie potrafimy dać sobie rady z jednym zdaniem, jakie podsłuchaliśmy w rozmowie telefonicznej".

Spójrzmy prawdzie prosto w oczy: po prostu jeden z rozmówców uznał za stosowne podkreślić, że Bóg będzie po ich stronie.

- Nie ma w tym nic dziwnego, Terry - dorzucił Paxman. - Od niepamiętnych czasów wszyscy, którzy szykowali się do wojny,

twierdzili wszem i wobec, że Bóg im sprzyja.

– Ale ten drugi zdenerwował się i kazał mu się zamknąć – przypomniał uczony.

– Widocznie nie miał czasu, albo był w paskudnym nastroju.

– Nazwał go nawet synem ulicznicy.

– Może go nie lubi?

– Może.

– Terry, proszę, daj temu spokój. To naprawdę tylko czysto retoryczny zwrot, bez żadnego znaczenia. Saddam liczy na swoją broń chemiczną, na nic więcej. Wskazują na to wszystkie analizy, w tym także twoje.

Dwaj oficerowie wywiadu opuścili mieszkanie dwadzieścia minut po Martinie. Z postawionymi kołnierzami płaszczy szli chodnikiem, rozglądając się w poszukiwaniu taksówki.

– Wiesz co? – powiedział Laing. – To całkiem niegłupi gość i chyba nawet go lubię, ale okropny z niego panikarz. Poza tym... Słyszałeś o jego życiu prywatnym?

– Jasne. Chłopcy ze Skrytki dokładnie go prześwietlili.

Skrytka, albo Skrytka 500, oznacza w szpiegowskim slangu MI-5. Kiedyś, dawno temu, adres brytyjskiego kontrwywiadu rzeczywiście brzmiał "Skrytka pocztowa 500, Londyn".

– No więc, sam widzisz.

Minęła ich taksówka z wyłączonym kogutem, kierowca nie zareagował na machanie ręką. Przerwa na herbatę. Laing posłał za oddalającym się samochodem soczyste przekleństwo.

– Steve, nie wydaje mi się, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Laing przystanął i spojrział na swego współpracownika.

– Zaufaj mi, Simon: doktor Terry Martin uwierzył we własne fantazje i po prostu marnuje nasz czas. Moim zdaniem powinniśmy przestać zwracać sobie nim głowę.

– Chodzi o gazy bojowe, panie prezydencie.

Trzy dni po Nowym Roku, w Białym Domu zapomniano już o niedawnej zabawie; w całym zachodnim skrzydle, sercu amerykańskiej administracji, trwała intensywne prace.

Oazą spokoju w tym mrowisku aktywności był Gabinet Owalny, gdzie prezydent Bush siedział za potężnym biurkiem, mając za plecami wysokie okna z zielonkawymi, 25-centymetrowej grubości pancernymi szybami, nad głową zaś godło Stanów Zjednoczonych. Prezydent ponownie zerknął na skrótowe podsumowanie wielu niezależnych analiz, które przed chwilą wręczył mu generał Brent Scowcroft, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego.

– Wszyscy uważają tak samo? – zapytał.

– Tak, panie prezydencie. Najnowsze doniesienia z Londynu potwierdzają, że ich eksperci doszli do identycznych wniosków. Saddam Husajn wycofa się z Iraku tylko wówczas, jeśli otrzyma szansę wyjścia z twarzą z całej sytuacji. Nasze zadanie polega na tym, żeby takiej szansy nie miał. Jego jedyną nadzieją są zmasowane ataki gazowe na lądowe siły koalicji, przeprowadzone w czasie inwazji, a być może jeszcze przed nią.

George Bush był pierwszym amerykańskim prezydentem od czasów Johna F. Kennedy'ego, który walczył na pierwszej linii frontu i widział Amerykanów ginących w akcji. Coś aż skręcało się w nim z bólu na myśl o tych wszystkich młodych ludziach, których mogła osiągnąć niewidzialna śmierć, wypalając im płuca i paraliżując centralny układ nerwowy.

– W jaki sposób miałyby przeprowadzić ten atak? – zapytał.

– Ma do wyboru cztery metody, panie prezydencie. Najprostsza i najbardziej oczywista polega na zrzucaaniu pojemników z gazem przez myśliwce i bombowce. Colin Powell przed chwilą rozmawiał z Chuckiem Hornerem, który jest w Rijadzie. Generał Horner

twierdzi, że potrzebuje trzydziestu dni na unieszkodliwienie wszystkich irackich samolotów. Po tym terminie żadna maszyna nie będzie zdolna wzbić się w powietrze. Powiedział, że ręczy za to głową.

– A pozostałe trzy metody?

– Saddam dysponuje sporą liczbą ruchomych wyrzutni niesterowanych pocisków raketowych. Byłoby to drugie w kolejności rozwiązanie.

Wyrzutnie te stanowiły znacznie ulepszoną i zmodernizowaną wersję słynnych katiusz, których Armia Czerwona z wielkim powodzeniem używała podczas drugiej wojny światowej. Rakiety, wystrzeliwane jedna za drugą z wieloprowadnicowych wyrzutni zamontowanych na podwoziach ciężarówek, miały obecnie zasięg 100 kilometrów.

– Rzecz jasna, panie prezydencie, z powodu ograniczonego zasięgu musiałyby być wystrzeliwane z terytorium Kuwejtu albo z irackiej pustyni ciągnącej się na zachód od granicy z tym krajem. Jesteśmy pewni, że nasze samoloty wczesnego ostrzegania bez trudu ustaliłyby ich pozycje, nawet jeśli Irakijczycy zastosowaliby najlepszy kamuflaż.

Poza tym, armia iracka ma spore zapasy artyleryjskich i czołgowych pocisków przystosowanych do przenoszenia gazów bojowych, ale ich zasięg nie przekracza 37 kilometrów, zaś w tej odległości od granicy jest tylko pustynia. Nasi piloci są przekonani, że bez trudu uda im się znaleźć i zniszczyć każde działo lub czołg, jakie pojawia się na tym terenie. Na koniec zostały scudy, ale tymi nasi ludzie zajmują się nawet teraz, kiedy tu rozmawiamy.

– A co ze środkami zapobiegawczymi?

– Wszystko jest już gotowe panie prezydencie. Na wypadek, gdyby nieprzyjaciel wykorzystał bakterie węgla, zaszczepiliśmy wszystkich żołnierzy. Brytyjczycy zrobili to samo. Szczepionka jest produkowana bez przerwy, w coraz większych ilościach. Każdy człowiek został wyposażony w maskę przeciwigazową i ochronny kombinezon.

Prezydent wstał, wyszedł zza biurka, odwrócił się i popatrzył na godło swego kraju. Łysy orzeł odwzajemnił mu się obojętnym spojrzeniem.

Dwadzieścia lat wcześniej George Bush widział, jak transportowymi samolotami przylatywały z Wietnamu okropne torby z czarnego plastiku, zapinane na zamek błyskawiczny. Wiedział, że mnóstwo takich samych toreb ukrytych w nie oznakowanych pojemnikach poleciało wraz z resztą wyposażenia do Arabii Saudyjskiej. Nawet przy zachowaniu maksymalnych środków ostrożności nie wszyscy zdążą wciągnąć kombinezony, nie wszyscy zdołają na czas założyć maski.

Za rok miały się odbyć kolejne wybory, ale nie to było najważniejsze. George Bush nie chciał zapisać się na kartach historii jako prezydent, który skazał na śmierć dziesiątki tysięcy rodaków, i to nie w ciągu dziewięciu lat, jak miało to miejsce w Wietnamie, ale zaledwie kilku tygodni, albo nawet dni.

– Brent...

– Tak, panie prezydencie?

– Niedługo James Baker spotka się z Tarikiem Azizem.

– Za sześć dni, w Genewie.

– Poproś go, żeby jeszcze dzisiaj zajrzał do mnie.

Na początku stycznia Edith Hardenberg zauważyła, że po raz pierwszy od bardzo wielu lat znowu cieszy się życiem. Pokazując swemu młodemu, złąknionemu wiedzy przyjacielowi cuda kultury, w które obfitowało jej miasto, odczuwała radosny dreszcz podniecenia.

Na przełomie roku pracownicy Banku Winklera mieli cztery dni

wolne od pracy; potem Edith i Karim znowu musieli ograniczyć się do wieczornych wypadów na miasto, co jednak nie wykluczało uczestniczenia w spektaklach teatralnych, koncertach i recitalach, oraz weekendowych wycieczek do muzeów i galerii.

Podczas krótkich ferii pół dnia spędzili podziwiając art nouveau, drugie pół zaś zwiedzając stałą ekspozycję dzieł Klimta. Entuzjazm młodego Jordańczyka, chłonego wszystko ze szczerym zachwytem i bez przerwy zadającego pytania, udzielił się także Edith; jeszcze zanim wyszli z ostatniej sali, ustalili już, że w najbliższą sobotę wybiorą się do Kimstlerhaus, by zwiedzić kolejną wspaniałą wystawę. Karim zaprosił ją na obiad do Rotisserie Sirk. Protestowała, że to za drogo, ale on wyjaśnił, iż jego ojciec jest jednym z najbardziej wziętych chirurgów w Ammanie i nie skąpi pieniędzy studiującemu w Europie synowi.

Ku swemu własnemu zdziwieniu pozwoliła nalać sobie wina, a potem nie zauważyła, kiedy Karim uczynił to ponownie. Mówiła z coraz większym ożywieniem, a na jej bladych policzkach pojawiły się nieśmiałe rumieńce.

Przy kawie położył rękę na jej dłoni. Zarumieniła się jeszcze bardziej i rozejrzała szybko dokoła, czy nikt tego nie widzi, po czym cofnęła rękę... ale powoli i jakby niechętnie. Żaden z gości nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.,

Po tygodniu, kiedy mieli już za sobą odwiedziny w wielu wspaniałych miejscach i wracali w zimowy wieczór do samochodu po koncercie w Musikverein, wziął ją za rękę i ścisnął mocno. Nie broniała się, czując, jak przez materiał rękawiczki przenika ciepło jego ciała. – Jest pani bardzo miła, że robi pani to wszystko dla mnie – powiedział poważnie. – Na pewno bardzo się pani nudzi ze mną. – Och, skądże znowu! – zaprzeczyła zupełnie szczerze. – Ja także cieszę się, mogąc słuchać i oglądać tyle wspaniałych rzeczy. Miło mi, że ci się to podoba. Już niedługo będziesz prawdziwym ekspertem od europejskiej kultury i sztuki.

Zatrzymali się przy samochodzie. Młody mężczyzna uśmiechnął się do niej, ujął jej twarz w zadziwiająco ciepłe ręce i pocałował ją lekko w usta.

– Dziękuję, Edith.

Odszedł szybkim krokiem. W drodze do domu trzęsły się jej ręce i niewiele brakowało, a zderzyłaby się z tramwajem.

9 stycznia w Genewie sekretarz stanu USA James Baker spotkał się z ministrem spraw zagranicznych Iraku Tarikiem Azizem. Rozmowa nie trwała długo i z pewnością nie można było określić jej mianem przyjaznej, gdyż nie o to chodziło. Oprócz obu polityków uczestniczył w niej tłumacz, mimo że Tarik Aziz i bez jego pomocy doskonale rozumiał amerykańskiego męża stanu, który mówił powoli i bardzo wyraziście. Wiadomość, którą przekazał, dałoby się streścić w dwóch zdaniach:

Zostałem upoważniony, aby poinformować pana, że jeżeli dojdzie do konfliktu zbrojnego między naszymi krajami, a pański rząd zdecyduje się skorzystać z broni chemicznej, której używania zakazują liczne międzynarodowe konwencje, mój rząd bez wahania sięgnie po broń jądrową. Krótko mówiąc, rzucimy ładunki nuklearne na Bagdad.

Krępy, szpakowaty Irakijczyk nie wierzył własnym uszom. Przecież żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się przekazać tej wiadomości ra'isowi, który chętnie stosował zwyczaj dawnych babilońskich władców, karzących śmiercią tego, kto przyniósł niedobre nowiny. Poza tym, nie bardzo mógł uwierzyć, że Amerykanin mówi poważnie. Bomby atomowe miałyby spaść na Bagdad? Przecież wówczas zniszczeniu uległoby co najmniej pół Bliskiego Wschodu! Tarik Aziz, z niepokojem w sercu i mętlikiem w głowie ruszając w drogę powrotną do Bagdadu, nie miał pojęcia o trzech rzeczach:

Po pierwsze, że współczesne bomby jądrowe mają bardzo niewiele wspólnego z tą, która w 1945 roku eksplodowała nad Hiroszimą. Ich najnowsze odmiany zostały nazwane "czystymi" między innymi dlatego, że choć bezpośrednio po wybuchu sieją ogromne zniszczenie, to promieniowanie, jakie pozostawiają, bardzo szybko przestaje być groźne dla człowieka.

Po drugie, że w ładowni krążącego po wodach Zatoki Perskiej pancernika "Wisconsin" spoczywają trzy pojemniki wykonane ze specjalnego stopu, który w razie zatopienia okrętu powinien przez co najmniej 10 000 lat stawiać opór działaniu morskiej wody. W pojemnikach tych znajdowały się trzy gotowe do wystrzelenia pociski tomahawk - ich jednak nikt nie chciałby wystrzelić. Nigdy.

Po trzecie, że sekretarz stanu USA wcale nie żartował. Generał sir Peter de la Billiere przechadzał się samotnie w ciemnościach nocy. Towarzyszyły mu jedynie niespokojne myśli oraz skrzypienie pustynnego piasku pod stopami.

Od wielu dziesiątków lat zawodowy żołnierz, weteran wielu bitew, miał bardzo skromne, niemal ascetyczne wymagania. Nie potrafił czerpać przyjemności z luksusów oferowanych przez wielkie miasta, w związku z czym chętnie uciekał do koszar i wojskowych obozów, poszukując towarzystwa takich jak on żołnierzy. Podobnie jak wielu przed nim, uległ urokowi arabskiej pustyni; zachwycała go rozległość przestrzeni, porażający upał, paraliżujące zimno, a przede wszystkim zdumiewająca cisza.

Tej nocy, podczas wizytacji pierwszoliniowych oddziałów - starał się odwiedzać je tak często, jak tylko mógł - wypuścił się poza Obóz św. Patryka, pełen challengerów podobnych do potężnych zwierząt drzemających pod siatkami maskującymi, czekających cierpliwie na chwilę, kiedy będzie im dane ruszyć do ataku, i żołnierzy przygotowujących wieczorny posiłek między ich stalowymi cielskami.

Jako bliski przyjaciel generała Schwarzkopfa oraz uczestnik najtajniejszych narad doskonale zdawał sobie sprawę, że wojna jest nieunikniona. Na niespełna tydzień przed upływem terminu ultimatum wystosowanego przez Organizację Narodów Zjednoczonych nic nie świadczyło o tym, żeby Saddam Husajn miał zamiar wycofać się z Kuwejtu.

Tej nocy, rozjaśnionej blaskiem gwiazd świecących nad pustynią, generała najbardziej niepokoiło to, że nie ma najmniejszego pojęcia, do czego zmierza dyktator z Bagdadu. Jako żołnierz zawsze pragnął zrozumieć przeciwnika, poznać jego intencje i motywacje, gdyż wtedy znacznie łatwiej rozszyfrować zarówno jego taktykę, jak i strategię.

Dla Saddama Husajna czuł jedynie pogardę. Wszechstronnie udokumentowane doniesienia o ludobójstwie, torturowaniu więźniów i* potajemnych morderstwach budziły jego odrazę. Saddam nigdy nie był żołnierzem, a w dodatku często marnował talenty swoich najlepszych dowódców, nie zgadzając się na proponowane przez nich rozwiązania, niektórych z nich zaś po prostu likwidując. Prawdziwy problem nie polegał jednak na tym, że Saddam najwyraźniej przejął kontrolę nad wszystkimi, politycznymi i militarnymi, aspektami funkcjonowania państwa, ale na tym, że wszystko, co robił, zdawało się całkowicie pozbawione sensu. Napadł na Kuwejt w niewłaściwym czasie i powołując się na niewłaściwe powody, następnie zaś bez zastanowienia zrezygnował z prób przekonania braci Arabów, że jest otwarty na rozsądne argumenty i chętnie zasiądzie przy stole rokowań, aby w ścisłe arabskim gronie poszukiwać rozwiązania możliwego do zaakceptowania przez wszystkie strony. Gdyby wybrał tę drogę, Irak prawdopodobnie nadal mógłby sprzedawać swoją ropę na całym świecie, Zachód zaś stopniowo traciłby zainteresowanie ciągnącymi

się w nieskończoność negocjacjami.

Przez nieprawdopodobną głupotę ściągnął sobie na kark amerykańskie i europejskie wojska, a próba wykorzystania zachodnich zakładników w charakterze żywych tarcz stała się powodem całkowitej izolacji Iraku na arenie międzynarodowej.

Zaraz po inwazji na Kuwejt Saddam Husajn miał dosłownie w zasięgu ręki bogate pola naftowe położone w północno-wschodniej części Arabii Saudyjskiej. Mimo to zatrzymał się na granicy, choć dzięki silnej armii lądowej i sprawnemu lotnictwu mógłby wówczas bez większego trudu dotrzeć nawet do Rijadu i stamtąd dyktować warunki. Nie uczynił tego jednak, koncentrując się na systematycznym kompromitowaniu się w oczach opinii światowej, dzięki czemu alianci mieli dość czasu na przeprowadzenie operacji Pustynna Tarcza.

Nawet jeśli niegdyś doskonale dawał sobie radę w ulicznych burdach, to w dziedzinach wymagających opracowania bardziej przemyślanej strategii okazał się kompletnym debilem. Brytyjskiemu generałowi wręcz nie mieściło się w głowie, że można być aż tak głupim.

; Nawet teraz, kiedy zgromadzono przeciwko niemu najpotężniejszą powietrzną armadę w historii wojen, Saddam w dalszym ciągu popełniał błąd za błędem. Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że w każdej chwili na Irak może runąć z powietrza ulewa ognia? Czyżby nie wiedział, że zmasowany atak sojuszniczego lotnictwa może w ciągu pięciu tygodni unicestwić potęgę irackiej armii, cofając ją do poziomu, jaki udało się jej osiągnąć dziesięć lat temu? Generał przystanął i skierował wzrok ku północnemu horyzontowi. Tej nocy na niebie nie było księżycy, ale gwiazdy nad pustynią świecą tak jasno, że w ich blasku łatwo można dostrzec zarysy nawet odległych przedmiotów. Płaska jak stół pustynia ciągnęła się pozornie w nieskończoność, lecz sir Peter doskonale wiedział, że nie tak daleko stąd przecina ją pas biegnących zygzakiem zasieków z drutu kolczastego, pól minowych, okopów, rowów przeciwczołgowych oraz innych umocnień, w których już niedługo saperzy z amerykańskiej Wielkiej Czerwonej Jedyńki wyrabiają drogę dla jego challengerów.

A jednak dyktator z Bagdadu miał w rękawie asa, o którym generał de la Billiere doskonale wiedział i modlił się, żeby Saddamowi nie przyszło do głowy po niego sięgnąć: Husajn mógł po prostu wycofać się z Kuwejtu.

Czas grał na jego korzyść. 15 marca rozpoczynał się Ramadan; przez miesiąc od wschodu do zachodu słońca żaden muzułmanin nie weźmie do ust ani kęsa pożywienia. Jeść i pić można jedynie nocą, co sprawia, że każda armia złożona z muzułmanów staje się w tym okresie praktycznie bezużyteczna.

Z kolei po 15 kwietnia pustynia zamieni się w rozpalone piekło, w którym temperatura będzie nawet przekraczać 50 stopni. W kraju zaczyna odzywać się głosy, żeby pozwolić chłopcom wrócić do domu, latem zaś głosy te przeistoczą się w donośny chór, a mordęga życia na pustyni stanie się nie do zniesienia. Alianci będą musieli się wycofać, by już nigdy tu nie powrócić. Koalicja, w swojej obecnej sile i postaci, stanowiła jednorazowe, niepowtarzalne zjawisko.

Wynikało z tego, że 15 marca wszelkie działania wojenne muszą zostać zakończone. Teraz należało policzyć wstecz: wojna lądowa potrwa jakieś dwadzieścia dni, a więc musi się zacząć około 23 lutego. Wcześniej jednak Chuck Horner potrzebuje trzydziestu pięciu dni na zniszczenie z powietrza irackich doborowych oddziałów, ich sprzętu, broni i zapasów amunicji. Prostym rachunkiem wskazywał więc, że wojna może zacząć się najpóźniej 17 stycznia. A co będzie, jeżeli Saddam jednak się wycofa? Pół miliona

aliantów zgromadzonych na pustyni wyjdzie na kompletnych głupców; nie pozostanie im nic innego, jak tylko opuścić rejon Zatoki. Jednak iracki dyktator wielokrotnie oświadczał wszem i wobec, że nie cofnie się ani o krok.

Do czego zmierza ten szalaniec? – ponownie zadał sobie pytanie brytyjski generał. Czyżby czekał na jakąś boską interwencję, która zmiążdży jego nieprzyjaciół, opromieniając go chwałą zwycięzcy?

Z obozu, daleko za jego plecami, dobiegł jakiś okrzyk. To Arthur Denaro, dowódca Irlandzkich Huzarów Jej Królewskiej Mości, wołał go na kolację. Krępy, jowialny Arthur Denaro, którego czołg już niedługo jako pierwszy przedrze się przez irackie umocnienia.

Generał uśmiechnął się i ruszył z powrotem. Cieszył się na myśl o tym, że znowu usiadzie na piasku w towarzystwie swoich żołnierzy, zajadając fasolę z metalowego talerza i wsłuchując się w głosy dobiegające spoza kręgu światła rzucanego przez ognisko; znowu będzie śmiał się z rubasznym dowcipów opowiadanych przez ludzi posługujących się prostym, niewyszukanym językiem i mówiących dokładnie to, co mają na myśli.

Niech szlag trafi tego idiotę z Bagdadu. Na co on czeka, do wszystkich diabłów?

Rozdział czternasty

Odpowiedź na pytania brytyjskiego generała leżała na amortyzowanym wózku w zalanym blaskiem fluorescencyjnych lamp wewnątrz fabryki ukrytej 25 metrów pod iracką pustynią.

Człowiek polerujący z zapalną i tak już nieskazitelnie czystą powierzchnię odskoczył raptownie i wyprężył się jak struna, gdyż otworzyły się drzwi i do pomieszczenia weszło pięciu ludzi. Zaraz potem dwaj członkowie Gwardii Prezydenckiej starannie zamknęli drzwi.

Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że czterech spośród nowo przybyłych odnosi się ze szczególną atencją do piątego. Człowiek ten jak zwykle miał na sobie polowy mundur, lśniące wojskowe buty, przy pasie kaburę z pistoletem, na szyi zaś zieloną chustę. Obok niego stali: osobisty ochroniarz, który nigdy nie odstępował go nawet na krok, także wówczas, jeśli teren został pięciokrotnie zbadany i nie stwierdzono żadnego zagrożenia, oraz Husajn Kamil, zięć prezydenta i zarazem minister przemysłu i uzbrojenia. Także i tę operację, podobnie jak wiele innych, zamiast ministerstwu Obrony powierzono urzędowi kierowanemu przez Kamila. Miejsce po drugiej stronie prezydenta zajmował mózg całego przedsięwzięcia, doktor Dżafar al-Dżafar, autentyczny geniusz, nazywany czasem irackim Robertem Oppenheimerem. Obok niego, ale nieco z tyłu, stał doktor Salah Siddiki. Dżafar był fizykiem i teoretykiem, Siddiki zaś zajmował się stroną praktyczno-techniczną.

Jaskrawe światło odbijało się w błyszczącym stalowym panczerzu. Końcowy produkt zakrojonego na ogromną skalę przedsięwzięcia miał 420 centymetrów długości i metr średnicy. Ostatnie 120 centymetrów wypełniało skomplikowane urządzenie, którego zadanie polegało na pochłonięciu energii, jaka powstanie w chwili wystrzału. Miało ono zostać odrzucone zaraz po opuszczeniu lufy przez pocisk. Także pozostałe 3 metry stanowiły w gruncie rzeczy jedynie osłonę, mającą chronić bezcenny zasadniczy ładunek znacznie mniejszych rozmiarów, zaopatrzony w cztery stateczniki ogonowe. Irak nie dysponował technologią pozwalającą na zdalne kierowanie ustawieniem stateczników, w związku z czym ich zadanie sprowadzało się jedynie do zapewnienia pociskowi stabilnego lotu. Jego przednią część wykonano z ultratwardej

stali, niezwykle odpornej na wysokie temperatury. Również i ona miała do spełnienia ściśle określone zadanie, jedynie w pierwszej fazie lotu.

Kiedy powracająca z orbity kapsuła statku kosmicznego przędzie się przez coraz bardziej gęste warstwy atmosfery, w wyniku tarcia cząsteczek powietrza o powłokę powstaje ogromna temperatura. Dlatego właśnie załogowe statki kosmiczne są zaopatrzone w zewnętrzne pancerze niezwyklej twardości, zdolne odizolować ludzi od zabójczego gorąca.

Irakijczycy musieli pokonać identyczne trudności. Czepiec balistyczny pocisku powinien zapewnić ochronę podczas lotu ku górnej krawędzi atmosfery, nie wytrzymałby jednak powrotu. Topiąc się mógłby wpłynąć na zmianę kierunku lotu, w związku z czym po osiągnięciu najwyższego punktu trajektorii miał zostać usunięty za pomocą mikroładunków wybuchowych, odsłaniając korpus pocisku, wykonany z włókien węglowych.

Doktor Gerald Buli próbował kiedyś kupić w imieniu Bagdadu pewną brytyjską firmę z Irlandii Północnej o nazwie Lear Fan. Firma ta zamierzała produkować niewielkie odrzutowce dla biznesmenów zbudowane w znacznej części z włókien węglowych, ale zbyt optymistycznie oszacowała potrzeby rynku i stanęła na krawędzi bankructwa. Naturalnie ani Bulla, ani jego mocodawców z Bagdadu nie interesowały odrzutowce, tylko technologia i oprzyrządowanie do wytwarzania włókien węglowych.

Jest to znakomity materiał, charakteryzujący się znaczną wytrzymałością na wysokie temperatury, ale trudny do uzyskania. Najpierw z węgla robi się coś w rodzaju nieczesanej wełny, z której następnie ciągnie się cienką nić, tę zaś – po wielokrotnym przepleceniu – układa się w formie, która nadaje plastycznej jeszcze wówczas "tkaninie" pożądaną kształt.

Ponieważ włókna węglowe znalazły także zastosowanie w technologii raketowej, ta zaś należy do najbardziej tajnych i najpilniej strzeżonych, eksport urządzeń i myśli technicznej związanych z tą dziedziną produkcji znajduje się pod ścisłą kontrolą. Kiedy brytyjski wywiad dowiedział się, kto naprawdę ma zostać właścicielem Lear Fan, po konsultacji z Waszyngtonem nie dopuszczono do transakcji. Od tej pory eksperci byli pewni, że Irak nie dysponuje technologią wytwarzania włókien węglowych.

Jednak nie mieli racji, gdyż Irak spróbował innej drogi i próba ta zakończyła się pełnym sukcesem. Założone wyłącznie w tym celu irackie przedsiębiorstwo zdołało kupić od pewnej amerykańskiej firmy urządzenia do produkcji wełny mineralnej, te zaś, po odpowiedniej modyfikacji, przystosowano do wytwarzania włókien węglowych.

Pomiędzy tylnymi amortyzatorami a stożkową głowicą, chronioną grubym pancierzem, spoczywało "dziecko" doktora Siddiki – mała, prymitywna, ale całkowicie sprawna bomba atomowa, w której dodatkowym źródłem neutronów była mieszanina berylu i radu.

Serce bomby stanowiły walec i kula, ważące razem około 35 kilogramów i wytworzone dzięki geniuszowi doktora Dżafara. Obie bryły składały się z bardzo czystego uranu 235.

Na twarzy prezydenta pojawił się szeroki uśmiech. Saddam Husajn podszedł do bomby i przesunął dłonią po lśniącej stali.

– Czy to naprawdę będzie działać? – zapytał szeptem.

– Tak, sajjid ra'is – odparł fizyk.

Dyktator skinął z zadowoleniem głową.

– Gratuluję wam, bracia.

Do wózka, na którym spoczywał pocisk, przymocowano małą tabliczkę z bardzo krótkim napisem: KUBDAT ALLAH.

Tarik Aziz bardzo długo zastanawiał się, czy i w jaki sposób powinien poinformować prezydenta o amerykańskim ostrzeżeniu, które w tak obcesowy sposób przekazano mu w Genewie.

Obaj mężczyźni znali się od dwudziestu lat. Przez ten czas obecny minister spraw zagranicznych Iraku służył swemu panu i władcy niczym wierny pies, zawsze stając po jego stronie podczas kolejnych rund walki o władzę w partii Ba's, gdyż wierzył głęboko, że bezwzględny opryszek z plemienia At-Tikriti pokona wszystkich przeciwników. Jak do tej pory, nie mylił się.

Razem wspinali się po niebezpiecznie trzeszczącej drabinie władzy, przy czym nigdy nie było między nimi nieporozumień dotyczących tego, który ma zajmować wyższe miejsce. Ślepe posłuszeństwo pozwoliło szpakowatemu, krępemu Azizowi zniwelować handicap, jakim okazało się jego wykształcenie i znajomość dwóch europejskich języków.

Nie uczestnicząc osobiście w aktach przemocy obserwował je w milczeniu i nie protestował ani słowem, kiedy setki najlepszych oficerów i partyjnych współtowarzyszy prezydenta trafiały do więzień albo wprost przed plutony egzekucyjne; ci, których spotkała szybka śmierć, mieli szczęście, gdyż uniknęli cierpień w podziemiach Abu Gharib.

Widział, jak znakomitych generałów degradowano i rozstrzelano tylko dlatego, że odważyli się wstawić za swymi podwładnymi, i wiedział, że prawdziwych zdrajców spotykał los gorszy, niż ktokolwiek byłby w stanie sobie wyobrazić.

Obserwował także, jak plemię Al-Dżuburi (jego członkowie stanowili niegdyś trzon armii) jest poddawane systematycznej eksterminacji, ci zaś, którzy ocaleli, tracą wpływy i cierpią niesłychane upokorzenia. Milczał, kiedy przyrodni brat Saddama, Ali Hasan Madżid, wówczas minister spraw wewnętrznych, przygotowywał ludobójczą operację przeciwko Kurdom, i to nie tylko w Halabdżi, ale w ponad pięćdziesięciu innych osadach, które zniknęły z powierzchni ziemi pod ulewą artyleryjskiego ognia, ich mieszkańcy zaś zostali wytruci gazami.

Podobnie jak wszyscy ludzie z bezpośredniego otoczenia dyktatora, doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma wyboru. Gdyby coś przydarzyło się jego władcy, on także byłby skończony.

Zbyt inteligentny, aby, w przeciwieństwie do wielu innych osób, wierzyć, że jest członkiem powszechnie lubianego rządu, nie bał się wrogów z zewnątrz, tylko okrutnej zemsty mieszkańców Iraku, która z pewnością osiągnęłaby go, gdyby jakimś tragicznym zbiegiem okoliczności został nagle pozbawiony opieki Saddama Husajna.

11 stycznia, czekając na audiencję u prezydenta, stanął wobec problemu, w jaki sposób powinien poinformować dyktatora o amerykańskiej groźbie, nie ściągając jednocześnie na swoją głowę jego gniewu. Przecież ra'is mógłby łatwo dojść do wniosku, że to właśnie on, minister spraw zagranicznych, podsunął Amerykanom ten pomysł! Paranoicy nie kierują się w swoim postępowaniu żadną logiką, a tylko odruchami, które czasami są słuszne, czasami zaś fałszywe. Zrodzone nie wiadomo skąd podejrzenia prezydenta stały się już przyczyną śmierci wielu niewinnych ludzi.

Kiedy dwie godziny później Tarik Aziz wracał do samochodu, czuł się rozluźniony, zadowolony i jednocześnie nieco zdziwiony. Przyczyna ulgi była oczywista: prezydent miał znakomity nastrój i okazał zdumiewającą łagodność. Z wielkim zadowoleniem wysłuchał raportu Aziza z pobytu w Genewie, w którym minister spraw zagranicznych podkreślał łatwo wyczuwalne zrozumienie dla poczynań Iraku oraz szybkie narastanie antyamerykańskich nastrojów na całym Zachodzie.

Kiwał głową, kiedy Aziz wylewał kubły pomyj na głowy amerykańskich podżegaczy wojennych, a gdy minister drżącym głosem zrelacjonował krótką rozmowę z Jamesem Bakerem, ra'is, o dziwo, nie wybuchnął gniewem. Pozostali uczestnicy spotkania dawali głośno wyraz swemu oburzeniu, prezydent natomiast tylko uśmiechał się pod wąsem i ciągle kiwał głową. Przyczyną radości ministra spraw zagranicznych było to, że ra'is publicznie pogratulował mu jego europejskiej misji. Fakt, że misja ta w rzeczywistości zakończyła się całkowitym fiaskiem - Aziza tak naprawdę nikt nie poparł, gospodarze traktowali go z lodowatą kurtuazją, nie zdołał też w najmniejszym stopniu zachwiać determinacją państw koalicji - zdawał się nie mieć żadnego znaczenia. Zdziwienie natomiast wywołały słowa, które Saddam wypowiedział na koniec audiencji. Była to niezbyt głośna uwaga, rzucona półgłosem w chwili, kiedy prezydent odprowadzał ministra do drzwi. - Rafik, drogi towarzyszu, nie masz się czym martwić. Już niedługo zgotuję Amerykanom nie lada niespodziankę. Jeszcze nie teraz, ale jeżeli Bani al-Kalb odważą się przekroczyć granicę, zniszczę ich nie gazem, lecz Pięścią Boga.

Tarik Aziz pokiwał gorliwie głową, mimo że nie miał pojęcia, co znaczą słowa prezydenta. Wraz z innymi zrozumiał je dwadzieścia cztery godziny później.

Rankiem 12 stycznia w pałacu prezydenckim na rogu ulic 14 lipca i Al-Kindi odbyło się ostatnie posiedzenie Rady Dowództwa Rewolucji w pełnym składzie. Tydzień później z pałacu zostały jedynie dymiące zgliszczka, ale ten, w kogo był wymierzony atak, zdołał w porę uciec.

Jak zwykle, członków Rady zawiadomiono o posiedzeniu w ostatniej chwili. Bez względu na to, jak wysokie miejsce zajmowali w hierarchii ani jak wielkim cieszyli się zaufaniem, nikt z nich nie wiedział, gdzie danego dnia o określonej porze będzie przebywał prezydent Republiki Iraku. Do tajemnicy była dopuszczona jedynie garstka najbliższych osób oraz członkowie ochrony osobistej. Jeżeli, pomimo siedmiokrotnych zamachów, Saddam Husajn pozostawał jeszcze przy życiu, to głównie dzięki temu, że obsesyjnie troszczył się o swoje bezpieczeństwo.

Ani ludzie z kontrwywiadu, ani funkcjonariusze tajnej policji Umara Chatiba, ani wojsko, ani nawet Gwardia Republikańska nie dostąpili zaszczytu, by chronić życie prezydenta. Zadanie to przypadło w udziale Al-Amn al-Chass. Choć byli to młodzi ludzie, nierzadko zaledwie dwudziestoletni, to ich wierność i posłuszeństwo nie miały sobie równych. Dowodził nimi Kusaj, syn Saddama.

Żaden konspirator nie miał najmniejszych szans, aby dowiedzieć się, którądy i w jakim pojeździe będzie podróżował ra'is. Wizyty, które składał w bazach wojskowych lub fabrykach, zawsze stanowiły całkowite zaskoczenie nie tylko dla dowódców i kadry kierowniczej, ale także dla jego najbliższego otoczenia. Nawet w Bagdadzie bez wyraźnego powodu często przenosił się z miejsca na miejsce, czasem przebywając kilka dni w pałacu, kiedy indziej zaś kryjąc się w podziemnym bunkrze wybudowanym pod fundamentami hotelu Raszid.

Pierworodny syn kucharza musiał skosztować każdego posiłku przygotowanego dla prezydenta, a napoje, które trafiały na stół, pochodziły wyłącznie z fabrycznie zamkniętych butelek. Tego ranka specjaliści posłańcy dostarczyli członkom Rady zawiadomienie o zebraniu zaledwie na godzinę przed jego rozpoczęciem. W ten sposób potencjalny zabójca nie miałby czasu na przygotowanie zamachu.

Limuzyny jedna za drugą wpadały przez bramę, wysadzały pasażerów i odjeżdżały na specjalny parking. Każdy przybywający przechodził przed wykrywaczem metalu, każdy też musiał zostawić

strażnikom broń.

Wreszcie wszyscy członkowie Rady, w liczbie trzydziestu trzech, zgromadzili się w obszernej sali konferencyjnej, w której stał wielki stół w kształcie litery T. Ośmiu usiadło przy poprzecznym daszku, po obu stronach pustego fotela bardzo podobnego do tronu, ośmiu zaś zajęło miejsca przy długiej nóżce litery.

Siedmiu spośród zebranych łączyły z ra'isem więzy krwi, trzech zaś weszło do rodziny poprzez małżeństwo. Cała dziesiątka, plus jeszcze ośmiu, pochodziła z Tikrit lub najbliższych okolic, wszyscy też od dawna należeli do partii Ba's.

Dziesięciu wchodziło w skład rządu, dziewięciu było generałami sił lądowych bądź powietrznych. Sadi Tuma Abbas, dowódca Gwardii Republikańskiej, zaledwie przed kilkunastoma minutami dowiedział się o swoim awansie na stanowisko ministra obrony i teraz, promieniejąc zadowoleniem, siedział na jednym z honorowych miejsc u szczytu stołu. Zastąpił Abd al-Dżabbara Szinszilla, kurdyjskiego odszczepieńca, który z zimną krwią mordował swoich rodaków.

Wśród generałów znajdowali się między innymi Mustafa Radi dowodzący piechotą, Faruk Riza, artylerzysta, Ali Musuli z Korpusu Inżynierskiego oraz Abd Allah Kadiri, dowódca wojsk pancernych. U dołu stołu zasiedli trzej mężczyźni odpowiedzialni za funkcjonowanie wywiadu: doktor Ubajdi z Muchabarat, czyli wywiadu zagranicznego, Hasan Rahmani z kontrwywiadu oraz Umar Chatib z tajnej policji.

Kiedy ra'is wszedł do sali, wszyscy zerwali się na równe nogi i powitali go burzą oklasków. Prezydent uśmiechnął się, zasiadł w fotelu, dał wszystkim znak, by także zajęli miejsca, po czym bezzwłocznie przystąpił do wygłaszania oświadczenia. Członkowie Rady natychmiast zrozumieli, że wezwano ich nie po to, by podejmowali jakieś decyzje, tylko po to, żeby dowiedzieli się o tych, które już zostały podjęte.

Jedynie Husajn Kamil, zięć prezydenta, nie okazał zdziwienia. Kiedy po czterdziestominutowej oracji poświęconej głównie przypomnieniu nieprzerwanego pasma zwycięstw i sukcesów, jakie charakteryzowały jego rządy, Saddam Husajn przekazał wreszcie najważniejszą wiadomość, odpowiedziało mu zdumione milczenie. Wszyscy doskonale wiedzieli, że Irak od lat prowadził badania zmierzające właśnie w tym kierunku, ale wydawało im się wręcz nieprawdopodobne, że sukces przyszedł właśnie wtedy, kiedy był najbardziej potrzebny, to znaczy u progu zbliżającej się nieuchronnie wojny. Ani chybi musiało tak się stać za sprawą boskiej interwencji, z tym tylko, że bóg, który tego dokonał, siedział tu, między nimi, i uśmiechał się dobrotliwie.

Owację na stojąco rozpoczął Husajn Kamil. Pozostali pośpiesznie zerwali się z miejsc, prześcigając się nawzajem w okazywaniu entuzjazmu. Burza oklasków i triumfalnych okrzyków trwała bez końca, gdyż nikt nie był na tyle odważny, żeby zamilknąć jako pierwszy.

Kiedy dwie godziny później Hasan Rahmani, kulturalny i wykształcony szef kontrwywiadu, wrócił do swego gabinetu, uprzątnął papiery z biurka, polecił, aby mu nie przeszkadzano, i zagłębił się w fotelu z filiżanką mocnej kawy w dłoni. Potrzebował czasu, żeby się głęboko zastanowić.

Także na nim ta nieoczekiwana wiadomość wywarła ogromne wrażenie. W jednej chwili układ sił na Bliskim Wschodzie uległ diametralnej zmianie, tyle tylko, że świat jeszcze o niczym nie wiedział. Zaraz po tym, jak ra'is uniósł obie ręce, ucinając aplauz, wszyscy zebrani musieli złożyć przysięgę, że dochowają tajemnicy. Rahmani doskonale rozumiał, dlaczego. Pomimo euforii, której dał się ogarnąć na równi z pozostałymi uczestnikami posiedzenia,

bez trudu mógł dostrzec piętrzące się problemy. Broń atomowa nie jest warta nawet funta kłaków dopóty, dopóki sojusznicy, a przede wszystkim potencjalni wrogowie, nie dowiedzą się, że ją posiadasz. Tylko wtedy potencjalni wrogowie zamieniają się w skamlących sojuszników.

Kilka państw, którym udało się wyprodukować bombę jądrową, dokonało próbnej eksplozji, a następnie pozwoliło reszcie świata domyślić się ewentualnych konsekwencji. Inne, takie jak Izrael lub Republika Południowej Afryki, dawały tylko wielokrotnie do zrozumienia, że mają już broń jądrową, ale nigdy nie potwierdziły oficjalnie tego faktu, trzymając w niepewności cały świat, a szczególnie sąsiadów. Ta metoda czasem odnosi lepszy skutek, gdyż ludzka wyobraźnia nie zna granic.

Dla Rahmaniego nie ulegało jednak wątpliwości, że w przypadku Iraku takie postępowanie nie da zamierzonych rezultatów. Nawet jeżeli to, co niedawno usłyszał, było prawdą - a nie miał co do tego całkowitej pewności - to zagranica nigdy nie da wiary nie potwierdzonym informacjom. Irak musi udowodnić, że naprawdę dysponuje bronią jądrową, a tymczasem ra'is najwyraźniej dał do zrozumienia, że chwilowo nie przewiduje takiej możliwości.

Ma się rozumieć, z przeprowadzeniem jednoznacznego dowodu wiązały się poważne problemy. Próbna eksplozja na własnym terytorium nie wchodziła w grę. Kiedyś można było wysłać na Ocean Indyjski jakiś stary statek, ewakuować załogę i zdetonować umieszczony na jego pokładzie ładunek - ale nie teraz. Żadna jednostka nie przedostałaby się przez blokadę. Może więc zaprosić komisję z działającą pod auspicjami ONZ Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, która dokonałaby inspekcji, przekonując się, że iracka broń atomowa rzeczywiście istnieje? Bądź co bądź, komisje; takie zjawiały się w Bagdadzie dość regularnie już od dziesięciu lat, ale za każdym razem udawało się przed nimi ukryć rzeczywisty stan badań prowadzonych przez cały czas przez irackich uczonych. Teraz zachodni eksperci musieliby uwierzyć przedstawionym dowodom, przełknąć gorzką pigułkę i ogłosić światu zdumiewającą prawdę.

Jednak Rahmani niedawno, usłyszał na własne uszy, że ta droga także jest wykluczona. Dlaczego? Czyżby dlatego, że wszystko było kłamstwem? A może dlatego, że ra'is miał inne plany? Jeśli tak, to jaką rolę przewidywał w nich dla szefa kontrwywiadu?

Przez wiele miesięcy Hasan Rahmani liczył na to, iż Saddam wpłacze się w wojnę, której nie będzie mógł wygrać. Jego rachuby okazały się słuszne. Potem zaczął wiązać nadzieje z nieuchronnym upadkiem dyktatora, co umożliwiłoby jemu, Rahmaniemu, objęcie najwyższego urzędu w nowym rządzie, zmontowanym przez zwycięskich Amerykanów. Teraz jednak w skomplikowanej już i tak łamigłównie pojawiły się nowe elementy. Będzie potrzebował sporo czasu, żeby się dobrze zastanowić i wybrać metodę postępowania, która pozwoli mu najlepiej wykorzystać nową, zaskakującą sytuację.

Tego samego dnia, już po zmroku, na murze w pobliżu kościoła św. Józefa w dzielnicy chrześcijańskiej pojawił się wykonany kredą znak, przypominający leżącą ósemkę.

W nocy mieszkańcy Bagdadu drżeli ze strachu. Pomimo propagandowego zadęcia w irackim radiu i telewizji, pomimo ślepej wiary wielu ludzi w to, co im wmawiano, było także sporo takich, którzy słuchali nagrywanych po arabsku w Londynie, a nadawanych z Cypru audycji BBC. Oni wiedzieli, że Bani Nadzi mówią prawdę. Zbliżała się wojna.

Powszechnie przypuszczano, że Amerykanie zaczną od dywanowych bombardowań Bagdadu. Przekonanie to podzielali także

dostojnicy z pałacu prezydenckiego. Należało spodziewać się licznych ofiar wśród ludności cywilnej.

Iracki rząd nie miał nic przeciwko temu. Uznano, że przekazywany przez telewizję do milionów domów na całym świecie obraz rzezi wywoła ogromne oburzenie i spowoduje, że pod presją opinii publicznej Amerykanie będą musieli zaprzestać interwencji. Dlatego właśnie tak liczna grupa zagranicznych dziennikarzy otrzymała zezwolenie na pozostanie w Bagdadzie. Przygotowano nawet specjalnych przewodników, którzy mieli wskazywać ekipom telewizyjnym drogę do miejsc, gdzie będzie najwięcej ofiar. Jednak mieszkańcy Bagdadu nie docenili subtelności tego planu; wielu opuściło w popłochu swoje domy, szukając schronienia albo na wsi, albo – dotyczyło to szczególnie nie-Irakijczyków – kierując się ku granicy z Jordanią, by tam dołączyć do rzesz uciekinierów napływających od pięciu miesięcy z Kuwejtu.

Nikt nie przypuszczał – łącznie z milionami widzów zasiadających codziennie przed telewizorami w Europie i Ameryce – jak precyzyjnym sprzętem dysponował generał Chuck Horner, oraz że cele, zlokalizowane na szczegółowych zdjęciach wykonywanych przez satelity i samoloty szpiegowskie, będą niszczone za pomocą sterowanych promieniem lasera bomb, które bardzo rzadko trafiają nie tam, gdzie powinny.

Mieszkańcy Bagdadu wiedzieli natomiast doskonale, że za cztery dni minie termin ultimatum i że wkrótce potem nadlecą amerykańskie samoloty. Dlatego właśnie miasto stało się wyjątkowo ciche, oczekując z niepokojem tego, co miały przynieść najbliższe dni.

Mikę Martin posuwał się powoli ulicą Szardża, minął kościół i dostrzegł na murze umówiony znak, ale nie zatrzymał się, tylko dojechał spokojnie do końca ulicy. Dopiero tam przystanął, zsiadł { z roweru i nachylił się, udając, że poprawia coś przy łańcuchu. Kiedy nabrał pewności, że nie jest śledzony, ponownie wsiadł na rower, zawrócił, wytarł znak wilgotną szmatką, po czym odjechał w kierunku, z którego przybył.

Leżąca ósemka oznaczała, że wiadomość czeka pod płaskim kamieniem na pustym dziedzińcu przy ulicy Abu Nuwasa, niecały | kilometr stąd.

Jako chłopiec często bawił się w tamtej okolicy, wraz z Hasanem M Rahmani i Abd al-Karimem Badri urządzając gonitwy wśród i straganów, na których uljczni sprzedawcy przyrządzali smakowite potrawy, inni zaś sprzedawali świeżo złowione w rzece ryby. Teraz jednak stragany stały puste, sklepy i herbaciarnie były pozamykane, dzielnica zaś sprawiała wrażenie prawie wymarłej. U wylotu ulicy dostrzegł kilku funkcjonariuszy Al-Aman al-Amm w cywilnych ubraniach, ale żaden z nich nie zainteresował się ubogim sługą śpieszącym dokądś na polecenie swego pana. Widok tajniaków podniósł go na duchu; Al-Aman al-Amm znany był ze sprawności działania, więc gdyby przy skrytce zorganizowano zasadzkę, nigdzie w okolicy nie dostrzegłby ani jednego agenta, gdyż ich widok mógłby spłoszyć tych, na których zastawiono pułapkę. Rzeczywiście, wiadomość znajdowała się w umówionym miejscu. Po dwóch sekundach kamień wrócił na miejsce, kartka cienkiego papieru została natomiast przyklejona do wewnętrznej strony uda. Kilka minut później Martin przejechał na drugą stronę rzeki, by wkrótce znaleźć się z powrotem na terenie rezydencji radzieckiego dyplomaty.

W ciągu dziewięciu tygodni zdążył przyzwyczać się do roli służącego. Zarówno rosyjska kucharka, jak i jej mąż traktowali go całkiem nieźle, on zaś nauczył się kilkunastu słów w ich języku. Codziennie jeździł na targ po zakupy, dzięki czemu mógł bez trudu obsługiwać wszystkie skrzynki kontaktowe. Zdążył przekazać

czternaście przesyłek dla tajemniczego Jerycha, od niego zaś odebrał piętnaście listów z informacjami.

Ośmiokrotnie zatrzymywali go agenci tajnej policji, ale skromny wygląd i pokorne zachowanie, a przede wszystkim koszyk pełen warzyw i owoców oraz list zaświadczający o tym, że pracuje dla zagranicznego dyplomaty, za każdym razem pozwalały mu bez szwanku wyjść z opresji.

Nie miał pojęcia, jakie plany wojenne szykują dowódcy koalicji, ale znał treść zarówno wszystkich pytań kierowanych do Jerycha, jak i jego odpowiedzi, gdyż pierwsze zapisywał po arabsku na kartkach bibułkowego papieru, drugie zaś nagrywał na taśmę i po przyśpieszeniu wysyłał drogą radiową do Rijadu. Jako doświadczony żołnierz zdawał sobie sprawę, że informacje dostarczane przez irackiego zdrajcę miały dla generałów w Rijadzie nieoszacowaną wartość.

Udało mu się zdobyć grzejnik olejowy oraz lampę naftową, która oświetlała wnętrze chatki. Przywiezione z targu puste worki wisiały w oknie w charakterze zasłon, a chrząst żwiru pod stopami ostrzegłby go zawczasu o tym, że zbliża się nieproszony gość.

Tego wieczoru wrócił z zadowoleniem do ciepłego wnętrza, zaryglował drzwi, upewnił się, że okno jest dokładnie zasłonięte, po czym zapalił lampę i przeczytał najnowszą wiadomość od Jerycha. Była krótsza niż zwykle, lecz nie zmniejszyło to wrażenia, jakie na nim wywarła. Martin ponownie przebiegł wzrokiem po tekście, aby upewnić się, że wszystko dobrze zrozumiał, po czym mruknął "Święty Boże!" i wy dobył z ukrycia zestaw nadawczy.

Aby uniknąć nieporozumienia, zarejestrował wiadomość nie tylko po arabsku, ale i po angielsku, po czym przyśpieszył nagranie, skracając całość z niemal pięciu minut do zaledwie półtorej sekundy. Nadał je dwadzieścia minut po północy.

Simon Paxman nie kładł się spać, ponieważ wiedział, że tej nocy "okienko" na transmisję było wyznaczone między dwunastą piętnaście a dwunastą trzydzieści. Kiedy wiadomość nadeszła, grał w karty z radiooperatorem. Nagle do pokoju zajrzał drugi technik, dyżurujący przy radiostacji.

- Simon, wydaje mi się, że powinieneś zaraz tego posłuchać. Mimo iż "załoga" placówki SIS w Rijadzie składa się z wielu osób, sprawę Jerycha uznano za tak tajną, że wiedzieli o niej jedynie szef placówki Julian Gray oraz dwaj radiooperatorzy. Pomieszczenia, które zajmowali, zostały szczelnie odizolowane od pozostałej części willi.

Simon Paxman przeszedł do sypialni zamienionej w centralę łączności i wsłuchał się w głos z Bagdadu. Martin najpierw odczytał po arabsku treść informacji dostarczonej przez Jerycha, a potem przedstawił tekst angielskiego tłumaczenia.

Paxman poczuł, jak lodowata ręka strachu zaciska mu się na sercu. Coś poszło źle. bardzo źle, zupełnie nie tak, jak należy. To, co słyszał, było po prostu niemożliwe. Dwaj technicy stali bez ruchu, tak samo jak on oszołomieni niespodziewaną wiadomością.

- Czy to na pewno on? - zapytał Paxman, jak tylko transmisja dobiegła końca. Pierwszą myślą, jaka przemknęła mu przez głowę, było to, że Martin został aresztowany, jego miejsce zaś zajął ktoś inny.

- Tak - odparł radiooperator, który odebrał przekaz. - Sprawdziłem na oscyloskopie.

Każdy dźwięk, w tym także głos ludzki, można przedstawić w postaci krzywych przebiegających po ekranie oscyloskopu. Przebieg ten, oddający wysokość i natężenie głosu oraz rytm mowy, jest tak charakterystyczny, że na jego podstawie można zidentyfikować mówiącą osobę. Kiedy Martin przebywał w Rijadzie,

zarejestrowano jego głos i poddano dokładnej analizie, dzięki czemu teraz można było bez trudu sprawdzić, czy to rzeczywiście on nadaje z Bagdadu.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że wiadomość przekazał osobiście major Mikę Martin.

Istniała także możliwość, że Martin został zdekonspirowany, poddany torturom i zmuszony do podjęcia współpracy z Irakijczykami. Była ona jednak tak mało prawdopodobna, że Paxman natychmiast ją odrzucił – przede wszystkim dlatego, że Martin użyłby wtedy jednego z "zastrzeżonych" słów, które zgodnie z ustaleniami mogły zostać wykorzystane jedynie po to, by anulować treść przekazu, a poza tym, od ostatniego połączenia minęły zaledwie trzy dni. Iracka tajna policja z całą pewnością należała do najbardziej brutalnych na świecie, ale nie działała zbyt szybko, Martin zaś był twardym człowiekiem. Ktoś, kogo udało się złamać w tak krótkim czasie, nie mówiłby do mikrofonu jakby nic się nie stało, takim samym jak zwykle, obojętnym tonem.

Wynikało z tego wszystkiego, iż Martin nadal panuje nad sytuacją, a odczytany przez niego tekst to rzeczywiście wiadomość, którą otrzymał od Jerycha. W związku z tym do wyboru pozostawały trzy możliwości: albo Jerycho jest w błędzie... albo kłamie,

– Sprowadź tu Juliana – polecił Paxman jednemu z radiooperatorów.

Technik bezzwłocznie udał się na górę, by wyciągnąć z łóżka szefa placówki SIS w Rijadzie, Paxman zaś zadzwonił do swego amerykańskiego kolegi, Chipa Barbera.

– Chip, chyba byłoby dobrze, gdybyś przytaszczył tu swój tyłek, i to szybko – powiedział.

Oficer CIA błyskawicznie otrząsnął się z resztek snu. Brzmienie głosu Anglika pozwoliło mu domyślić się, że sprawa jest naprawdę poważna.

– Jakies kłopoty, koleś?

– Na to wygląda.

Barber mieszkał niemal dokładnie po drugiej stronie miasta, ale pół godziny później zjawił się w kwaterze SIS, w swetrze i spodniach naciągniętych na piżamę. Była pierwsza w nocy. Przez ten czas Paxman zdążył sporządzić kopie nagrania po arabsku i angielsku oraz dwa stenogramy. Obaj radiowcy, którzy od wielu lat pracowali na Bliskim Wschodzie i znakomicie władali arabskim, potwierdzili dokładność przekładu dokonanego przez Martina.

– On chyba żartuje! – wykrztusił Barber po wysłuchaniu nagrania.

Paxman poinformował go o rezultacie badań oscyloskopowych głosu Martina.

– Jerycho twierdzi, że właśnie te słowa usłyszał dziś... to znaczy, wczoraj rano od Saddama, ale z tego jeszcze nie wynika, że to wszystko musi być prawdą – powiedział Amerykanin, kiedy nieco ochłonął. – Przecież Saddam to nałogowy kłamca.

Kłamstwo czy nie kłamstwo, sprawa była zbyt poważna, żeby zajmować się nią w Rijadzie. Miejscowe placówki SIS i CIA mogły przekazywać generałom taktyczne, a nawet strategiczne informacje pochodzące od Jerycha, ale kwestie polityczne należały do Londynu i Waszyngtonu. Barber spojrzął na zegarek: w Waszyngtonie była siódma wieczorem.

– Chłopcy właśnie szykują sobie drinki – mruknął. – Lepiej, żeby przygotowali mocne. Zaraz prześlę to do Langley.

– A w Londynie jedzą kolację – powiedział Paxman. – Zawiadomię Century House, niech oni coś wymyślą.

Po powrocie do swojej kwatery Barber wysłał do Billa Stewarta specjalnie zakodowaną depezę p najwyższym stopniu pilności.

Oznaczało to, że szyfranci muszą dotrzeć do niego bez względu na

to, gdzie jest, i dostarczyć mu ją natychmiast.

Paxman zrobił to samo, tyle tylko że adresatem jego depeszy był Steve Laing, który został obudzony w środku nocy i musiał opuścić ciepłe łóżko, żeby wyjść w lodowatą noc, wsiaść do samochodu i popędzić do centrum Londynu.

Paxman mógł zrobić jeszcze tylko jedno: o czwartej nad ranem Martin miał czekać na ewentualne wiadomości z Rijadu. Paxman posłał swojemu agentowi krótkie, ale stanowcze polecenie: aż do otrzymania kolejnych rozkazów pod żadnym pozorem nie zbliżać się do żadnej ze skrzynek kontaktowych. Tak na wszelki wypadek.

Karim czynił powolne, ale stałe postępy. Panna Hardenberg nie protestowała już, kiedy trzymał ją za rękę podczas przechadzek ulicami wiedeńskiej starówki. Pod ich stopami chrzęściły igiełki szronu, ale Edith nie zwracała uwagi na mróz, rozkoszując się ciepłem płynącym z silnej, męskiej dłoni.

W drugim tygodniu stycznia zarezerwowała bilety do Burgtheater – naturalnie zapłacił Karim. Wystawiano sztukę Grilparzera "Gygus und sein Ring".

Przed spektaklem Edith opowiadała z radosnym podnieceniem, że treścią dramatu są rozterki starego króla, zastanawiającego się, któremu ze swych licznych synów przekazać królewski pierścień, a wraz z nim władzę nad państwem. Karim łapczywie chłonał treść sztuki, w przerwie zaś poprosił Edith o wyjaśnienie kilku niejasnych fragmentów, na co ona zgodziła się z wielką ochotą.

Później Awi Hercog poskarżył się Barzilaiowi, że było to równie fascynujące zajęcie jak obserwowanie schnącej farby.

– Jesteś prostakiem bez odrobiny kultury – poinformował go katsa.

– Nie ściągnęliście mnie tu ze względu na moje poszanowanie kultury – odparował Awi.

– W takim razie nie narzekaj, tylko dalej rób swoje, chłopcze.

W niedzielę rano Edith poszła na mszę do Votivkirche. Karim wyjaśnił, że jako muzułmanin nie może jej towarzyszyć, więc zaczeka w kawiarni po drugiej stronie placu.

Później, przy kawie wzmocnionej porcją koniaku, dzięki której na bladych policzkach kobiety pojawił się delikatny rumieniec, jordański student zaczął wyjaśniać austriackiej sekretarce, na czym polegają różnice i podobieństwa między chrześcijaństwem a islamem. Mówił o wspólnej wierze w jedyne Boga, o patriarchach i prorokach, o świętych księgach i naukach moralnych. Panna Hardenberg była zafascynowana, choć zarazem lekko wystraszona. Niepokoiło ją, czy słuchając tego wszystkiego nie naraża na potępienie swej nieśmiertelnej duszy, choć zarazem ze zdumieniem stwierdziła, że myliła się, uważając muzułmanów za pogan i bałwochwalców.

– Mam ochotę na obiad – powiedział Karim trzy dni później.

– Dobrze, ale wybierzmy jakiś tańszy lokal, bo i tak wydajesz na mnie masę pieniędzy – odparła Edith. Już jakiś czas temu stwierdziła, że widok tej młodej twarzy o łagodnych brązowych oczach sprawia jej ogromną przyjemność, choć bez przerwy powtarzała sobie w duchu, że ze względu na dzielącą ich różnicę wieku nie może być mowy o niczym innym niż o czysto platonicznym uczuciu.

– Nie w restauracji.

– A gdzie?

– Przygotowałabyś dla mnie obiad, Edith? Umiesz gotować, prawda? Austriackie potrawy, bardzo proszę!

Zaczerwieniła się aż po czubki uszu. Co wieczór – chyba że akurat szła z Karimem na koncert lub do teatru – przygotowywała sobie w kuchennej wnęce swego mieszkanka skromną kola-

cję. Nie znaczyło to jednak wcale, że nie potrafi zrobić porządnego obiadu. Tyle tylko, że ostatni raz zajmowała się tym bardzo dawno temu...

Ale on tak często zabierał ją do różnych eleganckich restauracji, a w dodatku był przecież bardzo dobrze wychowanym, skromnym młodym człowiekiem... Z pewnością nie było w tym nic niewłaściwego.

Ten, kto by stwierdził, że raport Jerycha z nocy z 12 na 13 stycznia spowodował w pewnych kręgach w Londynie i Waszyngtonie spore zamieszanie, w dość istotny sposób rozmiąłby się z prawdą. Znacznie bardziej na miejscu byłoby określenie "kontrolowana panika".

Jeden z najpoważniejszych problemów wynikał z faktu, że o istnieniu Jerycha wiedziało niewiele osób, o szczegółach jego działalności zaś jeszcze mniej. Choć dążenie do zachowania tak ścisłej tajemnicy może wydawać się przesadne, lub nawet graniczyć z obsesją, to jednak u jego podstaw leżą konkretne, uzasadnione przyczyny.

Wszystkie agencje wywiadowcze starają się za wszelką cenę chronić swoich informatorów, zwłaszcza tych działających w warunkach szczególnie wysokiego ryzyka, bez względu na moralną ocenę postawy tych ludzi. To, że Jerycho był najemnikiem pracującym za pieniądze, nie zaś idealistą działającym z wyższych pobudek, nie miało najmniejszego znaczenia. Podobnie nieistotny też wydawał się fakt, iż w cyniczny sposób zdradzał swój kraj i rząd, któremu służył. Rząd ten i tak cieszył się w świecie fatalną opinią, więc bez ryzyka popełnienia większego błędu można było stwierdzić, że trafił swój na swego.

CIA i SIS traktowały Jerycha jak największy skarb - przede wszystkim ze względu na to, że dostarczane przez niego informacje mogły ocalić życie tysiącom alianckich żołnierzy zgromadzonym nad Zatoką Perską - w związku z czym ani politycy, ani wysocy rangą urzędnicy państwowi, ani nawet wojskowi dowódcy nie zdawali sobie sprawy z tego, że ktoś taki istnieje. Ponieważ jednak informacje napływały nieprzerwanym strumieniem, należało wymyślić jakąś historię, która pozwoliłaby w jak najbardziej prawdopodobny sposób wyjaśnić ich pochodzenie.

Tak więc danych dotyczących rozmieszczenia i ruchów wojsk dostarczali rzekomo iraccy dezertery, przekradający się przez granicę Kuwejtu. Najwięcej do powiedzenia spośród nich miał pewien nie istniejący major, którego ulokowano w tajnym ośrodku wywiadowczym na terenie jednego z państw Bliskiego Wschodu.

Techniczne oraz naukowe informacje o produkcji i miejscach przechowywania broni masowej zagłady pochodziły od pewnego irackiego uczonego, który podczas służbowego pobytu w Londynie zakochał się w angielskiej dziewczynie i zdecydował się pozostać w Wielkiej Brytanii.

Wszelkie nowiny dotyczące wydarzeń politycznych, nastrojów panujących wśród ludności, a także najróżniejsze "przecieki" mające związek z decyzjami zapadającymi w najwyższych kręgach władzy w Bagdadzie były dostarczane przez uchodźców, radioamatorów z Kuwejtu oraz przez naziemne, lotnicze i orbitalne urządzenia nasłuchowe.

Jak jednak wyjaśnić pochodzenie dokładnego zapisu wypowiedzi Saddama Husajna z zamkniętego spotkania, odbywającego się w pilnie strzeżonym pałacu prezydenckim w Bagdadzie, nie przyznając się jednocześnie do posiadania agenta wśród najwyższych dostojników irackiego reżimu?

Skutki rozpowszechnienia tej wiadomości mogły być zatrważające. Przede wszystkim groźne są przecieki, których nigdy nie da się

zatrzymać.

Z punktu widzenia tajnych służb, zdecydowanie najgorsi pod tym względem okazują się politycy. Większość z nich bez skrępowania rozmawia o tajemnicach państwowych z żonami, przyjaciółkami, przyjaciółmi, fryzjerami, kierowcami i barmanami, a wszyscy bez wyjątku dyskutują o ważnych sprawach z innymi politykami - najchętniej w restauracji, w obecności kelnera.

Należy jeszcze dodać do tego fakt, że zarówno amerykańscy jak i brytyjscy dziennikarze mają detektywistyczną żyłkę pozwalającą im osiągać taką skuteczność działania, o jakiej Scotland Yard albo FBI mogą jedynie marzyć, a wówczas łatwo będzie zrozumieć, dlaczego ujawnienie informacji dostarczonych przez Jerycha, bez zdemaskowania jego samego, może stanowić nie lada problem.

Trzeba również pamiętać o tym, że zarówno w Londynie jak i w Waszyngtonie aż roi się od irackich studentów, a wielu z nich współpracuje z kierowanym przez doktora Ismaila Ubadi wywiadem, donosząc o wszystkim, co z takich lub innych względów zwróciło ich uwagę.

Naturalnie nie chodziło o to, że ktoś mógłby wszem i wobec ogłosić o istnieniu Jerycha, albo nawet podać jego imię i nazwisko, gdyż było to po prostu niemożliwe. Jednak wystarczyłaby najdrobniejsza wzmianka świadcząca o tym, że alianci mają kogoś w Bagdadzie, żeby iracki kontrwywiad wziął się ostro do pracy, starając się za wszelką cenę zidentyfikować zdrajcę. W najlepszym razie doprowadziłoby to do zamknięcia Jerycha, który musiałby zaprzestać działalności, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, w najgorszym zaś - do jego zdemaskowania i uwięzienia.

Ponieważ do rozpoczęcia wojny powietrznej pozostało bardzo niewiele czasu, CIA i SIS pośpiesznie skontaktowały się jeszcze raz z ekspertami od fizyki jądrowej i poprosiły o powtórne przeanalizowanie zagadnienia. Może jednak istnieje sposób, w jaki Irak mógłby zbudować bombę atomową znacznie prędzej, niż pierwotnie zakładano?

W Wielkiej Brytanii o ponowną konsultację poproszono specjalistów z Harwell i Aldermaston, w Stanach Zjednoczonych natomiast uczonych z Sandii, laboratorium Lawrence'a Livermore'a i Los Alamos. Największe nadzieje wiązano z departamentem "Z" w Livermore, zajmującym się wyłącznie kontrolą rozprzestrzeniania się technologii nuklearnych w Trzecim Świecie.

Eksperci poczuli się nieco urażeni, niemniej jednak szybko dostarczyli odpowiedzi, w stu procentach potwierdzających ich wcześniejsze ustalenia. Nawet w najczarniejszym scenariuszu, zakładając, że Irak dysponował nie jedną, a dwiema kaskadami działającymi non stop przez dwa lata, było absolutnie niemożliwe, żeby uzyskał do tej pory więcej niż połowę uranu 235 niezbędnego do zbudowania jednej bomby atomowej średniej mocy.

Po zapoznaniu się z tą opinią ludzie z CIA i SIS mogli wybierać między kilkoma ewentualnościami:

Po pierwsze - Saddam mylił się, ponieważ został okłamany. Raczej mało prawdopodobne, gdyż ci, którzy odważyliby się oszukać władcę, musieliby zapłacić za to życiem.

Po drugie - Saddam świadomie okłamał Radę Dowództwa Rewolucji. To rozwiązanie było możliwe, gdyby chciał podnieść morale wątpiących i niepewnych zwolenników, ale wówczas nie dzieliłby się wiadomością wyłącznie z tymi, którzy nie należeli ani do wątpiących, ani niepewnych, a tym bardziej nie nakazywałby im milczenia. Propaganda jest na użytek mas i zagranicy, nie ludzi zajmujących miejsca na szczycie drabiny władzy.

Po trzecie - Saddam nic takiego nie powiedział, a cały raport stanowił jeden wielki stek kłamstw. Jerycho skłamał, ponieważ

chce zarobić jak najwięcej pieniędzy, a wie, że już niedługo wybuchnie wojna i kura przestanie znosić złote jaja. Dlatego zażądał za tę informację miliona dolarów. Mógł też skłamać dlatego, że został zdemaskowany i zmuszony do przekazania fałszywej informacji. Gdyby tak było, wówczas nad człowiekiem, "prowadzącym" go w Bagdadzie, zawisłoby śmiertelne niebezpieczeństwo.

W tym momencie inicjatywę przejęli Amerykanie. Mieli do tego całkowite prawo, ponieważ to z ich kasy pochodziły pieniądze, które przekazywano na wiedeńskie konto Jerycha.

– Podjęliśmy decyzję – poinformował wieczorem 14 stycznia Bili Stewart Steve'a Lainga podczas rozmowy telefonicznej przez zabezpieczoną przed podsłuchem linię. – Saddam myli się lub kłamie, albo Jerycho myli się lub kłamie, co w sumie na jedno wychodzi. Nie zapłacimy miliona zielonych za takie brednie.

– Czy nie liczysz się z możliwością, że prawdziwa może się jednak okazać ta wersja, której nie bierzecie pod uwagę?

– To znaczy?

– Że Saddam naprawdę to powiedział i że ma rację?

– To absolutnie niemożliwe. Nie damy się nabrać. Posłuchaj, Steve: przez dziewięć tygodni Jerycho spisywał się bez zarzutu, choć teraz wygląda na to, że będziemy musieli jeszcze raz przyjrzeć się uważnie wszystkim informacjom, jakie od niego dostaliśmy. Myślę jednak, że wszystkie okażą się prawdziwe. Niestety, to, co zrobił teraz, przekreśliło go na dobre. Kończymy współpracę. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobił, ale takie właśnie zapadły ustalenia. – Będziemy mieli kłopoty, Bili.

– Wiem, przyjacielu, i dlatego dzwonię do ciebie zaraz po rozmowie z dyrektorem. Albo Jerycho wpadł i wszystko wygadał, albo postanowił nas wycyckać. Jeśli w grę wchodzi drugie rozwiązanie, to może się zdenerwować, kiedy dowie się, że nie dostanie swojego miliona dolarów. Tak czy inaczej, wasz człowiek w Bagdadzie ma się czego obawiać. To chyba jeden z waszych lepszych ludzi, prawda?

– Najlepszy. Ma stalowe nerwy.

– W takim razie, wydostańcie go stamtąd. I to szybko.

– Chyba to właśnie zrobimy, Bili. Dzięki za telefon. Szkoda, bo tak dobrze nam szło...

– Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek szło lepiej.

Stewart odłożył słuchawkę, a Laing poszedł na górę, by porozmawiać z sir Golinem. Ostateczna decyzja zapadła godzinę później.

Rankiem 15 stycznia każdy ze stacjonujących w Arabii Saudyjskiej pilotów – Amerykanów, Brytyjczyków, Francuzów, Włochów, Saudyjczyków i Kuwejtczyków – wiedział już, że idzie na prawdziwą wojnę. Byli przekonani, że stało się tak za sprawą polityków i dyplomatów, którzy nie zdołali zapobiec konfliktowi. Jeszcze przed południem wszystkie jednostki zostały postawione w stan gotowości bojowej.

Najważniejsze ośrodki dowodzenia sił powietrznych zlokalizowano w trzech miejscach w Rijadzie. Na obrzeżach tamtejszej bazy lotniczej ustawiono kilka dużych, klimatyzowanych namiotów zwanych Stodołą. Tutaj właśnie dokonywano wstępnej selekcji materiałów fotograficznych, które od kilku tygodni napływały nieprzerwanym strumieniem. Niebawem ich liczba miała ulec podwojeniu, a nawet potrojeniu.

Efekt pracy ludzi ze Stodoły, to znaczy synteza informacji dostarczanych przez samoloty zwiadowcze, trafiał do oddalonego o półtora kilometra gmachu saudyjskiego Ministerstwa Lotnictwa, gdzie umieszczono kwaterę Głównego Dowództwa Sił Powietrznych, czyli CENTAF. Pod potężnym, liczącym 150 metrów długości

gmachem mieszczą się obszerne, wielokondygnacyjne podziemia. Tam właśnie, na ich pierwszym poziomie, ulokowało się CENTAF. Pomimo rozmiarów podziemi okazało się, że miejsca jest stanowczo za mało, w związku z czym na parkingu przed budynkiem wyrosły namioty bardzo podobne do tych z bazy lotniczej, a także rzędy prefabrykowanych domków.

Najważniejszym miejscem w podziemiach było Centrum Informacyjne, zajmujące kilkanaście połączonych ze sobą pomieszczeń, w których przez całą dobę pracowało 250 analityków ze wszystkich rodzajów broni i najróżniejszych stopni, od szeregowca do generała. To właśnie miejsce nazwano Czarną Dziurą.

Teoretycznie działaniem Czarnej Dziury kierował generał Chuck Horner, dowódca koalicyjnego lotnictwa w Zatoce Perskiej, ale ponieważ często wzywano go do Ministerstwa Obrony - kolejne półtora kilometra dalej, przy tej samej ulicy - zazwyczaj wyręczał go zastępca, generał Buster Glosson.

Planiści z Czarnej Dziury co kilka godzin zaglądali do Ogólnego Wykazu Celów, zawierającego współrzędne geograficzne, dokładne opisy, a także zdjęcia wszystkich obiektów wartych zainteresowania alianckich pilotów. Na podstawie Wykazu oraz napływających, niemal bez chwili przerwy, aktualnych informacji wydawali codziennie nową wersję niezwykle szczegółowego, ponad stustronicowego dokumentu, będącego biblią dla dowódcy każdej jednostki lotniczej w rejonie Zatoki Perskiej. Dokument ów nosił nazwę: Szczegółowy Wykaz Celów. Stworzenie każdej wersji wymagało trzech dni intensywnych przygotowań.

Na początku było Planowanie - należało ustalić, jaki procent celów znajdujących się na terytorium Iraku może zostać zniszczony jednego dnia przy użyciu wszystkich maszyn, jakie są do dyspozycji. Drugiego dnia dokonywano Umiejscowienia, czyli wyznaczenia konkretnych celów, trzeciego zaś Rozdysponowania, które polegało na przydzieleniu poszczególnych zadań konkretnym typom samolotów - brytyjskim tornadom, amerykańskim eagle'om, tomcatom Marynarki Wojennej, phantomom lub superfortecom B-52.

Dopiero wówczas poszczególne dywizjony i eskadry mogły otrzymać jasno sprecyzowane zadania. Cała reszta należała już do nawigatorów: musieli odnaleźć cele na mapie, wyznaczyć trasę, ustalić miejsca spotkania z powietrznymi cysternami, określić kierunek, z którego nastąpi atak, wraz z dowódcami wybrać cele zapasowe, a wreszcie nakreślić trasę powrotną. Z kolei dowódcy dywizjonów wyznaczali załogi do poszczególnych zadań - niektóre dywizjony musiały jednego dnia zniszczyć nawet kilka celów - oraz podejmowali decyzję, kto jest odpowiedzialny za realizację konkretnych zadań.

Oficerowie uzbrojenia - jednym z nich był Don Walker - wybierali rodzaj broni konieczny do osiągnięcia najlepszych efektów: zwykle bomby burzące, czy zapalające, bomby sterowane promieniem lasera, czy rakiety powietrze-ziemia, itd.

Półtora kilometra dalej, także przy Old Airport Road, mieściło się saudyjskie Ministerstwo Obrony. Na jego potrzeby wybudowano pięć wielkich, połączonych ze sobą gmachów z lśniącobiałego betonu, wznoszących się na sześć pięter nad poziom gruntu. Frontony tych gmachów zdobia potężne, sięgające trzeciego piętra kolumny.

Właśnie na trzecim piętrze jednego z budynków znajdował się elegancki apartament generała Normana Schwarzkopfa. Najczęściej jednak stał pusty, generał bowiem sypiał w niewielkim pokoiku w podziemiach, który służył mu także jako gabinet, gdyż stamtąd miał znacznie bliżej do stanowiska dowodzenia.

W sumie gmachy ministerstwa mają ponad 400 metrów długości, każdy z nich zaś liczy 30 metrów wysokości. Podczas wojny nad Zatoką Perską rozrzutność architektów i budowniczych okazała się bardzo przydatna, gdyż Rijad musiał wówczas pomieścić wielu nieoczekiwanych gości.

Pod budynkami znajdują się dwupoziomowe podziemia; mniej więcej jedną piątą z nich oddano do dyspozycji naczelnemu dowództwu koalicji. Tam właśnie, przez cały czas trwania wojny, gromadzili się generałowie, obserwując wielką mapę, na której oficerowie sztabowi zaznaczali dyslokację wojsk, zniszczone obiekty, nowe cele, które pojawiły się w trakcie działań wojennych, oraz kierunki odwrotu Irakijczyków.

Tego styczniowego, upalnego dnia przed mapą zatrzymał się pewien brytyjski dowódca dywizjonu, popatrzył na 700 wyznaczonych celów – 240 pierwszorzędno znaczenia, pozostałe do zniszczenia w drugiej kolejności – po czym mruknął:

– No, to chyba wszystko.

Mylił się. To nie było wszystko. Ludzka pomysłowość i doprowadzona do perfekcji sztuka kamuflażu zdołały oszukać naj*nowsze osiągnięcia zaawansowanej technologii, zainstalowane na satelitach i pokładach samolotów szpiegowskich.

Setki irackich czołgów, umieszczonych w głębokich wykopach pod sieciami maskującymi, wykrytych przez superczułe radary alianatów, było w rzeczywistości jedynie atrapami z dykty i papieru, pod którymi ukryto puste metalowe beczki, aby uzyskać odpowiedni obraz na ekranach. Na dziesiątkach starych ciężarówek zainstalowano imitacje śmiercionośnych scudów; te "ruchome wyrzutnie" później systematycznie niszczone jedna po drugiej. Najgorsze jednak było to, że siedemdziesiąt niezwykle ważnych obiektów mających związek z produkcją bądź też przechowywaniem broni masowego rażenia w ogóle nie zostało zlokalizowanych, ponieważ ukryto je głęboko pod powierzchnią ziemi lub też zamaskowano w jakiś inny, przemyślny sposób.

Dopiero znacznie później zachodni stratedzy poczęli zachodzić w głowę, w jaki sposób Irakijczykom udawało się w tak oszałamiającym tempie zastępować zniszczone czołgi i działa nowymi, a inspektorzy ONZ odkrywali jeden tajny magazyn za drugim, po czym rozjeżdżali się do swoich krajów z głębokim przeświadczeniem, że wiele innych pozostało nie zidentyfikowanych pod piaskami pustyni.

Jednak tego upalnego dnia na początku 1991 roku nikt o tym nie wiedział. Młodzi ludzie czekający w pełnej gotowości na lotniskach od Tabuku na zachodzie do Bahrajnu na wschodzie i Chamis Muszait na południu, gdzie znajdowała się ściśle tajna baza wojskowa, wiedzieli tylko tyle, że za czterdzieści godzin zacznie się wojna, z której wielu z nich może nie wrócić.

Ostatniego dnia spokoju, zanim jeszcze zaczął się kołowrót nie kończących się odpraw, większość pilotów postanowiła napisać do domu. Niektórzy długo ssali końcówki długopisów, zastanawiając się, od czego zacząć, inni zaś płakali jak bobry, myśląc o żonach i dzieciach. Ręce przyzwyczajone do nieomylnego sterowania tonami siejącego śmierć i zniszczenie metalu nieporadnie próbowały zapisać słowa, które i tak nie mogły oddać prawdziwych uczuć. Kochankowie starali się napisać to, co dawno temu powinni wyszeptać w chwilach uniesienia, ojcowie zaś nakazywali synom, żeby opiekowali się matkami, gdyby wydarzyło się najgorsze.

Kapitan Don Walker wraz z pozostałymi Rocketeersami z 336. Dywizjonu usłyszał nowinę od dowódcy skrzydła stacjonującego w Al-Chardż, który wygłosił krótkie, treściwe przemówienie. Zbliżała się dopiero dziewiąta rano, żar lał się z nieba na ziemię.

Piloci, nawigatorzy i ludzie z obsługi naziemnej w ciszy i skupieniu wychodzili z wielkiego namiotu, gdzie odbywały się odprawy. Każdy myślał mniej więcej to samo: ostatnia próba uniknięcia wojny zakończyła się fiaskiem; politycy i dyplomaci jeździli z konferencji na konferencję, ze spotkania na spotkanie, ściskali sobie ręce, gadali, przekonywali, grozili, prosili... i wszystko na nic.

Ci młodzi ludzie dopiero teraz uwierzyli na dobre, że skończyły się słowa i pora przejść do czynów; nie wiedzieli, że już przed wieloma miesiącami zapadły decyzje przesadzające o ich losie.

Walker odprowadził wzrokiem swego dowódcę, Steve'a Turnera, który zniknął w namiocie, by napisać list - kto wie, czy nie ostatni - do Betty-Jane w Goldsboro w Północnej Karolinie. Stojący obok Dona Randy Roberts i Boomer Herry zamienili półgłosem kilka słów, po czym każdy ruszył w swoją stronę.

Młody pilot przez dłuższą chwilę spoglądał w błękitną czaszę nieba - pragnął jej dosięgnąć już wtedy, kiedy jako mały chłopiec mieszkał w Tulsie, a teraz, w trzydziestym roku życia, będzie miał szansę zginąć właśnie w tym bezkresnym błękicie. Odwrócił się na pięcie i wolnym krokiem poszedł w kierunku skraju bazy. Podobnie jak inni, on także chciał pozostać przez chwilę zupełnie sam. Baza Al-Chardż nie miała ogrodzenia. W pewnym momencie po prostu kończyły się namioty, zaczynało zaś nieskończone, ciągnące się aż po horyzont morze żółtobrazowego piasku. Don minął prefabrykowane hangary skupione wokół betonowej płyty, na której mechanicy dokonywali jeszcze ostatnich przeglądów, dokładając wszelkich starań, żeby w chwili, kiedy ich ukochane pieczoszki ruszą wreszcie do boju, były najsprawniejszymi maszynami, jakie wyszły spod ręki człowieka.

Walker bez trudu dostrzegł wśród samolotów swój F-15 i jak zwykle ogarnął go podziw dla tej budzącej respekt samym wyglądem maszyny. Stała nieruchoma i cicha wśród gromady ludzi w roboczych kombinezonach, nie wiedząc co to miłość ani pożądanie, strach ani nienawiść, i czekała cierpliwie na chwilę, kiedy wreszcie będzie mogła zacząć robić to, do czego była przeznaczona - to znaczy zabijać ludzi skazanych na śmierć rozkazem prezydenta Stanów Zjednoczonych. Walker zazdrościł jej tego, że mimo swojej niewyobrażalnie złożonej konstrukcji niczego nie czuła... a więc także nie mogła się bać.

Pozostawiwszy za plecami namiotowe miasteczko szedł prosto przed siebie po piaszczystej równinie. Oczy, ukryte za lotniczymi okularami, dodatkowo osłaniał mu daszek baseballowej czapki. Choć upał wzmagał się z każdą chwilą, Walker nie zwracał na to uwagi.

Już od ośmiu lat służył w siłach powietrznych swojego kraju, ponieważ latanie było tym, co najbardziej lubił robić, ale nigdy nie brał poważnie pod uwagę możliwości, że zginie w walce. Wielu wojskowych pilotów marzy, by sprawdzić swoje umiejętności i możliwości samolotu w walce z prawdziwym przeciwnikiem, lecz niemal równie liczna grupa zakłada, że do takiej sytuacji nigdy nie dojdzie. Nikt ich nie zmusi do zabijania synów innych matek, bo sami też nie chcą być zabijani.

Dopiero tego ranka uświadomił sobie, że jednak nie udało się uniknąć najgorszego. Po latach nauki i treningu już niebawem znowu wzbije się w powietrze siedząc za sterami F-15, tyle tylko, że tym razem może już nie wrócić.

Jego myśli, podobnie jak myśli wielu innych pilotów, skierowały się ku domowi. Ponieważ był jedynakiem i nie założył jeszcze własnej rodziny, "dom" oznaczał dla niego matkę i ojca. Wspominał

dzieciństwo w Tulsie, wspólne zabawy z ojcem na podwórzu, grę w baseball, ciągnącą się nieraz aż do zmroku. Doskonale pamiętał także wakacje – spędzał je z rodzicami aż do chwili, kiedy wyjechał do college'u. Najgłębiej utkwiły mu w pamięci te, podczas których ojciec zabrał go na wędkarską wyprawę na Alaskę. Don miał wtedy dwanaście lat.

Ray Walker był wówczas o dwadzieścia lat młodszy, znacznie szczuplejszy i dużo silniejszy od syna. Kilka lat później różnica zatarła się, a potem role uległy odwróceniu. Pływali wypożyczonym kajakiem po wodach Zatoki Lodowcowej, obserwując niedźwiedzie zbierające jagody na górskich zboczach, fokę pluszczącą się w cieplejszych, przybrzeżnych wodach oraz słońce wschodzące nad Lodowcem Mendenhalla. Wspólnie wyciągnęli dwa ponad 30-kilogramowe potwory z Jamy Halibutów i po długiej walce pokonali królewskiego łososia w kanale w pobliżu Sitki.

W pewnej chwili Don Walker uprzytomnił sobie, że idzie na oślep po rozpalonym piasku w kraju oddalonym o wiele tysięcy kilometrów od domu, a po policzkach ściekają mu łzy, szybko wysychające w gorącym powietrzu. Jeżeli zginie, nigdy się już nie ożeni ani nie będzie miał dzieci. Dwa razy niewiele brakowało, żeby się oświadczył: po raz pierwszy jeszcze w college'u, ale wtedy był bardzo młody i kompletnie zaślepiony, a drugi dużo później, znacznie dojrzalszej kobiecie. Poznał ją, kiedy jego jednostka stacjonowała w bazie McConell. Ona jednak dała mu zawczasu do zrozumienia, że nie wyjdzie za mąż za pilota.

Teraz, jak nigdy do tej pory, zapragnął mieć dzieci i kobietę, do której mógłby codziennie wracać, córeczkę, której wieczorem opowiadałby bajki, i syna, którego uczyłby grać w futbol, jeździć na rowerze i łowić ryby, tak samo jak jego uczył ojciec. Najbardziej ze wszystkiego pragnął wrócić do Tulsy i mocno uściskać matkę. Ogromnie się o niego martwiła, mimo że dzielnie starała się tego nie okazywać.

Kiedy wreszcie młody pilot wrócił do bazy, usiadł przy chwiejącym się stole w namiocie i zabrał się do pisania listu do domu. Szło mu dość opornie, gdyż ten list różnił się bardzo od poprzednich. Zazwyczaj bowiem relacjonował to, co ostatnio wydarzyło się w jego dywizjonie. Podobnie jak wielu młodych ludzi tego dnia, starał się opowiedzieć o swoich uczuciach, co nie należało do łatwych zadań.

Opisał przebieg porannej odprawy, wyjaśnił, co oznacza komunikat dowództwa, a następnie poprosił, żeby się o niego nie martwili. Przecież ma za sobą długoletnie szkolenie, a w dodatku jest pilotem najlepszego myśliwca najpotężniejszych sił powietrznych świata.

Napisał, że bardzo żałuje wszystkich chwil, kiedy sprawiał im ból oraz podziękował za to, co dla niego zrobili: od pierwszego lania, jakie dostał w życiu, aż po dzień, kiedy przejechali całe Stany, aby obserwować paradę, podczas której generał przypiął do jego munduru wymarzone lotnicze skrzydełka.

Wyjaśnił, że za czterdzieści godzin zasiądzie w kabinie swojego F-15 i po raz pierwszy w życiu otrzyma rozkaz, żeby zabijać innych ludzi, a oni z kolei będą się starali zabić jego.

Nigdy nie zobaczy ich twarzy wykrzywionych grymasem strachu, podobnie jak oni nie zobaczą jego twarzy, gdyż nie pozwala na to sposób, w jaki toczy się współczesna wojna. Gdyby jednak tamtym udało się dopiąć celu, chciałby, żeby rodzice wiedzieli, że zawsze bardzo ich kochał i starał się być dobrym synem.

Podpisał się, schował list do koperty i zakleił ją starannie. Tego dnia w całej Arabii Saudyjskiej napisano wiele bardzo podobnych

listów, które w jakiś czas potem dotarły do domów w Trenton, Tulsie, Londynie, Rouen i Rzymie.

Tej nocy Mikę Martin połączył się z Rijadem. Kiedy odtworzył transmisję w zwolnionym tempie, okazało się, że nagrał ją Simon Paxman. Wiadomość była precyzyjna i nie pozostawiała cienia wątpliwości.

Ostatni raport Jerycha okazał się fałszywy. Całkowicie, jednoznacznie fałszywy. Wskazywały na to wszystkie naukowe analizy, jakie przeprowadzono w Waszyngtonie i Londynie.

Jerycho skłamał świadomie albo nieświadomie. Jeżeli w grę wchodziło pierwsze wyjaśnienie, to należało brać pod uwagę trzy możliwości: z własnej woli przeszedł na drugą stronę, dał się ogarnąć chciwości lub został zdemaskowany i zmuszony do współpracy z irackim kontrwywiadem. Jeśli zaszła druga z tych trzech ewentualności, to przyjdzie mu się gorzko rozczarować, gdyż CIA kategorycznie odmówiła wypłacenia tak ogromnej kwoty za bezwartościowy produkt.

Tak czy inaczej, należało przyjąć, że operacja albo już dobiegła końca, gdyż w grę włączył się kontrwywiad kierowany przez przyjaciela Martina, Hasana Rahmaniego, albo że zakończy się w bardzo krótkim czasie, kiedy Jerycho postanowi zemścić się, informując anonimowo władze o obecności w Bagdadzie brytyjskiego agenta.

Od tej pory Martinowi nie wolno zbliżać się do żadnej z sześciu skrzynek kontaktowych, a oprócz tego powinien natychmiast rozpocząć przygotowania do opuszczenia Iraku. Być może uda mu się tego dokonać korzystając z zamieszania, jakie wybuchnie w Bagdadzie w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Martin aż do świtu analizował treść depechy. Nie zdziwiło go, że zachodnie służby wywiadowcze nie uwierzyły w ostatnią wiadomość od Jerycha, ale informacja, że agent przestanie otrzymywać pieniądze, stanowiła dla niego nie lada cios. Przecież Jerycho tylko przekazał swoim pracodawcom słowa Saddama; nawet jeżeli dyktator mylił się, to co z tego? Jerycho nie miał możliwości sprawdzenia, czy prezydent mówi prawdę, czy też nie. Donosząc o jego wypowiedzi tylko wykonał swoją robotę. Prawdziwym powodem zerwania współpracy przez CIA stało się chyba niewyobrażalnie duże honorarium, jakiego żądał.

Poza tym, rozumowaniu Paxmana nie sposób było zarzucić braku logiki. Za cztery, może za pięć dni Jerycho przekona się, że pieniądze nie wpłynęły na jego konto. Na pewno rozwścieczy go to, a jeżeli jeszcze nie wpadł w ręce Umara Chatiba i jego oprawców, nie można wykluczyć, że postanowi zemścić się na człowieku, który przez minionetygodnie pełnił rolę łącznika między nim a Zachodem. Świadczyłoby to jednak o jego głupocie. Gdyby Martin został schwytany i poddany torturom - a nikt przecież nie wie, ile potrafi znieść, dopóki nie trafi w ręce prawdziwych specjalistów od zadawania bólu - mógłby udzielić informacji, które pozwoliłyby irackiemu kontrwywiadowi trafić na trop Jerycha.

Jednak ludzie ogarnięci gniewem nie myślą racjonalnie i często popełniają głupstwa. Paxman miał rację: skrzyńki kontaktowe należy uznać za "spalone".

Co do ucieczki z Bagdadu, to łatwiej było to zaproponować, niż wykonać. Przysłuchując się rozmowom na bazarach Martin dowiedział się, że na wszystkich trasach wylotowych z miasta aż roiło się od patroli Al-Aman al-Amm i żandarmerii, poszukujących dezertów i mężczyzn uchylających się od służby wojskowej. List, z którym Martin nie rozstawał się ani na chwilę, zapewniał mu bezpieczeństwo jedynie na obszarze Bagdadu. Gdyby został za-

trzymany przez patrol, miałyby spore problemy z wyjaśnieniem, dlaczego wybrał się na pustynię, a tam przecież ukrył motocykl. Po namyśle postanowił na razie nie opuszczać rezydencji radzieckiego dyplomaty. Prawdopodobnie było to najbezpieczniejsze miejsce w całym Bagdadzie.

Rozdział piętnasty

Termin ultimatum postawionego Saddamowi Husajnowi upływał o północy 16 stycznia. W wielu domach, szałasach, namiotach, hangarach i schronach rozlokowanych w Arabii Saudyjskiej nad brzegami Zatoki Perskiej i Morza Czerwonego setki tysięcy ludzi spoglądało to na zegarki, to na siebie nawzajem. Milczeli, gdyż wszystko zostało już powiedziane.

Na drugim poziomie podziemi saudyjskiego Ministerstwa Lotnictwa, za stalowymi drzwiami, których nie powstydziliby się skarbiec najlepiej strzeżonego banku na świecie, zapanował na krótko nastrój rezygnacji i przygnębienia. Po tytanicznej pracy, po gorączkowym przygotowywaniu planów ataku, nagle nie było czym się zająć – przynajmniej przez kilka najbliższych godzin. Teraz wszystko znalazło się w rękach młodych ludzi. Otrzymali konkretne zadania i musieli je wykonać w nieprzeniknionej ciemności, jaka zapanowała nad tą częścią świata.

Kiedy o 2.15 do pokoju operacyjnego wszedł generał Schwarzkopf, wszyscy wyprężyli się na baczność. Generał odczytał rozkaz skierowany do żołnierzy, kapelan odmówił krótką modlitwę, po czym głównodowodzący sił koalicji powiedział:

– W porządku, a teraz bierzmy się do roboty.

Część spośród tych, którzy byli rozlokowani na pustyni, zabrała się do roboty nieco wcześniej. Jako pierwsze na drugą stronę granicy przeleciały nie myśliwce bombardujące, lecz osiem śmigłowców typu Apache ze 101. Dywizji Powietrznodesantowej. Miały do wykonania pozornie niewielkie, ale szalenie ważne zadanie. Na północ od granicy, stosunkowo blisko Bagdadu, znajdowały się dwie potężne stacje radarowe, kontrolujące przestrzeń powietrzną od Zatoki Perskiej na wschodzie do rozległych pustyń na zachodzie Iraku. Przeprowadzenie tej operacji zlecono właśnie śmigłowcom z dwóch powodów: co prawda nie rozwijały takiej prędkości jak odrzutowce, ale lecąc nisko nad pustynią mogły zbliżyć się niepostrzeżenie do celu, a poza tym załogi musiały uzyskać całkowitą pewność, że obie stacje naprawdę zostały zniszczone. Dokładnych obserwacji można było dokonać jedynie z pokładów poruszających się powoli śmigłowców. Gdyby atak zakończył się niepowodzeniem, wielu młodych ludzi straciłoby życie.

Śmigłowce spisały się znakomicie. Irakijczycy dostrzegli je dopiero wtedy, kiedy ich załogi otworzyły ogień. Piloci, nawigatorzy i strzelcy pokładowi zostali wyposażeni w hełmy z noktowizorami, przypominającymi zainstalowane na stałe, krótkie lornetki. Dzięki tym urządzeniom nawet w całkowitej ciemności wszystko widać jak na dłoni.

Pierwsze pociski trafiły w generatory dostarczające energii elektrycznej niezbędnej dla funkcjonowania radarów, kolejne zaś zniszczyły urządzenia łączności i same ogromne czasze. W ciągu niespełna dwóch minut śmigłowce wystrzeliły 27 naprowadzanych promieniem lasera rakiet typu Hellfire, sto niesterowanych rakiet kalibru 70 mm oraz ponad 4000 pocisków z działek automatycznych. Irackie instalacje radarowe zmieniły się w dymiące zgliszczka. Dzięki temu atakowi w systemie obrony powietrznej Iraku powstała ogromna luka, natychmiast wykorzystana przez innych aktorów tego nocnego spektaklu.

Ci, którym dane było zapoznać się z planami wojny powietrznej przygotowanymi przez generała Chucka Hornera, twierdzili, iż z całą pewnością należą one do najbardziej błyskotliwych, jakie zna historia wojskowości. Skonstruowano je z wręcz chirurgiczną precyzją, pozostawiając jednocześnie konieczny margines na korekty pozwalające błyskawicznie zareagować na zmieniającą się sytuację. Dopiero po osiągnięciu celu pierwszego etapu można było myśleć o realizacji kolejnych zadań. Polegał on na zniszczeniu wszystkich irackich systemów obrony powietrznej oraz na doprowadzeniu do sytuacji, w której aliancka dominacja w powietrzu zamieni się w całkowitą supremację. Dokonanie tego w narzuconym przez strategów, 35-dniowym terminie gwarantowało pomyślny przebieg całej wojny.

Przede wszystkim należało pomyśleć o zniszczeniu radarów. Na współczesnym polu walki radar w dalszym ciągu stanowi najbardziej użyteczne narzędzie, uparcie nie ustępując pola znacznie nowocześniejszym technologiom. To właśnie radar ostrzega o zbliżających się samolotach przeciwnika, to on podaje kierunek startującym z baz myśliwcom przechwytyjącym, to on steruje przeciwlotniczymi rakietami i umożliwia bateriom dział prowadzenie skutecznego ognia. Pozbawiona radarów armia staje się nagle ślepa i bezradna, niczym bokser wagi superciężkiej, który nie może walczyć, ponieważ nie widzi rywala. Nawet gdyby był najpotężniejszy i najsilniejszy, to i tak nie zdoła zadać celnego ciosu, ponieważ przeciwnik dopada go z coraz to innej strony, aż wreszcie starcie kończy się łatwą do przewidzenia klęską oślepiętego olbrzyma. /

Tornada, F-15, F-111 i F-4G runęły w uczynioną przez osiem śmigłowców apache wyrwę i uderzyły na stacje radarowe położone w głębi łądu, na wyrzutnie rakiet, które miały być naprowadzane na cel właśnie przez te stacje, na ośrodki dowodzenia oraz na radiostacje, mające przekazywać rozkazy irackich generałów oddziałom.

Z pancerników "Wisconsin" i "Missouri" oraz z krążownika "San Jacinto" wystrzelono tej nocy pięćdziesiąt dwa pociski tomahawk. Wykorzystując system nawigacyjny, składający się z kamery sprzężonej z mikrokomputerem, tomahawki mknęły z ogromną prędkością tuż nad powierzchnią ziemi, bez trudu odnajdując właściwą drogę. Bezbłędnie odszukiwały obiekt, który miały zniszczyć, porównywały go z danymi wprowadzonymi do pamięci komputera, a jeśli wszystko się zgadzało, uderzały precyzyjnie w sam środek celu.

F-4G łasica to odmiana phantoma przystosowana specjalnie do niszczenia radarów. Uzbrojono ją w pociski klasy powietrze-ziemia wyposażone w czujniki promieniowania; czujnik naprowadza raketę wprost na działający radar, a silny ładunek wybuchowy dokonuje dzieła zniszczenia.

Jednak najbardziej niezwykłym samolotem spośród wszystkich, jakie tej nocy wystartowały z pustynnych baz i pokładów lotniskowców, był bez wątpienia F-117A stealth. Cały czarny, o przedziwnym kanciastym kadłubie zaprojektowanym w taki sposób, żeby rozpraszał większą część fal radarowych, pozostała zaś wchłaniał bez śladu, jest niewidzialny dla przeciwnika, który nie może zlokalizować go nawet za pomocą najnowocześniejszej aparatury radarowej. Maszyny te przemknęły nie zauważone nad pustynią i zrzuciły tysiackilogramowe, sterowane promieniem lasera bomby, dokładnie nad trzydziestoma czterema ważnymi obiektami wchodzącymi w skład systemu obrony przeciwlotniczej Iraku. Trzydzieściami spośród tych obiektów znajdowało się w Bagdadzie.

Kiedy bomby dosięgły celu, obrońcy zaczęli strzelać na oślep w górę, ale nic nie widzieli, więc nic nie mogli trafić. Później

maszyny typu Stealth otrzymały także arabską nazwę: brzmiała ona szabah, co znaczy "duch".

Startowały z tajnej bazy Chamis Muszait położonej daleko na południu Arabii Saudyjskiej, dokąd trafiły z równie tajnej bazy macierzystej w Tonopah w stanie Nevada. Podczas gdy pozostali amerykańscy lotnicy musieli mieszkać w namiotach, piloci cennych F-117 mieli do dyspozycji klimatyzowane, komfortowe kwatery, ich maszyny zaś po każdym locie trafiały do zamaskowanych betonowych schronów.

Ze względu na odległość, jaka dzieliła lotnisko od teatru działań wojennych, każda misja stealthów trwała co najmniej sześć godzin. Myśliwce wielokrotnie przelatywały nad najlepiej chyba bronionym przed powietrznym atakiem miastem na świecie, to znaczy Bagdadem, a mimo to ani jeden z nich nie doznał nawet najdrobniejszych uszkodzeń. Zjawiały się jak duchy, zrzucały śmiercionośny ładunek, po czym zwracały dostojnie niczym płaszczyki unoszące się w morskich głębinach i wracały do Chamis Muszait.

Najbardziej niebezpieczne zadanie przypadło tej nocy w udziale brytyjskim tornadom. Operacja ochrzczona kryptonimem "Lotniska" trwała zresztą jeszcze cały następny tydzień. W jej realizacji, naturalnie obok tornad, największą rolę odegrały ciężkie bomby burzące JP-233.

Irakijczycy budowali swoje lotniska z ogromnym rozmachem; na przykład Tallil było czterokrotnie większe od Heathrow, miało szesnaście pasów startowych i kilka dróg kołowania, które również były wykorzystywane przez lądujące i startujące maszyny. Zniszczenie tak ogromnego obiektu wydawało się po prostu niemożliwe.

Ponadto, podczas bombardowania niezwykle ważną rolę odegrały pułap i prędkość lotu. JP-233 powinno się zrzucać podczas ustabilizowanego, poziomego lotu na wprost, a pozbywszy się bomb tornada nie mogły zmieniać kursu, lecz musiały przelecieć nad celem. Co prawda radary uległy zniszczeniu, lecz artyleria przeciwlotnicza pozostała prawie nietknięta; działka i karabiny maszynowe posyłały w stronę brytyjskich maszyn prawdziwe lawiny pocisków. Jeden z pilotów opowiadał później, że za każdym razem czuł się tak, jakby leciał wąskim korytarzem o ścianach z gorącego ołowiu.

Amerykanie zrezygnowali ze stosowania JP-233, doszli bowiem do wniosku, że straty w sprzęcie i ludziach nie zrównoważą korzyści odniesionych dzięki ogromnej sile rażenia tych bomb. Mieli całkowitą rację. Jednak RAF ponawiał atak za atakiem, tracąc maszyny i pilotów, aż wreszcie nadeszły rozkazy, żeby zaprzestać nalotów i skierować samoloty nad inne cele.

Tej nocy nad Irakiem pojawiły się nie tylko bombowce i myśliwce bombardujące. Nad nimi, za nimi i wokół nich uwijało się mnóstwo innych maszyn.

Ochronę przed atakami z powietrza zapewniały myśliwce.

Nie miały jednak nic do roboty, ponieważ piloci nielicznych irackich maszyn, którym udało oderwać się od ziemi, albo nie dostali żadnych instrukcji od kontrolerów lotu (ci mogli tylko rozpaczliwie walić pięściami w ciemne ekrany radarów), albo dotarły do nich tak zniekształcone przez amerykańskie urządzenia zagłuszające, że nic nie mogli zrozumieć, więc, bardzo rozsądnie, szybko zawrócili do baz.

Na południe od granicy Iraku bez przerwy krążyło sześćdziesiąt powietrznych cystern: amerykańskie KC-135, KC-10, KA-6D oraz brytyjskie victory i VC-10. Ich zadanie polegało na uzupełnianiu paliwa w samolotach, które nadlatywały z baz położonych w głębi Arabii Saudyjskiej, a następnie powtórzeniu tej operacji, kiedy maszyny wracały znad Iraku. Pozornie wydaje się to bardzo proste,

ale przeprowadzenie tej operacji w całkowitej ciemności bynajmniej nie było łatwe. Jeden z pilotów określił to jako "wpychanie rozgotowanego spaghetti w dupę rozbrykanego tygrysa".

Z kolei nad Zatoką pełniły straż maszyny typu AWACS: E-2 należące do Marynarki Wojennej i E-3 Amerykańskich Sił Powietrznych. Śledziły każdy ruch w przestrzeni powietrznej Iraku, informując o poczynaniach nieprzyjaciela, ostrzegając, doradzając i wskazując drogę.

O świecie większość irackich stacji radarowych i ośrodków dowodzenia leżała w gruzach, wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych stały się zaś niemal całkowicie bezużyteczne, gdyż ich obsługa nie wiedziała, do kogo ani kiedy strzelać. Trzeba było jeszcze czterech dni i nocy na dokończenie dzieła, ale już w pierwszych godzinach wojny aliancka dominacja w powietrzu nie podlegała żadnej dyskusji. W drugiej kolejności bomby i rakiety spadły na stacje generatorów, maszty telekomunikacyjne, centrale telefoniczne, stacje przesyłowe, hangary, wieże kontrolne oraz fabryki i laboratoria, w których wytwarzano różne rodzaje broni masowej zagłady. Jeszcze później przystąpiono do systematycznego unicestwiania irackiej armii skoncentrowanej na południe i południowy zachód od granicy z Kuwejtem; generał Schwarzkopf zapowiedział, że rzuci do boju oddziały lądowe dopiero wówczas, kiedy przeciwnik straci co najmniej 50 procent siły bojowej. Warunek ten został spełniony.

Późniejszy przebieg działań wojennych wyglądałby zapewne zupełnie inaczej, gdyby nie dwa wydarzenia: pierwszym było ostrzelanie przez Irak scudami terytorium Izraela, drugim zaś czyn, którego dokonał sfrustrowany kapitan Don Walker z 336. Dywizjonu Myśliwców Taktycznych.

Rankiem 17 stycznia w Bagdadzie panowało powszechne przeżenie.

Większość mieszkańców przez całą noc nie zmrużyła oka. Kiedy wstał świt, najodważniejsi z nich poszli obejrzeć ruiny budowli zniszczonych podczas nalotów. Byli prostymi ludźmi, uważali więc, że tylko cud uratował ich przed pewną śmiercią, nie zdając sobie sprawy, iż dwadzieścia obróconych w perzynę obiektów wcześniej starannie zlokalizowano, unicestwiono je zaś z taką precyzją, że okolicznym mieszkańcom ani przez chwilę nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

Jednak największego wstrząsu doznali członkowie ekipy rządzącej. Saddam Husajn opuścił pałac prezydencki i przeniósł się do wielopoziomego bunkra ukrytego pod hotelem Raszid, zamieszkanym wyłącznie przez cudzoziemców, głównie przedstawicieli zachodnich środków masowego przekazu.

Bunkier został wybudowany kilka lat wcześniej przy użyciu najnowocześniejszej szwedzkiej technologii. Przypominał szczelne pudło zamknięte wewnątrz innego, znacznie większego; przestrzeń między ścianami obu pudeł wypełniały skomplikowane urządzenia amortyzujące, dzięki którym mieszkańcy bunkra przeżyliby nawet przejście fali uderzeniowej po wybuchu jądrowym, zrównującym miasto z powierzchnią ziemi. Główny wjazd do schronu znajdował się w sporej odległości od hotelu, sam schron jednak umiejscowiono dokładnie pod hotelem, a raczej na odwrót: to hotel wybudowano nad schronem, przeznaczając go dla odwiedzających Bagdad cudzoziemców. Dzięki temu każdy przeciwnik, który chciałby zbombardować bunkier, musiałby najpierw zniszczyć luksusowy, wielopiętrowy gmach, w którym zawsze było pełno gości z Zachodu.

Mimo że pochlebcy z najbliższego otoczenia starali się jak mogli, nie zdołali przedstawić nocnej klęski jako oszałamiającego zwycięstwa. Wkrótce wszyscy zaczęli zdawać sobie sprawę z roz-

miarów katastrofy.

Specjaliści od propagandy liczyli na to, że alianci przeprowadzą dywanowe naloty, obracając w perzynę dzielnice mieszkalne i zabijając tysiące niewinnych ludzi. Wówczas na miejsce masakry zawieziono by zagraniczne ekipy telewizyjne, które przekazałyby wstrząsające relacje milionom widzów na całym świecie. Powszechna fala ffitotępienia, skierowana przeciwko prezydentowi Bushowi i Stanom Zjednoczonym, doprowadziłaby w krótkim czasie do zwołania posiedzenia Rady Bezpieczeństwa, podczas którego Chiny i Związek Radziecki kategorycznie sprzeciwiłyby się kontynuowaniu masakry.

Jednak już koło południa stało się jasne, że Synowie Psów obrócili wniwecz te nadzieje. Iraccy generałowie przypuszczali, że nawet najcelniejsze bombardowanie musi spowodować wielkie zniszczenia w cywilnej zabudowie miasta, a to dlatego, że ważne wojskowe budowle zostały rozsiane po całym Bagdadzie, a szczególnie dużo ich zlokalizowano w najgęściej zaludnionych dzielnicach. Tymczasem okazało się, że dwadzieścia ośrodków dowodzenia, stacji radarowych i central łączności zamieniło się w sterty gruzów, podczas gdy mieszkańcy okolicznych domów, gapiący się z rozdziawionymi ustami na rumowiska, mogli uskarżać się jedynie na powybijane szyby oraz na wybuchy, które nie dały im spać tej nocy.

Władze musiały zadowolić się komunikatem, w którym podały wyssaną z palca liczbę ofiar wśród ludności cywilnej oraz poinformowały, że amerykańskie samoloty, strącane raketami i ogniem artylerii przeciwlotniczej, spadały z nieba jak jesienne liście. Część Irakijczyków, ogłupiona wieloletnią propagandą, uwierzyła tym zapewnieniom – przynajmniej na początku.

Dowódcy odpowiedzialni za obronę przeciwlotniczą od początku wiedzieli, jak naprawdę przedstawia się sytuacja. Jeszcze przed południem stało się jasne, że zniszczeniu uległy niemal wszystkie stacje radarowe oraz ośrodki łączności, co sprawiło, że gotowe w każdej chwili do odpalenia rakiety typu ziemia-powietrze stały się nagle zupełnie bezużyteczne. Co gorsza, ci operatorzy radarów, którym udało się ujsć z życiem, twierdzili uparcie, że bomby spadły z samolotów, których nie było widać na ekranach. Wszyscy ci kłamcy naturalnie zostali aresztowani.

Okazało się też, że jednak są straty wśród ludności cywilnej. Dwa pociski tomahawk, których stateczniki zostały uszkodzone przez ogień strzelającej na oślep artylerii przeciwlotniczej, zboczyły z kursu; eksplozja jednego z nich zniszczyła dwa domy i zerwała część dachowego poszycia pobliskiego meczetu. Zniszczenia te zostały pokazane światu w popołudniowych relacjach z Bagdadu. Druga rakietą spadła na nie zabudowany teren i pozostawiła tam wielki krater. Późnym popołudniem na dnie krateru natrafiono na zmasakrowane ciało kobiety, która zapewne miała nieszczęście znaleźć się przypadkowo w pobliżu miejsca wybuchu.

Ponieważ naloty trwały także w ciągu dnia, sanitariusze pośpiesznie zawinęli ciało w koc, zawieźli do najbliższego szpitala i zostawili je w kostnicy. Tak się złożyło, że w szpitalu tym jeszcze do wczoraj mieścił się jeden z ośrodków dowodzenia Irackich Sił Powietrznych; po bombardowaniu niemal wszystkie łóżka zostały zajęte przez ludzi, którzy odnieśli rany tej nocy, w kostnicy zaś leżały zwłoki ofiar nalotu. Młoda kobieta nie była więc jedyną osobą, jaką zajął się miejscowy anatomopatolog. Ponieważ przywieziono wiele ciał, pracował szybko i pobieżnie. Miał jedynie zidentyfikować zwłoki i ustalić przyczyny śmierci. W mieście bez przerwy rozlegały się kolejne eksplozje, wyły syreny i trwała kanonada, więc w każdej chwili należało się spodziewać kolejnego

transportu trupów. Nie było czasu na przeprowadzanie dokładnych badań.

Patologa zdziwiło jednak, że jedyną osobą cywilną, jaka trafiła na jego stół, okazała się właśnie ta kobieta. Miała około trzydziestu lat i za życia musiała być bardzo atrakcyjna; pył, pokrywający jej zakrwawione ciało oraz miejsce, w którym je znaleziono, wskazywały na to, że prawdopodobnie uciekała przed nalotem, kiedy niedaleko od niej eksplodował pocisk raketowy, zabijając ją na miejscu. Lekarz zapisał wszystko w odpowiedniej rubryce, po czym zajrzał do torebki, dostarczonej do kostnicy razem ze zwłokami.

W torebce, oprócz kosmetyków, znajdowały się także dokumenty. Ustaliwszy, że kobieta nazywała się Lajla Al-Hilla i że zginęła w wyniku eksplozji amerykańskiej rakiety, zapracowany lekarz zajął się kolejnymi zwłokami.

Gdyby wówczas, 17 stycznia, miał więcej czasu i przeprowadził dokładne badanie anatomopatologiczne, przekonałby się, że kobieta najpierw została wielokrotnie i w brutalny sposób zgwałcona, potem pobita na śmierć, a dopiero po kilku godzinach jej ciało wrzucono do leja po wybuchu.

Generał Abd Allah Kadiri wrócił ze swego urządzonego z przepychem gabinetu w gmachu Ministerstwa Obrony dwa dni wcześniej, niż początkowo zamierzał. Doszedł do wniosku, że nie ma sensu ginąć pod gruzami. Jak przypuszczał, budynek ministerstwa będzie jednym z pierwszych, które zostaną zbombardowane przez Amerykanów. Okazało się, że miał całkowitą rację.

W swojej luksusowej willi czuł się zupełnie bezpiecznie, gdyż podejrzewał, że nie trafiła ona na listę celów przygotowaną przez zachodnich analityków. W tej kwestii także się nie mylił. Willa już dawno temu została wyposażona we własną centralę łączności, obsługiwaną przez ludzi z ministerstwa. Generał mógł w każdej chwili skontaktować się z dowolną jednostką pancerną w okolicach Bagdadu, a to dzięki gęstej sieci światłowodowych połączeń, jakie znajdowały się poza zasięgiem bomb nieprzyjaciela. Przez radio musiał rozmawiać jedynie z dowódcami bardziej oddalonych oddziałów – rzecz jasna, również z tymi, które stacjonowały w Kuwejcie.

Jednak teraz, kiedy nad Bagdadem zaczął zapadać zmierzch, oznaczając zbliżanie się końca pierwszego dnia wojny, generał Kadiri nie zastanawiał się, w jaki sposób nawiązać łączność ze swoimi jednostkami pancernymi ani jakie wydać im rozkazy. Dowódcy czołgów doskonale wiedzieli, że nie mogą brać udziału w wojnie powietrznej, skoncentrowali się więc na zamaskowaniu swoich pojazdów, aby polujące na nie samoloty wroga ich nie odnalazły. Generał Kadiri martwił się o własne bezpieczeństwo, ale bynajmniej nie dlatego, żeby obawiał się Amerykanów.

Dwa dni, a właściwie dwie noce temu wstał z łóżka i zataczając się pod wpływem alkoholu, którego jak zwykle wchłonał niemałą ilość, poszedł do łazienki, by ulżyć nabrzmałemu pęcherzowi. Drzwi były zamknięte, więc napał na nie całym ciężarem blisko 100-kilogramowego ciała. Delikatna zasuwka ustąpiła i drzwi otworzyły się z hukiem.

Abd Allah Kadiri z pewnością nie należał do ludzi inteligentnych, ale po to, by odbyć długą drogę ze slumsów Tikrit aż do stanowiska naczelnego dowódcy irackich sił pancernych, wspiać się niemal na szczyt po zdradliwych szczeblach drabiny władzy w partii Ba's i zająć jedno z najważniejszych miejsc w Radzie Dowództwa Rewolucji, musiał być obdarzony zwykłym zwierzęcym sprytem.

Przez chwilę przyglądał się w milczeniu swojej kochance, która,

owinięta prześcieradłem kąpielowym, siedziała na toalecie z długopisem zawieszonym nad kartką cienkiego papieru i ustami ułożonymi w wielkie, przerażone O, po czym jednym szarpnięciem poderwał ją na nogi i rąbnął pięścią w szczękę. Najpierw przeczytał zapiski, potem ocucił kobietę, wylewając jej na głowę zawartość wiadra z wodą, następnie zaś wezwał przez telefon Kamala i polecił mu zabrać dziwkę do piwnicy. Kadiri jeszcze kilka razy czytał notatkę napisaną ręką Lajli. Gdyby zawarte tam szczegóły dotyczyły jego życia osobistego i miały stanowić podstawę szantażu, machnąłby ręką i po prostu kazał ją zabić. Doskonale zdawał sobie sprawę, że każda próba szantażu musiałaby zakończyć się fiaskiem, gdyż w porównaniu z niektórymi bliskimi współpracownikami raisa był niewinny jak dziecko. Poza tym, ra'is nie przywiązywał wagi do takich błahostek. Tutaj jednak w grę wchodziło coś znacznie poważniejszego. Mówił tej zdzirze o wszystkim, co działo się w rządzie i dowództwie sił zbrojnych, ona zaś najwyraźniej przekazywała komuś te informacje. Musiał koniecznie dowiedzieć się od jak dawna, a przede wszystkim komu.

Najpierw, za zgodą przełożonego, Kamal dał upust swojemu długo tłumionemu pożądanemu. Zajęło mu to kilka godzin, a kiedy skończył, nikt nie domyśliłby się, że Lajla Al-Hilla była kiedyś piękną kobietą. Kamal wydobyl z niej wszystko co wiedziała, potem zaś bawił się nią jak kot myszą, aż wreszcie wyzionęła ducha. Nie ulegało wątpliwości, że nie znała człowieka, któremu sprzedawała uzyskane od Kadiriego informacje, ale wiele wskazywało na to, iż jest nim Hasan Rahmani. Spotkania w kościele św. Józefa, kiedy Lajla wymieniała raporty na pieniądze, bez wątpienia zostały przygotowane przez najwyższej klasy profesjonalistę, a Rahmani z pewnością do takich się zaliczał.

Kadiri wcale nie martwił się tym, że był obserwowany; tych, którzy mieli bliższe kontakty z ra'isem, stale obserwowano, a właściwie wszyscy obserwowali siebie nawzajem.

Saddam Husajn ustalił proste i przejrzyste reguły: każdego funkcjonariusza państwowego wysokiej rangi kontrolowało trzech kolegów. Najmniejsze podejrzenie o zdradę oznaczało koniec kariery, a nieradko i życia, dlatego trudno było zawiązać spisek, gdyż należało liczyć się z tym, iż któryś z uczestników powiadomi o nim dyktatora. Co gorsza, każdy musiał strzec się prowokacji zorganizowanej wyłącznie po to, by sprawdzić jego lojalność. Prowokatorem mógł okazać się nawet najbliższy kolega, nie spodziewanie proponując podjęcie działań przeciwko wodzowi. Ten, któremu złożono taką propozycję, był skończony nie tylko wówczas, gdy na nią przystał, ale także wtedy, gdy ją odrzucił, lecz nie zameldował o całej sprawie zwierzchnikom. W związku z tym wszyscy zachowywali wzmoczoną czujność i każdy donosił na każdego.

Tym razem sprawa przedstawiała się jednak nieco inaczej, gdyż Rahmani jest szefem kontrwywiadu. Jeżeli podjął inicjatywę na własną rękę, to co go do tego skłoniło? A jeśli wszystko odbywało się za wiedzą i zgodą prezydenta?...

Kadiri rozpaczliwie usiłował sobie przypomnieć, o czym rozmawiał z tą ladacznicą. Na pewno popełnił wiele niedyskrecji, ale czy zasłużył na miano zdrajcy?

Ciało zostawili w piwnicy aż do nalotu. Nad ranem Kamal wrzucił je do leja po raketowym pocisku, który spadł na nie zabudowany teren w pobliżu willi. Na żądanie generała umieścił tam także torebkę; niech ten drań Rahmani dowie się, jaki los spotkał jego szpiega!

Minęła już północ, a generał Abd Allah Kadiri wciąż nie zmrudył oka, wychylając jedna za drugą kolejne szklaneczki araku.

Jeśli Rahmani wziął się do tego sam, wykończy sukinsyna. Ale co zrobić, jeśli działał w zмовie z innymi? Kadiri doszedł do wniosku, że musi być wyjątkowo ostrożny, znacznie bardziej niż do tej pory. Koniec z wieczornymi wypadami do miasta. Zresztą teraz, kiedy trwały naloty, i tak musiałyby tego zaprzestać.

Simon Paxman wrócił do Londynu, gdyż jego obecność w Rijadzie nie miała najmniejszego sensu. Choć Jerycho jeszcze o tym nie wiedział, CIA zerwała z nim współpracę, Mikę Martin zaś musiał pozostać w Bagdadzie, czekając na sposobność, by wydostać się na pustynię, odszukać motocykl i bezpiecznie przekroczyć granicę.

Paxman mógł później z czystym sumieniem przysiąc, że jego spotkanie z doktorem Terryem Martinem było czysto przypadkowe. Naturalnie wiedział, że doktor Martin mieszka w Bayswater, podobnie jak on sam, ale jest to duża dzielnica z wielką liczbą sklepów.

Ponieważ zastał puste mieszkanie, a co gorsza, pustą lodówkę – żona wyjechała do chorej matki, gdyż nie spodziewała się, że Simon tak szybko wróci do domu – 18 stycznia wieczorem poszedł po zakupy do supermarketu przy Westbourne Grove. Na skrzyżowaniu alejek biegnących między rzędami regałów jego wózek wpadł na wózek Terry'ego Martina. Obaj mężczyźni nie ukrywali zaskoczenia.

– Czy wolno mi przyznać się, że cię znam? – zapytał uczony z zakłopotanym uśmiechem.

W obu alejkach oprócz nich nie było żywego ducha.

– Czemu nie? – odparł Paxman. – Przecież jestem tylko skromnym urzędnikiem państwowym robiącym zakupy w ogólnie dostępnym supermarkecie.

Wspólnie podeszli do kasy, a następnie uznali, że chyba lepiej będzie wybrać się razem na kolację do hinduskiej restauracji, niż samotnie pichcić coś w domu. Wyglądało na to, że Hilary także przebywa poza Londynem.

Rzecz jasna, Paxman nie powinien tego robić. Nie powinien nawet odczuwać wyrzutów sumienia z powodu, że starszy brat Terry'ego Martina znalazł się w niebezpieczeństwie i że właśnie on, Simon Paxman, wraz z paroma innymi osobami był za to odpowiedzialny. Nie powinien dostrzec nic niewłaściwego w tym, że pełen zaufania uczony jest święcie przekonany, iż jego brat siedzi bezpieczny jak u Pana Boga za piecem w jakiejś bazie w Arabii Saudyjskiej. Wszystkie podręczniki sztuki szpiegowskiej zakazują funkcjonariuszom wywiadu przejmować się takimi sprawami... a mimo to Paxman się przejął.

Poza tym, nie dawała mu spokoju jeszcze jedna sprawa: Steve Laing, jego bezpośredni przełożony z Century House, nigdy nie był w Iraku. Specjalizował się w Egipcie i Jordanii. Paxman znał Irak i mówił po arabsku – naturalnie nie tak znakomicie jak Mikę Martin, ale ten stanowił przecież wyjątek. Wystarczająco dobrze jednak znał kraj i język, aby podczas kilku wizyt, jakie złożył w Iraku, zanim jeszcze zaczął sprawować swoją funkcję w SIS, nabrać ogromnego szacunku dla wiedzy tamtejszych uczonych i umiejętności inżynierów. Dla nikogo nie było tajemnicą, że właśnie Irakijczycy należeli do najlepszych absolwentów wielu brytyjskich uczelni technicznych.

Od chwili, kiedy jego przełożeni stwierdzili stanowczo, że ostatni raport Jerycha stanowi jedynie stek bzdur, Paxmana dręczyło podejrzenie, czy jednak, na przekór wszystkim poszlakom, Saddamowi nie udało się wyprodukować broni atomowej w znacznie krótszym czasie, niż przewidywali zachodni naukowcy.

Walczył ze sobą aż do chwili, kiedy na stole zjawił się posiłek otoczony wianuszkami naczyń z najrozmaitszymi przyprawami, bez których nie sposób sobie wyobrazić żadnego hinduskiego dania, po

czym wreszcie podjął decyzję.

- Posłuchaj, Terry: jeżeli o tym, co ci teraz powiem, dowie się ktokolwiek poza nami dwoma, następnego dnia nie będę miał po co iść do pracy.

Martin spojrział na niego ze zdziwieniem.

- To brzmi bardzo groźnie. Dlaczego tak uważasz?

- Ponieważ oficjalnie zakazano mi dalszych kontaktów z tobą. Uczony właśnie miał zamiar nałożyć sobie na talerz nieco ostrego sosu korzennego, ale znieruchomiał z łyżką w wyciągniętej ręce.

- Czyżbym przestał być godny zaufania? Przecież się nie prosiłem. To Steve Laing namówił mnie do współpracy.

- Nie o to chodzi. Po prostu... za bardzo się przejmujesz. Paxman uznał, że lepiej się stanie, jeżeli nie zacytuje Lainga, który użył określenia "zawracać dupę".

- Możliwe, ale to sprawa charakteru. Uczeni nie znoszą zagadek, które wydają się nie mieć rozwiązania. Zastanawiamy się nad nimi tak długo, aż wreszcie dostrzegamy ukryty sens. Masz na myśli ten zwrot użyty w przechwyconej rozmowie?

- Między innymi.

Paxman wybrał kurczaka z ryżem, Martin natomiast odważnie zdecydował się na znacznie ostrzej przyprawione vindaloo. Dzięki doświadczeniu wyniesionemu z Bliskiego Wschodu wiedział, że należy zamówić do tego gorącą czarną herbatę, nie zaś zimne piwo, które w połączeniu z przyprawami jedynie wzmacnia pragnienie. Podniósł naczynie do ust i spojrział na Paxmana.

- Dobra, co to za niesamowicie ważne wyznaczenie?

- Dasz mi słowo, że nikomu o tym nie powiesz?

- Oczywiście.

- Przechwyciliśmy jeszcze jedną rozmowę.

Paxman nie miał najmniejszego zamiaru informować Martina o Jerychu. Grono osób wiedzących o istnieniu agenta było bardzo wąskie i tak powinno pozostać.

- Mogę jej posłuchać?

- Nie, i nie prosz o to Seana Plummera, bo zaprzeczy, że coś takiego w ogóle istnieje, ale za to bez trudu domyśli się, skąd się o tym dowiedział.

Martin pociągnął kolejny łyk herbaty, by przepłukać gardło po piekącym curry.

- Czego dotyczy ta rozmowa?

Paxman opowiadał, a uczony rozluźnił nieco krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli.

- Czy jest jakaś możliwość, żeby to była prawda? - zapytał na koniec funkcjonariusz SIS.

- Nie wiem. Nie jestem fizykiem. Twoi szefowie uznali, że to bzdury?

- Są tego stuprocentowo pewni. Wszyscy specjaliści twierdzą, że coś takiego jest po prostu niemożliwe, z czego należy wysnuć wniosek, że Saddam łże jak pies.

Martin pomyślał w duchu, iż rzekoma "rozmowa radiowa" bardziej przypomina raport z jakiegoś tajnego zebrania.

- Saddam łże bez przerwy, ale zazwyczaj czyni to na użytek zewnętrzny - odparł. - Po co miałyby okłamywać najbliższych współpracowników? Czyżby doszedł do wniosku, że u progu wojny należy nieco podnieść ich morale?

- Tak właśnie uważa nasza "góra".

- Zawiadomili generałów?

- Nie, ponieważ tamci mają tyle roboty, że nie należy zawracać im głowy kompletnymi bzdurami.

- W takim razie, czego właściwie ode mnie oczekujesz?

- Wyjaśnienia, w jaki sposób działa umysł Saddama. Nikt

tego nie wie. Nic z tego, co robi, nie ma dla nas, ludzi Zachodu, najmniejszego sensu. Czy to autentyczny wariat?

– Pewnie tak, z tym zastrzeżeniem, że w świecie, który go otacza, jego czyny mają jednak sens. Terror, budzący naszą odrazę, tam ma racjonalne uzasadnienie, podobnie jak groźby i przechwałki. Na całkowitego idiotę wychodzi dopiero wtedy, kiedy próbuje przemówić do nas, Europejczyków i Amerykanów. Wiesz, mam na myśli te koszmarnie propagandowe filmiki – głaszczące tam po główkach angielskie dzieci i udaje dobrodusznego wujaszka. Dla ludzi, którymi rządzi, ważne jest to, że wciąż utrzymuje się u władzy, zachowuje jedność kraju i trwa, podczas gdy jego nieprzyjaciele znikają jeden za drugim.

– Terry, przecież dokładnie teraz, kiedy tu rozmawiamy, jego kraj obraca się w perzynę!

– To nie ma znaczenia. Wszystko można odbudować.

– W takim razie, dlaczego powiedział to, co powiedział?

– A co myślą o tym nasi mędracy?

– Że skłamał.

– Wątpię. Saddam kłamie na użytek publiczny. Nie musi okłamywać tych, których i tak ma w garści. W grę wchodzi tylko dwa rozwiązania: albo Saddam wcale tego nie powiedział, albo powiedział dlatego, że uważa, iż mówi prawdę.

– Czyżby jego ktoś okłamał?

– Całkiem możliwe. Ktokolwiek to był, drogo za to zapłaci, kiedy sprawa się wyda. Poza tym, cała ta rozmowa mogła zostać nadana specjalnie, żebyście ją przechwycili.

Paxman nie mógł powiedzieć, że wiadomość nie pochodzi z nasłuchu elektronicznego, tylko od agenta, który w ciągu trwającej dwa lata współpracy z Izraelczykami i trzymiesięcznej z Amerykanami nigdy nie dostarczył fałszywej wiadomości ani się nie pomylił.

– Zdaje się, że mimo wszystko masz pewne wątpliwości? – zagadnął Martin.

– Chyba tak – przyznał Paxman.

Uczony westchnął głęboko.

– To wszystko zdźbła tańczące na wietrze, Simon. Jakaś rzucona mimochodem uwaga, jedna czy dwie wypowiedzi Saddama... Potrzebujemy kawałka sznurka.

– Sznurka?

– Z rozsypanej słomy można zrobić solidną belę tylko wtedy, jeżeli ma się kawałek sznurka. Albo on rzeczywiście przez cały czas mówi o czymś innym, albo twój szefowie mają rację i w grę wchodzi jedynie gaz, którym już dysponuje.

– W porządku, poszukam tego sznurka.

– A ja nie spotkałem cię dziś wieczorem i nie przypominam sobie, żebym od ładnych paru dni zamienił z tobą choć słowo.

-- Dzięki – powiedział Paxman.

Hasan Rahmani dowiedział się o śmierci Lajli Al-Hilli dwa dni po fakcie, to znaczy 19 stycznia. Kiedy nie zjawiła się na umówione spotkanie, ogarnięty niedobrymi przeczuciami sprawdził wszystkie kostnice.

Co prawda kobieta została już pochowana we wspólnym grobie wraz z ofiarami ataku na centrum dowodzenia, ale wszystkie niezbędne informacje znajdowały się w szpitalnej dokumentacji. Gdyby Hasan Rahmani wierzył w duchy, być może uwierzyłby także w to, że jego agentka padła ofiarą zabłąkanej rakiety, kiedy szła ciemną nocą przez odkryty teren w jednej z centralnych dzielnic miasta. Jedynymi duchami, jakie unosiły się nad Bagdadem, były niewidzialne amerykańskie bombowce, które naprawdę nie miały nic wspólnego ze światem zjaw i upiórów, stanowiły bowiem produkt zaawansowanej techniki i ludzkich umysłów. Śmierć Lajli Al-Hilli także musiała zostać spowodowana przez bardziej

przyziemne przyczyny.

Jedyny logiczny wniosek, jaki się nasuwał, to, że Kadiri odkrył, czym naprawdę zajmuje się jego kochanka i położył temu kres, co z kolei oznaczało, że zanim ją zabił, najpierw zmusił do mówienia. Tym samym stał się potężnym i groźnym przeciwnikiem, a co gorsza, odciął Rahmaniemu dostęp do informacji o tym, co dzieje się na najwyższych szczeblach drabiny władzy.

Gdyby Hasan Rahmani wiedział, że generał Kadiri ma co najmniej tyle samo powodów do obaw, co on, z pewnością byłby zachwycony. Niestety, nie miał o tym pojęcia. Uznał więc, że teraz musi zachowywać daleko idącą ostrożność.

Drugiego dnia wojny powietrznej Irak wystrzelił pierwszą salwę pocisków raketowych w kierunku Izraela. Dziennikarze natychmiast zidentyfikowali je jako radzieckie scudy-B i nazwa ta była używana aż do końca działań wojennych, mimo iż prawda przedstawiała się nieco inaczej.

Decyzja o podjęciu ostrzału została podjęta po głębokim namyśle. Władze Iraku doszły do całkowicie słusznego wniosku, że Izrael z pewnością nie pogodzi się tak łatwo z dużymi stratami wśród ludności cywilnej. Istotnie – kiedy pierwsze pociski spadły na przedmieścia Tel-Awiwu, rząd Izraela natychmiast ogłosił, że znajduje się w stanie wojny z Irakiem. Bagdadowi o to właśnie chodziło.

W skład liczącej pięćdziesiąt krajów koalicji wchodziło także siedemnaście państw arabskich. Łączyła je – naturalnie oprócz uczestnictwa w koalicji i wiary w Allaha – tylko nienawiść do Izraela. Irak miał nadzieję – chyba słuszną – że jeśli zdoła sprokocować Izrael do zbrojnego wystąpienia, wówczas kraje arabskie wycofają swoje wojska. Nawet król Fahd, władca Arabii Saudyjskiej i strażnik dwóch świętych miast, nie będzie miał wyboru. Gdyby rakiety zostały uzbrojone w głowice zawierające gaz lub bakterie i wirusy groźnych chorób – czego najbardziej się obawiano – z pewnością nikt ani nic nie zdołałoby powstrzymać Tel-Awiwu przed odwetem. Na szczęście bardzo szybko okazało się, że pociski uzbrojono w tradycyjne głowice z materiałem wybuchowym, ale i tak efekt psychologiczny ostrzału był ogromny.

Stany Zjednoczone natychmiast poczęły wywierać nacisk na rząd Izraela, przekonując go, by zaniechał kontrataku. Premier Icchak Szamir otrzymał solenne zapewnienia, że wszystkim zajmą się alianci. Co prawda izraelskie F-15 wystartowały z lotnisk, ale otrzymały rozkaz powrotu jeszcze przed opuszczeniem przestrzeni powietrznej swojego kraju.

Oryginalne scudy to przestarzałe radzieckie rakiety, których 900 sztuk Irak kupił przed kilku laty. Miały zasięg 300 kilometrów, maksymalny ciężar głowicy wynosił zaś około 500 kilogramów. Nie były sterowane i nie dysponowały zbyt imponującą celnością, gdyż przy maksymalnym zasięgu mogły spaść nawet kilometr od celu. Z punktu widzenia Bagdadu użyteczność tych rakiet praktycznie równała się zeru. Nie mogły osiągnąć Teheranu podczas wojny iracko-irańskiej, z pewnością też nie doleciałyby do Izraela, nawet gdyby wystrzelono je z wysuniętego najdalej na zachód skrawka irackiej ziemi.

Jednak inżynierowie znad Tygrysu i Eufratu wzięli się ostro do pracy i w szybkim tempie, przy wydatnej pomocy Niemców, osiągnęli zdumiewające, choć zarazem dość karykaturalne rezultaty. Pocięli wszystkie scudy na kawałki, po czym z każdych trzech starych rakiet zbudowali dwie nowe, nadając im nazwę Al-Husajn. Dzięki zwiększeniu pojemności zbiorników paliwa zasięg wzrósł do 620 kilometrów, toteż w promieniu rażenia znalazły się zarówno Teheran, jak i Tel-Awiw, lecz jednocześnie ciężar głowicy zmalał do żałosnych 80 kilogramów, celność zaś, która nigdy nie

należała do mocnych punktów tej broni, stała się wręcz symboliczna. Najlepszym dowodem niech będzie fakt, że dwie spośród rakiet wystrzelonych w pierwszej salwie nie tylko nie trafiły w Tel-Awiv, ale w ogóle nie doleciały do Izraela i spadły w Jordanii.

Mimo to ostrzał odniósł pożądany skutek psychologiczny. Chociaż łączna masa głowic wszystkich rakiet Al-Husajn, którym udało się dolecieć do Izraela, była mniejsza od masy jednej amerykańskiej 1000-kilogramowej bomby, których cała lawina spadła na Irak, ludność Tel-Awihu oraz innych miast ogarnęła panika.

Ameryka zareagowała na trzy sposoby. Po pierwsze, piloci tysiąca alianckich maszyn otrzymali nowe rozkazy: mieli szukać stacjonarnych wyrzutni rakiet ulokowanych w zachodniej części Iraku oraz polować na znacznie trudniejsze do wykrycia wyrzutnie ruchome.

Po drugie, w ciągu kilku godzin wysłano do Izraela baterie przeciwlotniczych pocisków patriot; ich zadanie polegało nie tylko na zestrzeliwaniu irackich rakiet, ale także - a może przede wszystkim - na powstrzymaniu Izraelczyków przed włączeniem się do wojny.

Po trzecie, brytyjskie oddziały SAS, a nieco później także amerykańskie Zielone Berety, zostały przerzucone na terytorium Iraku, by tam wyszukiwać wyrzutnie i albo niszczyć je za pomocą granatów przeciwpancernych, albo informować drogą radiową o ich dokładnym usytuowaniu.

Patrioty, mimo iż okrzyknięte zbawieniem ludzkości, tak naprawdę nie odniosły większych sukcesów, zresztą nie ze swojej winy. Raytheon skonstruował je po to, by strącały samoloty, a nie rakiety* teraz zaś trzeba było błyskawicznie przystosować je do nowego zadania. Aż do końca wojny nie udało się jednoznacznie ustalić, dlaczego prawie nigdy nie trafiały w spadającą ku ziemi głowicę. Tymczasem sprawa okazała się bardzo prosta.

Kiedy Irakijczycy zbudowali na bazie radzieckiego scuda raketę Al-Husajn, zwiększyli nie tylko jej zasięg, ale także pułap lotu. Opadając ku ziemi pocisk musiał pokonać niemal całą grubość atmosfery, rozgrzewając się przy tym do czerwoności. Konstruktorzy oryginalnego scuda nie przewidzieli, że pancierz będzie wystawiony na działanie aż tak wysokiej temperatury, w związku z czym w pewnej chwili rakietę po prostu rozpadała się na części i do celu zmierzał nie jeden pocisk, ale sterta rozżarzonego złomu.

Zbliżający się patriot na chwilę "głupiał", potem zaś jego mały mózdzek podejmował najmądrzejszą decyzję z możliwych: kierował pocisk ku największemu obiektowi, którym zazwyczaj był pusty już zbiornik paliwa. Znacznie mniejsza od zbiornika głowica zawierająca materiał wybuchowy leciała spokojnie dalej. Na szczęście większość w ogóle nie wybuchła, zniszczenia zaś, jakie powstały w zabudowie, spowodowały głównie uderzenia masy poskręcane, osmalonego metalu.

Jeżeli tak zwane scudy stanowiły doskonałe narzędzie terroru psychologicznego, to patrioty znakomicie spełniły rolę psychologicznego placebo.

Zaraz po pierwszym irackim ataku na Tel-Awiv Stały/Zjednoczone zawarły z Izraelem tajne, trzypunktowe porozumienie.

W punkcie pierwszym Ameryka zobowiązała się dostarczyć system obrony przeciwrakietowej "Patriot" - naturalnie za darmo. W punkcie drugim obiecała wymienić go na znacznie nowocześniejszy system "Arrow", co miało nastąpić zaraz po zakończeniu prac badawczych nad tą bronią, czyli najpóźniej w 1994 roku. W punkcie trzecim Izrael zapewnił sobie prawo

wybrania stu dodatkowych celów, które zostaną zniszczone przez alianckie lotnictwo. Cele te - drogi, mosty i lotniska - w większości znajdowały się w najbardziej interesującej Izrael, zachodniej części Iraku. Ze względu na swoje położenie geograficzne żaden z nich nie miał najmniejszego związku z operacją wyzwolenia Kuwejtu.

Piloci amerykańskich i brytyjskich myśliwców bombardujących, które otrzymały zadanie tropienia i niszczenia wyrzutni scudów, po każdym locie meldowali o celnych trafieniach. Jednak meldunki te, ku narastającej wściekłości generałów Hornera i Schwarzkopfa, były traktowane przez ludzi z CIA ze sporym sceptycyzmem.

Dopiero dwa lata po wojnie Waszyngton przyznał, że ani jedna ruchoma wyrzutnia scudów nie została zniszczona w wyniku ataku z powietrza. Oświadczenie to po dziś dzień doprowadza do białej gorączki pilotów biorących udział w tamtych wydarzeniach, ale prawda przedstawia się w ten sposób, że wszyscy oni padli ofiarami doprowadzonej do perfekcji sztuki kamuflażu.

Południowe pustynie Iraku przypominają stół bilardowy, zachodnie i północno-zachodnie rejony tego kraju są natomiast skaliste i niedostępne, poprzecinane tysiącami wąwozów i koryt wyschniętych strumieni. Taki właśnie teren musiał pokonać Mikę Martin, kiedy podążał ku Bagdadowi. Na długo przed wojną Irakijczycy przygotowali mnóstwo fałszywych wyrzutni, po czym, tak jak prawdziwe, rozmieścili je na niegościnnych obszarach. Zazwyczaj składały się z długiej metalowej rury, wykonanej na przykład z pustych beczek z wyciętymi dnami, zamontowanej na podwoziu starej ciężarówki. Rankiem wystarczyło zapalić u wylotu rury belę bawełnianych pakuł nasączonych benzyną, by czujniki w krążących nad Zatoką samolotach AWACS wykryły źródło ciepła i zameldowały o wystrzeleniu rakiety. Współrzędne wykrytej "wyrzutni" przekazywano pilotom myśliwców bombardujących, które natychmiast ruszały we wskazanym kierunku. Atrapa przestawała istnieć, piloci zaś meldowali o przeprowadzeniu kolejnego, zakończonego pełnym sukcesem, ataku.

Ludzi z SAS nie dało się tak łatwo oszukać. Choć było ich niewielu, nie zważając na doskwierający za dnia upał i gryzący chłód nocy przemierzali pustynię w land-roverach i na motocyklach. Z odległości 200 metrów bez trudu mogli stwierdzić, co jest prawdziwą wyrzutnią, a co tylko blaszaną atrapą.

Kiedy z podziemnych schronów, wydrążonych w górach tuneli oraz spod mostów i wiaduktów wyłaniały się prawdziwe rakiety, żołnierze SAS uważnie przyglądali im się przez lornetki. Jeżeli dokoła wyrzutni kręciło się zbyt wielu Irakijczyków, Brytyjczycy spokojnie zywali przez radio samoloty, jeżeli zaś uznali, że nie ma takiej potrzeby, załatwiali sprawę za pomocą własnych granatników przeciwpancernych. Za każdym razem nie mogli wyjść z podziwu, ile huku potrafi uczynić eksplodujący zbiornik paliwa rakiety Al-Husajn.

Bardzo szybko udało się ustalić przebieg niewidzialnej linii biegnącej przez pustynię; rakiety wystrzelwane z miejsc położonych na zachód od tej linii mogły osiągnąć terytorium Izraela, te zaś, które wystrzelono z wyrzutni ustawionych na wschód od niej, nie miały na to żadnych szans. Natychmiast zastosowano bardzo prostą, lecz, jak się okazało, skuteczną taktykę, polegającą na terroryzowaniu irackich żołnierzy obsługujących wyrzutnie, tak by nie odważyli się przekroczyć niewidzialnej linii, tylko odpalali rakiety z miejsc położonych na wschód od niej. Celu tego udało się dopiąć po ośmiu dniach; ataki na Izrael ustały i nie wznowiono ich do końca wojny.

Później dokonano innego podziału: szosa łącząca Bagdad

z Jordanią stała się granicą między Terytoriami Północnymi, gdzie na scudy polowały amerykańskie Siły Specjalne wyposażone w śmigłowce dalekiego zasięgu, a Terytoriami Południowymi, gdzie działali ludzie z SAS. Podczas tej operacji straciło życie czterech znakomych żołnierzy, ale ich koledzy wywiązali się bez zarzutu z zadania, którego nie mogły spełnić najnowsze cuda techniki warte wiele miliardów dolarów.

Czwartego dnia wojny powietrznej, to znaczy 20 stycznia, 336. Dywizjonu nie wyznaczono do polowania na scudy. Zadanie, jakie otrzymali piloci, polegało na zniszczeniu dużej baterii rakiet przeciwlotniczych usytuowanej na północny zachód od Bagdadu oraz dwóch dużych radarów, które wskazywały cele i kierowały lotem pocisków.

W ciągu pierwszych trzech dni wojny maszyny generała Hornera zniszczyły niemal wszystkie bazy rakietowe i radary na południe od Bagdadu. Teraz przyszła pora na instalacje położone na wschód, zachód i północ od stolicy. |

20 stycznia miał być dla 336. Dywizjonu bardzo pracowitym dniem, gdyż piloci musieli przeprowadzić nie jedną, a kilka misji. Dowódca jednostki, pułkownik Steve Turner, wyznaczył do ataku na bazę rakietową grupę dwunastu maszyn. W lotniczym żargonie taka grupa nazywa się "gorylem".

"Gorylem" dowodził osobiście zastępca pułkownika Turnera. Cztery spośród dwunastu F-15 niosły pod skrzydłami przeznaczone do niszczenia radarów samonaprowadzające się pociski rakietowe oraz inne reagujące na promieniowanie podczerwone. Każda z pozostałych ośmiu maszyn została natomiast uzbrojona w dwie podłużne, lśniącej bomby GBU-10-I, naprowadzane na cel promieniem lasera. Po unieszkodliwieniu radarów właśnie te bomby miały zniszczyć irackie wyrzutnie rakiet.

Nic nie wskazywało na to, że misja może zakończyć się fiaskiem. Samoloty wzbily się czwórkami w powietrze i po osiągnięciu docelowego pułapu 7500 metrów stworzyły luźną formację. Jaskrawobłękitne niebo było zupełnie czyste, a widoczność doskonała. Prognoza pogody dotycząca rejonu, gdzie znajdował się cel, ostrzegała przed porywistym wiatrem, który jednak z pewnością nie osiągnie siły szimale, potrafiącego w ciągu kilku sekund poderwać z ziemi masy piasku i pyłu.

Na południe od granicy Iraku dwanaście myśliwców spotkało się z dwiema powietrznymi cysternami KC-10. Jeden po drugim F-15 zbliżały się od tyłu do wielkich, pękających maszyn, a usadowiony w przeszklonej kabinie w ogonie cysterny operator kolejno wprowadzał końcówkę przewodu paliwowego do otwartych wlewów zainstalowanych w dziobach myśliwców.

Kiedy tankowanie dobiegło końca, cała dwunastka skierowała się na północ, w stronę Iraku. Krążący nad Zatoką AWACS poinformował pilotów, że mają otwartą drogę, bez śladu aktywności samolotów nieprzyjaciela. Na wypadek spotkania z irackimi myśliwcami każdy F-15 miał także dwa rodzaje rakiet klasy powietrze-powietrze: AIM-7 oraz AIM-9, bardziej znane jako sparrow i sidewinder.

Baza rakietowa znajdowała się tam, gdzie powinna, tyle tylko, że nie działał żaden z radarów. Powinny zostać włączone po to, by umożliwić odpalenie rakiet w kierunku zbliżających się intruzów, a wówczas pociski niesione przez cztery F-15 lecące z przodu formacji zniszczyłyby je w ciągu kilku sekund.

Amerykanie nigdy nie dowiedzieli się, czy iracki dowódca tak bardzo bał się o swoją skórę, czy też okazał się wyjątkowo przebiegły. Tak czy inaczej, radary milczały. Czwórka myśliwców, prowadzona przez dowódcę misji, zniżyła prowokująco lot, ale bez rezultatu.

Ponieważ radary pozostały nietknięte, osiem maszyn wyposażonych w bomby burzące nie mogło przeprowadzić ataku na bazę raketową; gdyby radary nagle ożyły, irackie pociski rozniosłyby na strzępy bezbronne F-15.

Po dwudziestu minutach spędzonych na bezowocnym krążeniu nad celem atak został odwołany, formacja rozproszyła się zaś, gdyż piloci skierowali maszyny ku celom rezerwowym. Don Walker szybko skonsultował się z Timem Nathansonem, który siedział za jego plecami. Celem zastępczym na dzień dzisiejszy była stacjonarna wyrzutnia scudów na południe od Samarry; amerykańskie myśliwce bombardujące często odwiedzały ten rejon, gdyż znajdowała się tam wielka fabryka gazów bojowych.

AWACS potwierdził, że z dwóch największych irackich baz w tym rejonie, to znaczy Samarry i Balad, nie wystartował ani jeden nieprzyjacielski samolot. Don Walker wezwał swojego skrzydłowego i dwie maszyny skierowały się ku wyrzutni scudów.

Choć alianccy piloci porozumiewali się między sobą przez radio, to nikt, komu udałoby się przechwycić ich rozmowy, nie zrozumiałby z nich ani słowa, gdyż szyfrowano je za pomocą specjalnego systemu kodującego; program komputerowy sterujący tym systemem zmieniał się codziennie i był wspólny dla wszystkich dywizjonów, niezależnie od kraju ich pochodzenia.

Walker rozejrzał się po bezchmurnym niebie. Skrzydłowy, Randy "R-2" Roberts, trzymał się nieco wyżej i jakieś 800 metrów z tyłu. Tylny fotel w kabinie jego maszyny zajmował nawigator Jim "Boomer" Herry.

Kiedy oba F-15 dotarły w wyznaczone miejsce i obniżyły lot, by dokonać identyfikacji celu, Don Walker stwierdził z wściekłością, że na dole zerwał się szmal, zasłaniając wszystkie szczegóły wirującymi kłębami pustynnego piasku i pyłu. GBU-10-I nie mogą chybić celu pod warunkiem, że są kierowane promieniem lasera emitowanym przez myśliwiec. Po to jednak, żeby skierować promień dokładnie na cel, pilot musi mieć zapewnioną przynajmniej dostateczną widoczność.

Klnąc na czym świat stoi, Walker wprowadził maszynę w szeroki skręt i ruszył w drogę powrotną do bazy. Kończyło się paliwo. Dwa poważne rozczarowania tego samego dnia to stanowczo za wiele! Aż skręcało go na myśl, że wyląduje nie mając na koncie żadnego sukcesu. Niestety, nic nie mógł na to poradzić.

Trzy minuty później dostrzegł w dole ogromny kompleks przemysłowy.

- Co to jest? - zapytał Tima.

Jego nawigator sprawdził na mapie.

- Nazywa się Tarmijja.

- Jezu, ależ to wielkie!

- Aha.

Choć żaden z nich tego nie wiedział, miasteczko przemysłowe Tarmijja składało się z 381 budowli i zajmowało kwadrat o wymiarach 10 na 10 kilometrów.

- Mamy to na liście?

- Nie.

- Wszystko jedno, schodzę. Randy, osłaniaj mi tyłek.

- Dobra.

Walker zmniejszył pułap do 3000 metrów. Niemal dokładnie pośrodku rozległego, zabudowanego instalacjami przemysłowymi obszaru dostrzegł wyjątkowo dużą budowlę, przypominającą rozmiarami kryty stadion piłkarski.

- Przymierzę w to.

- Don, tego nie ma na naszej liście celów!

Walker sprowadził maszynę na 2500 metrów, po czym włączył

laserowy system celowniczy i wymierzył go w potężny budynek. Cyferki migające na wyświetlaczu umieszczonym w wizjerze hełmu informowały go o zmniejszającej się odległości oraz o czasie pozostającym do zrzucenia bomb. Kiedy nadeszła odpowiednia pora, wdusił czerwony przycisk; bomby poszły w dół, ale on nadal utrzymywał maszynę na nie zmienionym kursie, celując dziobem w gigantyczną budowlę.

Czujniki zainstalowane w obu bombach bezbłędnie odnalazły prosty jak strzała strumień laserowego światła i runęły w kierunku, który wskazywał. Obie trafiły w cel, eksplodując nieznacznie poniżej dachu budynku. Kiedy Don Walker dostrzegł błysk wybuchu, poderwał w górę nos maszyny, po czym błyskawicznie wrócił na pułap 5000 metrów. Godzinę później, po jeszcze jednym tankowaniu w powietrzu, on i jego skrzydłowy zameldowali się w bazie Al-Chardż.

Zaraz po trafieniu Don zobaczył tylko oślepiający błysk dwóch eksplozji, potem zaś szybko wznoszącą się kolumnę czarnego dymu. Nie zdążył natomiast zauważyć, że bomby zadziałały jak monstrualny otwieracz do konserw; siła wybuchu odcięła znaczną część dachu, unosząc ją niczym ogromny żagiel. Silny wiatr, który niespodziewanie zerwał się tego ranka, uniemożliwiając zbombardowanie wyrzutni scudów, dopełnił dzieła zniszczenia. Wystarczył jeden gwałtowny podmuch, żeby cały dach oderwał się jak przykrywką od pudełka i poszybował na odległość kilkudziesięciu metrów, siejąc wokół śmiercionośnymi odłamkami poszarpanego metalu.

Natychmiast po powrocie do bazy Don Walker, podobnie jak każdy pilot wracający z akcji, musiał złożyć szczegółowy ustny raport. Zmęczeni lotnicy bardzo nie lubili tego obowiązku, ale nikt nie zamierzał ich od niego zwolnić. "Przesłuchującym" była dywizyjna oficer wywiadu, major Beth Kroger.

Nikt nie twierdził, że akcja zakończyła się pełnym sukcesem, ale wszyscy piloci, z wyjątkiem jednego, zdołali zniszczyć cele rezerwowe. Tym jedynym okazał się oficer uzbrojenia, który lekkomyślnie zrzucił bomby tam, gdzie akurat przyszła mu ochota.

- Dlaczego to zrobiłeś, do wszystkich diabłów? - zapytała Beth Kroger.

- Bo ta buda była bardzo duża i wyglądała jak coś cholernie ważnego.

- W ogóle nie mieliśmy jej na liście celów!

Major Kroger zanotowała dokładne współrzędne oraz opis zniszczonej budowli, po czym przekazała raport Taktycznemu Centrum Kontroli Powietrznej, mieszczącemu się w podziemiach tego samego budynku w Rijadzie, w którym znajdowała się słynna Czarna Dziura.

- Jeżeli okaże się, że to była wytwórnia wody mineralnej albo odżywek dla dzieci, chłopcy z Rijadu dobiorą ci się do dupy - ostrzegła Walkera.

- Wiesz co, Beth? Jesteś śliczna, kiedy tak się wściekasz. Beth Kroger doskonale wiedziała, na czym polega robienie kariery; flirtowała wyłącznie z oficerami w stopniu od podpułkownika wzwyż. Ponieważ tak się złożyło, że w Al-Chardż było ich raptem trzech, w dodatku wszyscy żonaci, uważała, że pracując tutaj traci tylko czas.

- Za wysoko pan mierzy, kapitanie - odparła lodowatym tonem i wyszła, żeby zająć się pisaniem raportu.

Don Walker westchnął ciężko, po czym poszedł do namiotu, by trochę odpocząć. Beth Kroger miała rację: jeżeli okaże się, że zniszczył największy sierociniec na świecie, generał Horner osobiście pozrywa mu belki, żeby używać ich jako wykałaczek.

Tak się jednak złożyło, że nikt nigdy nie powiedział kapitanowi Walkerowi, co właściwie zniszczył tego ranka. W każdym razie, na pewno nie był to sierociniec.

Rozdział szesnasty

Wieczorem tego samego dnia Karim zjawił się na kolacji w mieszkaniu Edith Hardenberg na wiedeńskim przedmieściu Grinzing. Dotarł tam komunikacją miejską, przywożąc ze sobą prezenty: dwie świece wydzielające aromatyczny dym, które postawił na stole i od razu zapalił, oraz dwie butelki dobrego wina. Edith, zaróżowiona i onieśmielona jak nigdy w życiu, otworzyła mu drzwi, po czym szybko wróciła do małej kuchni, gdzie przygotowywała najprawdziwszy wiedeński sznycel. Minęło już dwadzieścia lat od chwili, kiedy po raz ostatni gotowała dla mężczyzny; ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że może to być bardzo ekscytujące zajęcie.

Karim złożył na jej policzku pełen szacunku pocałunek, co sprawiło, że poczuła się jeszcze bardziej zakłopotana, a następnie nastawił płytę z nagraniem "Nabucca" Verdiego. Wkrótce niewielkie mieszkanko wypełnił aromat świec oraz łagodne dźwięki muzyki. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak wynikało z relacji zespołu technicznego, który kilka tygodni wcześniej potajemnie odwiedził mieszkanie panny Hardenberg: skromnie, porządnie i wręcz nieprawdopodobnie czysto. Typowe mieszkanko bardzo schludnej starej panny.

Wreszcie zarumieniona po czubki uszu Edith postawiła kolację na stole, po tyśiąckroć przeprasząc i usprawiedliwiając się za jej nie najlepszą jakoś. Karim odkroił kawałek sznycla, włożył go do ust, po chwili zaś oświadczył, że nigdy w życiu nie jadł nic równie smacznego. Sprawił tym Edith ogromną przyjemność, a rumieniec na jej twarzy zrobił się jeszcze bardziej intensywny. Podczas kolacji rozmawiali o planowanej wizycie w pałacu Schönbrunn i w hiszpańskiej Szkole Jazdy w Hofburgu przy Josefplatz.

Edith jadła elegancko i dokładnie, niczym ptak wydziobujący okruszek za okruszkiem. Włosy miała jak zwykle zaczesane do tyłu i zebrane w ciasny kok.

Przy blasku świec – Karim wyłączył zbyt jasną lampę wiszącą nad stołem – młody Jordańczyk wydawał się jeszcze przystojniejszy. Bez przerwy dolewał jej wina, toteż wypila zbyt wiele. Tylko od wielkiego dzwonu pozwalała sobie na jeden kieliszek alkoholu. Smaczne jedzenie, wino, światła świec, muzyka oraz towarzystwo młodego mężczyzny sprawiło, że Edith zapomniała o zwykłej rezerwie.

Po posiłku Karim pochylił się nad stołem i spojrzał jej prosto w oczy.

– Edith...

– Tak?

– Mogę cię o coś zapytać?

– Jeśli chcesz...

– Dlaczego czesz się w taki sposób?

Było to bardzo osobiste, wręcz impertynenckie pytanie. Kobieta odwróciła wzrok.

– Ja... zawsze tak się czesałam.

Była to nieprawda. Latem 1970 roku, kiedy chodziła z Horstem, gęste, kasztanowe włosy opadały jej swobodnie aż na ramiona, a kiedy pływali łodzią po jeziorze w parku zamkowym w Laxenburgu, wiatr rozwiewał je w potargany obłok.

Karim w milczeniu wstał z krzesła, okrążył stół i zatrzymał się za Edith. Poczuła, jak ogarnia ją panika. To było całkowicie niedorzeczne. Delikatne palce wyjęły spinający kok grzebień. To

musi się natychmiast skończyć! W chwilę potem dwie długie szpilki podzieliły los grzebienia i włosy rozsypały się, opadając na barki. Te same palce ułożyły je w taki sposób, żeby okalały twarz z obu stron.

Karim przesunął się nieco w bok, a ona podniosła głowę i spojrzała na niego. Uśmiechnął się.

- Teraz dużo lepiej. Wyglądasz o dziesięć lat młodziej. Usiądźmy na kanapie. Ty nastawisz swoją ulubioną płytę, a ja zrobię kawę, zgoda?

Nie czekając na odpowiedź ujął ją za ręce i zaprowadził do pokoju, po czym natychmiast wrócił do kuchni. I całe szczęście. Edith nie potrafiła zapanować nad drżeniem, które pojawiło się najpierw w rękach i nogach, potem zaś ogarnęło całe ciało. Przecież to miała być platoniczna przyjaźń... Chociaż, z drugiej strony, nie dotknął jej tak naprawdę. Ma się rozumieć, nigdy w życiu nie pozwoliłaby na coś takiego.

W lustrze wiszącym na ścianie dostrzegła swoje odbicie: zaróżowioną twarz, gęste włosy zakrywające uszy i sięgające do ramion... Przez chwilę odniosła wrażenie, że widzi dziewczynę, którą znała dwadzieścia lat temu.

Z trudem wzięła się w garść i nastawiła płytę z ukochanymi walcami Straussa. Znała każdą ich nutę: "Róże Południa", "Lasek Wiedeński", "Łyżwiarze", "Nad pięknym modrym Dunajem"... Dzięki Bogu, Karim poszedł do kuchni i na szczęście zobaczył, że o mało nie upuściła płyty na podłogę. Poruszał się bardzo pewnie, jakby z góry wiedział, gdzie znajdzie kawę, filtry do ekspresu i cukier.

Wzięła od niego filiżankę i usiadła ze złączonymi kolanami na skraju kanapy. Miała zamiar porozmawiać o koncercie, na który wybierali się w przyszłym tygodniu do Musikverein, ale słowa uwięzły jej w gardle, w milczeniu piła kawę małymi łykami.

- Edith, proszę, nie bój się mnie... - powiedział łagodnie. - Przecież jestem twoim przyjacielem.

- Nie bądź głupi. Oczywiście, że się ciebie nie boję.

- To dobrze. Pamiętaj, że ja nigdy bym cię nie skrzywdził.

Przyjaciel. Tak, oczywiście, są przyjaciółmi. Ich przyjaźń zrodziła się ze wspólnych zainteresowań, z miłości do muzyki, sztuki, opery i kultury. Z całą pewnością nie ma w tym nic więcej. Chociaż, tak niewiele różni przyjaciela od chłopaka... Inne sekretarki pracujące w banku miały mężów albo narzeczonych i często przez cały dzień szykowały się na umówioną randkę, by nazajutrz bez przerwy chichotać po kątach. Wszystkie współczuły jej, że jest taka samotna.

- To "Róże Południa", prawda?

- Tak.

- To mój ulubiony walc.

- Mój też.

Na szczęście rozmowa zeszała na bezpieczniejszy temat.

Niespodziewanie Karim wyjął filiżankę z rąk Edith, odstawił na stół, po czym wstał, i pomógł jej podnieść się z kanapy.

- Co ty...

Ujął prawą dłoń Edith w swoją lewą, silnym ramieniem otoczył jej talię, a w chwilę potem dziewczyna stwierdziła ze zdumieniem, że wiruje na niewielkim skrawku wolnego miejsca między meblami, tańcząc walca.

Gidi Barzilai z pewnością powiedziałby: "Bierz się do roboty, kochasiu, nie trać czasu!", ale co on wiedział? Nic. Najpierw należy zdobyć zaufanie. Karim trzymał prawą rękę wysoko na plecach Edith.

Kiedy tak tańczyli, oddzieleni od siebie zaledwie kilkoma centymetrami powietrza, pomału ścisnął mocniej jej dłoń, jednocześnie stopniowo przyciągając kobietę do siebie. Edith musiała

odwrócić głowę w bok, a wówczas przekonała się ze zdumieniem, że przyciska twarz do jego piersi. Znowu poczuła silny, męski zapach.

Odsunęła się, a on nie oponował, tylko na chwilę uwolnił jej prawą rękę, swoją lewą delikatnie ujął ją pod brodę i zmusił, by zwróciła ku niemu twarz. Potem, nie przerywając tańca, pocałował Edith w usta.

Z całą pewnością nie był to lubieżny pocałunek, gdyż Karim nie uczynił najmniejszej próby, aby rozewrzeć językiem jej usta. Przez głowę Edith przemykały nie sformułowane do końca, pomieszane myśli: bank, Herr Gemutlich, jej reputacja, jego młodość i pochodzenie, różnica wieku, ciepło, wino, zapach, siła, usta... Muzyka umilkła.

Gdyby spróbował czegoś więcej, wyrzuciłaby go z mieszkania. On jednak odsunął twarz, po czym przycisnął jej głowę do piersi. Stali tak bez najmniejszego ruchu przez kilka długich sekund. To ona odwróciła się wreszcie, podeszła do kanapy, usiadła i wpatrzyła się gdzieś przed siebie. Zaraz potem Karim ukląkł przed nią i ujął jej drobne dłonie w swoje, męskie i silne.

– Gniewasz się na mnie, Edith?

– Nie powinieneś być tego robić... – szepnęła.

– Nie chciałem. Przysięgam, że nie chciałem, ale nie mogłem się powstrzymać.

– Będzie chyba lepiej, jeśli już sobie pójdiesz.

– Edith, jeżeli naprawdę masz do mnie żal i chcesz mnie ukarać, to jest tylko jeden sposób, w jaki możesz to zrobić: nie pozwalając mi widywać się ze sobą.

– Czy ja wiem...

– Błagam cię, powiedz, że zobaczysz się ze mną!

– No... chyba tak.

– Gdybyś powiedziała nie, rzuciłbym studia i wrócił do domu.

Nie mógłbym mieszkać w Wiedniu wiedząc, że ty także jesteś w tym mieście.

– Nie bądź niemądry. Musisz się uczyć.

– A więc spotkasz się jeszcze ze mną?

– Spotkam, spotkam.

Pięć minut później wyszedł. Edith wyłączyła światło, przebrała się w skromną bawełnianą koszulę nocną, umyła twarz i zęby, po czym położyła się do łóżka.

Długo leżała w ciemności z szeroko otwartymi oczami i kolanami przyciągniętymi do piersi. Po dwóch godzinach zrobiła znowu coś, czego nie czyniła już od wielu lat: uśmiechnęła się-do siebie w ciemności. Po głowie tłukła się jej dzika myśl, ale Edith nie broniła się przed nią. Mam chłopaka. Jest ode mnie dziesięć lat młodszy, jest studentem, cudzoziemcem, Arabem i muzułmaninem, a mnie to nic, ale to nic nie przeszkadza.

W podziemiach budynku przy Old Airport Road w Rijadzie dyżur na nocnej zmianie pełnił pułkownik Dick Beatty z USAF. Czarna Dziura nigdy nie przerywała działalności, a w pierwszych dniach wojny funkcjonowała nawet na jeszcze wyższych obrotach niż zwykle.

Realizacja znakomitego planu generała Chucka Hornera uległa zakłóceniu, ponieważ znaczna część maszyn, zamiast wykonywać ustalone wcześniej zadania, musiała uganiać się nad pustynią w poszukiwaniu stacjonarnych i ruchomych wyrzutni scudów.

Wszyscy dowódcy o jakim takim doświadczeniu bojowym potwierdzą bez wahania, że podobny los spotyka każdy, choćby najlepszy plan. Kryzys spowodowany atakami raketowymi na Izrael dostarczył więcej problemów, niż można było się spodziewać. Tel-Awiv wrzeszczał na Waszyngton, Waszyngton zaś wrzeszczał na Rijad. Odciągnięcie setek bezcennych maszyn od

ważniejszych zadań i skierowanie ich przeciwko trudnym do odnalezienia wyrzutniom stanowiło cenę, jaką musiał zapłacić rząd Stanów Zjednoczonych za to, że Izrael wstrzymał się z podjęciem kroków odwetowych. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że gdyby Żydzi włączyli się do wojny, dalsze istnienie wielonarodowej koalicji zmontowanej przeciwko Irakowi stałoby się pod znakiem zapytania. Cele wyznaczone do zniszczenia w trzecim dniu wojny powietrznej nie zostały unicestwione z powodu braku samolotów, co natychmiast wywołało efekt domina. O wiele bardziej niepokojący był jednak fakt, że poważne niebezpieczeństwo zawisło nad funkcjonującym do tej pory bez zarzutu systemem kontroli i rejestracji strat zadanych nieprzyjacielowi. Konsekwencje jego ewentualnego niedomagania mogły okazać się bardzo groźne.

Specjaliści z Czarnej Dziury koniecznie musieli znać efekty codziennych bombardowań. Jeżeli jakiś iracki ośrodek dowodzenia, stacja radarowa lub wyrzutnia rakiet znalazły się w dziennym wykazie celów, z pewnością zostały zaatakowane, ale czy zniszczone? A jeżeli tak, to w jakim stopniu? W 10 procentach, 50, czy całkowicie?

Nie było mowy o tym, aby optymistycznie założyć, że bateria rakiet przeciwlotniczych przestała istnieć. Gdyby okazało się inaczej, alianckie samoloty, które nazajutrz przelatywałyby nad tym miejscem, znalazłyby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Dlatego właśnie po każdej misji zmęczeni piloci musieli szczegółowo opowiadać o wszystkim, w co trafili, albo w co wydawało im się, że trafili, następnego dnia zaś inni piloci lecieli nad zniszczone lub uszkodzone cele i dokładnie je fotografowali. Dzięki temu planiści rozpoczynający trzydniowy cykl przygotowań nowego wykazu celów mogli dołączyć do niego także te obiekty, które wymagały ponownych odwiedzin.

20 stycznia, czyli czwartego dnia wojny powietrznej, alianckie lotnictwo nie przystąpiło jeszcze do niszczenia zakładów przemysłowych mających jakiś związek z produkcją broni masowej zagłady, koncentrując się na unieszkodliwianiu nieprzyjacielskich systemów obrony przeciwlotniczej.

Tej nocy pułkownik Beatty posługując się zebranymi przez oficerów wywiadu relacjami pilotów przygotowywał listę miejsc, którym nazajutrz należało zrobić zdjęcia dokumentujące efekty całodziennych nalotów. Około północy już prawie uporał się z zadaniem. Pierwsze rozkazy trafiły już do dywizjonów, aby mechanicy zdążyli przygotować samoloty, które powinny wystartować o brzasku.

– Jeszcze to, panie pułkowniku – zwrócił mu uwagę podoficer Marynarki Wojennej. Pułkownik wziął do ręki raport.

– Jaka znowuż Tarmijja?

– Tak tu jest napisane, panie pułkowniku.

– A gdzie ona jest, do wszystkich diabłów?

– Tutaj, proszę pana.

Beatty spojrział na mapę. Nie przypominał sobie, żeby w tym miejscu znajdowało się coś ważnego.

– Radar? Baza powietrzna? Centrum dowodzenia?

– Nie, panie pułkowniku. Zakład przemysłowy.

Dick Beatty był już bardzo zmęczony, a do końca dyżuru pozostało jeszcze kilka godzin.

– Na litość boską, przecież nie przeszliśmy jeszcze do fabryk! Dajcie mi listę.

Pośpiesznie przebiegł wzrokiem długi wykaz, obejmujący wszystkie znane aliantom instalacje przemysłowe, mające jakikolwiek związek z wytwarzaniem broni masowej zagłady, a także produkujące amunicję, materiały wybuchowe, pojazdy wojskowe oraz części

zamienne do dział i czołgów.

Do pierwszej kategorii należały: Al-Ka'im, Asz-Szarkat, Tuwajsja, Falludża, Hilla, Al-Asir i Al-Furat. Pułkownik nie mógł wiedzieć, że na liście brakowało Raszidijji, gdzie Irakijczycy umieścili drugą kaskadę wirówek służącą uzyskiwaniu czystego uranu. Fabryka ta, którą znacznie później odkryli inspektorzy Organizacji Narodów Zjednoczonych, wcale nie była ukryta pod ziemią, lecz została zamaskowana jako wytwórnia wody mineralnej.

Pułkownik Beatty nie wiedział także, iż w Al-Furat znajdowała się pierwsza kaskada, ta sama, którą niemiecki uczonec, doktor Stemmler, odwiedzał "gdzieś w pobliżu Tuwajsy" - jej dokładne położenie zdradził Amerykanom Jerrycho.

- Nie widzę tu żadnej Tarmijji! - warknął.

- Rzeczywiście, nie ma jej tam, panie pułkowniku.

- Podajcie współrzędne.

Nikt nie oczekiwał od wojskowych analityków, żeby zapamiętali setki arabskich nazw, tym bardziej że czasem jedna nazwa obejmowała nawet do dziesięciu celów. Dlatego też położenie każdego z nich określały współrzędne ustalone dzięki Światowemu Systemowi Pozycyjnemu, wskazujące obrany punkt z dokładnością do 50 metrów. Po zbombardowaniu fabryki w Tarmijji Don Walker zanotował te współrzędne, które następnie major Beth Kroger dołączyła do swego raportu.

- Nie ma go tam! - poskarżył się pułkownik, kiedy sprawdził na mapie punkt, który wskazywały współrzędne. - Nic tam nie ma, żadnego pieprzonego celu! Kto to zbombardował, do jasnej cholery?

- Jakiś pilot z 336. Dywizjonu z Al-Chardż. Nie ze swojej winy nie mógł zbombardować ani celu głównego, ani rezerwowego. Przypuszczam, że po prostu nie chciał wracać do bazy z tą kupą żelastwa pod kadłubem.

- Dureń! - warknął pułkownik. - W porządku, dajcie te namiary do zwiadu lotniczego, ale z najniższym stopniem ważności. Niech nie marnują na to całego filmu.

Głęboko sfrustrowany porucznik Darren Cleary siedział za sterami swojego tomcata na pokładzie lotniskowca USS "Ranger", płynącego pod lekki wiatr z prędkością dwudziestu siedmiu węzłów. Wody północnej części Zatoki Perskiej były zupełnie spokojne, a na niebie już wkrótce miały pojawić się pierwsze promienie słońca. Młody pilot lotnictwa Marynarki Wojennej, zasiadający za sterami jednego z najlepszych myśliwców świata, powinien witać wstający dzień z optymizmem i radością.

Nazywany czasem "obrońcą floty" dwumiejscowy tomcat o charakterystycznej sylwetce, w której najbardziej rzucało się w oczy podwójne usterzenie pionowe, zwrócił na siebie uwagę szerokiej publiczności po tym, jak wystąpił w jednej z głównych ról w filmie "Top Guń". Wielu pilotów marzy, by zająć miejsce w jego kokpicie, a siedząc tam zaledwie tydzień po przeniesieniu nad Zatokę, u progu wspaniale zapowiadającego się dnia, Darren Cleary powinien być bardzo, ale to bardzo szczęśliwy. Przyczyną jego ponurego nastroju stał się fakt, że nie wyznaczono go do misji bojowej, tylko do przeprowadzenia zwiadu fotograficznego, co, jak skarżył się minionego wieczoru zastępcy dowódcy swojego dywizjonu, sprowadzało się do nudnego lotu i wykonania kilkuset zdjęć. Prosił, by pozwolono mu zapolować na irackie MiGi, ale bez rezultatu.

- Ktoś musi to zrobić - usłyszał w odpowiedzi.

Podobnie jak wielu alianckich pilotów, Cleary obawiał się, że po kilku dniach samoloty nieprzyjaciela przestaną pojawiać się na niebie, a tym samym umknie mu niepowtarzalna okazja uczestniczenia w prawdziwej walce powietrznej.

Zaraz po tym, jak obsługa techniczna przetoczyła myśliwiec na katapultę umieszczoną na końcu lekko pochylonego pokładu, kierując jego dziób nieco w bok od osi symetrii "Rangera", za plecami nawigatora ożyły dwa potężne silniki General Electric. Cleary czekał, aż dobiegną końca ostatnie przygotowania; jego lewa ręka spoczywała na manetce ciągu, prawa zaś była zaciśnięta na orczyku. Kiedy wreszcie dostrzegł sygnał, pchnął manetkę do oporu w przód, włączając od razu dopalacz, a katapulta w ciągu trzech sekund rozpędziła ważący 30 ton samolot do 270 kilometrów na godzinę.

Szary, stalowy pokład "Rangera" umknął do tyłu i w bok, w dole mignęła ciemna powierzchnia morza, tomcat zakołysał się przez chwilę, ale jego skrzydła szybko znalazły oparcie w przecinanym z coraz większą prędkością powietrzu i myśliwiec począł błyskawicznie nabierać wysokości, kierując się ku coraz jaśniejszemu niebu. Misja miała trwać cztery godziny, z dwukrotnym tankowaniem. Cleary otrzymał zadanie sfotografowania dwunastu celów, ale nie pozostawiono go samemu sobie. Na znacznie wyższym pułapie w tę samą stronę podążał przed nim A-6 avenger z dwiema kierowanymi promieniem lasera bombami pod kadłubem, na wypadek gdyby tomcat natrafił na stanowiska irackiej artylerii przeciwlotniczej. Z kolei nieco z tyłu, ale szybko zmniejszając odległość, leciał EA-6B prowler uzbrojony w pociski przeznaczone do niszczenia radarów. Gdyby po drodze któraś z maszyn napotkała baterię sterowanych rakiet przeciwlotniczych, najpierw prowler rozprawiłby się z radarem, następnie zaś avenger zrobiłby użytek ze swoich bomb. Gdyby natomiast pojawiły się myśliwce nieprzyjaciela, ich piloci musieliby stawić czoło dwóm tomcatom stanowiącym bezpośrednią ochronę maszyny Cleary'ego. Oba zostały wyposażone w tak precyzyjne i nowoczesne systemy radarowe, że mogły wykryć nie tylko każdą iracką maszynę, ale nawet wystawioną z łóżka nogę irackiego pilota, którego właśnie wyrwał ze snu poranny alarm. Cała ta masa żelastwa i wyrafinowanej technologii miała chronić urządzenie zainstalowane pod kadłubem samolotu Cleary'ego: System Rejestrujący Taktycznego Zwiadu Powietrznego. Umieszczony nieco w bok od podłużnej osi tomcata, System przypominał długą na 5 metrów trumnę o opływowych kształtach, kryjącą w swoim wnętrzu urządzenia optyczne cokolwiek bardziej skomplikowane od turystycznego pentaxa.

W części dziobowej zamontowano wyposażony w silny teleobiektyw aparat, który można było ustawić w dwóch pozycjach: w przód i dół, oraz prosto w dół. Nieco bardziej z tyłu znajdował się drugi aparat, tym razem z szerokokątnym obiektywem, obejmującym obszar bezpośrednio pod samolotem oraz po jego obu stronach. Jeszcze dalej umieszczono kamerę rejestrującą obraz w zakresie promieniowania podczerwonego; jej zadanie polegało przede wszystkim na lokalizowaniu wszelkich źródeł ciepła. Dzięki zainstalowanemu w kabinie monitorowi pilot mógł widzieć to, co uwieczniała na błonie filmowej aparatura Systemu.

Na wysokości 4500 metrów Darren Cleary dołączył do swojej eskorty, po czym niewielka formacja skierowała się ku obszarowi nieco na południe od granicy Iraku, gdzie czekała już na nią powietrzna cysterna KC-135.

Misja przebiegała bez żadnych zakłóceń. Cleary sfotografował jedenaście ważnych celów\ po czym skierował się nad Tarmijję, by uwiecznić dwunasty, drugorzędny znaczenia. Kiedy znalazł się nad ogromnym kompleksem przemysłowym i uruchomił aparaty, zerknął kątem oka na monitor.

- A co to jest, do wszystkich diabłów? - mruknął ze zdumieniem.

Właśnie w tej chwili we wszystkich aparatach skończyły się

750-klatkowe filmy.

Jeszcze jedno tankowanie, jeszcze jedna godzina lotu i tomcat bezpiecznie wylądował na pokładzie "Rangera". Obsługa techniczna natychmiast zdemontowała aparaty, wyjęła filmy i przekazała je do wywołania w okrętowym laboratorium.

Cleary złożył wyczerpujący meldunek dotyczący śmiertelnie nudnej misji, po czym wraz z przesłuchującym go oficerem przeszedł do pomieszczenia sąsiadującego z laboratorium. Na podświetlonym ekranie zaczęły pojawiać się kolejno klatki wywołanego już filmu, pilot zaś wyjaśniał, co przedstawia każde zdjęcie i gdzie zostało wykonane. Oficer wywiadu pilnie notował jego objaśnienia.

Kiedy dotarli do ostatnich dwudziestu klatek, oficer przyjrzał się im ze zdziwieniem, po czym zapytał:

– Co to jest?

– Nie mam pojęcia – odparł Cleary. – Te zdjęcia zrobiłem nad Tarmiją. Pamięta pan, to ten drugorzędny cel, który Rijad dorzucił nam w ostatniej chwili.

– Tak, ale co to za dziwne konstrukcje we wnętrzu tej wielkiej hali?

– Wyglądają jak latające talerze, którymi bawili się jacyś olbrzymi – zauważył niezbyt pewnie Cleary.

Nazwa przyjęła się, gdyż oficer wywiadu umieścił ją w swoim raporcie, wraz z uwagą, że nie ma najmniejszego pojęcia, co to może naprawdę być. Wkrótce potem lockheed S-3 viking zabrał do Rijadu komplet zdjęć wraz z raportami pilota i oficera wywiadu. Darren Cleary wziął jeszcze udział w wielu misjach bojowych, ale nigdy nie udało mu się zmierzyć z nieprzyjacielskim MiGiem; pod koniec kwietnia 1991 wraz z USS "Ranger" wrócił do kraju.

Wolfgang Gemutlich zaczął poważnie niepokoić się o swoją sekretarkę.

Tego ranka wydawała się równie uprzejma i chłodna jak zawsze, do jej pracy zaś nie można było mieć najmniejszych zastrzeżeń, choć Herr Gemutlicha niełatwo zadowolić. Jako człowiek mało spostrzegawczy niczego początkowo nie zauważył, ale kiedy po raz trzeci weszła do jego prywatnego sanctum, by napisać list, odniósł wrażenie, że jednak jest jakby odrobinę inna niż zazwyczaj. Naturalnie nie mogło być mowy o żadnej frywolności ani niefrasobliwości – czegoś takiego nie tolerowałby nawet przez chwilę. W grę wchodziła raczej jakaś niezwykła aura... Dyktując list obserwował ją uważnie, przycupniętą na brzeżku fotela z głową pochyloną nad blokiem papieru.

Tak jak zawsze miała na sobie skromny kostium ze spódnicą sięgającą sporo poniżej kolan. Włosy upięte w ciasny kok z tyłu głowy... Dopiero kiedy weszła do gabinetu po raz czwarty, uzmysłowił sobie z niedowierzaniem, które w chwilę potem zamieniło się w coś w rodzaju przerażenia, że Edith Hardenberg przypudrowała sobie twarz. Odrobinę, ale jednak. Natychmiast upewnił się, czy przypadkiem nie użyła też szminki do ust, ale z ulgą stwierdził, że na szczęście nie.

A może niepotrzebnie się niepokoi? Może po prostu zimny styczniowy wiatr sprawił, że popękały jej drobne naczynia krwionośne wokół nosa, ona zaś przykryła je cienką warstwą pudru?

Okazało się jednak, że to jeszcze nie wszystko.

Oczy. Oby tylko nie tusz do rzęs, um Gotteswillen, żeby to tylko nie był tusz do rzęs! Przyjrząwszy się uważnie stwierdził, że na całe szczęście nie ma ani śladu tuszu. Tylko mu się wydawało.

Dopiero podczas lunchu, kiedy rozpostarł na blacie biurka lnianą serwetkę i rozłożył na niej kanapki, które jak co rano przygotowała Frau Gemutlich, spłynęło na niego olśnienie.

Oczy błyszcząły. Oczy Frdulein Hardenberg błyszcząły! Z pew-

nością nie stało się to za sprawą zimowej pogody, bo przecież już od kilku godzin przebywała w zamkniętym pomieszczeniu. Bankier powoli odłożył nadgryzioną kanapkę; uświadomił sobie, że takie same ogniki dostrzegał w oczach młodszych pracowników banku, kiedy w piątkowe popołudnia szykowały się do domu.

To szczęście. Edith Hardenberg była szczęśliwa. Dało się to dostrzec nie tylko w jej wyglądzie, ale także w tym, jak chodziła i mówiła. Zachowywała się tak od samego rana. I do tego jeszcze ten puder...

Wolfgang Gemutlich zafrasował się głęboko. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że jego osobista sekretarka nie zaczęła nagle szastać pieniędzmi.

Zdjęcia wykonane przez porucznika Darrena Cleary'ego dotarły do Rijadu po południu, wraz z lawiną tysięcy fotografii, które codziennie zasypywały Kwaterę Główną Dowództwa Sił Powietrznych aliantów.

Część zdjęć, obejmujących rozległe obszary, w sumie zaś całe terytorium Iraku, pochodziła z krążących wysoko nad powierzchnią Ziemi satelitów KH-11 i KH-12. Jeżeli nie stwierdzono na nich żadnych zmian w porównaniu z dniem wczorajszym, przekazywano je do archiwum.

Inne fotografie zostały wykonane przez poruszające się na znacznie mniejszych wysokościach samoloty szpiegowskie TR-1. Jeśli dostrzeżono coś interesującego - na przykład przemieszczające się oddziały albo samoloty, które nieopatrznie wyłoniły się z ukrytych hangarów - odbitki trafiały w ręce analityków zajmujących się przygotowywaniem wykazu celów.

Zdjęcia, dostarczone przez tomcata porucznika Cleary'ego, interesowały ludzi dokonujących podsumowania efektów nalotów bombowych. Najpierw przeszły przez Stodołę, to znaczy zespół zielonych namiotów rozstawionych na skraju bazy, potem zaś, dokładnie opisane, trafiły do Czarnej Dziury.

Pułkownik Beatty objął służbę o siódmej wieczorem. Ponad dwie godziny spędził na dokładnej analizie zdjęć dużego zgrupowania wyrzutni pocisków ziemia-powietrze (częściowo zniszczona, dwie baterie nietknięte), ośrodka dowodzenia (zostały tylko gruzy) oraz zespołu wzmocnionych hangarów, w których kryły się irackie MiGi, Mirage i SU (całkowicie zniszczone). Kiedy dotarł wreszcie do fotografii znad Tarmijji, zmarszczył brwi, wstał z fotela i podszedł do biurka, przy którym pracował sierżant RAF-u.

- Charlie, co to jest?

- Tarmijja, panie pułkowniku. Fabryka, którą wczoraj zbombardował jeden z F-15.

- A, ta. Nie mieliśmy jej na żadnej liście?

- Zgadza się. Te zdjęcia zrobił o dziesiątej rano pilot tomcata z "Rangera".

Pułkownik Beatty postukał palcem w lśniące odbitki.

- Mógłbyś mi wyjaśnić, co tam się właściwie dzieje?

- Nie mam pojęcia, proszę pana. Dlatego położyłem je panu na biurku. Nikt nie potrafi tego wytłumaczyć.

- Cóż, wygląda na to, że ten eagle poruszył gniazdo os.

Zwijają się jak w ukropie.

Brytyjski sierżant i amerykański pułkownik przez dłuższą chwilę przyglądali się w milczeniu zdjęciom dostarczonym znad Tarmijji. Były niewiarygodnie ostre, o fantastycznej rozdzielczości. Część z nich zrobiono za pomocą teleobiektywu, i na tych widać było jedynie ogromny budynek pozbawiony dachu, pozostałe zaś, wykonane przez aparat z obiektywem szerokokątnym, obejmowały znacznie większy teren. Spośród ponad dwudziestu fotografii specjaliści ze Stodoły wybrali dziesięć najlepszych jakościowo.

– Jak duża jest ta budowla? – zapytał Amerykanin.

– Jakieś sto metrów na sześćdziesiąt, panie pułkowniku. Z dachu pozostał jedynie niewielki fragment, zakrywający mniej więcej jedną czwartą wnętrza. Pozostałe trzy czwarte prezentowały się jak na dłoni. Budynek podzielono na kilka części, a w każdej z nich niemal całą przestrzeń zajmował tajemniczy, kolisty twór.

– Metal?

– Tak, panie pułkowniku. Obserwacja w podczerwieni wykazała, że to jakiś stop stali.

Najbardziej zaintrygowała ich jednak reakcja Irakijczyków na niespodziewany rajd Dona Walkera. Wokół pozbawionego dachu budynku zgromadziło się pięć potężnych dźwigów, przypominających bociany pochylone nad wyschniętą sadzawką. Takie dźwigi były obecnie w Iraku na wagę złota.

Wszędzie roiło się od robotników, którzy najwyraźniej przygotowywali wielkie dyski do usunięcia ze zniszczonego budynku.

– Policzyłeś tych koleśków, Charlie?

– Ponad dwustu, panie pułkowniku.

– A te dyski... – Beatty zerknął do raportu z "Rangera". – Te "latające talerze"?

– Nie mam pojęcia, proszę pana. Nigdy nic takiego nie widziałem.

– Zdaje się, że dla kolegi Husajna są diabelnie ważne. Tarmijja naprawdę nie figuruje na naszej liście celów?

– Naprawdę, panie pułkowniku. Czy zechciałby pan spojrzeć na to?

Sierżant podsunął amerykańskiemu oficerowi inne zdjęcie, które wydobyl z archiwum. Pułkownik przyjrzał się uważnie.

– Ogródzenie z drutu kolczastego.

– Podwójne. A tutaj?

Beatty sięgnął po szkło powiększające.

– Pole minowe... stanowiska artylerii przeciwlotniczej... wieże strażnicze... Gdzie to wszystko znalazłeś, Charlie?

– Tutaj. Proszę popatrzeć.

Pułkownik Beatty z niedowierzaniem przyjrzał się kolejnemu zdjęciu, wykonanemu z bardzo dużej wysokości, które obejmowało znaczny teren wokół kompleksu przemysłowego w Tarmijji, po czym głośno westchnął.

– Niech mnie licho! Będziemy musieli natychmiast zmienić wykaz celów. Jak to się stało, że przeoczyliśmy coś takiego? Już podczas pierwszych analiz uznano, że ogromny, liczący niemal 400 budynków kompleks przemysłowy w Tarmijji nie ma żadnego znaczenia militarnego. To, dlaczego tak się stało, nieco później przeszło niemal do legendy.

W Czarnej Dziurze pracowali głównie specjaliści z NATO. Nauczono ich, w jaki sposób wykrywać cele na terytorium Związku Radzieckiego, a lata praktyki sprawiły, że osiągnęli w tej dziedzinie znaczną sprawność. Wiedzieli, na co zwracać uwagę: jeżeli dany budynek lub zespół budynków ma jakieś znaczenie militarne, przede wszystkim będzie odgradzony od świata zewnętrznego i zabezpieczony przed ewentualnym atakiem. W związku z tym należało szukać wieżyczek strażniczych, stanowisk artylerii przeciwlotniczej, wyrzutni pocisków klasy ziemia-powietrze, pól minowych, pojawiających się i znikających ciężarówek, linii wysokiego lub średniego napięcia, a nawet małych elektrowni. Obecność wszystkich lub nawet części tych obiektów wskazywała jednoznacznie, że na danym terenie może znajdować się coś bardzo interesującego. W Tarmijji nic takiego nie stwierdzono – przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Jednak sierżant RAF-u, tknięty trudnym do wytłumaczenia przecuciem, sięgnął ponownie po zdjęcia wykonane jakiś czas temu z bardzo dużej wysokości... i znalazł wszystko, czego szukał:

ogrodzenie, stanowiska artylerii, posterunki, pola minowe. Tyle tylko, że bardzo daleko od zabudowań, gdyż Irakijczycy po prostu wyznaczyli na pustyni kwadrat o boku 100 kilometrów i oddzielili go od reszty kraju. Coś takiego nie byłoby możliwe ani w Europie Zachodniej, ani nawet Wschodniej.

Kompleks przemysłowy – jak się później okazało, produkujący wyłącznie na potrzeby wojenne – znajdował się dokładnie pośrodku gigantycznego kwadratu. Mimo że budynki postawiono w znacznej odległości jeden od drugiego, aby zminimalizować szkody wywołane ewentualnym atakiem z powietrza, to i tak zajmowały one zaledwie maleńką część ogrodzonego terenu.

– A co z zasilaniem? Przecież tam nie dałoby się korzystać nawet z elektrycznej szczoteczki do zębów.

– Tutaj, panie pułkowniku. Czterdzieści pięć kilometrów na zachód. Linia przesyłowa biegnie w przeciwnym kierunku, ale jestem gotów iść o zakład, że to tylko atrapa. Prawdziwe kable zakopano pod ziemią. Ta elektrownia ma moc co najmniej 150 megawatów.

– Sukinsyny... – syknął pułkownik, po czym wyprostował się i zgarnął fotografie z biurka. – Dobra robota, Charlie. Pokażę to wszystko Glossonowi, a tymczasem powinniśmy dokończyć dzieła. Jeżeli ten wielki budynek bez dachu jest taki ważny dla Irakijczyków, trzeba go zupełnie rozwalić.

– Tak jest, proszę pana. Dołączę go do wykazu.

– Nie za trzy dni, tylko jutro. Mamy kogoś w rezerwie? Sierżant wystukał pytanie na klawiaturze komputera i spojrzał na monitor.

– Nikogo, panie pułkowniku. Wszyscy mają roboty po uszy.

– Nie można by odwołać jednego dywizjonu?

– Nie bardzo, proszę pana. Przez to cholerne polowanie na scudy i tak mamy już spore opóźnienie... Zaraz, chwileczkę: jest 4300 na Diego Garcii. Zdaje się, że mają trochę luzu.

– W porządku, wyślij im rozkaz.

– Za pozwoleniem, panie pułkowniku... – odparł niezbyt pewnie sierżant. – B-52 niespecjalnie nadają się do przeprowadzania precyzyjnych bombardowań.

– Posłuchaj, Charlie: za dwadzieścia cztery godziny Irakijczycy wywożą stamtąd to coś, na czym im tak bardzo zależy. Nie mamy wyboru.

– Tak jest, proszę pana.

Mikę Martin był zbyt niecierpliwy, żeby dłużej niż kilka dni tkwić bezczynnie na terenie rezydencji radzieckiego dyplomaty. Rosyjski służyący i jego żona przeżywali ciężkie chwile; w nocy prawie nie mogli zmrzyć oka z powodu nie kończącego się huku spadających bomb i rakiet oraz ryku potężnej, choć bardzo mało skutecznej artylerii przeciwlotniczej. Zdesperowani, wykrzykiwali przez okna obelgi pod adresem amerykańskich i brytyjskich pilotów. Kiedy w willi zaczęły kurczyć się zapasy żywności, doszli do wniosku, że należy znowu posłać ogrodnika po zakupy.

Trzy dni później Martin dostrzegł umówiony znak na tylnej ścianie opuszczonego budynku w Karadit-Mariam; oznaczało to, że w jednej ze skrytek znajduje się przesyłka od Jerycha.

Pomimo bombardowań zwykli ludzie szybko zaczęli przystosowywać się do nowych, trudnych warunków. Coraz powszechniejsze stawało się przeświadczenie – przyczyniały się do tego ukradkowe rozmowy z zaufanymi przyjaciółmi albo członkami rodziny, co do których można było mieć pewność, że nie okażą się współpracownikami Al-Aman al-Amm – iż Bani Nadzi i Bani al-Kalb są w stanie zniszczyć dokładnie to, na czym im zależy, resztę zostawiając w spokoju.

Po pięciu dniach wojny powietrznej pałac prezydencki zamienił

się w piramidę gruzów, budynek Ministerstwa Wojny przestał istnieć, nie działały telefony, uszkodzona została także główna elektrownia. Co gorsza, wszystkie dziewięć mostów leżało teraz na dnie Tygrysu, ale przedsiębiorczy mieszkańcy Bagdadu natychmiast zorganizowali liczne przeprawy promowe; niektóre obsługiwały ruch kołowy, łącznie z ciężarówkami, inne tylko pieszych i rowerzystów, a nie brakowało także małych łodzi, zabierających na pokład tylko wiosłującego właściciela i jednego pasażera.

Większość najważniejszych budowli pozostała nietknięta. W hotelu Raszid nadal było tłoczno od zagranicznych dziennikarzy, mimo że w bunkrze ukrytym pod fundamentami budynku niemal na pewno przebywał Saddam Husajn. Nadal nienaruszona stała siedziba policji politycznej, mieszcząca się w kilku połączonych, zmodernizowanych domach w gęsto zaludnionej dzielnicy Rusafi - w podziemiach znajdowała się osławiona "sala gimnastyczna", tam Umar Chatib, zwany także Katem, torturował swoje ofiary - podobnie jak duży gmach po drugiej stronie rzeki, w Mansurze, gdzie ulokowano kwaterę główną Muchabarat, czyli wywiadu i kontrwywiadu.

Pedałując z powrotem do Willi Mike Martin zastanawiał się, jak zareagować na pojawienie się znaku. Rozkazy, które odebrał, były jednoznaczne: trzymać się z daleka. Gdyby na jego miejscu znajdował się pewien młody chilijski dyplomata, z pewnością zastosowałby się do polecenia, i miałyby całkowitą słuszość. Ale Moncady nikt nie zdążył nauczyć, jak przez wiele godzin, a czasem nawet dni, leżeć bez najmniejszego ruchu w kryjówce i obserwować otoczenie, nie reagując nawet wówczas, jeśli jakiś ptak począłby mu wic gniazdo we włosach.

Nocą, kiedy zaczęły się naloty, Mike przeprowadził się na drugą stronę rzeki i ruszył w kierunku targu warzywnego w Kasrze. Tu i ówdzie w ciemności przemykały skulone postaci, szukające schronienia w domach, tak jakby popękane, rozsypujące się ściany mogły kogokolwiek uchronić przed skutkami uderzenia pocisku tomahawk. Okazało się, że nie zawiodło go przecucie; patroli Al-Aman al-Amm zniknęły z ulic, gdyż funkcjonariusze tajnej policji na równi ze zwykłymi ludźmi nie mieli ochoty czekać na odkrytym terenie, aż zabiją ich bomby spadające z amerykańskich samolotów.

Ulokował się na dachu magazynu; widział stamtąd ulicę, dziedziniec oraz tę część muru, w którym znajdowała się tajna skrytka. Przez osiem godzin, od ósmej wieczorem do czwartej rano, uważnie obserwował okolicę.

Gdyby policja zorganizowała zasadzkę, w akcji musiałyby uczestniczyć co najmniej dwudziestu ludzi. Przez ten czas ktoś na pewno rozprostowałby zdrętwiałe mięśnie, zakaszlałby, zapalił papierosa, czy mruknął coś do kolegi lub podwładnego. Martin nie wierzył, żeby ludzie Chatiba albo Rahmaniego potrafili, tak jak on, wytrwać bez najmniejszego ruchu przez osiem godzin.

Tuż przed czwartą nad ranem bombardowanie dobiegło końca, ale na targowisku nie zapłonęła ani jedna lampa. Zerknął w górę, w poszukiwaniu kamer zainstalowanych na wyższych piętrach budynków, lecz w okolicy nie było żadnych wyższych budynków. Dziesięć po czwartej bezszelestnie ześlizgnął się z dachu, przemknął jak cień przez ulicę, odszukał obluzowaną cegłę, wyjął przesyłkę ze skrytki, po czym zniknął niczym duch.

Jeszcze przed świtem udało mu się dotrzeć do Willi pierwszego sekretarza Kulikowa. Przeszedł przez mur i nikogo nie budząc przemknął do swojej chatki w tylnej części ogrodu.

Jerycho pytał, co się stało. Od dziewięciu dni w umówionych miejscach nie pojawiły się żadne znaki, a na jego bankowe konto

nie wpłynęła jeszcze zapłata za ostatnią informację, mimo że ta z pewnością dotarła do celu. Czyżby pojawiły się jakieś kłopoty? Martin nie przekazał wiadomości do Rijadu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie powinien postępować wbrew rozkazom, ale to przecież on, nie Paxman, siedział tu, na miejscu, i w związku z tym miał prawo do samodzielnych decyzji. Ryzyko, jakie podjął tej nocy, wcale nie było takie wielkie; doskonale zdawał sobie sprawę z przewagi, jaką daje mu jego wszechstronne wykształcenie. Gdyby pojawił się choć cień podejrzenia, że skrytka znajduje się pod obserwacją, z pewnością nie próbowałby się do niej zbliżyć. Możliwe, że Paxman miał rację i Jerycho rzeczywiście zaczął pracować dla drugiej strony, ale nie należy wykluczać możliwości, że naprawdę przekazał słowa Saddama Husajna. Problem sprowadzał się do tego nieszczęsnego miliona dolarów, których wypłacenia odmówiła Centralna Agencja Wywiadowcza. Mikę Martin postanowił przygotować własną odpowiedź.

Napisał w niej, że rozpoczęcie wojny powietrznej istotnie spowodowało pewne problemy, ale należy uzbroić się w cierpliwość i poczekać, aż sprawy wrócą do normy. Ostatnia informacja została przejęta i przekazana we właściwe miejsce, ale chyba Jerycho zdaje sobie sprawę, że milion dolarów to ogromna suma, w związku z czym trzeba najpierw sprawdzić wartość dostarczonego materiału, co jeszcze trochę musi potrwać. Jerycho powinien zachować spokój i czekać na pojawienie się znaku, co będzie świadczyło o wznowieniu normalnych kontaktów na dotychczasowych zasadach. Podczas przedpołudniowych zakupów Martin umieścił odpowiedź w skrzynce kontaktowej w pobliżu Starej Cytadeli w Azamijji, wieczorem zaś narysował umówiony znak na pokrytych rdzą drzwiach garażu w Mansurze.

Dwadzieścia cztery godziny później znak zniknął. Martin co noc nasłuchiwał wieści z Rijadu, ale radio milczało. Otrzymał przecież rozkaz, żeby jak najprędzej opuścić Bagdad, toteż jego przełożeni oczekiwali, że lada dzień zamelduje się po drugiej stronie granicy. Mimo to postanowił jeszcze trochę poczekać.

Diego Garcia z pewnością nie należy do najbardziej uczęszczanych miejsc na świecie. Jest to mała wysepka, niewiele większa od koralowego atolu, położona na skraju archipelagu Chagos na południowym Oceanie Indyjskim. Niegdyś terytorium Wielkiej Brytanii, od lat jest dzierżawiona Stanom Zjednoczonym. Pomimo odległego położenia, podczas wojny w Zatoce Perskiej Diego Garcia udzieliła gościny pośpiesznie skompletowanemu 4300. Skrzydłu Bombowemu USAF, wyposażonemu w superfor-tece B-52.

Ze swoim ponad trzydziestoletnim stażem, B-52 z pewnością był najbardziej wiekowym weteranem spośród wszystkich, uczestniczących w tej wojnie. Przez kilka dziesięcioleci właśnie te gigantyczne maszyny tworzyły trzon lotnictwa strategicznego, dowodzonego z Omaha w stanie Nebraska, krążąc w dzień i w nocy wokół sowieckiego imperium z gotowymi do użycia głowicami termojądrowymi na pokładach.

Mimo zaawansowanego wieku B-52 nadal budziły lęk i szacunek, a podczas wojny w Zatoce Perskiej ich najnowsza wersja, opatrzona literą G, odegrała niezwykle ważną rolę, zrzucając tysiące ton bomb na okopane w południowym Kuwejcie doborowe jednostki irackiej Gwardii Republikańskiej. To, że zaraz po rozpoczęciu przez aliantów ofensywy lądowej wielu spośród doskonale wyszkolonych, zaprawionych w bojach żołnierzy Saddama Husajna wyszło z bunkrów z wysoko podniesionymi rękami, w znacznej mierze należy zawdzięczać niszczącemu wpływowi, jaki na ich psychikę wywarły nieprzerwane naloty

superfortec.

Użyto zaledwie osiemdziesięciu maszyn tego typu, ale dzięki swemu nieprawdopodobnie wielkiemu udźwigowi zdażyły zrzucić ponad 26 000 ton bomb, czyli czterdzieści procent tego, co spadło na Irak i Kuwejt podczas całej wojny.

Są tak ogromne, że kiedy stoją na płycie lotniska, ich skrzydła, podtrzymujące osiem silników Pratt & Whitney J-57, przyginają się ku ziemi. Podczas startu z pełnym obciążeniem właśnie te skrzydła unoszą się najpierw w powietrze, by dopiero w trakcie lotu przybrać zupełnie poziome położenie.

Jedną z przyczyn, dla których latające fortece siały tak wielką panikę wśród stacjonujących na pustyni oddziałów irackich, było to, że zjawiały się nad celem na wielkiej wysokości, w związku z czym ulewa śmiertcionośnych bomb spadała z nieba bez żadnego ostrzeżenia. O ile jednak B-52 wyśmienicie nadają się do przeprowadzania nalotów dywanowych, to celność z pewnością nie należy do ich najsilniejszych atutów, na co sierżant RAF-u starał się zwrócić uwagę amerykańskiemu pułkownikowi.

O świcie 22 stycznia z lotniska na Diego Garcia wystartowały trzy "bufony" i wzięły kurs prosto na Arabię Saudyjską. Każdy niósł 51 "głupich" 300-kilogramowych bomb, które miały zostać zrzucone z wysokości 10 000 metrów. 27 bomb zmieściło się w lukach, pozostałe zaś podwieszono pod skrzydłami.

Załogi potężnych maszyn nie były zbyt zachwycone niespodziewanym rozkazem, gdyż szykowały się już do spędzenia kolejnego miłego dnia na tropikalnej, jakby przeniesionej z turystycznych reklamówek wyspie. Niestety, musiały porzucić myśli o słonecznych i morskich kąpielach, i wyruszyć ku odległej fabryce, której żaden z młodych ludzi w mundurach USAF nigdy nie widział i nigdy nie miał zobaczyć.

Superforteca B-52 nie jest zwana "bufonem" ze względu na jakieś przykre cechy charakteru swoich pilotów, ani dlatego, żeby sprawiała szczególne kłopoty obsłudze naziemnej. "Bufon" to po prostu Bardzo Upierdliwy Fiut Obrabiający Nieprzyjaciela. Trzy "bufony" bez przeszkód dotarły nad Tarmijję, zrzuciły we wskazanym miejscu wszystkie 153 bomby, po czym wróciły do bazy na archipelagu Chagos.

Rankiem 23 stycznia, kiedy Londyn i Waszyngton zaczęły pilnie domagać się kolejnych zdjęć "latających talerzy", nad zagadkową fabrykę wysłano jeszcze jedną misję rozpoznawczą. Tym razem zadanie wykonania fotografii przypadło w udziale pilotowi phantoma, który wystartował z bazy Szajch Isa w Bahrajnie, znanej wśród stacjonujących tam żołnierzy jako "Pizza Szejka".

Okazało się, że "bufony" zerwały z niechlubną tradycją i trafiły prosto w cel. W miejscu, gdzie jeszcze niedawno stała olbrzymia budowla mieszcząca tajemnicze "latające talerze", ział wielki krater. Specjalistom z Londynu i Waszyngtonu, usiłującym zgłębić ich naturę, musiało wystarczyć dziesięć zdjęć zrobionych wcześniej przez porucznika Darrena Cleary'ego.

Najlepsi analitycy z Czarnej Dziury obejrżeli fotografie raz jeszcze, wrzუსzyli bezradnie ramionami, po czym wysłali je swoim zwierzchnikom w obu stolicach.

W Wielkiej Brytanii odbitki trafiły do JARIC, czyli centrum interpretacji zdjęć lotniczych, w Stanach zaś do siostrzanej instytucji zwanej ENPIC.

Zwykli przechodnie codziennie mijający niepozorny budynek z czerwonej cegły w niezbyt eleganckiej części śródmieścia Waszyngtonu nawet nie podejrzewali, co się kryje w jego wnętrzu. Tylko bardzo uważny obserwator przystanąłby na chwilę, zdziwiony liczbą szybów wentylacyjnych, ale nawet on nie-domyśliłby się, że

mają one odprowadzać z nadmiernie ogrzane powietrze z pomieszczeń, gdzie w ściśle kontrolowanej temperaturze pracują jedne z najmocniejszych komputerów, jakie zainstalowano w rządowych instytucjach na terenie Stanów Zjednoczonych. Cała reszta, to znaczy brudne okna z zaciekami po deszczu, obdrapane drzwi i śmieci walające się przed wejściem, nasuwa skojarzenia z niezbyt często odwiedzanym magazynem.

Tymczasem to właśnie tutaj dokonuje się obróbki zdjęć dostarczanych przez satelity i to tutaj pracują fachowcy, którzy potem wyjaśniają ludziom z Pentagonu i CIA, co właściwie zarejestrowały obiektywy kamer i aparatów krążących po orbicie "okołoziemskiej". Są to naprawdę znakomici specjaliści, młodzi, inteligentni i obeznani z najnowszymi osiągnięciami techniki. Niestety, nawet oni nie mieli pojęcia, do czego mogą służyć tajemnicze "latające talerze" z nie istniejącej już irackiej fabryki.

Specjaliści z Ministerstwa Obrony w Londynie oraz z Pentagonu, dla których żadna konwencjonalna broń używana przez człowieka, od łuku poczynając, nie miała tajemnic, obejrżeli uważnie fotografie, popatrzyli na siebie, po czym pokręcili głowami.

Na wypadek, gdyby "latające talerze" miały coś wspólnego z bronią masowej zagłady, zdjęcia pokazano także uczonym z Porton Down, Harwell i Aldermaston w Anglii, oraz z Sandii, Los Alamos i laboratorium Lawrence'a Livermore'a w Ameryce - niestety, z identycznym rezultatem.

Według najbardziej prawdopodobnej teorii zagadkowe dyski stanowią część wielkich transformatorów przeznaczonych dla nowej irackiej elektroniki. Okazało się, że przy tej właśnie teorii trzeba będzie pozostać, gdyż w odpowiedzi na monity o dalsze zdjęcia z Rijadu nadeszła lakoniczna odpowiedź, że fabryka w Tarmijji przestała istnieć.

Teoria wydawała się bardzo dobra, z jednym tylko zastrzeżeniem: nie wyjaśniała, dlaczego Irakijczycy tak bardzo starali się ukryć tajemnicze dyski, albo wywieźć je w inne miejsce.

Wieczorem 24 stycznia Simon Paxman wszedł do budki telefonicznej i wykręcił domowy numer doktora Terry'ego Martina.

- Masz może ochotę na jeszcze jedną kolację w hinduskiej restauracji? - zapytał.

- Nie dzisiaj - odparł Martin. - Właśnie się pakuję.

Nie uznał za stosowne wspomnieć, że Hilary dopiero co wrócił z podróży i zaplanowali, że spędzą ten wieczór razem.

- Dokąd się wybierasz?

- Do Ameryki, z wykładami na temat kalifatu abbasydzkiego.

Szczerze mówiąc, pochlebili mi tym zaproszeniem. Chyba spodobała im się moja praca na temat systemu prawnego wprowadzonego przez Trzeciego Kalifa. Przykro mi, Simon.

- Właśnie dostaliśmy coś nowego z Południa. Jak na razie nikt nie może sobie z tym poradzić. Co prawda sprawa nie dotyczy niuansów językowych, tylko zagadnień technicznych, ale pomyślałem sobie...

- Co to jest?

- Zdjęcie. Mam przy sobie odbitkę.

Uczony się zawahał.

- Jeszcze jedno źdźbło słomy? - zapytał. - W porządku, o ósmej w tej samej restauracji.

- Też tak myślę - odparł Paxman. - To zapewne tylko jeszcze jedno źdźbło słomy.

Nie wiedział jednak, że w rzeczywistości trzyma w ręku koniec bardzo długiego sznurka.

Terry Martin wylądował na międzynarodowym lotnisku w San Francisco kilka minut po trzeciej po południu czasu miejscowego. W hali przylotów czekał na niego serdecznie uśmiechnięty profesor Paul Masłowski w obowiązkowym stroju amerykańskiego uczonego - jego najważniejszą część stanowiła tweedowa marynarka ze skórzanymi łatami na łokciach. Anglik natychmiast pojął, na czym polega amerykańska gościnność.

- Betty i ja doszliśmy do wniosku, że nie będziesz czuł się dobrze w hotelu, więc może zechciałbyś zatrzymać się u nas? - zapytał Masłowski, kiedy znaleźli się już na autostradzie łączącej port lotniczy z centrum miasta.

- Byłbym zachwycony - odparł zupełnie szczerze Martin.

- Studenci nie mogą doczekać się spotkania z tobą, Terry.

Co prawda nie ma ich zbyt wielu - przypuszczam, że nasza arabistyka jest znacznie mniejsza od waszej - ale za to są pełni entuzjazmu.

- To wspaniale. Ja także chętnie ich poznam.

Przez całą drogę z lotniska uczeni gawędzili o średniowiecznej Mezopotamii, która stanowiła ich wspólną pasję, aż wreszcie nie wiadomo kiedy znaleźli się przed domem profesora Masłowskiego, położonym w podmiejskiej dzielnicy Menlo Park. Martin został przedstawiony żonie gospodarza, Betty, po czym zaprowadzono go do przytulnego i wygodnego pokoju gościnnego. Dopiero wtedy zerknął na zegarek; była za kwadrans czwarta.

- Czy mogę skorzystać z telefonu? - zapytał, zszedłszy na parter.

- Jasne - odparł Masłowski. - Chcesz zadzwonić do domu?

- Nie, to będzie miejscowa rozmowa. Macie może książkę telefoniczną?

Profesor podał mu opasłe tomisko, po czym wyszedł z pokoju. Numer, którego szukał Terry Martin, znajdował się pod Livermore, Lawrence L, okręg Alameda. Na szczęście zdążył przed końcem dnia pracy.

- Czy może pani połączyć mnie z wydziałem Z? - zapytał, kiedy zgłosiła się telefonistka. "Z" wymówił jako "zet".

- Z kim, proszę? - zdziwiła się dziewczyna.

- Z wydziałem "zi" - poprawił się Martin. - Konkretnie z dyrektorem, jeśli łaska.

- Proszę zaczekać.

W chwilę potem rozległ się inny głos, również należący do kobiety.

- Biuro dyrektora, czym mogę służyć?

Martin przedstawił się, po czym wyjaśnił, kim jest i że byłby ogromnie wdzięczny, gdyby umożliwiono mu rozmowę z dyrektorem. Angielski akcent odniósł chyba pożądany skutek, gdyż sekretarka natychmiast spełniła jego prośbę.

- Doktor Martin?

- Tak jest.

- Mówi Jim Jacobs, zastępca dyrektora wydziału. Mogę panu w czymś pomóc?

- Ogromnie zależy mi na spotkaniu z panem. Przepraszam, że nie zapowiedziałem się wcześniej, ale przyleciałem tu tylko po to, żeby wygłosić wykład w Berkeley i zaraz muszę wracać do Londynu.

Mężczyzna na drugim końcu linii telefonicznej nawet nie starał się ukryć zdziwienia.

- A czy zechciałby pan choćby zasygnalizować, jakiej sprawy miałyby dotyczyć nasze spotkanie?

-• Szczerze mówiąc, wolałbym tego nie robić. Powiem panu tylko, że jestem członkiem Komitetu Meduza. Czy to wystarczy?

- Naturalnie. Dzisiaj już chyba nie zdążymy, ale czy mógłby

pan wpaść do nas jutro? -

- Oczywiście. Wykład mam dopiero po południu, więc pozwoli pan, że zjawię się rano.

- Bardzo proszę. Czekam na pana o dziesiątej.

Martin odłożył słuchawkę, zadowolony, że udało mu się ukryć fakt, iż nie jest fizykiem nuklearnym, tylko arabista. Po co niepotrzebnie komplikować sytuację?

Tej nocy w Wiedniu Karim poszedł z Edith Hardenberg do łóżka. Wydarzenie to stanowiło naturalną konsekwencję uroczego wieczoru spędzonego na koncercie oraz kolacji we dwoje. Kiedy jechali z centrum miasta do jej mieszkania, Edith wmawiała sobie, że wszystko skończy się na kawie i pocałunku na dobranoc, choć w głębi duszy wiedziała już z całą pewnością, że będzie inaczej. Nie broniła się, kiedy objął ją i pocałował, delikatnie ale zarazem namiętnie. Wcześniejsze przekonanie, że nigdy nie pozwoli mu na coś takiego, zniknęło bez śladu. Wcale tego nie żałowała. Potem wziął ją na ręce i zaniósł do maleńkiej sypialni, ona zaś po prostu wtuliła twarz w jego ramię i pozwoliła, żeby stało się to, co musiało się stać. Prawie nie poczuła, kiedy jej sukienka zsunęła się na podłogę. W przeciwieństwie do Horsta, Karim miał niezwykle zręczne palce; żadnego szarpania, ciągnięcia, mocowania się z guzikami i suwakami.

Była jeszcze w koszulce, kiedy oboje znaleźli się pod grubą, puchową kołdrą. Jego młode ciało promieniowało takim ciepłem, że chyba nie byłoby im potrzebne żadne przykrycie.

Nie wiedziała, co powinna robić, więc na wszelki wypadek zamknęła oczy i leżała bez ruchu. Pod wpływem dotknięć delikatnych dłoni i gorących ust przez jej ciało zaczęły przebiegać niepokojące, grzeszne dreszcze. Przy Horście nigdy ich nie odczuwała.

Przez chwilę ogarnęła ją panika, kiedy usta Karima zsunęły się z jej ust, minęły drobne piersi i powędrowały w inne, zakazane miejsca, o których matka Edith nigdy nie mówiła inaczej niż "tam na dole". Usiłowała go odepchnąć, protestując słabo, gdyż zdawała sobie sprawę, że biorące początek właśnie tam fale rozkoszy są czymś grzesznym i niewłaściwym, ale on był nieustępliwy jak młody spaniel, który dopadł kuropatwy.

Nie zwracał najmniejszej uwagi na jej słabnące: "Nein, Karim, das sollst du nich...", a potem pojedyncze fale połączyły się w jedną ogromną falę przypływu, która wyniosła ją, całkowicie bezradną, na środek szalejącego oceanu, gdzie ogromne, spienione grzywacze zalewały ją raz po raz, wciągając w bezdenne otchłanie. O tym, czego tam zaznała, nie miała okazji jeszcze ani razu mówić przy konfesjonale w Votivkirche.

Przycisnęła jego głowę do małych piersi i długo tuliła w milczeniu, aż wreszcie spłynęło na nich cudowne uspokojenie. Tej nocy Karim kochał się z nią jeszcze dwukrotnie: tuż po północy i na krótko przed świtem. Za każdym razem był tak delikatny, a jednocześnie zdecydowany i silny, że powstrzymywane do tej pory uczucie ogarniało ją z mocą, jakiej nigdy by się nie spodziewała. Jednak dopiero po drugim razie, kiedy zasnął, odważyła się przesunąć rękami po jego wspaniale gładkim ciele i dotknąć tego, czego każdy centymetr czuła nie tak dawno w swoim wnętrzu.

Chociaż doktor Maslowski mocno się zdziwił, że jego gość interesuje się jeszcze czymś innym oprócz dziedziny, w której był specjalistą, uparł się, że zawiezie Terry'ego Martina do laboratorium Livermore'a, aby nie narażać go na koszty związane z wynajęciem taksówki.

- Wygląda na to, że goszczę w domu znacznie ważniejszą osobistość, niż przypuszczałem - powiedział podczas jazdy.

Martin usiłował za wszelką cenę wyprowadzić go z błędu, ale kalifornijski uczoney słyszał wystarczająco dużo o laboratorium im. Lawrence'a Livermore'a, aby domyślić się, że nie każdy może ot tak, po prostu, zadzwonić tam i umówić się na spotkanie. Był jednak na tyle dobrze wychowanym i dyskretnym człowiekiem, żeby powstrzymać się od zadawania pytań. Przy głównej bramie strażnik sprawdził paszport Martina, upewnił się telefonicznie, że gość z Wielkiej Brytanii rzeczywiście jest oczekiwany, po czym wskazał drogę na parking.

- Zaczekam w samochodzie - rzucił Maslowski.
Jeżeli wziąć pod uwagę rodzaj badań, jakie są prowadzone w laboratorium, siedziba tej znakomitej instytucji sprawia dość niezwykle wrażenie. Jest to kilkanaście budynków przy Yasco Road, w części nowych, w większości jednak stanowiących mieszankę najróżniejszych stylów architektonicznych obowiązujących w ciągu minionych kilku dziesięcioleci, nie wyłączając koszarowego, gdyż jakiś czas temu mieściła się tu baza wojskowa. Jakby jeszcze tego było mało, tu i ówdzie można dostrzec pawilony kontenerowe, które - jak wszystko, co tymczasowe - zdażyły już na stałe wtopić się w krajobraz. Martina skierowano do jednego z budynków przy Wschodniej Alei, jak szumnie nazwano wąską dróżkę biegnącą między budynkami.

Z pewnością trudno się tego domyślić na pierwszy rzut oka, ale właśnie tutaj pracują naukowcy, których zadanie polega na kontrolowaniu rozprzestrzeniania się technologii nuklearnej wśród państw Trzeciego Świata.

Okazało się, że Jim Jacobs jest niewiele starszy od Terry'ego Martina - na pewno nie przekroczył czterdziestki - ma także stopień doktora i zajmuje się fizyką jądrową. Powitał gościa w zarzuconym papierami gabinecie.

- Chłodny dzisiaj rano, nieprawdaż? Założę się, że oczekiwał pan tropikalnych upałów? Wszyscy tak myślą, ale tutaj, wysoko nad poziomem morza, zawsze jest nieco chłodniej. Kawy?

- Z przyjemnością.

- Z cukrem i śmietanką?

- Czarną, jeśli można. Bez cukru.

Doktor Jacobs nacisnął guzik interkomu.

- Sandy, możesz zrobić nam dwie kawy? Dla mnie taka jak zwykle, a druga czarna.

Usiadł w fotelu naprzeciwko gościa i uśmiechnął się uprzejmie. Nie wydawało mu się, żeby musiał wspominać o tym, iż godzinę wcześniej zadzwonił do Waszyngtonu, aby upewnić się, czy doktor Martin rzeczywiście jest członkiem Komitetu Meduza. Uzyskał potwierdzenie, a teraz nie mógł oprzeć się podziwowi. Wyglądało na to, że jego gość, choć jeszcze młody, w swoim kraju zdobył już sobie silną pozycję w kręgach naukowych. Amerykanin doskonale wiedział, czym zajmuje się Komitet Meduza, ponieważ zarówno on, jak i jego koledzy od wielu tygodni dostarczali Komitetowi informacji na temat Iraku, a także zaniedbań ze strony Zachodu. Głupota i krótkowzroczność polityków sprawiła, że niewiele brakowało, by Saddam Husajn skonstruował własną bombę atomową.

- W jaki sposób mogę panu pomóc? - zapytał.

Martin postawił na kolanach teczkę, otworzył ją, wyjął zdjęcie fabryki w Tarmijji, które dał mu w tajemnicy Simon Paxman, i położył je na biurku.

- Przypuszczam, że już pan to widział?

Jacobs skinął głową.

- Jakies trzy, może cztery dni temu dostaliśmy parę sztuk z Waszyngtonu. Cóż mogę powiedzieć? Nie mam pojęcia, co to może być. Nigdy nie spotkałem się z czymś podobnym.

Sandy przyniosła kawę. Sekretarka doktora Jacobsa była wysoką, pewną siebie, jasnowłosą kalifornijską pięknoscią.

– Cześć – przywitała Martina.

– Eee... Dzień dobry. Dyrektor też to widział?

Jacobs zmarszczył brwi. Odebrał to pytanie jako sugestię, że nie jest wystarczająco doświadczony.

– Dyrektor wyjechał na narty do Kolorado, ale zdjęcia oglądali nasi najlepsi specjaliści. To naprawdę znakomici fachowcy, może mi pan wierzyć.

– Och, nie wątpię – odparł Martin.

Kolejna ślepa uliczka. Cóż, należało się tego spodziewać.

Sandy postawiła tacę z filiżankami na biurku i prostując się zerknęła niechcący na fotografię.

– O, znowu te kółka.

– Tak jest – potwierdził z uśmiechem Jacobs. – Doktor Martin uważa, że powinien je obejrzeć ktoś... starszy.

– W takim razie, pokażcie je Tacie Lomaxowi – rzuciła dziewczyna, po czym wyszła z gabinetu.

– Kto to jest Tata Lomax? – zapytał Terry Martin.

– Och, proszę nie zaprzętać sobie niną głowy. Kiedyś tu pracował, a teraz jest na emeryturze i mieszka samotnie gdzieś w górach. Od czasu do czasu pojawia się, żeby powspominać dawne czasy. Dziewczyny uwielbiają go, bo przynosi im naręcza górskich kwiatów. Zabawny staruszek.

Rozmowa przy kawie jakoś się nie kleiła, a zresztą Jacobs miał mnóstwo pracy. Przeprosił jeszcze raz za to, że nie może pomóc, odprowadził gościa do drzwi sekretariatu, po czym wrócił do gabinetu. Martin odczekał kilka sekund, a następnie uchylił drzwi i wsunął do środka głowę.

– Gdzie mogę znaleźć tego Lomaxa? – zapytał Sandy.

– Nie mam pojęcia. Mieszka gdzieś w górach. Nikt tam jeszcze u niego nie był.

– Ale ma telefon?

– Komórkowy. Firma ubezpieczeniowa tylko pod tym warunkiem wystawiła mu polisę. Bądź co bądź, jest przecież okropnie stary.

Ostatnie zdanie wypowiedziała z autentycznym współczuciem, na jakie tylko kalifornijskie dziewczyny potrafią zdobyć się względem każdego, kto przekroczył sześćdziesiątkę. Znalazła numer, a Martin zanotował go, podziękował i wyszedł na dobre.

Po drugiej stronie kuli ziemskiej, w Bagdadzie, był już wieczór. Mikę Martin pedałużąc niespiesznie, minął siedzibę brytyjskiego klubu przy Port Said Road, a ponieważ z miejscem tym wiązało się wiele wspomnień z jego dzieciństwa, obejrzał się, by jeszcze raz rzucić okiem na stary budynek.

Był tak głęboko pogrążony w myślach, że niewiele brakowało, a spowodowałby wypadek. Dojechał właśnie do placu Nafura i bez zastanowienia ruszył prosto przed siebie. Nie zauważył wielkiej czarnej limuzyny, która z dużą szybkością nadjeżdżała z lewej strony; mimo iż według przepisów to on miał pierwszeństwo przejazdu, dwaj eskortujący samochód motocykliści ani myśleli zwolnić, a tym bardziej hamować.

Jeden z nich skręcił gwałtownie, aby ominąć głupiego wieśniaka, który wylazł na drogę. Przednie koło motocykla uderzyło w przednie koło roweru, przewracając go na ziemię. Zanim Martin zorientował się w sytuacji, leżał już jak długi na asfalcie wśród swoich warzyw i owoców. Limuzyna przyhamowała ostro, ominęła go, po czym raptownie zwiększyła prędkość. Martin podniósł wzrok akurat w tej chwili, kiedy siedzący z tyłu pasażer odwrócił się w jego stronę, by spojrzeć na durnia, który ośmielił się wejść mu w drogę. Człowiek za szybą miał szczupłą, wręcz ascetyczną, pooraną

głębokimi bruzdami twarz, o wąskich, lekko skrzywionych ustach. Jednak tym, co najbardziej przykuwało uwagę, były oczy; nie nabiegłe wściekłością, nie przenikliwe czy chytne, nawet nie okrutne, tylko puste i zupełnie pozbawione wyrazu. Oczy trupa.

Chwilę później samochód zniknął daleko.

Mikę Martin nie musiał słuchać szeptanych, przerażonych wyjaśnień dwóch robotników, którzy podnieśli go z jezdni i pomogli pozbierać zakupy. Kilka tygodni temu widział już tę twarz na niezbyt wyraźnej fotografii, jednej z wielu, jakie rozłożono przed nim na stole w Rijadzie. Przed chwilą stanął oko w oko z człowiekiem, który wzbudzał wśród Irakijczyków największe przerażenie, naturalnie zaraz po ra'isie... A może nawet przed nim? Przez ułamek sekundy widział za szybą samochodu Al Mu'azziba, czyli Kata, szefa Al-Aman al-Amm, Umara Chatiba.

W porze lunchu Terry Martin kilkakrotnie próbował połączyć się z numerem, który otrzymał od sekretarki doktora Jacobsa, niestety bez rezultatu. Za każdym razem ten sam, słodki głos z taśmy informował go, że połączenie nie może zostać zrealizowane, oraz zachęcał, aby spróbował ponownie nieco później.

Paul Maslowski zabrał swego gościa na wspólny lunch z kolegami z uczelni. Ożywiona dyskusja dotyczyła naturalnie problemów naukowych. Po lunchu Martin postąpił zgodnie z sugestią głosu z taśmy i spróbował jeszcze raz, ale również bez powodzenia.

Wykład udał się znakomicie. Przysłuchiwało mu się dwudziestu siedmiu doktorantów, Martina zaś zaskoczyła prezentowana przez nich głęboka znajomość prac, jakie napisał o kalifach, którzy władali środkową Mezopotamią w czasach nazwanych przez Europejczyków średniowieczem. Po wykładzie jeden ze słuchaczy podziękował mu za to, że zechciał przybyć do nich z tak daleka, pozostali zaś zgotowali wykładowcy huczną owację. Terry Martin pokraśniał na twarzy i kilkakrotnie skłonił się głęboko. Wyszedłszy z sali dostrzegł na ścianie automat telefoniczny. Tym razem sprzyjało mu szczęście.

– Czego? – zapytał niezbyt uprzejmie męski głos.

– Przepraszam, czy to doktor Lomax?

– Istnieje tylko taki jeden, przyjacielu, i to właśnie ja nim jestem.

– Wiem, że to może zabrzmieć trochę niezwykle, ale właśnie przyleciałem z Anglii i chciałbym się z panem spotkać. Nazywam się Terry Martin.

– Z Anglii, co? To szmat drogi. Jaki interes może pan mieć do takiego starego bałwana jak ja, panie Martin?

– Chcę panu coś pokazać i zapytać, czy czegoś to panu nie przypomina. U Livermore'a powiedziano mi, że ma pan ogromne doświadczenie i widział wszystko, co odegrało choćby najmniejszą rolę w rozwoju dziedziny, którą pan się zajmuje. Trudno będzie mi wyjaśnić więcej przez telefon. Mogę do pana przyjechać?

– Czy to przypadkiem nie jest formularz podatkowy?

– Nie.

– Ani rozkładówka z "Playboya"?

– Obawiam się, że nie.

– Teraz naprawdę mnie pan zainteresował. Zna pan drogę?

– Nie, ale mam przy sobie papier i ołówek. Proszę dyktować.

Tata Lomax wyjaśnił mu, w jaki sposób ma odnaleźć chatę w górach. Zajęło to sporo czasu.

– W takim razie, do jutra rana – zakończył rozmowę emerytowany fizyk. – Dzisiaj jest już za późno, zgubiłby się pan w ciemności. Aha, musi pan wziąć wóz z napędem na cztery koła. Rankiem 27 stycznia jeden z dwóch samolotów E-8A J-STAR, jakie brały udział w wojnie nad Zatoką Perską, odebrał słaby, ale

wyraźny sygnał. J-STAR-y były wciąż jeszcze traktowane jako maszyny eksperymentalne, a kiedy na początku stycznia wysłano je z Florydy, gdzie miały bazę, do odległej Arabii Saudyjskiej, ich załogi w znacznej części składały się z cywilnych techników. Właśnie tego ranka jeden z samolotów przemierzał niebo wzdłuż granicy Arabii Saudyjskiej z Irakiem, penetrując pustynię promieniami swego skierowanego w dół i na boki radaru, którego zasięg wynosił nieco ponad 150 kilometrów.

"Piknięcie" było bardzo słabe, ale świadczyło o tym, że coś metalowego i niezbyt wielkiego – prawdopodobnie mały konwój złożony z dwóch, może trzech ciężarówek – zmierza powoli w głąb Iraku. J-STAR miał jednak służyć właśnie wykrywaniu takich małych, niepozornych obiektów na terytorium nieprzyjaciela, więc jego dowódca bezzwłocznie skontaktował się z AWACS-em krążącym nad północną częścią Morza Czerwonego i podał dokładną pozycję namierzonego konwoju.

Oficer dyżurny AWACS-a zanotował informację, zlokalizował wskazane miejsce na mapie, po czym zaczął szukać zespołu latającego, który mógłby złożyć Irakijczykowi niezbyt przyjacielską wizytę. Niemal wszystkie maszyny kierowane w owym czasie nad zachodnią część Iraku miały wyszukiwać i niszczyć wyrzutnie scudów oraz nękać ustawicznymi nalotami dwie duże bazy lotnicze, ochrzczone kryptonimami H2 i H3. Kto wie, czy J-STAR nie wykrył właśnie ruchomej wyrzutni rakiet, choć zazwyczaj nie przemieszczały się one za dnia po odkrytym terenie. Zespół latający, który ostatecznie wybrał oficer z AWACS-a, składał się z dwóch F-15 wracających do bazy po przeprowadzonym nalocie.

Don Walker utrzymywał stałą wysokość 6000 metrów i kierunek prosto na wschód. Kilka minut temu wraz ze swoim skrzydłowym, Randy Robertsem, zniszczył na przedmieściach Al-Ka'im baterię rakiet przeciwlotniczych, które miały zapewnić ochronę fabryce gazów bojowych, wyznaczonej do zbombardowania w dalszej kolejności.

Walker odebrał rozkaz z AWACS-a i sprawdził poziom paliwa. Był niski. Co gorsza, nad Al-Ka'im pozbył się kierowanych laserem bomb i teraz miał pod skrzydłami tylko po dwie rakiety sparrow i sidewinder – pociski klasy powietrze-powietrze, przeznaczone do walki z irackimi myśliwcami.

Gdzieś na południe od granicy w wyznaczonym miejscu cierpliwie czekała powietrzna cysterna, a nawet po tankowaniu będzie potrzebował każdej kropli paliwa, żeby dotrzeć do Al-Chardż. Z drugiej strony, konwój znajdował się zaledwie 80 kilometrów stąd, a 25 w bok od trasy, którą miał lecieć Walker. Warto rzucić okiem.

Jego skrzydłowy słyszał rozmowę z AWACS-em, więc Walker pomachał w stronę oddalanej o osiemset metrów maszyny i w chwilę potem oba F-15 weszły w ostry zakręt w lewo, jednocześnie szybko zmniejszając pułap lotu.

Z wysokości 2500 metrów Don Walker dostrzegł źródło "piknięcia" odebranego przez superczuły radar J-STAR-a. Nie była to wyrzutnia scudów, lecz dwie ciężarówki i dwa kołowe transportery opancerzone BRDM-2.

Zmniejszając ciągle wysokość widział znacznie więcej niż operator radaru na pokładzie J-STAR-a. W głębokim korycie wyschniętego potoku stał samotny land-rover, wokół którego, maleńcy jak mrówki, uwijali się czterej Brytyjczycy z SAS. Nie mogli wiedzieć, że irackie pojazdy zbliżają się do nich szerokim półkolem, ani że z obu ciężarówek wyskakują już żołnierze i ruszają tyraliera w kierunku ich kryjówek.

Don Walker po raz pierwszy spotkał ludzi z SAS w Omanie.

Wiedział, że zostali wysłani na pustynię w celu wyszukiwania ukrytych wyrzutni scudów; zarówno on, jak i wielu innych pilotów z jego dywizjonu rozmawiało już z nimi przez radio, kiedy Brytyjczycy podawali im współrzędne celów, których sami nie byli w stanie zniszczyć.

Z 1000 metrów dostrzegł, że Brytyjczycy ze zdziwieniem spoglądają w górę. To samo, tylko raczej z niepokojem, czynili Irakijczycy.

- Bierz ciężarówki, ja zajmę się transporterami - powiedział do mikrofonu.

- Dobra - nadeszła natychmiast odpowiedź od Randy'ego Robertsa.

Choć jego F-15 nie miał już ani bomb, ani rakiet przydatnych do niszczenia celów naziemnych, to pod prawym skrzydłem, tuż przy wlocie powietrza, wystawało sześć obrotowych luf działka automatycznego vulcan kalibru 20 mm, zdolnych z oszałamiającą prędkością wypluć całą zawartość magazynka mieszczącego 450 sztuk amunicji. Pocisk kalibru 20 mm przypomina wielkością mały banan i eksploduje w chwili uderzenia w cel.

Walker odbezpieczył działko, a pokładowy komputer bezzwłocznie wyświetlił mu w wizjerze ekran celowniczy, na którym zmieniające się błyskawicznie liczby wskazywały odległość od celu, pełzający krzyżyk zaś miał ułatwić trafienie w wybrane miejsce.

Pierwszy BRDM dostał serię stu pocisków i rozpadł się na kawałki. Walker delikatnym ruchem naprowadził krzyżyk na tył drugiego pojazdu i nacisnął spust, a sekundę później poderwał maszynę w górę, jednocześnie kładąc ją w szeroki zakręt. Wykonawszy pełną pętlę połączoną z beczką, Walker wyrównał lot nad jasnobrazową pustynią. Horyzont, który jeszcze przed chwilą wyczytniał niezwykle harce, wrócił na swoje zwykłe miejsce. Oba transportery płonęły, jedna ciężarówka leżała na boku, małe sylwetki rozpaczliwie szukały schronienia między skałami.

Ludzie z land-roverów natychmiast zrozumieli, co się święci; błyskawicznie dopadli pojazdu i na pełnym gazie ruszyli w dół suchego koryta, by wydostać się z zasadzki. Nie wiedzieli i nigdy nie mieli się dowiedzieć, kto ich "namierzył" - najprawdopodobniej wędrowni pasterze - lecz doskonale zdawali sobie sprawę, kto przed chwilą ocalił im życie.

Oba F-15 przemknęły nad korytem strumienia, pokiwały skrzydłami, po czym zaczęły szybko nabierać wysokości, kierując się ku oczekującej na nie powietrznej cysternie.

Dowódcą małego oddziału SAS był sierżant Peter Stephenson.

Pomachał odlatującym myśliwcom, a następnie powiedział:

- Nie mam pojęcia, jak się nazywacie, koledzy, ale jestem wam winien kolejkę.

Tak się złożyło, że pani Masłowski jeździła po zakupy małym suzuki vitara, i choć jeszcze nigdy nie miała okazji włączyć napędu na obie osie, to natychmiast zarekomendowała Martinowi swój samochód. Uczony wyruszył wcześniej, bo choć odlatywał do Londynu dopiero o piątej po południu, to nie wiedział, jak dużo czasu zmitręży w górach. Zapowiedział, że będzie się starał zdażyć na drugą.

Doktor Masłowski miał zajęcia na uczelni, więc dał Martinowi mapę, aby się nie zgubił.

Jadąc szosą prowadzącą dnem doliny rzeki Mocho minął

budynki laboratorium, potem zaś skręcił w drogę do Tesli.

Z każdym kilometrem teren stawał się coraz bardziej górzysty, domy zaś mniej liczne. Na szczęście dopisała pogoda. Zima w tej części Stanów nigdy nie bywa tak ostra, jak w innych rejonach kraju, ale bliskość morza jest przyczyną częstego występowania gęstych mgieł i dużego zachmurzenia. Jednak rankiem

27 stycznia niebo było nieskazitelnie błękitne, powietrze zaś chłodne i rześkie.

Daleko z przodu pojawił się skuty lodem wierzchołek Góry Cedrowej. Szesnaście kilometrów za skrzyżowaniem Martin zjechał z szosy i skierował samochód na gruntową drogę wspinającą się stromo po zboczu wzgórza. Hen, w dole, na dnie doliny w promieniach słońca błyszczała wstążka rzeki Mocho, torującej sobie uparcie drogę między skałami.

Trawa, która do tej pory porastała zbocze, ustąpiła miejsca bylicy i rozszanym tu i ówdzie dębczacom. Wysoko w górze, na tle błękitnego nieba, krążyły dwie kanie.

Martin minął samotną farmę, ale Lomax mówił mu, żeby jechał dalej. Po pięciu kilometrach dotarł do chaty; została zbudowana z wielkich, ociosanych bali. Z wzniesionego z kamieni komina ulatywała strużka siniego dymu.

Zatrzymał samochód na podwórzu i wysiadł. Z wnętrza otwartej stodoły przyglądała mu się obojętnie samotna krowa. Zza chaty dobiegał rytmiczny stukot, więc skierował się tam, by na skraju opadającego ku rzece urwiska ujrzeć Tatę Lomaxa we własnej osobie.

Liczył sobie co najmniej 75 lat, ale na przekór obawom Sandy wyglądał tak, jakby codziennie zjadał jednego niedźwiedzia grizzly na śniadanie. Wysoki, w brudnych dżinsach i kraciastej koszuli, jednym uderzeniem siekiery bez najmniejszego trudu rozrąbał pokaźne pniaki. Śnieżnobiałe włosy opadały mu w nieładzie aż na ramiona; twarz zaś zdobiły wąsy barwy kości słoniowej. Choć Terry Martin trząsał się z zimna w ocieplanej kurtce, doktor Lomax dawał się nie czuć chłodu, mimo szeroko rozpiętej koszuli.

– A więc znalazł mnie pan? – zapytał, nie odwracając głowy. – Usłyszałem silnik.

Potężnym uderzeniem rozrąbał ostatni pniak, po czym odłożył siekiere i ruszył na spotkanie gościa. Uścisnęli sobie dłonie, a następnie Lomax wskazał szerokim gestem pobliski pień, sam zaś usiadł na sąsiednim.

– Doktor Martin, zgadza się?

– Owszem.

– Z Anglii?

– Tak.

Stary naukowiec sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął woreczek z tytoniem i bibułkę z papieru ryżowego, po czym zaczął skręcać papierosa.

– Chyba nie ma pan jedynie słusznych poglądów politycznych? – zapytał.

– Hm... Nie wydaje mi się.

Lomax z aprobatą skinął głową.

– Miałem kiedyś lekarza o jedynie słusznych poglądach politycznych. Bez przerwy darł się na mnie, żebym przestał palić. Uwagi Martina nie uszedł fakt, że gospodarz użył czasu przeszłego.

– Zapewne zrezygnował pan z jego usług?

– Nie, to on zrezygnował. Umarł w ubiegłym tygodniu.

Pięćdziesiąt sześć lat. Nadmiar stresów. Co pana do mnie sprowadza?

Martin zaczął grzebać w teczce.

– Przede wszystkim przepraszam, że w ogóle zawracam panu głowę. Prawdopodobnie tylko marnuję pański czas, a przy okazji swój, ale mimo wszystko czy zechciałby pan rzucić na to okiem?... Lomax wziął od niego fotografię.

– Pan naprawdę jest z Anglii?

– Naprawdę.

– I chciało się panu lecieć taki szmat drogi, żeby pokazać mi

tę fotkę?

– Rozpoznaje pan to?

– No pewnie. Przecież pracowałem tam przez pięć lat.

Martin ze zdumienia aż otworzył usta.

– Był pan tam?! – wykrztusił z najwyższym trudem.

– Nie tylko byłem, ale mieszkałem.

– W Tarmijji?

– W jakiej znowu Tarmijji, do stu diabłów? Przecież to Oak Ridge.

Martin przełknął ślinę.

– Doktorze Lomax, to zdjęcie zostało wykonane sześć dni temu przez amerykański myśliwiec przelatujący nad zbombardowaną iracką fabryką.

Lomax przez chwilę wpatrywał się w gościa błękitnymi oczami, ukrytymi częściowo pod krzaczastymi, siwymi brwiami, a następnie przeniósł spojrzenie z powrotem na fotografię.

– Sukinsyn... – wycedził. – Ostrzegałem tych drani. Trzy lata temu. Napisałem memorandum, w którym dowodziłem, że Trzeci Świat będzie starał się wykorzystać przede wszystkim tę technologię.

– I co się stało z tym memorandum?

– Pewnie wyrzucili je do kosza.

– Kto?

– Jak to, kto? Ci jajogłowi mądrale.

– A więc pan wie, co to za dyski widać we wnętrzu tego budynku?

– Jasne, że wiem. To kalutrony. Te cwaniaki z Iraku zbudowały sobie kopię naszej instalacji z Oak Ridge.

– Kału... co?

Lomax ponownie spojrzał na niego.

– Pan nie jest fizykiem?

– Niestety, nie. Zajmuję się arabistyką.

Lomax mruknął coś pod nosem, jakby współczuł wszystkim, którzy muszą iść przez życie obarczeni ciężarem nie-bycia fizykiem.

– Kalifornijskie cyklotrony, w skrócie kalutrony.

– Do czego one służą?

– Do EMSI. Elektromagnetycznej separacji izotopów. Mówiąc waszym językiem, oczyszczają uran, żeby uzyskać uran 235 niezbędny do produkcji bomby atomowej... Powiada pan, że to zdjęcie z Iraku?

– Tak. Fabryka została przypadkowo zbombardowana tydzień temu, a fotografię wykonano następnego dnia, ale aż do dzisiaj nikt nie mógł nam powiedzieć, co ono przedstawia.

Lomax zamyślił się głęboko, spoglądając na rozciągającą się u jego stóp dolinę i puszczając kłęby jasnoniebieskiego dymu.

– Sukinsyn – powtórzył wreszcie. – Wie pan, mieszkam tu dlatego, że chcę. Z dala od całego tego smogu i hałasu. Nie mam telewizora, ale słucham radia. Chodzi o tego przyjemniaczka Saddama Husajna, zgadza się?

– Tak jest. Powie mi pan coś o kalutronach?

Stary człowiek zdusił niedopałek papierosa i znowu zapatrzył się przed siebie, tym razem nie tylko na dolinę, ale i na otchłań lat.

– Tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci. Kupa czasu, co? Prawie pół wieku. Pana nie było jeszcze wtedy na świecie, zresztą tak samo jak większości ludzi, którzy teraz po nim chodzą. Kilku facetów postanowiło osiągnąć coś, co wydawało się niemożliwe. Byliśmy młodzi, pełni zapału, genialni i nie wiedzieliśmy, że to niemożliwe, więc to osiągnęliśmy.

Fermi i Pontecorvo z Włoch, Fuchs z Niemiec, Nils Bohr

z Danii, Nunn May z Anglii i paru innych. I my, jankesi: Urey, Oppe, Ernest i ja. Byłem najmłodszy. Miałem wtedy dwadzieścia

siedem lat.

Przez większość czasu szukaliśmy po omacku, próbując wszystkiego, co nie zostało jeszcze wypróbowane, i zapuszczając się tam, gdzie nikogo przed nami nie było. Dysponowaliśmy budżetem, za który dzisiaj nie dałoby się kupić funta kłaków, więc pracowaliśmy dzień i noc, i szliśmy na skróty. Musieliśmy, bo termin zbliżał się nieubłaganie. Zdażyliśmy, w niespełna trzy lata. Zbudowaliśmy bomby: "Little Boy" i "Fat Mań".

Potem bombowce zrzuciły je na Hiroszimę i Nagasaki, a świat ocenił, że jednak źle się stało. Problem polegał na tym, że gdybyśmy tego nie zrobili, zrobiłby ktoś inny. Może hitlerowskie Niemcy, a może stalinowska Rosja...

– Przepraszam, a te kalutrony? – wtrącił nieśmiało Martin.

– Tak, tak. Słyszał pan o Projekcie Manhattan?

– Oczywiście.

– Brało w tym udział wielu geniuszów, ale dwaj byli najwięksi: Robert J. Oppenheimer i Ernest O. Lawrence. O nich też pan słyszał?

– Naturalnie.

– I pewnie wydaje się panu, że byli kolegami, partnerami?

– Owszem.

– No to źle się panu wydaje. Byli rywalami. Wszyscy doskonale wiedzieliśmy, że kluczem do rozwiązania naszego problemu jest uran, jeden z najcięższych pierwiastków występujących na Ziemi. Wiedzieliśmy też, że do wywołania reakcji łańcuchowej potrzebny jest jego lżejszy izotop 235. Cały dowcip polegał na tym, żeby wydobyć z uranu te 0,7 procenta izotopu 235.

Prace prowadzono od dawna, ale dopiero kiedy Ameryka przystąpiła do wojny, naszym wodzom nagle zaczęło zależeć na rezultatach. Po latach zaniedbań chcieli mieć je na wczoraj. Zawsze ta sama historia. Próbowaliśmy wszystkich sposobów.

Oppenheimer zdecydował się na dyfuzję gazową. Najpierw trzeba było zamienić uran w ciecz, potem zaś w gaz, sześciofluorek uranu, cholernie trujący i powodujący korozję. Wirówki pojawiły się później. Wynałazł je pewien austriacki uczony, którego zgarnęli Rosjanie i zapędzili do roboty w Suchumi.

Lawrence wybrał inną drogę: separacja elektromagnetyczna poprzez przyśpieszanie cząsteczek. Rozumie pan?

– Obawiam się, że nie.

– Mówiąc najprościej jak można, polega to na tym, że rozpędza pan atomy do ogromnej prędkości, a następnie za pomocą silnych magnesów zakrzywia tor ich lotu. Wyobraźmy sobie, że w zakręt wchodzi jednocześnie dwa samochody wyścigowe: lekki i ciężki. Który z nich znajdzie się na zewnętrznym torze?

– Ciężki – zaryzykował Martin.

– Słusznie. Taka właśnie jest zasada. Najważniejszą częścią kalutronów są ogromne magnesy, mniej więcej sześciometrowej średnicy. – Postukał palcem w zdjęcie. – To właśnie one. Ustawili je w taki sam sposób, w jaki my zrobiliśmy to kiedyś w Oak Ridge.

– Skoro metoda okazała się właściwa, to dlaczego z niej zrezygnowano? – zapytał Martin:

– Ze względu na szybkość. Oppenheimer wygrał, bo jego sposób prędzej dawał efekty. Kalutrony działają bardzo powoli, a w dodatku są szalenie kosztowne. Po 1945 roku, kiedy Rosjanie zwolnili wreszcie tego nieszczęsnego Austriaka, a on od razu zjawił się u nas, żeby zademonstrować swój wynalazek, zaprzestano ich stosowania, a cała technologia uległa odtajnieniu. W Bibliotece Kongresu może pan znaleźć wszelkie niezbędne opisy i szczegółowe plany – przypuszczam zresztą, że Irakijczycy skorzystali właśnie z tego źródła.

Przez kilka minut dwaj mężczyźni siedzieli w milczeniu.

– Krótko mówiąc, sugeruje pan, że Saddam skorzystał z tech-

nologii produkcji fordą model T, ale nikt nie zwrócił na to uwagi, ponieważ wszyscy myśleli, że będzie próbował wziąć udział w wyścigach formuły 1? – zapytał wreszcie Anglik.

– Dokładnie. Ludzie zapomnieli, że chociaż ford model T jest już cholernie przestarzały, to przecież działa. Przewiezie cię z punktu a do punktu b, a w dodatku prawie nigdy się nie psuje.

– Doktorze Lomax, uczeni, których opinie zasięgały rządy obu naszych krajów, ustalili ponad wszelką wątpliwość, że Irak dysponuje jedną, funkcjonującą od co najmniej roku, kaskadą wirówek. Druga może być na ukończeniu, ale chyba nie zaczęła jeszcze pracować. Na tej podstawie wyliczono, że Irakijczycy nie zdążyli jeszcze zgromadzić takiej ilości uranu 235 – powiedzmy, trzydziestu pięciu kilogramów – która wystarczyłaby do zbudowania choćby jednej bomby atomowej.

Lomax skinął głową.

– Mają rację. Przy jednej kaskadzie trzeba na to pięciu lat, albo i więcej. Dwie kaskady to minimum trzy lata.

– Przypuśćmy jednak, że równolegle korzystali z kalutronów...

W jaki sposób zaplanowałby pan całą operację, gdyby stał na czele irackiego programu jądrowego?

– Na pewno nie tak, jak pan mówi – odparł emerytowany fizyk, skręcając kolejnego papierosa. – Czy w Londynie wyjaśniono może panu, że proces rozpoczyna się od koncentratu zawierającego zero z czymś tam procent uranu 235, kończy się zaś na materiale, w którym tegoż izotopu jest już ponad 93 procent?

Martin przypomniał sobie, że w sali konferencyjnej w podziemiach Whitehallu wypuszczający kłęby fajkowego dymu doktor Hipwell wypowiedział niemal dokładnie te same słowa.

– Owszem.

– Ale chyba nie uznali za stosowne wspomnieć, że większość czasu zajmuje przejście od tego nieszczęsnego zera do 20 procent, i że w miarę zwiększania się zawartości czystego pierwiastka, proces ulega przyśpieszeniu?

– Nie.

– No więc, tak właśnie jest. Gdybym miał do dyspozycji i kalutrony, i wirówki, nie używałbym ich równolegle, tylko najpierw przepuściłbym koncentrat rudy przez kalutrony, żeby uzyskać dwudziesto- albo dwudziestopięcioprocentową czystość, a dopiero potem włądował go do wirówek.

– Dlaczego?

– Bo w ten sposób dziesięciokrotnie skróciłbym okres oczekiwania na otrzymanie w kaskadach gotowego produktu.

Tata Lomax przez minutę wypuszczał w milczeniu kłęby dymu, pozwalając Terry'emu Martinowi przetrawić nową wiedzę.

– W takim razie kiedy, pańskim zdaniem, Irak może uzyskać trzydzieści pięć kilogramów czystego uranu?

– Zależy, kiedy uruchomili kalutrony.

Martin ponownie zastanowił się głęboko. Po tym, jak izraelskie myśliwce bombardujące zniszczyły Osirak, Bagdad zaczął stosować technikę duplikacji i rozproszenia. Laboratoria były rozrzucone po całym kraju, te same badania prowadzono jednocześnie w kilku miejscach, wszelkich zakupów za granicą dokonywano zaś z zachowaniem maksymalnej dyskrecji. Osirak zniszczono w 1981, więc...

– Powiedzmy, że kupili potrzebne elementy w 1982, a zmontowali je w 1983.

Lomax wziął do ręki patyk i począł grzebać nim w ziemi.

– Mieli jakieś problemy ze zdobyciem koncentratu rudy uranu? – zapytał.

– Nie.

– Ja myślę – mruknął ponuro fizyk. – Niedługo będzie

można kupić to w supermarkecie. - Szturchnął patykiem fotografię. - Na tym zdjęciu widać około dwudziestu kalutronów. To wszystko, czy jest coś jeszcze?

- Nie wiadomo. Założmy, że nie mieli więcej.

- Od 1983, powiada pan?

- Tak jest.

Lomax ponownie zajął się grzebaniem w ziemi.

- Czy brakowało im kiedyś energii elektrycznej?

Martin przypomniał sobie 150-megawatową elektrownię, prawdopodobnie połączoną z Tarmijją podziemną linią przesyłową,

- Nie, wręcz przeciwnie.

- A nam brakowało - powiedział emerytowany uczony. -

Kalutrony zużywają potwornie dużo prądu. W Oak Ridge zbudowali nam największą opalaną węglem elektrownię w Stanach, a i tak musieliśmy od czasu do czasu czerpać z krajowej sieci. Za każdym razem w całym Tennessee gasło światło, taki mieliśmy pobór mocy!

Pisał patykiem jakieś liczby, zamazywał je i natychmiast przystępował do kolejnych obliczeń.

- Kłopoty z drutem miedzianym?

- Nie, bo w każdej chwili mogli kupić go, ile chcieli, na wolnym rynku.

- Te magnesy są owinięte tysiącami kilometrów drutu miedzianego - wyjaśnił Lomax. - Podczas wojny były z tym cholerne problemy. Wie pan, co wymyślił stary Lawrence?

- Nie mam pojęcia.

- Pożyczył z Fortu Knox wszystkie sztabki srebra, stopił je i kazał zrobić z tego drut. Nadawał się prawie tak dobrze jak miedziany. Kiedy tylko skończyła się wojna, musiał wszystko oddać, co do grama. - Stary mężczyzna zachichotał pod wąsem. - To dopiero był aparat!

Wreszcie obliczenia dobiegły końca.

- Jeżeli w 1983 zmontowali dwadzieścia kalutronów i do 1989 ładowali w nie koncentrat rudy uranu, aż do osiągnięcia dwudziestopięcioprocentowej czystości... a potem obrabiali to przez rok w kaskadzie wirówek... mogliby uzyskać 35 kilogramów dziewięćdziesięciotrzyprocentowego uranu już w listopadzie.

- W tym, który będzie? - zapytał Martin.

Lomax wstał, rozprostował ramiona, po czym podał gościowi rękę i pomógł mu podnieść się z miejsca.

- Nie, miły panie. W tym, który już minął.

Jadąc z powrotem gruntową drogą Martin spojrzął na zegarek. Południe, a więc ósma wieczorem w Londynie. Paxman już dawno poszedł do domu, on zaś nie znał jego domowego numeru. Miał do wyboru, albo czekać dwanaście godzin w San Francisco, albo wracać. Zdecydował się na powrót.

Terry Martin wylądował w Londynie 28 stycznia o jedenastej przed południem, o wpół do pierwszej zaś spotkał się z Simonem Paxmanem. O drugiej wzburzony Steve Laing zgłosił się do Harry'ego Sinclaira w budynku ambasady USA, godzinę później zaś szef londyńskiej placówki CIA rozmawiał przez zabezpieczony przed podsłuchem telefon z Billem Stewartem, zastępcą dyrektora CIA ds. operacyjnych.

Dopiero rankiem 30 stycznia Bili Stewart mógł przedstawić Williamowi Websterowi wyczerpujący raport.

- Wszystko się zgadza - poinformował byłego sędziego z Kansas. - Posłałem w góry naszych ludzi i Lomax wszystko potwierdził. Znaleźliśmy też jego memorandum. Z dokumentacji instalacji w Oak Ridge wynika, że te dyski to naprawdę kalutrony, które...

- Jak to się stało? - przerwał mu dyrektor CIA. - Jak to możliwe, że o niczym nie wiedzieliśmy?

- Cóż, na ten pomysł prawdopodobnie wpadł sam Dżafar al-Dżafar, szef irackiego programu nuklearnego. Studiował w Anglii, ale przez pewien czas pracował też w CERN-ie pod Genewą. Jest tam olbrzymi akcelerator liniowy.

- I co z tego?

- Kalutrony to też przyspieszacze cząstek, tyle tylko, że znacznie mniejsze. Poza tym, ta technologia została odtajniona w 1949 i od tamtej pory każdy, kto chciał, mógł uzyskać do niej dostęp.

- W jaki sposób zdobyli te kalutrony?

- Kupowali je w częściach, głównie w Austrii i Francji. Nie wzbudziło to niczyich podejrzeń, bo technologia od dawna była uważana za przestarzałą. Same zakłady zbudowali Jugosłowianie, którzy wygrali oficjalny przetarg. Koniecznie chcieli mieć jakieś plany, więc Irakijczycy dali im po prostu plany Oak Ridge. Dlatego Tarmijja stanowi dokładną replikę naszej instalacji.

- Kiedy to wszystko się działo? - zapytał dyrektor.

- W 1982.

- A więc ten agent, jak mu tam...

- Jerycho.

- Właśnie. A więc Jerycho nie kłamał?

- Przekazał nam tylko to, co podobno powiedział Saddam Husajn podczas spotkania z wąskim gronem najbardziej zaufanych osób. Obawiam się jednak, że wszystko wskazuje na to, iż tym razem pan Husajn mówił prawdę.

- A Jerycho dostał od nas kopa w dupę?

- Zażądał za tę informację miliona dolarów. Jeszcze nigdy nie wypłaciliśmy nikomu takiej sumy, a wtedy wydawało się, że...

- Na litość boską, Bili! Przecież to i tak półdarmo, jeśli wziąć pod uwagę, co jego informacja naprawdę oznacza. - Dyrektor CIA wstał z fotela i podszedł do zajmującego całą ścianę okna. Między nagimi gałęziami osik widać było Potomac toczący swe szare wody w kierunku oceanu. - Natychmiast wyślij do Rijadu Chipa Barbera. Niech sprawdzi, czy jest jakiś sposób, żeby ponownie nawiązać kontakt z Jerychem.

-Mamy łącznika, panie dyrektorze. To brytyjski agent, który mieszka w Bagdadzie i udaje Araba. Problem polega na tym, że powiedzieliśmy chłopcom z Century House, żeby go stamtąd wyciągnęli...

- Módlmy się, aby tego nie zrobili, Bili. Potrzebujemy Jerycha jak nigdy dotąd. Koszty nie grają roli. Musimy wiedzieć, gdzie ukryli bombę i zniszczyć ją, zanim będzie za późno.

- Tak jest. Eee... Kto zawiadomi generałów?

Dyrektor westchnął ciężko.

- Za dwie godziny mam spotkanie z Colinem Powellem i Brentem Scowcroftem.

Lepiej, że trafiło na ciebie niż na mnie, pomyślał Stewart, zamykając za sobą drzwi gabinetu.

Rozdział osiemnasty

Dwaj ludzie z Century House zjawili się w Rijadzie przed Chipem Barberem z Waszyngtonu. Samolot, którym lecieli Steve Laing i Simon Paxman, wylądował jeszcze przed świtem.

Julian Gray, szef placówki SIS w stolicy Arabii Saudyjskiej, jak zwykle czekał na nich w niepozornym samochodzie i zawiózł ich do willi, gdzie od pięciu miesięcy właściwie mieszkał, z trudem znajdując chwilę, by od czasu do czasu wpaść do domu.

Nagle pojawienie się Paxmana, a tym bardziej zajmującego wyższe miejsce w hierarchii służbowej Lainga, bardzo go zaskoczyło. Nie wiadomo dlaczego przylecieli, żeby nadzorować przebieg operacji, która została już oficjalnie zakończona.

Kiedy znaleźli się w willi, Laing wyjaśnił Grayowi, z jakiego powodu należy bezzwłocznie odszukać Jerycha i ponownie włączyć go do gry.

– Do licha, a więc ten drań mówił prawdę!

– Przyjmujemy takie założenie, choć na razie nie mamy żadnych dowodów. Kiedy Martin będzie teraz na nasłuchu?

– Przez pół godziny od dwudziestej trzeciej piętnaście. Ze względów bezpieczeństwa od pięciu dni nie kontaktowaliśmy się z nim. Szczerze mówiąc, oczekujemy, że lada dzień pojawi się na granicy.

– Miejmy nadzieję, że jest na miejscu. Jeśli nie, to ugrzęźliśmy po szyję w gównie. Trzeba będzie z powrotem go tam przemycić, a to zajmie mnóstwo czasu. Na pustyni aż roi się od patroli.

– Ilu ludzi wie o sprawie? – zapytał Gray.

– Prawie nikt, i tak ma pozostać – odparł Steve Laing.

Rzeczywiście, wtajemniczono bardzo niewiele osób, ale dla profesjonalistów nawet to nieliczne grono było stanowczo zbyt liczne. W Waszyngtonie w jego skład wchodził prezydent, czterej członkowie jego gabinetu, przewodniczący Rady Bezpieczeństwa Narodowego oraz przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów. Należało do tego dodać czterech ludzi z Langley – jeden z nich, to znaczy Chip Barber, był już w drodze do Rijadu. Doktor Lomax musiał przyjąć w swojej chacie nieproszonego gościa, który miał dopilnować, aby uczony rzeczywiście był całkowicie odizolowany od świata zewnętrznego.

W Londynie o sprawie wiedzieli: nowy premier John Major, sekretarz gabinetu premiera, dwaj ministrowie oraz trzech ludzie z Century House.

W Rijadzie przebywało trzech wtajemniczonych, wkrótce zaś miał do nich dołączyć czwarty, Chip Barber. Jeżeli chodzi o generałów, to zaufano tylko czterem – trzem Amerykanom i jednemu Brytyjczykowi.

Doktor Terry Martin zachorował na dyplomatyczną grypę i dochodził do zdrowia w wiejskim domku wykorzystywanym czasem przez SIS. Doglądała go troskliwa gospodyni oraz trzech nieco mniej troskliwi ochroniarze.

Od tej pory wszystkie działania aliantów zmierzające do odnalezienia, a następnie zniszczenia broni opatrzonej kryptonimem Kubdat Allah, czyli Pięść Boga, miały stwarzać pozory, iż w rzeczywistości są skierowane bezpośrednio przeciwko Saddamowi Husajnowi.

Próby usunięcia dyktatora były już zresztą podejmowane. Jakiś czas temu ustalono dwa miejsca, w których mógł zjawić się prezydent; nikt jednak nie wiedział, kiedy to nastąpi, gdyż ra'is, jeśli nie przebywał akurat w swoim bagdadzkim bunkrze, prznosił się z kryjówki do kryjówki wedle własnego uznania.

Oba cele obserwowano z powietrza przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jednym z nich była wiejska willa położona 65 kilometrów od Bagdadu, drugim wielki wóz campingowy, cały opancerzony i przerobiony na ruchome centrum dowodzenia.

Za pierwszym razem zauważono, że wokół willi pojawiły się stanowiska lekkiej artylerii przeciwlotniczej i pojazdy opancerzone.

Natychmiast nadleciało kilka F-15 i zamieniło budynek w stertę gruzów, ale alarm okazał się fałszywy; ptaszka nie było w klatce.

Za drugim razem, dwa dni przed końcem stycznia, zaobserwowano potężną zmechanizowaną karawanę. Myśliwce natychmiast ruszyły do ataku, lecz ponownie na próżno.

Przy obu okazjach piloci podejmowali ogromne ryzyko, gdyż iraccy artylerzyści ostrzeliwali ich zajadłe. Fiasko tych akcji sprawiło, że alianci znaleźli się w kłopotliwym położeniu; okazało się, iż po prostu nie są w stanie wytropić Saddama Husajna.

W rzeczywistości nikt nie wiedział, gdzie w danej chwili przebywa dyktator, z wyjątkiem nielicznej osobistej ochrony z Al-Amn al-Chass, dowodzonej przez jego syna Kusaja.

Saddam bez przerwy przemieszczał się z miejsca na miejsce, na przekór powszechnemu przekonaniu, według którego w czasie wojny powietrznej z aliantami mieszkał prawie wyłącznie w bunkrze pod hotelem Raszid w Bagdadzie.

Aby zapewnić mu bezpieczeństwo, uciekano się do najróżniejszych wybiegów. Wielokrotnie pokazywał się wiwatującym oddziałom – złośliwi twierdzili, że głównym powodem wiwatów była radość żołnierzy, że nie trafili na pierwszą linię frontu i nie muszą znosić ciągłych bombardowań. Prawie nikt nie wiedział jednak, iż człowiek, którego tak serdecznie pozdrawiają wierni poddani, jest w rzeczywistości jednym z jego sobowtórów, tak podobnym do oryginału, że odróżnić go mogli jedynie ludzie z najbliższego otoczenia ra'isa.

Ulicami Bagdadu często przemykały otoczone silną eskortą kawalkady limuzyn z ciemnymi szybami; mieszkańcy stolicy przypuszczali, że w jednym z pojazdów siedzi sam prezydent, ale mylili się, gdyż Saddam w mieście zazwyczaj korzystał z pojedynczego, niczym nie wyróżniającego się samochodu.

Nawet bliscy współpracownicy nie cieszyli się pełnym zaufaniem władcy. Ministrów informowano o posiedzeniach rządu zaledwie z pięciominutowym wyprzedzeniem; mieli tylko tyle czasu, żeby wyjść z domu, wsiąść do samochodu i ruszyć za pilotem jadącym na motocyklu. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że trafiali od razu na miejsce zebrania.

Motocyklista prowadził ich w jakiś ustronny zakątek, gdzie przesiadali się do autobusu z zasłoniętymi oknami. Czarna zasłona oddzielała także przestrzeń dla pasażerów od miejsca kierowcy. Kiedy wszyscy dostojnicy znaleźli się już w autobusie, kierowca ruszał za kolejnym motocyklistą, który wskazywał drogę do miejsca spotkania. Ministrowie, generałowie i doradcy siedzieli w pograżonym w ciemności wnętrzu niczym uczniowie podczas wycieczki z niespodziankami, nie mając najmniejszego pojęcia, dokąd właściwie jada.

Najczęściej posiedzenia rządu lub Rady Dowództwa Rewolucji odbywały się w obszernych, odosobnionych willach, zajmowanych z samego rana, opuszczanych zaś przed zachodem słońca. Specjalny oddział Al-Amn al-Chass wyszukiwał odpowiedni budynek, unieruchamiał na jeden dzień właścicieli, a następnie odwoził ich do domu, kiedy rais wraz ze swoją świtą już zniknął.

Nic dziwnego, że alianci nie mogli go upolować, choć bardzo się starali, przynajmniej do początku lutego. Potem zaprzestano prób zlikwidowania dyktatora. Wojskowi nigdy nie mogli zrozumieć, dlaczego.

Chip Barber zjawił się w zajmowanej przez Brytyjczyków willi w Rijadzie tuż po południu ostatniego dnia stycznia. Po przywitaniu czterech mężczyzn z rosnącym niepokojem odliczali kolejne godziny zbliżające ich do chwili, kiedy będą mogli skontaktować się z majorem Martinem – jeżeli jeszcze pozostał w Bagdadzie, ma się rozumieć.

– Przypuszczam, że wyznaczono nam jakiś termin? – zapytał Iaing.

Barber skinął głową.

– 20 lutego. Nasz dzielny Norman właśnie wtedy chce ruszyć do ataku.

Paxman gwizdnał cicho.

– Dwadzieścia dni! Niech mnie licho... Czy Wuj Sam zdecydował się potrząsnąć kiesą?

– Tak. Dyrektor wyraził zgodę, żeby dzisiaj przekazać na wiedeńskie konto Jerycha milion dolarów. Dostanie jeszcze pięć, jeżeli wskaże nam miejsce przechowywania bomby *** naturalnie

zakładając, że jest tylko jedna.

- Pięć milionów dolarów!?! - wykrzyknął Laing. - Na litość boską, nikt nigdy nie dał takiej forsy za informację! Amerykanin wzruszył ramionami.

- Jerycho to płatny informator. Chodzi mu tylko o pieniądze, więc niech je ma. Jest w tym jednak pewien haczyk. Arabowie targują się, my nie, ale pięć dni po tym, jak odbierze informację, zaczniemy obniżać stawkę o pół miliona dziennie.

Trzej Brytyjczycy przez dłuższą chwilę liczyli w myślach pieniądze, które znacznie przekraczały to, co wszyscy trzej razem wzięci zdołają zarobić przez całe życie.

- Cóż, to powinno dodać mu skrzydeł - zauważył wreszcie Laing.

Treść depechy została ustalona wczesnym wieczorem. Przede wszystkim jednak należało nawiązać łączność z Martinem i poczekać na odpowiedź, w której potwierdzi w umówiony sposób, że jest cały i zdrowy, i może swobodnie działać. Dopiero wtedy Rijad poleci mu, by jak najszybciej skontaktował się z Jerychem, przedstawi szczegóły oferty oraz podkreśli konieczność maksymalnego pośpiechu.

W miarę jak zbliżała się północ, napięcie stawało się niemal nie do wytrzymania. Kolacja została na stole prawie nie tknięta. o wpół do dziesiątej przeszli do sypialni zamienionej w pokój łączności i Simon Paxman odczytał treść depechy do mikrofonu. Po zaszyfrowaniu i dwustukrotnym przyspieszeniu okazało się, że przekaz będzie trwał niespełna dwie sekundy.

Dziesięć sekund po dwudziestej trzeciej piętnaście radiooperator wysłał krótki sygnał-pytanie: "Jesteś tam?" Trzy minuty później nadeszła odpowiedź; po spowolnieniu i rozszyfrowaniu pięciu mężczyzn zgromadzonych przy radiostacji usłyszało wyraźny głos Mike'a Martina:

- Czarny Niedźwiedź do Góry Skalistej, słucham cię, odbiór. Napięcie prysło jak bańka mydlana. Pięciu dorosłych ludzi przez dłuższą chwilę poklepywało się nawzajem po plecach i ścisnęło ręce niczym chłopcy z drużyny piłkarskiej po zdobyciu mistrzostwa szkoły. Ten, kto tego nie przeżył, nie potrafi wyobrazić sobie radości, jaka zawsze staje się udziałem tych, którzy nagle dowiedzą się, że jeden z "naszych" na głębokim zapleczu przeciwnika żyje i jest na wolności.

- Przez czternaście pieprzonych dni siedział tam jak mysz pod miotłą! - zauważył Barber, kiedy przejawy entuzjazmu nieco osłabły. - Dlaczego nie wrócił zaraz po otrzymaniu rozkazu?

- Dlatego że jest upartym idiotą - wyjaśnił mu Laing. - na całe szczęście, jak się okazało.

Radiooperator, który z całej piątki zachował najwięcej spokoju, wysłał do Bagdadu kolejny, krótki sygnał - Martin miał odpowiedzieć nań w ustalony z góry sposób. Co prawda oscylograf potwierdził już jego tożsamość, ale kto mógł zaręczyć, czy brytyjski agent nie został schwytany i torturami zmuszony do współpracy z irackim kontrwywiadem? Przez dwa tygodnie można złamać nawet najtwardszego człowieka.

- Wraz z Nelsonem z północy, powtarzam, wraz z Nelsonem z północy, odbiór.

Minęły kolejne trzy minuty, zanim anteny zainstalowane na dachu willi przechwyciły trwającą ułamek sekundy transmisję z Bagdadu.

- Zaśpiewajmy, że piękny dzień nam nastał - rozległ się ponownie głos Martina.

Radiooperator uśmiechnął się szeroko.

- To on! Żywy, zdrowy i wolny jak ptaszek.

- Czy to jakiś wiersz? - zainteresował się Barber.

- Tak, tyle tylko, że druga linijka brzmi naprawdę: "Za-

śpiewajmy, że cudny dzień nam nastał" - odparł Steve Laing. - Gdyby podał poprawną wersję, znaczyłoby to, że ma pistolet przystawiony do skroni, a wtedy...

Wzruszył ramionami.

Radiooperator wysłał najdłuższą, właściwą wiadomość, po czym wyłączył aparaturę. Barber sięgnął po teczkę, którą postawił przy łóżku.

- Wiem, że to trochę nie w zgodzie z miejscowymi obyczajami, ale jako dyplomaci możemy przecież od czasu do czasu korzystać z pewnych przywilejów...

- A niech mnie! - mruknął Gray. - Dom Perignon. Myślisz, że Laagley stać na takie luksusy?

- Langley właśnie wyłożyło na stół pięć milionów zielonych - powiedział Barber. - Jedna mała butelczyna nie powinna nikomu sprawić różnicy.

- Też tak uważam - poparł go Paxman.

Wystarczył tydzień, aby Edith Hardenberg zmieniła się nie do poznania. Naturalnie sprawił to nie tylko upływ czasu, lecz przede wszystkim cudotwórcze działanie miłości.

Ulegając delikatnym namowom Karima poszła do fryzjera, który obciął i wymodelował jej włosy. Teraz opadały po obu stronach twarzy aż do wysokości brody, łagodząc ostre rysy i dodając im nieco dojrzałego, kobiecego blasku.

Za jej nieśmiałym przyzwoleniem Karim dobrał delikatny makijaż - naprawdę nic ekstrawaganckiego, zaledwie muśnięcie tuszem rzęs, odrobina pudru w kremie i delikatne mażnięcie ust szminką.

Wolfgang Gemutlich był do głębi wstrząśnięty. Co chwila przyłapywał się na tym, że ukradkiem obserwuje swoją sekretarkę, teraz jakby trochę wyższą, bo w pantoflach na dwucentymetrowym obcasie. Nie chodziło nawet o te obcasy, uczesanie ani makijaż, choć naturalnie zgromiły ją za takie pomysły, gdyby zechciała poinformować go przed wprowadzeniem ich w życie. Najbardziej nie dawała mu spokoju jej nowo nabyta pewność siebie, którą wyczuwał za każdym razem, kiedy podsuwała mu listy do podpisu albo sporządzała notatki.

Naturalnie wiedział, co było tego przyczyną; któraś z tych głupich dzierlatek z parteru namówiła ją do wydawania pieniędzy. Od tego wszystko się zaczynało. Odkąd sięgał pamięcią, wydawanie pieniędzy zawsze prowadziło do ruiny i nieszczęścia.

Co prawda naturalna nieśmiałość nie zniknęła bez śladu, w kontaktach służbowych zaś Edith nadal zachowywała daleko posuniętą rezerwę, ale wystarczyło kilka chwil sam na sam z Karimem, żeby natychmiast zaczęła ją zdumiewać własna odwaga.

Przez dwadzieścia lat cała sfera doznań fizycznych była dla niej zupełnie obca, teraz więc czuła się jak odkrywca uczestniczący w długiej, cudownej podróży, trochę speszony i przerażony, trochę zaintrygowany i podekscytowany. Ich intymne obcowanie, początkowo przypominające solowy recital, powoli przemieniało się w duet. Kiedy po raz pierwszy dotknęła go "tam na dole", wydawało jej się, że umrze z przerażenia i wstydu, i przez długi czas nie mogła uwierzyć, że jednak przeżyła.

Wieczorem 3 lutego przyniósł jej pudło zawinięte w kolorowy papier i przewiązane wstążką.

- Karim, naprawdę nie powinieneś robić takich rzeczy! Wydajesz za dużo pieniędzy.

Objął ją i zaczął gładzić po włosach. Uwielbiała, kiedy to czynił.

- Posłuchaj, kociaczkule: mój ojciec jest bardzo bogaty i daje mi duże kieszonkowe. Wolałabyś, żebym przepuszczał je w nocnych klubach?

Uwielbiała również, kiedy się z nią przekomarzał. Oczywiście

wiedziała, że nigdy w życiu nie poszedłby do żadnego z tych okropnych miejsc. Dlatego też przyjmowała perfumy i błyskotki, na które jeszcze kilka tygodni temu nawet nie rzuciłaby okiem.

– Mogę otworzyć?

– A jak myślisz, po co to przyniosłem?

W pierwszej chwili nie zorientowała się, co to jest. Jakiś jedwab, mnóstwo wstążek i koronek... Kiedy wreszcie zrozumiała – widywała takie reklamy w czasopiśmie, naturalnie w tych, które kupowały jej koleżanki – zarumieniła się po czubki uszu.

– Nie mogę, Karim. Naprawdę nie mogę.

– Oczywiście, że możesz – odparł z uśmiechem. – Dalej, kociaczk: idź do sypialni i się przebierz. Zamknij drzwi, nie będę podglądał.

Położyła całe naręcze na łóżko i spojrzała na rozrzucone fatałaszkę. Ona, Edith Hardenberg?... Nigdy. Były tam pończochy i pasy, przezroczyste majteczki i staniczki, podwiązki i kuse koszulki, a wszystko czarne, różowe, czerwone i beżowe. Obrębiony koronkami i piórami gładki jedwab, po którym palce ślizgały się jak po lodzie... Dopiero po godzinie otworzyła drzwi sypialni i stanęła w nich, szczelnie otulona starą podomką. Karim odstawił filiżankę z herbata, podszedł do niej, przez chwilę przyglądał się jej z łagodnym uśmiechem, a potem zaczął pomału rozwiązywać pasek. Ponownie zarumieniła się i odwróciła wzrok, żeby przypadkiem nie spojrzeć mu w oczy.

Podomka zsunęła się na podłogę.

– Ach, kociaczk... – szepnęła. – Wyglądasz wspaniale!

Nie wiedziała co powiedzieć, więc zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego całym ciałem. Wyczuła zgrubienie w jego spodniach, ale nie była już ani zdziwiona, ani przestraszona. Kochali się, a potem poszła do łazienki. Kiedy wróciła, przez chwilę stała bez ruchu i przyglądała mu się. Kochała go całego, każdą część jego ciała. Usiadłszy na krawędzi łóżka ostrożnie przesunęła palcem wzdłuż blizny na jego szczęce; powiedział jej, że to pamiątka z dzieciństwa – potknął się i wybił głową szybę w jednej ze szklarni ojca na przedmieściach Ammanu.

Otworzył oczy, uśmiechnął się i dotknął jej twarzy, a ona pieściła dłoń mężczyzny, całując po kolei wszystkie palce oraz sygnet z jasnorożowym opalem, prezent od matki, który nosił na serdecznym palcu.

– Co będziemy robić dziś wieczorem? – zapytała.

– Pójdziemy gdzieś. Na przykład do Bristolu.

– Jadasz za dużo steków.

Opuścił rękę i zacisnął ją na jej szczupłym pośladku.

– To jest mój ulubiony stek! – oświadczył z szerokim uśmiechem.

– Przestań! Jesteś okropny, Karim. A teraz puść mnie, bo muszę się przebrać.

Wstając z łóżka dostrzegła swoje odbicie w lustrze. Jak to możliwe, żebym aż tak bardzo się zmieniła? – przemknęła jej niepokojąca myśl. Jak to możliwe, żebym włożyła seksowną bieliznę? Zaraz potem jednak zrozumiała, co jest tego przyczyną. Po prostu dla Karima, dla jej ukochanego Karima, zrobiłaby wszystko. Miłość przyszła późno, ale kiedy już się zjawiała, miała siłę górskiej lawiny.

Departament Stanu USA

20520 Waszyngton, D.C.

Memorandum

DLA: James Baker, sekretarz stanu

OD: Grupa Analiz Wydarzeń Politycznych i Informacji Wywiadu

DOTYCZY: usunięcia Saddama Husajna

DATA: 5 lutego 1991 roku

KLASYFIKACJA: ściśle tajne

Z całą pewnością nie uszło Pańskiej uwagi, że od chwili, kiedy doszło do pierwszych starć między siłami powietrznymi koalicji

a wojskowym lotnictwem Republiki Iraku, miały miejsce co najmniej dwie, a być może więcej niż dwie, próby wyeliminowania prezydenta Iraku Saddama Husajna. Próby te, w formie nalotów myśliwców bombardujących, podejmowało wyłącznie lotnictwo Stanów Zjednoczonych. W związku z tym nasza Grupa czuje się w obowiązku przedstawić dające się przewidzieć konsekwencje udanego zamachu na życie Saddama Husajna.

Naturalnie najlepszym wyjściem byłoby utworzenie pod auspicjami zwycięskich sił koalicji nowego rządu, nie mającego nic wspólnego z dyktaturą partii Ba's, przestrzegającego praw człowieka oraz zasad demokracji. Niestety, naszym zdaniem szansę na takie rozwiązanie praktycznie równają się zeru.

Po pierwsze, Irak nie jest - i nigdy nie był - w pełni zjednoczonym krajem. Zaledwie jedną generację wstecz przypominał pled pozszywany w pośpiechu z różnokolorowych, nie pasujących do siebie skrawków, z których każdy wyobrażał jedno plemię, nastawione wrogo do wszystkich pozostałych. Jego ludność składa się w niemal równych częściach z przedstawicieli dwóch nieprzyjaznych sobie sekt - szyitów i sunnitów. Do tego należy jeszcze dodać chrześcijańską mniejszość, rozbitą na trzy główne obozy, oraz zamieszkujących północne tereny Kurdów, którzy energicznie domagają się uniezależnienia od Bagdadu i uzyskania pełnej niepodległości.

Po drugie, w całej historii Iraku nie znajdziemy choćby najkrótszego okresu demokracji. Najpierw władali nim Turcy, potem haszymidzi, następnie zaś partia Ba's. Demokracja w takiej postaci, jaka my znamy, po prostu nie miała okazji tam zaistnieć.

Gdyby w obecnej sytuacji doszło do udanego zamachu i usunięcia dyktatora, wydarzenia mogłyby się potoczyć według jednego z dwóch scenariuszy.

Pierwszy z nich zakłada utworzenie pod naciskiem z zewnątrz rządu koalicyjnego, możliwie szeroko reprezentującego różne, często przeciwstawne, opcje światopoglądowe i polityczne.

Naszym zdaniem taki rząd utrzymałby się przy władzy przez bardzo krótki okres, gdyż szybko doszłyby do głosu wzajemne pretensje i zadawnione urazy, całkowicie uniemożliwiając mu funkcjonowanie.

Kurdowie natychmiast skorzystaliby z okazji, aby pełnym głosem upomnieć się o niepodległość, i utworzyliby samodzielne państwo na północy Iraku. Sparaliżowany przez wewnętrzne waśnie rząd centralny nie zdołałby temu zapobiec. Reakcja Turcji byłaby natychmiastowa i bardzo gwałtowna, ponieważ zamieszkująca ten kraj mniejszość kurdyjska z pewnością wzmogłaby opór przeciwko Ankarze.

Szyici z południowego wschodu z pewnością nawiązaliby flirt z Teheranem, który nie miałby nic przeciwko temu, aby pomścić miliony swoich żołnierzy, jacy zginęli podczas wojny z Irakiem. Najlepszym sposobem zemsty byłaby aneksja południowo-wschodniej części Iraku. Perspektywa ta wprawiałaby w panikę wszystkie prozachodnie państwa arabskie nad Zatoką Perską, nie wyłączając Arabii Saudyjskiej.

Nieco dalej na północ, Arabowie z irańskiego Arabistanu zapragnęliby połączyć się ze swymi braćmi z Iraku, co jednak spotkałoby się z ostrą reakcją rządzących z Teheranu ajatollahów. W pozostałych częściach Iraku bardzo prędko wybuchłyby okrutne walki międzyplemienne, mające służyć wyrównaniu dawnych rachunków oraz rozdzieleniu tego, co jeszcze zostało do rozdzielenia.

Wszyscy z ogromnym niepokojem obserwujemy wojnę, jaką na terenie byłej Jugosławii toczą Serbowie z Chorwatami. Na razie wojna ta nie objęła terytorium Bośni, gdzie mamy do czynienia z trzecim czynnikiem w postaci tamtejszych muzułmanów. Kiedy walki jednak się tam przeniosą - co z pewnością nastąpi - dojdzie

do ogromnego przelewu krwi i straszliwych zbrodni. Mimo to członkowie naszej Grupy uważają, że nawet nieszczęście, jakie spotkało dawną Jugosławię, będzie niczym w porównaniu z zawieruchą, jaką wywoła rozpad Iraku. Gdyby doszło do dezintegracji tego kraju, mielibyśmy do czynienia z zaciętą wojną domową, co najmniej czterema wojnami międzynarodowymi oraz całkowitą destabilizacją sytuacji w rejonie Zatoki Perskiej. Sam tylko problem uciekinierów, których liczba musiałaby przekroczyć kilka milionów, byłyby praktycznie niemożliwy do rozwiązania.

W grę wchodzi jeszcze tylko jeden scenariusz, w którym Saddama Husajna zastępuje jakiś generał albo ktoś piastujący wysokie stanowisko w hierarchii partii Ba's. Ponieważ jednak wszyscy ludzie z najwyższych kręgów władzy w Bagdadzie mają ręce tak samo splamione krwią, jak ich lider, trudno znaleźć argumenty, które przemawiałyby za tym, aby zastępować jednego despotę innym, kto wie, czy nie okrutniejszym i bardziej przebiegłym.

W świetle przedstawionych rozważań bezsprzecznie najlepszym, choć z pewnością dalekim od ideału rozwiązaniem jest- zachowanie w Iraku status quo, naturalnie po uprzednim zniszczeniu zapasów broni masowej zagłady i takim osłabieniu siły bojowej jego armii, żeby co najmniej przez dziesięć lat nie stanowiła zagrożenia dla żadnego państwa w tym rejonie świata.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że taki rozwój sytuacji nie zmusi władz w Bagdadzie, by zaprzestały łamania praw człowieka, co czynią na niesłychaną skalę od wielu lat. Jest jednak również faktem, iż Zachód nawet teraz beczynnienie przygląda się takim samym praktykom w Chinach, Związku Radzieckim, Wietnamie, Tybecie, Kambodży, na Timorze Wschodnim oraz w dziesiątkach innych miejsc na całym świecie. Trzeba pogodzić się z faktem, że Stany Zjednoczone nie mogą zmusić świata do respektowania zasad demokracji, chyba że chciałyby z tymże światem prowadzić permanentną wojnę.

Najmniej groźne będzie więc, jeśli Saddam Husajn pozostanie absolutnym władcą zjednoczonego, Iraku, lecz jednocześnie należy pozbawić go możliwości prowadzenia agresywnych wojen z sąsiadami. W związku z tym, oraz po uwzględnieniu wszystkich zaprezentowanych argumentów, Grupa nasza usilnie zaleca powstrzymanie się od dalszych prób zgładzenia Saddama Husajna oraz zaniechanie planów marszu na Bagdad i okupowania Iraku.

Z wyrazami szacunku

GAWPiIW

7 lutego Mikę Martin dostrzegł znak wykonany kredą i jeszcze tego samego wieczoru wyjął ze skrytki list napisany na cienkim lotniczym papierze. Krótko po północy odczytał do mikrofonu najpierw treść wiadomości, potem nagrał tłumaczenie na angielski, a następnie ustawił w drzwiach chatki antenę, włączył nadajnik i minutę po rozpoczęciu swojego "okna" wysłał zaszyfowaną i przyśpieszoną informację do Rijadu.

- Jest! - wykrzyknął radiooperator pełniący dyżur w pokoju łączności. - Czarny Niedźwiedź nadaje!

Chwilę potem do pokoju wbiegli czterej zaspani mężczyźni.

Wiadomość, spowolniona i rozszyfrowana, została przekopiowana na taśmę dużego szpulowego magnetofonu. Radiooperator włączył odtwarzanie i z głośnika dobiegł głos Martina czytającego w oryginalnej treści informacji dostarczonej przez Jerycha.

- Znalazł! - wykrzyknął nagle Paxman, który najlepiej z zebranych władał arabskim. - Jerycho twierdzi, że ją znalazł!

- Cicho bądź, Simon.

Zaraz potem usłyszeli angielskie tłumaczenie. Kiedy głos z taśmy umilkł, Barber z podnieceniem rąbnął pięścią w otwartą dłoń.

- Cholera, udało mu się! Chłopcy, możecie od razu dać mi

stenogram?

Radiooperator cofnął taśmę, założył słuchawki, przesiadł się do komputera, uruchomił edytor tekstu i zaczął stukać na klawiaturze. Barber przeszedł tymczasem do sąsiedniego pokoju i zadzwonił do podziemnej siedziby dowództwa koalicyjnych sił powietrznych. Generał Chuck Horner potrzebował chyba bardzo mało snu. Właściwie nikt z ludzi pracujących w podziemiach saudyjskiego Ministerstwa Lotnictwa przy Old Airport Road nie sypiał ostatnio za wiele, ale generał Horner nie sypiał prawie wcale. Prawdopodobnie dlatego, że po prostu nie mógł zasnąć ze świadomością, iż jego chłopcy są właśnie teraz w powietrzu, głęboko nad terytorium nieprzyjaciela. Problem polegał na tym, że loty trwały przez dwadzieścia cztery godziny na dobę...

Generał miał zwyczaj przechadzać się nocami po ukrytych pod ziemią salach, zaglądając na przemian to do Czarnej Dziury, to do Centrum Kontroli zbierającego meldunki o wynikach bombardowań. Jeżeli akurat dzwonił któryś ze znajdujących się w pobliżu telefonów, podnosił słuchawkę. Wielu oficerów telefonujących gdzieś z pustyni w celu wyjaśnienia jakiejś wątpliwości albo uściślenia zadania przekonywało się nagle ze zdumieniem, że rozmawia nie z pełniącym dyżur majorem albo pułkownikiem, tylko z samym szefem.

Czasem stawało się to powodem nieporozumień. Pewien dowódca dywizjonu – jego nazwisko z oczywistych przyczyn musi pozostać okryte tajemnicą – zadzwonił kiedyś ze skargą, że jego piloci co noc natrafiają na ogień kilku baterii działek przeciwlotniczych. Czy nie można by posłać paru "bufonów", żeby uciszyły naprzykrzających się irackich kanonierów?

Generał Horner poinformował zdenerwowanego podpułkownika, że, niestety, nie jest to możliwe, ponieważ B-52 otrzymały już inne zadania. Podpułkownik usiłował przekonać dowódcę, że akurat to zadanie jest najważniejsze, ale bez rezultatu.

– W takim razie może mnie pan pocałować w kutasa! – zakończył, rozeźlony.

Żaden oficer nie ma prawa oczekiwać, że ujdzie mu na sucho takie zachowanie wobec generała. Jednak o stosunku Chucka Hornera do jego latających załóg niech świadczy fakt, iż zaledwie dwa tygodnie później ów krewki podpułkownik otrzymał awans na pułkownika.

Tuż przed pierwszą w nocy Chip Barber złapał telefonicznie generała w Czarnej Dziurze, a czterdzieści minut później zjawił się w jego gabinecie w podziemiach gmachu przy Old Airport Road. Generał z ponurą miną przeczytał wiadomość z Bagdadu.

W niczym nie przypominając już depešy radiowej, gdyż Chip Barber przededogował ją i wzbogacił o kilka szczegółów.

– Tego też dowiedzieliście się od jakiegoś biznesmena, który wypił trochę za dużo w hotelowym barze gdzieś w Europie? – zapytał z przekąsem.

– Niezależnie od źródła, z którego pochodzi, informacja jest prawdziwa, panie generale.

Horner mruknął coś pod nosem. Jak niemal wszyscy żołnierze, nie darzył zbyt ciepłymi uczuciami ludzi żyjących w świecie tajnych operacji, a to z bardzo prostego powodu.

Aby brać udział w jakiegokolwiek walce, należy być optymistą – może ostrożnym, ale jednak optymistą, wierzącym w zwycięstwo. W przeciwnym razie nie miałoby to najmniejszego sensu. Tymczasem w świecie wywiadu obowiązuje nastawienie pesymistyczne, kojarzące się z nadmierną ostrożnością. Te dwie filozofie życiowe mają ze sobą bardzo mało wspólnego, a do nasilenia animozji między USAF i CIA przyczynił się fakt, że ludzie z Langley ustawicznie sugerowali, iż piloci niszczyli

znacznie mniej celów, niż wynikało ze składanych przez nich meldunków.

– Czy ten tajemniczy cel ma jakiś związek z tym, o czym pan wie, a czego ja się domyślam?

– Naszym zdaniem po prostu jest niezwykle ważny, panie generale.

– Cóż, panie Barber, przede wszystkim będziemy musieli mu się bardzo dobrze przyjrzeć.

Tym razem ów zaszczyt przypadł w udziale TR-1 z bazy w Taif. Maszyna ta, stanowiąca udoskonaloną wersję starego U-2, mogła krążyć nad terytorium nieprzyjaciela poza zasięgiem jego rakiet i artylerii przeciwlotniczej, wykorzystując zainstalowane na swoim pokładzie najnowsze zdobycze techniki do penetrowania linii obronnych przeciwnika oraz przechwytywania informacji i rozkazów. W skład wyposażenia TR-1 wchodziły jednak także aparaty fotograficzne, w związku z czym pilot od czasu do czasu otrzymywał delikatne zadanie uwiecznienia na błonie filmowej jakiegoś ważnego obiektu. Zadanie sfotografowania Al-Kubaj było najdelikatniejszym, jakie można sobie wyobrazić.

Istniał jeszcze jeden powód, dla którego zdecydowano się właśnie na TR-1: jego aparatura może przekazywać obrazy w czasie rzeczywistym. Nie trzeba czekać, aż maszyna wróci z rekonesansu, nie trzeba wyjmować filmów, wywoływać ich i czym prędzej ekspediować do Rijadu. Kiedy TR-1 znalazł się nad wyznaczonym skrawkiem pustyni na zachód od Bagdadu i na wschód od bazy lotniczej Al-Muhammadi, obraz rejestrowany przez jego kamery pojawił się na monitorze w jednym z pomieszczeń w podziemiach saudyjskiego Ministerstwa Lotnictwa.

W niewielkim pokoju zebrało się pięciu mężczyzn, w tym także technik, który w każdej chwili mógł unieruchomić obraz na ekranie lub zrobić jego wydruk.

Chip Barber i Steve Laing byli jedynymi cywilami w tej Mekce wojskowych. Skład uzupełniali pułkownik Beatty z USAF oraz dowódca dywizjonu RAF-u Peck, obaj najwyższej klasy specjaliści w dziedzinie analizy zdjęć lotniczych.

TR-1 odnalazł cel w odległości kilku kilometrów od miejsca wskazanego przez Jerycha, ale nie ulegało żadnej wątpliwości, że chodzi o ten sam obiekt, gdyż w okolicy nie było niczego, co chociaż w przybliżeniu odpowiadałoby dostarczonemu opisowi. Cała piątka przyglądała się bez słowa, jak cel wypełnia ekran, a potem obraz znieruchomiał, z drukarki zaś wysunęła się jego wierna kopia.

– I to jest tam, pod spodem? – przerwał milczenie Steve Laing.

– Musi być, bo dokoła nic, tylko pustynia – odparł pułkownik Beatty.

– Przebiegłe sukinsyny! – wycedził z uznaniem Peck.

W Al-Kubaj mieścił się główny ośrodek produkcyjny, oczko w głowie doktora Dżafara al-Dżafara, ojca irackiego programu nuklearnego.

Pewien brytyjski inżynier jądrowy stwierdził kiedyś, że w jego pracy 10 procent powodzenia zależy od geniuszu, 90 zaś od umiejętności, którymi dysponuje każdy hydraulik. Miał sporo racji, choć naturalnie prawda nie jest aż tak prosta.

W ośrodku produkcyjnym rezultaty prac badawczych prowadzonych przez fizyków, matematyków i chemików trafiają w ręce doświadczonych inżynierów wykonujących produkt finalny. To właśnie oni konstruuja przedmiot, nad którego projektem przez wiele miesięcy mozolili się przedstawiciele różnych specjalności. Iracki ośrodek produkcyjny w Al-Kubaj został ukryty 25 metrów

pod pustynią - to znaczy, na tej głębokości znajdował się jego dach, pod nim zaś trzy poziomy mieszczące warsztaty i stanowiska montażowe. Uwagę o "przebiegłych sukinsynach" sprowokowało mistrzostwo, z jakim Irakijczycy ukryli obiekt przed ciekawskimi oczami niepowołanych osób.

Wcale nie jest trudno zbudować podziemną fabrykę, problemy zaczynają się pojawiać dopiero wówczas, kiedy trzeba ją zamaskować. Naturalnie najprościej jest po prostu zasypać wszystko piaskiem, który należało usunąć szykując wykop pod budowę. Jednak w każdej podziemnej fabryce potrzebna jest klimatyzacja, co oznacza, że z pustyni będą sterować kominy szybów wentylacyjnych pobierających świeże powietrze i odprowadzających zużyte. Fabryka musi mieć także energię elektryczną, co oznacza konieczność zastosowania potężnych generatorów. A więc kolejne dwie rury. Konieczne są zjazdy dla ciężarówek oraz windy dla ludzi i towarów. Z kolei ciężarówki nie zajadą daleko po sypkim piasku, trzeba więc ułożyć dla nich drogę prowadzącą do najbliższej szosy. Działające pod ziemią urządzenia będą wydzielać mnóstwo ciepła odprowadzanego na zewnątrz przez klimatyzację; za dnia, kiedy na pustyni panuje wysoka temperatura, nie stanowi to większego problemu, ale nocą, kiedy jest znacznie chłodniej, takie źródła promieniowania termicznego mogą zostać łatwo wykryte przez czujniki zainstalowane na satelitach lub samolotach.

W jaki więc sposób można uchronić przed rozpoznaniem z powietrza połąć pozornie dziewiczego terenu, jeżeli prowadzi tam asfaltowa szosa urywająca się, nie wiedzieć dlaczego, na środku pustyni, z piasku sterczą kominy, po drodze jeżdżą w tę i z powrotem ciężarówki, z kominów zaś buchają strumienie gorącego powietrza?

Problem ten rozwiązał pułkownik Usman Badri, młody geniusz irackiego Korpusu Inżynierskiego. Gdyby nie Jerycho, alianci prawdopodobnie nigdy nie odkryliby tajemnicy Al-Kubaj.

Ktoś patrzący z lotu ptaka widział po prostu złomowisko.

Nawet za pomocą szkielec powiększających nie sposób było stwierdzić, że cztery spośród stosów rdzewiejących samochodów są w rzeczywistości stałymi, spawanymi konstrukcjami, kryjącymi wyloty szybów wentylacyjnych. Główny budynek, w którym pozornie dokonywano cięcia wraków na mniejsze fragmenty, naprawdę mieścił maszynię wielkich wind towarowych. Ponieważ najczęściej używanym narzędziem w takich miejscach jest palnik tlenowy, nikogo nie mogła dziwić wzmożona emisja ciepła.

Istnienie złomowiska doskonale tłumaczyło obecność asfaltowej drogi - przecież ciężarówki musiały jakoś dowozić wraki i zabierać materiał wsadowy do pieców hutniczych.

Rzecz jasna, miejsce to bardzo wcześniej zwróciło uwagę załóg AWACS-ów krążących nad Zatoką Perską. Czym może być tak wielkie nagromadzenie metalu? Dywizją pancerną? Składem amunicji? Kiedy jednak, dzięki zdjęciom dostarczonym przez samolot zwiadowczy, okazało się, że jest to tylko zwykłe złomowisko, sprawa przestała budzić czyjekolwiek zainteresowanie.

Mężczyźni zgromadzeni przy monitorze w podziemiach gmachu w Rijadzie nie wiedzieli także, że pod czterema innymi stosami przerdzewiających wraków kryją się szybkostrzelne działka ZSU-23-4 produkcji radzieckiej oraz wyrzutnie pocisków przeciwlotniczych wyposażone w detektory podczerwieni - nie mogły być naprowadzane przez radar, gdyż obecność obracającej się czaszy natychmiast wzbudziłaby uzasadnione podejrzenia.

- A więc tam to jest... - mruknął Beatty.

Właśnie w tej chwili na drodze pojawiła się duża ciężarówka wyładowana samochodowymi wrakami. Zdawała się poruszać naprzód małymi skokami, ponieważ krążący na wysokości 24 000 metrów TR-1 przekazywał nieruchome obrazy w tempie kilku na

sekundę. Mężczyźni obserwowali z zapartym tchem, jak pojazd zatrzymuje się, wykręca i powoli wjeżdża tyłem do budynku.
- Założę się, że pod tymi wrakami ukryli żywność, wodę albo jakieś części zamienne - powiedział Beatty, po czym opadł na fotel. - Problem polega na tym, że nigdy nie zdołamy się dostać do tego, co jest pod ziemią. Nawet B-52 nie dadzą sobie rady.
- Ale moglibyśmy ich uwięzić tam, na dole - zauważył Peck. - Zbombardować pochylnię i windy, i ponawiać naloty, jak tylko zaczęliby odgruzowywać.
Beatty skinął głową.

- Dobry pomysł. Ile dni zostało nam do rozpoczęcia inwazji lądowej?

- Dwanaście - odparł Barber.

- To się da zrobić - mruknął pułkownik. - Zmasowany nalot, część "głupich" bomb, część naprowadzanych laserem... Tak, to całkiem możliwe.

Laing posłał Barberowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Szczerze mówiąc, zależy nam na nieco bardziej dyskretnej operacji - powiedział człowiek z CIA. - Najwyżej dwie maszyny, atak z niskiego pułapu i całkowita pewność co do jego rezultatów. W pokoju na chwilę zapadła cisza.

- Czy wy dwaj chcecie dać mi coś do zrozumienia? - zapytał wreszcie Beatty. - Na przykład to, że Bagdad ma nic nie wiedzieć o tym, że to miejsce interesuje nas w jakiś szczególny sposób?

- Da się to zrobić? - nie ustępował Laing. - Zdaje się, że nie ma tam żadnych instalacji obronnych. Ograniczyli się wyłącznie do kamuflażu.

Cholerni krętacze, pomyślał Beatty. Założę się, że próbują ocalić komuś skórę. Zresztą, to nie mój interes.

- Co o tym myślisz, Joe? - zapytał dowódcę dywizjonu.

- Tornada dałyby sobie radę - powiedział Peck. - Szczególnie, jeśli korsarze oznaczyłyby im cel. Sześć pięćsetkilogramowych bomb prosto w drzwi tej szopy. Założę się, że wewnętrzne ściany są z żelazobetonu, więc energia wybuchu nie ulegnie rozproszeniu. Beatty ponownie skinął głową.

- Dobra, bierzcie się do tego, chłopcy. Ja załatwię wszystko z generałem Hornerem. Kogo do tego weźmiesz, Joe?

- 608. Dywizjon z Muharrak. Znam ich dowódcę, Phila Curzona. Mam go tutaj ściągnąć?

Na wyspie Muharrak u wybrzeży Bahrajnu przebywało w rzeczywistości tylko dwanaście tornad 608. Dywizjonu RAF-u, które dwa miesiące wcześniej odłączyły od macierzystej jednostki stacjonującej w Fallingbostal w Niemczech. Zaraz po południu 8 lutego dowodzący nimi Phil Curzon otrzymał rozkaz, aby niezwłocznie stawić się w kwaterze dowództwa koalicyjnych sił powietrznych w Rijadzie. Ledwo zdążył potwierdzić odebranie rozkazu, kiedy oficer dyżurny zameldował, że właśnie na drugim końcu wyspy wylądował amerykański huron, który miał zabrać go do Rijadu. Curzon niezwłocznie popędził na pas startowy, wciągając w biegu marynarkę munduru, a wspinając się po drabinie do kabiny zauważył, że przysłano po niego samolot łącznikowy samego generała Hornera.

- Co się dzieje, do wszystkich diabłów? - mruknął pod nosem. W bazie w Rijadzie czekał już sztabowy samochód z embelatami USAF, który zawiózł go do odległej o półtora kilometra kwatery głównej.

Na Curzona czekali ci sami czterej mężczyźni, którzy zebrali się o dziesiątej rano, by obserwować bezpośrednią transmisję przekazywaną przez TR-1. Brakowało tylko technika, ale on spełnił już swoje zadanie, gdyż na stole leżały doskonałej jakości odbitki.

Joe Peck dokonał wzajemnej prezentacji, zaraz potem zaś Steve Laing wyjaśnił, o co chodzi.

Philip Curzon nie był głupcem – gdyby nim był, z pewnością nie powierzono by mu pieczy nad dywizjonem bardzo kosztownych samolotów bojowych Jej Królewskiej Mości. W początkowym okresie wojny powietrznej, podczas przeprowadzanych na małych wysokościach rajdów na irackie lotniska, stracił dwie maszyny i czterech ludzi. Dwaj z nich na pewno nie żyli, dwaj pozostali zaś, zmaltretowani i oszołomieni, zostali pokazani przez iracką telewizję w jednym z propagandowych programów stanowiących istne arcydzieła.

– Dlaczego nie umieścicie tego złomowiska w normalnym wykazie celów? – zapytał. – Po co ten pośpiech?

– Będę z panem zupełnie szczery – odparł Laing. – Jesteśmy przekonani, że tutaj właśnie, w podziemnej fabryce, Saddam przechowuje znaczne zapasy śmiertelnie niebezpiecznego gazu bojowego. Z uzyskanych przez nas informacji wynika, że pierwszy transport właśnie jest szykowany do wysyłki na front. Stąd ten nadzwyczajny pośpiech.

Beatty i Peck popatrzyli na siebie. A więc dlatego oba współpracujące ze sobą wywiady tak bardzo interesowały się zamaskowaną fabryką!

Jednak Curzon miał taką minę, jakby go nie przekonano.

– Ale dlaczego tylko dwie maszyny? Jeżeli w jakiejś misji biorą udział dwa samoloty, oznacza to, że nie ma ona większego znaczenia. Co mam powiedzieć moim ludziom? Jeżeli panowie sądzicie, że będę ich okłamywał, to jesteście w błędzie.

– Nie ma takiej potrzeby – zapewnił go Laing. – Proszę powiedzieć im prawdę. Zwiad powietrzny wykrył wzmożony ruch ciężarówek w tym rejonie. Analitycy doszli do wniosku, że są to wojskowe pojazdy, co wskazywałoby na obecność składu amunicji lub broni. Jeżeli zaś chodzi o niski priorytet misji, to przecież sam pan widzi, że nie ma tam ani wyrzutni rakiet, ani stanowisk artylerii przeciwlotniczej.

– Na pewno? – zapytał dowódca dywizjonu.

– Słowo honoru.

– Skoro tak, panowie, to dlaczego robicie wszystko, żeby w razie zestrzelenia i dostania się do niewoli moi piloci nie ujawnili Bagdadowi prawdziwego źródła informacji? Przecież ta historia z ciężarówkami to wierutna bzdura.

Beatty i Peck ponownie wymienili spojrzenia. Phil Curzon wyciskał agentów jak moką gąbkę. I bardzo dobrze.

Laing westchnął ciężko.

– W porządku – westchnął, zrezygnowany. – Powiedz mu, Chip.

– To, co pan usłyszy, jest tylko do pańskiej wiadomości. Otóż mamy informatora. U nas, w Stanach. Przyjechał jeszcze przed wojną na studia doktoranckie, zakochał się w dziewczynie i zaprzagnął zostać. Podczas rozmów z ludźmi z Biura Imigracyjnego powiedział parę ciekawych rzeczy, więc ktoś bystry zorientował się, że należy przekazać go nam.

– To znaczy CIA? – poszedł za ciosem dowódca dywizjonu.

– Tak jest, CIA. Zawarliśmy z nim układ: dostanie Zieloną Kartę pod warunkiem, że będzie z nami współpracował. Kiedy służył w irackim Korpusie Inżynierskim, pracował przy realizacji kilku ważnych obiektów. Teraz o wszystkim nam opowiada. Cóż, zna pan już całą prawdę, co jednak nie oznacza, że może pan podzielić się nią ze swoimi chłopcami. Szczerze mówiąc, nie wolno panu tego zrobić. Nie wydaje mi się, żeby miało to jakikolwiek wpływ na realizację zadania.

– Jeszcze jedno pytanie – nie ustępował Curzon. – Po co ta

cała tajemnica, jeżeli człowiek siedzi bezpiecznie w Stanach?
– Bo nie powiedział nam jeszcze wszystkiego. Myślę, że dzięki niemu poznamy lokalizacje jeszcze co najmniej dwudziestu interesujących celów. Gdyby Bagdad dowiedział się, że gość śpiewa jak kanarek, w ciągu jednej nocy towar znalazłby się w innych kryjówkach. Oni też potrafią dodać dwa do dwóch, Philip Curzon zebrał fotografie ze stołu. Do każdej była dołączona szczegółowa mapka z zaznaczonym położeniem obiektu oraz jego współrzędnymi.

– W porządku, panowie. Jutro o świcie ta szopa przestanie istnieć.

W drodze powrotnej do bazy rozmyślał nad otrzymanym zadaniem. Przeczucie podpowiadało mu, że to cuchnąca sprawa, lecz wyjaśnienia, jakie otrzymał, wydawały się całkowicie prawdopodobne, a w dodatku przecież otrzymał rozkaz. Nie okłamię swoich załóg, choć jednocześnie nie powie im wszystkiego. Dobrze przynajmniej, że cel jest tylko zamaskowany, a nie broniony. Dzięki temu dowódca dywizjonu mógł mieć pewność, że chłopcom nic się nie stanie. Wiedział już, kto poprowadzi atak.

Zastępca Curzona, Lofty Williamson, rozparty w fotelu czytał "World Air Power Journal", biblię każdego pilota wojskowego, kiedy otrzymał wezwanie do szefa. Odłożył pismo, rozeźlony, że przerywa mu się lekturę fachowego artykułu opisującego zalety i wady jednego z irackich myśliwców, z którymi mógł się spotkać.

Dowódca dywizjonu czekał w swoim gabinecie za biurkiem zasłanym fotografiami i mapami. Przez prawie godzinę wprowadzał swego zastępcę w szczegóły czekającego go zadania.

– Dwa korsarze oznaczają ci cel, więc będziesz mógł zwinąć się zaraz po zrzućeniu bomb, zanim tamci zorientują się, co w nich trafiło.

Po odprawie Williamson odszukał swego nawigatora; we współczesnych myśliwcach nawigator zajmuje się także obsługą pokładowej elektroniki oraz uzbrojenia. Porucznik Sid Blair cieszył się opinią człowieka potrafiącego odnaleźć na Saharze pustą puszkę po piwie, gdyby zaszła potrzeba odszukania jej i zbombardowania.

Pilot, nawigator i oficer operacyjny wspólnie ustalili trasę przelotu, a następnie zlokalizowali cel na lotniczych mapach o skali 1:50 000. Williamson postanowił zaatakować od wschodu dokładnie w chwili, kiedy słońce pojawi się nad horyzontem. Dzięki temu iraccy artylerzyści – gdyby jednak tam byli – zostaną oślepieni padającymi niemal poziomo promieniami, podczas gdy on zobaczy cel jak na dłoni.

Sid Blair koniecznie chciał znaleźć "słup milowy" – jakiś łatwy do rozpoznania obiekt usytuowany dokładnie na drodze podejścia do celu, który pozwoliłby dokonać ewentualnej minimalnej korekty kursu. Po długich poszukiwaniach udało się coś takiego odnaleźć: maszt radiowy dokładnie 20 kilometrów od złomowiska, 1500 metrów w bok od trasy lotu.

Niezmiernie ważne było też precyzyjne wyliczenie odstępu czasowego, w jakim maszyny powinny zjawić się nad celem, gdyż dokładność mierzona w ułamkach sekundy może oznaczać różnicę między sukcesem a porażką. Gdyby pierwszy pilot spóźnił się choćby tylko o sekundę, drugi mógłby wpaść w deszcz odłamków wzbijających się z ziemi po eksplozji, a co gorsza, pędziłyby w kierunku pierwszego tornada z prędkością ponad 15 kilometrów na minutę. Jeżeli natomiast odstęp między samolotami byłby zbyt duży, artylerzyści nieprzyjaciela mieliby dość czasu, aby otrząsnąć się z zaskoczenia i powitać drugą maszynę ulewą pocisków. Dlatego właśnie drugi myśliwiec powinien nadlecieć dokładnie w chwili,

kiedy opadną szczątki wyniesione w górę pierwszą eksplozją. Williamson poinformował o ustaleniach załogę drugiego tornada, pilota Petera Johnsa i nawigatora Nicky'ego Tyne'a. Atak miał nastąpić punktualnie osiem minut po siódmej, kiedy słońce pojawi się nad niskimi wzgórzami.

Z tornadami miały współdziałać dwa korsarze z 12. Dywizjonu, również stacjonującego w Muharrak. Obsługa naziemna otrzymała polecenie, aby pod każde tornado podwiesić po trzy półtonowe bomby wyposażone w laserowe układy wykrywania celu PAVE-WAY. O ósmej wieczorem obie załogi zjadły kolację, po czym poszły spać, gdyż pobudka została wyznaczona na trzecią nad ranem.

Było jeszcze zupełnie ciemno, kiedy przed kwatery zajechał samochód z bazy, który miał zawieźć pilotów i nawigatorów na lotnisko.

W bazie Al-Chardż Amerykanie wiedli nędzną egzystencję pod namiotami, Brytyjczycy zaś, którzy trafili do Bahrajnu, mieszkali w całkiem cywilizowanych warunkach. Część z nich zakwaterowano w hotelu Sheraton, pozostałych natomiast w eleganckim zajeździe w pobliżu bazy. Wyżywienie było znakomite, napoje alkoholowe ogólnie dostępne, a samotność nie dawała się tak bardzo we znaki dzięki obecności trzystu stewardes odbywających szkolenie w pobliskim ośrodku Middle East Airways.

Korsarze zjawiły się nad Zatoką dopiero przed tygodniem, wcześniej bowiem twierdzono, że nie będą potrzebne. Przez siedem dni zdażyły już wielokrotnie udowodnić swoją przydatność. Skonstruowane z myślą o poszukiwaniu i niszczeniu okrętów podwodnych, najczęściej patrolowały wody Morza Północnego, tropiąc radzieckie jednostki, ale równie dobrze czuły się nad pustynią. Ich specjalnością są loty na małych wysokościach. Mimo że liczą sobie już trzydzieści lat, podczas manewrów przeprowadzanych wspólnie z siłami powietrznymi USA wielokrotnie wymykały się znacznie nowocześniejszym i szybszym myśliwcom, gdyż leciały tak nisko nad ziemią, że stawały się nie do wykrycia przez wszelkie urządzenia radarowe.

Trwająca od wielu lat rywalizacja między RAF-em a USAF doprowadziła do powstania stereotypowego przekonania, według którego Amerykanie nie lubią lotów na małych wysokościach i poniżej pułapu 150 metrów wypuszczają już podwozie, natomiast Brytyjczycy uwielbiają takie zabawy, ale dla odmiany powyżej 30 metrów cierpią na lęk wysokości. Prawda przedstawia się w ten sposób, że i jedni, i drudzy potrafią latać zarówno nisko, jak wysoko; jednak korsarze, nie osiągające naddźwiękowych prędkości, za to niesłychanie zwrotne, są świetne do tego rodzaju zadań, lepsze niż jakiegokolwiek inne maszyny. Nad Zatoką Perską pojawiły się właśnie dlatego, że tornada nie bardzo dawały sobie radę z lotami na małych wysokościach.

Podczas samotnej misji, po zrzućeniu bomb tornado musiał nadal lecieć prosto w kierunku celu, nie zważając na ogień artylerii przeciwlotniczej. Pojawienie się korsarzy pozwoliło rozwiązać sytuację, gdyż wolniejsze maszyny zostały wyposażone w emitery promieni laserowych zwane PAYESPIKE, natomiast w bomby zrzućane przez myśliwce wmontowano układy wykrywające PAYEWAY. System działał na bardzo prostej zasadzie: korsarz lecący wyżej i sporo za tornadem "naznaczał" cel, dzięki czemu szybki myśliwiec mógł zaraz po zrzućeniu bomb uciekać w górę, gdyż te same znajdowały drogę. Co więcej, PAYESPIKE był montowany na stabilizowanym przez żyroskopy przegubie, dzięki czemu pilot korsarza także mógł wykonywać uniki, przez cały czas utrzymując promień lasera we właściwym miejscu.

Williamson ustalił z pilotami dwóch korsarzy, że zaczną wspólny lot ku celowi w odległości 15 kilometrów na wschód od niego, po czym wszyscy poszli przebrać się w mundury. Jak zwykle zjawili się w bazie w cywilnych ubraniach; władze Bahrajnu nie życzyły sobie obecności na ulicach zbyt wielu wojskowych, aby nie wzbudzać wśród obywateli niepotrzebnego zaniepokojenia.

Kiedy piloci i nawigatorzy wrócili z szatni, Williamson, jako dowódca misji, dokończył odprawę. Do startu pozostały jeszcze dwie godziny. Prawie nikt już nie pamięta, że podczas drugiej wojny światowej od chwili ogłoszenia alarmu do startu pierwszych samolotów mijało często nie więcej niż pół minuty.

Mieli jeszcze sporo czasu na kawę oraz na kolejny etap przygotowań. Każdy uczestnik lotu bojowego pobrał z magazynu broń osobistą w postaci małego walthera; wszyscy uważali taszczenie tego żelastwa za całkowity bezsens, chyba że ktoś oczekiwał, iż w razie spotkania na pustyni irackich żołnierzy piloci i nawigatorzy będą rzucać w nich pistoletami w nadziei, że uda im się trafić któregoś w głowę i ogłuszyć.

Każdy wziął także 1000 funtów w złocie oraz "list żelazny".

Amerkanie zetknęli się z czymś takim po raz pierwszy, ale dla Brytyjczyków, od wielu dziesiątków lat wykonujących loty bojowe w tym rejonie świata, nie była to żadna nowość.

"List żelazny" ma formę listu napisanego po arabsku oraz w sześciu dialektach beduińskich, jego treść zaś można streścić w następujący sposób: "Drogi panie Beduinie, posiadacz tego listu jest brytyjskim oficerem. Otrzyma pan 5000 dolarów w złocie pod warunkiem, że dostarczy pan go całego i żywego, z jajami tam, gdzie powinny być, a nie na przykład w ustach".

Czasem to nawet działa.

Mundury miały na plecach i ramionach naszyte pasy odblaszkowego materiału, po to, by ułatwić ewentualne poszukiwania na pustyni. Zamiast lotniczych skrzydełek na lewej kieszeni widniał jedynie Union Jack.

Po kawie przyszła pora na sterylizację. Wbrew groźnie brzmiącej nazwie nie było to nic strasznego. Po prostu chodziło o to, żeby załogi nie zabierały ze sobą obrączek, listów, papierosnic z dedykacjami ani zdjęć najbliższych – krótko mówiąc, niczego, co w razie uwięzienia mogłoby posłużyć przesłuchującemu jako punkt zaczepienia i pomoc w złamaniu oporu więźnia. Ostatecznego sprawdzenia dokonywała Pamela, olśniewającej urody pani oficer, jedna z niewielu, jakie służyły w RAF-ie. Piloci i nawigatorzy twierdzili, że jest to najprzyjemniejsza część przedstartowej procedury, a co młodsi z nich ukrywali różne przedmioty w najbardziej niecodziennych miejscach, aby przekonać się, czy Pamela je znajdzie. Na szczęście była z wykształcenia pielęgniarką i traktowała te wygłupy z poczuciem humoru i pobłażliwością.

Godzina do startu. Niektórzy jedli, inni drzemali, jeszcze inni pili kolejną kawę myśląc cały czas o tym, żeby nie zachciało im się lać w połowie misji. Byli i tacy, którzy wymiotowali w toalecie. Wreszcie mikrobus zawiózł załogi do samolotów, przy których trwał jeszcze ożywiony ruch. Każdy pilot obszedł swoją maszynę, doglądając ostatnich przygotowań, po czym wszyscy zajęli miejsca w kabinach.

Pierwsze zadanie polega na dokładnym zapięciu pasów oraz podłączeniu się do radia. Potem przychodzi kolej na APU, czyli dodatkowy system zasilania, dzięki któremu zaczynają działać przyrządy pokładowe.

Przed oczami Sida Blaira ożył pulpit nawigacyjny, umożliwiając mu wprowadzenie do komputera danych na temat trasy, planowanego czasu oraz pułapu lotu. Williamson uruchomił prawy silnik, a w chwilę później lewy. Huk dwóch rolls-royce'ów RB-199 zlał się

w jeden potężny ryk.

Zamknąć osłonę, podkołować do punktu numer jeden, zatrzymać maszynę, poczekać na zezwolenie, podkołować na początek pasa. Williamson spojrział w prawo. Tornado Petera Johnsa trzymało się nieco z tyłu, jeszcze dalej stały dwa korsarze. Uniósł rękę, a piloci pozostałych maszyn odpowiedzieli takim samym gestem.

Włączyć hamulce, dać maksymalne obroty. Samolot wibrował lekko, drżenie przybrało na sile, kiedy włączył się dopalacz. Jeszcze jedno uniesienie ręki, zwolnić hamulce, ogromna siła wgniata w fotel, beton pasa startowego umyka coraz szybciej do tyłu, delikatne szarpnięcie i cała czwórka jest już w powietrzu, kierując się ku granicy Arabii Saudyjskiej z Irakiem, gdzie ma na nich czekać powietrzna cysterna, victor z 55. Dywizjonu.

Williamson wyłączył dopalacz, po czym z prędkością 600 kilometrów na godzinę zaczął wspinać się na ustaloną wysokość 6000 metrów. RB-199 dysponują nie tylko wielką mocą, ale też wcale nie gorszym apetytem: każdy z nich pożera 140 kilogramów paliwa na minutę, a przy włączonym dopalaczu zużycie wzrasta do 600 kilogramów. Dlatego właśnie z dopalacza korzysta się bardzo oszczędnie - jedynie podczas startu, walki lub ucieczki.

Za pomocą radaru bez trudu odnaleźli w ciemności victora, ustawili się za nim i kolejno uzupełniali paliwo. Zdażyli już zużyć jedną trzecią zawartości zbiorników. Kiedy cała czwórka zatkanowała pod korek", maszyny poczęły ostro schodzić ku pustyni. Williamson, jako prowadzący, pierwszy wyrównał na wysokości 60 metrów i z prędkością 800 kilometrów na godzinę poprowadził formację w głąb Iraku. Od tej pory pierwsze skrzypce zaczęli grać nawigatorzy, mówiąc pilotom, jaki mają obrać kurs, tak. by o ustalonej porze nadlecieć nad cel dokładnie od wschodu. Kiedy byli wysoko, dostrzegli rąbek wyłaniającej się zza horyzontu tarczy słońca, ale tu, kilkadziesiąt metrów nad powierzchnią ziemi, panowała jeszcze ciemność.

Williamson korzystał z pomocy TIALD, czyli systemu wykrywania termicznego, składającego się z niewielkiej kamery telewizyjnej o wielkiej rozdzielczości sprzężonej z niezwykle czułym wykrywaczem promieni podczerwonych. Urządzenie to produkuje się w dawnej wytwórni krakersów w Edynburgu; dzięki niemu pilot samolotu mknącego nad pogrążonym w ciemności terenem widzi na monitorze rozjarzone, mknące mu na spotkanie wzgórza, doliny, urwiska, a nawet poszczególne skały i kamienie.

Tuż przed wschodem słońca Sid Blair dostrzegł maszt radiowy i polecił pilotowi skorygować kurs. Maszyny rozpoczęły ostateczne podejście do celu.

Williamson włączył systemy zawiadujące uzbrojeniem tornada, komputer zaś bezzwłocznie wyświetlił mu w wizjerze celownik wraz ze zmieniającymi się błyskawicznie danymi dotyczącymi odległości od celu. Tornado zeszło na 30 metrów nad ziemię i mknęło z prędkością nieomal 1000 kilometrów na godzinę nad zupełnie płaskim terenem. Williamson wiedział, że z tyłu druga maszyna wykonuje identyczne manewry. Przybyli dokładnie na czas.

Za ich plecami, nad łagodnie pofalowaną linią horyzontu, pojawiło się słońce, wydobywając z ciemności odległy o 10 kilometrów cel. Williamson mógł bez trudu dostrzec sterty złomowanych pojazdów, wielką szopę z blachy falistej oraz wysokie podwójne wrota, ku którym zbliżał się z oszałamiającą szybkością.

Korsarze leciały trzydzieści metrów wyżej i półtora kilometra z tyłu. Ich piloci przez cały czas wymieniali między sobą uwagi. Dziesięć do celu, siedem do celu, widzę jakieś poruszenie, sześć do celu...

- Namierzam - powiedział nawigator pierwszego korsarza.

Promień lasera padł dokładnie na środek potężnych wrót. W odległości pięciu kilometrów Williamson zaczął pomału podnosić nos maszyny, przez co stracił cel z oczu. Nie miało to żadnego znaczenia – reszta należała do wyrafinowanej techniki.

Kiedy osiągnął wysokość 90 metrów, komputer pokładowy polecił mu zwolnić bomby. Natychmiast uczynił to i trzy 500-kilogramowe cygara oderwały się od brzucha maszyny. Przez chwilę wznosiły się razem z nią, ale potem do głosu doszła siła ciężkości i bomby zaczęły elegancką parabolą opadać w kierunku blaszanej szopy.

Uwolniony od półtoratonowego ciężaru myśliwiec błyskawicznie wspiął się na 300 metrów, po czym wszedł w ostry skręt, jednocześnie kierując się z powrotem ku ziemi, by na małej wysokości pomknąć tam, skąd przed chwilą przybył. Towarzyszący mu korsarz przemknął w górze, a następnie wykonał identyczny manewr.

Wolniejsza maszyna miała zainstalowaną kamerę skierowaną w dół i do przodu, dzięki czemu nawigator widział wyraźnie, jak wszystkie trzy bomby trafiają prosto w cel. Dostrzegł jednak także coś innego: działka przeciwlotnicze strzelające z czegoś, co jeszcze przed chwilą wyglądało jak niewinna sterta złomu.

– Bomby poszły! – ryknął Johns, po czym natychmiast wprowadził maszynę w ciasny skręt. Korsarz robił to samo, ale promień lasera wybiegający spod jego brzucha nadal padał na resztki blaszanej konstrukcji.

– Trafili! – wykrzyknął nawigator korsarza.

Niemal jednocześnie za innym stosem przedzewiałych samochodów trysnęły dwa płomienie i dwa przeciwlotnicze pociski rakietowe pomknęły na spotkanie brytyjskiego myśliwca.

Williamson wyrównał na wysokości 30 metrów nad pustynią, mknąc ile mocy w silniku w stronę wstającego słońca. Nagle w słuchawkach usłyszał krzyk Johnsa:

– Trafili nas!

Klnąc na czym świat stoi, Williamson zakręcił gwałtownie, by wrócić nad cel i uciszyć irackich artylerzystów za pomocą działka pokładowego. Było już jednak za późno.

– Mają rakiety – ostrzegł go nawigator jednego z korsarzy.

W chwilę potem ujrzał tornado Johnsa, jak pnie się rozpaczliwie w górę z płonącym silnikiem.

– Katapultujemy się – powiedział spokojnie i wyraźnie 25-letni pilot. **

Pozostali nie mogli mu w żaden sposób pomóc. Podczas pierwszych wspólnych misji korsarze i tornado wracały razem do bazy, jednak od pewnego czasu obowiązywała zasada, że każdy robi to na własną rękę. Piloci korsarzy uczynili więc to, co potrafili najlepiej: sprowadzili swoje samoloty tuż nad ziemię i ruszyli w kierunku bazy.

Lofty Williamson nie posiadał się z wściekłości. Był pewien, że został oszukany, ale nie miał racji. Nikt nie wiedział ani o artylerii przeciwlotniczej, ani o wyrzutni pocisków rakietowych ukrytych w Al-Kubaj.

Krażący wysoko w górze TR-1 transmitował bezpośrednio do Rijadu przebieg akcji. Pilot innej maszyny, typu E-3, monitorującej rozmowy między myśliwcami, poinformował dowództwo o utracie załogi tornado.

Lofty Williamson przyprowadził tornado do bazy, aby dać upust gniewowi przed odbierającym jego relację oficerem wywiadu. Steve Laing i Chip Barber, przebywający wciąż w kwaterze dowództwa koalicyjnych sił powietrznych przy Old Airport Road w Rijadzie, odetchnęli z ulgą, kiedy Pięść Boga została pogrzebana w miejscu swoich narodzin. Ich radość macił jedynie żal z powodu tragedii dwóch młodych ludzi.

Piloci mknących ku granicy Iraku korsarzy natrafili po drodze na stado wielbłądów, w związku z czym musieli błyskawicznie podjąć decyzję: ominąć zwierzęta, czy przelecieć im pod brzuchami?

Rozdział dziewiętnasty

Generał Hasan Rahmani siedział za biurkiem w swoim gabinecie w Kwaterze Głównej Wywiadu i Kontrwywiadu w Mansurze, i w nastroju bliskim rozpaczy rozmyślał o wydarzeniach minionych dwudziestu czterech godzin.

Nie przygnębiał go wcale fakt, że wszystkie ośrodki przemysłowe kraju pracujące na potrzeby armii oraz ważne instalacje wojskowe były systematycznie niszczone przez bomby i rakiety nieprzyjaciela. Taki rozwój wydarzeń, przewidziany przez niego już wiele tygodni temu, jedynie przybliżał chwilę, w której rozpocznie się amerykańska inwazja, a tym samym nastąpi upadek człowieka z Tikrit.

Nie mógł już doczekać się tej chwili. 11 lutego w południe nie mógł wiedzieć, że to, czego tak bardzo pragnął, nigdy nie nastąpi. Chociaż Rahmani był wybitnie inteligentnym człowiekiem, to jednak nie potrafił dojrzeć przyszłości w kryształowej kuli.

Tego ranka najbardziej troszczył się o swoje bezpieczeństwo, niepokojąc się, czy dożyje chwili, kiedy runie potęga Saddama Husajna.

Wiadomość, iż o świcie został zbombardowany ośrodek jądrowy w Al-Kubaj, tak przemyślnie zamaskowany, że nie istniały najmniejsze szanse na to, by ktoś przypadkiem dowiedział się o jego istnieniu, wstrząsnęła elitą polityczną Bagdadu.

Zaledwie kilka minut po odlocie brytyjskich myśliwców bombardujących ci spośród obsługi działek przeciwlotniczych i wyrzutni pocisków raketowych, którzy zostali przy życiu, zawiadomili Bagdad o ataku. Doktor Dżafar al-Dżafar natychmiast wskoczył do samochodu i pojechał na miejsce, aby osobiście ocenić rozmiary zniszczeń. Kiedy zionąc wściekłością wrócił w południe, od razu udał się do gabinetu Husajna Kamila, ministra przemysłu i uzbrojenia, który nadzorował realizację irackiego programu nuklearnego. Uczony nie przebierał w słowach. Czy Kamil zdaje sobie sprawę, że realizacja tego programu pochłonie 8 miliardów dolarów spośród 50, jakie w minionej dekadzie wydano na rozbudowę militarnej potęgi kraju, a teraz, w ciągu zaledwie kilkunastu sekund, znaczna część ogromnego wysiłku została unicestwiona? Czy on, Dżafar al-Dżafar, i jego współpracownicy nie mogą liczyć na żadną ochronę ze strony państwa?

Mimo że genialny fizyk mierzył niewiele ponad półtora metra, a budową przypominał komara, to należał do najbardziej wpływowych ludzi w Iraku. Wylewał swoje żale jeszcze przez kilkanaście minut, a kiedy skończył, upokorzonego Husajna Kamila wezwano przed oblicze teścia, który także uległ napadowi wściekłości. Kiedy działo się coś takiego, wszyscy w Bagdadzie drżeli o swoje życie. Naukowcy zaprzęgnięci do pracy nad projektem nie tylko przeżyli, ale nawet zdołali uciec, gdyż fabrykę zaopatrzone w zapasowe wyjście w postaci wąskiego szybu wydrążonego poza terenem złomowiska, połączonego z podziemnymi pomieszczeniami tunelem niemal kilometrowej długości. Wszyscy pracownicy skorzystali z tej drogi ucieczki, ale nie było nawet mowy o tym, aby wydostać tamtędy maszyny i urządzenia.

Główny szyb windy, pochylnia oraz wszystkie urządzenia zamieniły się w stertę gruzu oraz poskręcanych resztek. Uprzątnięcie rumowiska, a następnie odbudowa tego, co uległo zniszczeniu, musiało potrwać co najmniej kilka tygodni - a Hasan Rahmani podejrzewał, że Irak nie ma aż tyle czasu.

Gdyby chodziło o to, i o nic więcej, Rahmani byłby bardzo zadowolony, gdyż od chwili, kiedy podczas tajnej konferencji

w pałacu prezydenckim dowiedział się o istnieniu Pięści Boga, nie mógł ani na chwilę zmrużyć oka. Prawdziwym powodem jego obaw była jednak niesłychana wściekłość, jaka ogarnęła Saddama Husajna. Poprzedniego dnia Rahmani rozmawiał przez telefon z wiceprezydentem Izzatem Ibrahimem, który kontaktował się bezpośrednio z ra'isem; jeden z najbliższych współpracowników Saddama był tak roztrzęsiony, jakby przeżył spotkanie z rozwścieczonym tygrysem.

Ibrahim ostrzegł go, że ra'isa ogarnął szal, a kiedy działo się coś takiego, zazwyczaj spadały głowy. Wiceprezydent dał mu jasno do zrozumienia, że gniew władcy mogą ukończyć jedynie rezultaty śledztwa prowadzonego przez szefa kontrwywiadu.

- O jakie konkretnie rezultaty chodzi? - zapytał Rahmani.

- Ustal, skąd się o tym dowiedzieli! - wrzasnął Ibrahim. Rahmani bezzwłocznie skontaktował się z przyjaciółmi z armii, którzy przesłuchiwali ocalałych artylerzystów. Wszystkie zeznania miały jeden punkt wspólny: w ataku brały udział tylko dwie maszyny, dwie inne zaś przeleciały nad celem na większej wysokości, nie zrzucając bomb. Przypuszczalnie stanowiły jedynie osłonę.

Potem rozmawiał z ludźmi z Sił Powietrznych. Wszyscy - nie wyłączając tych, którzy kończyli zachodnie uczelnie wojskowe - byli zgodni co do tego, że żaden dowódca nie wyznaczyłby do ataku na ważny cel zespołu składającego się zaledwie z dwóch maszyn. Było to po prostu niemożliwe.

Jeżeli więc Brytyjczycy nie podejrzewali, co naprawdę kryje złomowisko, to dlaczego je w ogóle zaatakowali? Odpowiedzi na to pytanie mogła prawdopodobnie udzielić załoga zestrzelonego myśliwca. Hasan Rahmani z przyjemnością osobiście zająłby się przesłuchaniem obu lotników, wierząc w to, że za pomocą najnowszych środków halucynogennych najdalej w ciągu kilku godzin zmusiłby ich do mówienia.

Wojskowi potwierdzili, że trzy godziny po nalocie schwytali na pustyni dwóch Brytyjczyków. Jeden złamał sobie podczas lądowania nogę. Niestety, niemal natychmiast zjawił się patrol Al-Aman al-Amm i zabrali ich ze sobą. Nikt nie protestował, gdyż z tajną policją się nie dyskutuje. Tak więc obaj Brytyjczycy znajdowali się teraz w rękach Umara Chatiba, i oby Allah okazał im litość.

Rahmani został podstępnie pozbawiony możliwości zabłyśnięcia jakąś informacją, którą udało mu się wydobyć od lotników, lecz doskonale zdawał sobie sprawę, że musi szybko zaprezentować jakieś wyniki swojej pracy. Pytanie tylko: jakie?

Powinno to być coś, czego oczekiwał ra'is, a czego mógł oczekiwać? Oczywiście spisku. Będzie więc miał spisek. Kluczową rolę odegra nadajnik.

Rahmani podniósł słuchawkę i wykręcił numer majora Muhsina Zajda, szefa wydziału zajmującego się prowadzeniem nasłuchu radiowego. Nadeszła pora, żeby znowu porozmawiać.

Trzydzieści kilometrów na zachód od Bagdadu leży niepozorne miasteczko Abu Gharib. Nazwa ta jest dobrze znana w całym Iraku, ale mało kto ją głośno wymawia, gdyż właśnie w Gharib znajduje się wielkie więzienie, gdzie przetrzymuje się i przesłuchuje niemal wyłącznie więźniów politycznych. Z tego względu nie podlega ono krajowemu zarządowi więziennictwa, lecz tajnej policji.

W tym samym czasie, kiedy Hasan Rahmani rozmawiał przez telefon z majorem Zajdem, przed bramą zbitą z grubych desek zajeżdżał długi czarny mercedes. Dwaj strażnicy rozpoznali pasażera limuzyny i czym prędzej rzucili się otwierać bramę. Zdażyli w samą porę; człowiek siedzący w samochodzie potrafił okrutnie karać za opieszałość.

Brama zamknęła się, gdy tylko limuzyna wjechała na dziedziniec. Mężczyzna na tylnym siedzeniu żadnym ruchem ani gestem nie dał poznać, czy dostrzegł wysiłki strażników. Byli bez znaczenia. Kiedy samochód zatrzymał się przed schodkami prowadzącymi do głównego wejścia do budynku, inny strażnik pośpiesznie otworzył prawe tylne drzwi. Z mercedesa wysiadł generał Umar Chatib w sztywnym na miarę mundurze z miękkiego materiału i dostojnie ruszył w górę po schodach. Młody podoficer, jego adiutant, niósł za nim teczkę.

By dotrzeć do swego gabinetu, Chatib musiał wjechać windą na czwarte, ostatnie piętro. Kiedy został sam, kazał przynieść kawę po turecku, następnie zaś przystąpił do lektury raportów z przesłuchań, które dzień i noc odbywały się w podziemiach budynku.

Mimo pozorów spokoju Umar Chatib był równie zaniepokojony jak jego kolega z gmachu w dzielnicy Mansur – człowiek, którego serdecznie nienawidził, i który odwzajemniał mu się tym samym uczuciem. Jednak w przeciwieństwie do Rahmaniego – wiecznie otaczała go aura podejrzeń, gdyż był wykształcony, obyty w świecie, znał języki – Chatib mógł liczyć na poparcie Saddama choćby ze względu na to, że pochodził z plemienia At-Tikriti. Mógł czuć się bezpieczny, przynajmniej dopóty, dopóki wywiązywał się sumiennie z zadania, które zlecił mu sam ra'is, nieprzerwanym strumieniem zeznań zasilając wezbraną rzekę nieuleczalnej paranoi prezydenta.

Jednak minione dwadzieścia cztery godziny nie należały do najprzyjemniejszych w jego życiu. On także odbył wczoraj rozmowę telefoniczną, tyle tylko, że nie z wiceprezydentem, a z zięciem ra'isa, Husajnem Kamilem. Minister przemysłu i uzbrojenia poinformował go o wściekłości prezydenta spowodowanej zbombardowaniem Al-Kubaj i zażądał intensywnego śledztwa.

Chatib uprzedził Rahmaniego i zgarnął dwóch brytyjskich pilotów. Z jednej strony można było to uznać za sukces, z drugiej jednak oznaczało poważne niebezpieczeństwo; ra'is chce wiedzieć – i to szybko! – co lotnikom powiedziano podczas odprawy, jak wiele alianci wiedzą o Al-Kubaj oraz skąd czerpali swoją wiedzę.

Zadanie Chatiba polegało na dostarczeniu tych informacji. Jego ludzie pracowali nad Brytyjczykami już od piętnastu godzin, to znaczy od chwili, kiedy zestrzeleni lotnicy zostali przywiezieni do Abu Gharib. Jak na razie żaden z tych przeklętych głupców nie puścił pary z gęby.

Z dziedzińca dobiegł świst różgi, odgłos uderzenia, a potem stłumiony jęk. Chatib zmarszczył ze zdziwieniem brwi, by zaraz potem skinąć lekko głową, gdyż przypomniał sobie, co to oznacza. Dokładnie pod oknami jego gabinetu, na dużym krzyżaku powieszono za przeguby rąk człowieka. Jego stopy wisiały zaledwie kilka centymetrów nad ziemią, obok zaś stał dzban wypełniony słoną wodą. Woda, początkowo czysta, teraz była ciemnoróżowa. Wszyscy żołnierze i strażnicy otrzymali rozkaz, aby przechodząc przez dziedziniec zatrzymać się przy więźniu, wyjąć jedną z moczących się w słonej wodzie różg i uderzyć wiszącego mężczyznę wszystko jedno gdzie, byle między karkiem a kolanami. Pod daszkiem przy murze siedział kapral i odliczał kolejne razy. Głupiec przywiązany do krzyżaka to handlarz, który publicznie nazwał prezydenta synem ulicznicy, teraz zaś dowiadywał się, aczkolwiek z opóźnieniem, jaki szacunek każdy obywatel powinien okazywać wielkiemu ra'isowi.

Najdziwniejsze było to, że jeszcze żył. Tak, prości ludzie mają nieprawdopodobne siły witalne. Handlarz wytrzymał już ponad pięćset uderzeń, ustanawiając tym samym godny podziwu rekord. Co prawda z pewnością skona przed tysięcznym – nikt nigdy nie

wytrzymał tysiąca smagnień - ale i tak jego wytrzymałość wydawała się warta odnotowania. Jeszcze jedną rzeczą, godną uwagi było to, że zadenuncjował go jego dziesięcioletni syn.

Umar Chatib wypił łyk kawy, wziął do ręki złocone wieczne pióro i pochylił się nad dokumentami.

Pół godziny później rozległo się ostrożne pukanie do drzwi.

- Wejść! - polecił. Na jego twarzy pojawił się wyraz oczekiwania. Bardzo potrzebował dobrych wieści, a tylko jeden człowiek mógł zapukać do jego drzwi nie zameldowany uprzednio przez adiutanta.

Mężczyzna, który wszedł do gabinetu, był potężnie zbudowany, ale chyba nawet jego własna matka nie zdobyłaby się na to, żeby nazwać go przystojnym. Twarz znaczyły mu paskudne ślady po przebytej w dzieciństwie ospie oraz dwie blizny po usuniętych cystach. Zamknął za sobą drzwi i czekał w milczeniu, aż jego zwierzchnik odezwie się pierwszy.

Choć miał stopień sierżanta, na wyplamionym mundurze nie sposób było dostrzec żadnych dystynkcji. Jednak sierżant Ali należał do tych bardzo nielicznych osób, do których Umar Chatib żywił coś w rodzaju przyjaznych uczuć. Tylko on, spośród całej załogi więzienia, miał prawo siedzieć w obecności generała -- naturalnie kiedy otrzymał pozwolenie.

Chatib wskazał mu krzesło i poczęstował papierosem. Sierżant zachłannie zaciągnął się dymem; każda przerwa w męczącej, uciążliwej pracy stanowiła miłe urozmaicenie.

Chatib traktował tak łaskawie żołnierza niskiej szarży, ponieważ żywił dla niego autentyczny podziw. Najbardziej cenił sobie skuteczność działania, sierżant zaś nigdy go nie zawiodł. Spokojny, metodyczny oprawca, a jednocześnie dobry mąż i ojciec... Ali był w każdym calu profesjonalistą.

- No i co? - zapytał generał.

- Nawigator jest już blisko, bardzo blisko, panie generale.

Pilot... - Ali wzruszył ramionami. - Jeszcze godzina, może trochę dłużej.

- Przypominam ci, że trzeba złamać ich obu i wydobyć od nich wszystko, co wiedzą. Ich zeznania muszą się pokrywać. Rais liczy na nas.

- Myślę, że powinien pan zejść na dół. Najdalej za dziesięć minut usłyszysz pan odpowiedź. Najpierw pęknie nawigator, a kiedy dowie się o tym pilot, też zacznie mówić.

- W porządku.

Chatib podniósł się z fotela, a sierżant otworzył przed nim drzwi. Zjechali windą na pierwszy poziom podziemi, stamtąd zaś zesłi schodami jeszcze niżej. W celach oddzielonych od korytarza stalowymi drzwiami, w brudzie i smrodzie trzymano trzynastu pilotów sił koalicyjnych: siedmiu Amerykanów, czterech Brytyjczyków, jednego Włocha i jednego Kuwejtczyka. Na jeszcze niższym poziomie znajdowały się identyczne cele, z których dwie były zajęte. Chatib zajrzał przez judasza do pierwszej z nich.

Niczym nie osłonięta żarówka oświetlała wnętrze niewielkiego pomieszczenia o podłodze i ścianach pokrytych zaschniętymi odchodami oraz rdzawymi plamami krwi. Pośrodku, na składanym plastikowym krześle, siedział nagi człowiek. Po jego piersi spływały strużki wymiocin, krwi i śliny. Ręce miał skute za oparciem krzesła, na twarzy zaś płócienną maskę bez otworów na oczy.

Po jego obu stronach stali mężczyźni w takich samych mundurach, jaki miał na sobie Ali. W rękach trzymali drugie plastikowe rury wypełnione masą bitumiczną, która zwiększa ciężar, nie zmniejszając jednocześnie giętkości. Teraz akurat odpoczywali, ale chyba jeszcze niedawno zajmowali się goleniami i kolanami więźnia, które były potwornie opuchnięte i miały sinożółtą barwę.

Chatib skinął głową, po czym przeszedł do sąsiednich drzwi. Drugi więzień nie miał maski na twarzy. Jedno oko zupełnie zniknęło pod obejmującą pół twarzy opuchlizną, pokrytą skorupą zaschniętej krwi. Kiedy otworzył usta, natychmiast pociekła z nich krew, bez trudu można było dostrzec ziejące pustką miejsca po wybitych zębach.

– Tyne... – jęknął. – Nicholas Tyne, porucznik, pięćset jeden zero dziewięć sześćdziesiąt osiem...

– To nawigator – szepnął sierżant.

– Który z naszych ludzi mówi po angielsku? – zapytał także szeptem Chatib.

Ali wskazał gestem tego po lewej stronie.

– Przyrowadź go tutaj.

Sierżant wszedł do celi, by po chwili opuścić ją w towarzystwie jednego z oprawców. Chatib zamienił z mężczyzną kilka słów po arabsku, ten zaś skinął głową, wrócił do celi i założył nawigatorowi taką samą maskę, jaką miał na twarzy pilot. Dopiero wtedy Chatib dał znak, by otwarto drzwi obu pomieszczeń.

Ten, który znał angielski, pochylił się nad nawigatorem i powiedział głośno, choć z wyraźnym akcentem:

– W porządku, poruczniku, już po wszystkim. Nie będziemy cię więcej bić.

Młody człowiek natychmiast rozluźnił napięte jak postronki mięśnie.

– Ale twój przyjaciel nie miał tyle szczęścia – mówił dalej funkcjonariusz Al-Aman al-Amm. – On umiera. Zabierzemy go do szpitala, gdzie zajmą się nim lekarze, albo zostawimy tutaj. Wybór należy do ciebie. Jeśli powiesz nam wszystko, ocalisz mu życie. Chatib skinął głową w stronę Alego, który zniknął w drugiej celi. Zaraz potem dobiegły stamtąd odgłosy uderzeń i rozpaczliwe jęki pilota.

– Powiem, wszystko powiem! – wykrzyknął Nicky Tyne. – Tylko przestańcie go bić, sukinsyny! To miał być skład amunicji, pociski z gazem bojowym...

Odgłosy dochodzące z sąsiedniej celi umilkły, a na korytarzu pojawił się nieco zadyszany sierżant.

– Pan jest geniuszem, panie generale.

Chatib skromnie wzruszył ramionami.

– Należy zawsze pamiętać o sentymentalizmie Anglików i Amerykanów – pouczył swego pupila. – Sprowadźcie tłumaczy i wyciągnijcie z tych dwóch wszystko, co wiedzą. Kiedy skończycie, przynieś mi stenogram do gabinetu.

Natychmiast po powrocie na czwarte piętro Umar Chatib zatelefonował do Husajna Kamila. Kamil oddzwonił godzinę później z informacją, że teść jest zachwycony. Spotkanie zostanie zwołane już wkrótce, może nawet jeszcze dziś wieczorem. Chatib powinien przygotować się do osobistego złożenia meldunku.

Tego wieczoru Karim ponownie zaczął żartować sobie z Edith, jednak bardzo łagodnie i bez odrobiny złośliwości. Tym razem chodziło o jej pracę.

– Nigdy ci się tam nie nudzi, kochanie?

– Nie, to bardzo interesująca praca. Dlaczego pytasz?

– Och, bo ja wiem... Szczerze mówiąc nie rozumiem, jak możesz uważać ją za interesującą. Dla mnie to chyba najnudniejsze zajęcie na świecie.

– Nieprawda.

– W takim razie powiedz mi, co jest w nim takiego interesującego?

– Prowadzenie rachunków, planowanie inwestycji i mnóstwo innych rzeczy.

-- Moim zdaniem twoja praca sprowadza się do mówienia

dzień dobry, do widzenia, tak, proszę pana, nie, proszę pana, oczywiście, proszę pana, setkom ludzi, którzy wpadają z ulicy, żeby zrealizować czek na pięćdziesiąt szylingów.

Leżał na wznak na łóżku. Podeszła, położyła się obok niego i przytuliła całym ciałem. Uwielbiała się przytulać.

– Czasem mówisz głupstwa, Karim, ale ja i tak cię kocham.

Bank Winklera jest bankiem emisyjnym i kupieckim.

– Co to za różnica?

– Nie prowadzimy rachunków bieżących, a więc nie obsługujemy klientów z książeczkami czekowymi.

– Skoro nie macie klientów, to nie macie też pieniędzy.

– Oczywiście, że mamy, głuptasie! Tyle tylko, że na kontach depozytowych.

– Nigdy nie słyszałem o czymś takim – przyznał Karim. – Ja mam tylko zwykłe konto, a poza tym, wolę gotówkę.

– Nie możesz posługiwać się gotówką, kiedy w grę wchodzi miliony dolarów, bo zaraz ktoś by ci je ukradł. Ludzie powierzają je bankowi, który inwestuje w korzystne przedsięwzięcia.

– Chcesz powiedzieć, że stary Gemutlich obraca milionami, i to należącymi do innych ludzi?

– Oczywiście.

– Milionami szylingów czy dolarów?

– Dolarów, funtów... czego tylko chcesz.

– No, ja na pewno nie powierzyłbym mu swoich pieniędzy!

Usiadła na łóżku, autentycznie wstrząśnięta.

– Herr Gemutlich jest kryształowo uczciwym człowiekiem! Nawet przez myśl by mu nie przeszło sięgnąć po cudzą własność.

– Jemu może nie, ale komuś innemu... Posłuchaj: powiedzmy, że znam kogoś, kto ma konto u Winklera. Nazywa się Schmitt. Pewnego dnia idę sobie do banku i mówię: "Dzień dobry, Herr Gemutlich, nazywam się Schmitt i mam u pana konto". On zagląda do zeszytu i odpowiada: "Zgadza się, panie Schmitt". A ja na to: "Chciałbym pobrać całą sumę". Później zjawia się prawdziwy Schmitt, ale zastaje figę z makiem, a nie swoje pieniądze. Właśnie dlatego wolę gotówkę.

Edith roześmiała się, rozczulona naiwnością swego kochanka, i ponownie położyła się obok niego, pieszcząc palcami jego ucho.

– Na pewno by ci się to nie udało. Po pierwsze, Herr Gemutlich prawdopodobnie zna osobiście twojego Schmitta, a po drugie, zażądałby jakiegoś dowodu tożsamości.

– Paszport można podrobić. Ci przekłęci Palestyńczycy robią to bez przerwy.

– Musiałbyś się również podpisać, a on porównałby twój podpis z tym, który ma w archiwum.

– No więc, nauczyłbym się fałszować podpis Schmitta.

– Karim, boję się, że pewnego dnia trafisz do więzienia. Masz naturę przestępcy.

Oboje zachichotali, rozbawieni jej pomysłem.

– Poza tym, gdybyś był cudzoziemcem, a w dodatku mieszkał za granicą, prawdopodobnie miałbyś konto na hasło. Nikt niepowołany nie mógłby się do niego dostać.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Co to jest?

– Konto na hasło?

– Aha.

Wyjaśniła mu, na czym to polega.

– Przecież to zupełne szaleństwo! – wybuchł, kiedy skończyła. – Każdy może się do niego dostać! Jeżeli Gemutlich nigdy w życiu nie widział właściciela, to...

– Są jeszcze procedury zabezpieczające, głuptasie. Bardzo

skomplikowane szyfry, specjalne sposoby pisania listów, umówione miejsca, gdzie należy złożyć podpis... Jeżeli nie zostaną spełnione wszystkie warunki, Herr Gemutlich nie wypłaci ani szylinga.

– Musi mieć niezłą pamięć.

– Karim, czasem jesteś tak niemądry, że aż brak mi słów!

Przecież to wszystko jest zapisane. Jak tam, zabierzesz mnie na kolację?

– A zasłużyłaś sobie?

– Przecież wiesz, że tak.

– No dobrze, dobrze... Ale najpierw muszę zjeść zakąskę.

Zdziwiła się.

– Jaka?

– Ciebie!

Wstała już, ale on wsunął palec za gumkę majteczek i pociągnął ją z powrotem na łóżko. Roześmiała się radośnie, a Karim zaczął obsypywać pocałunkami jej twarz i szyję. Nagle znieruchomiał.

– Wiem już, co zrobię! – powiedział. – Wynajmę najlepszego włamywacza, każę mu otworzyć sejf starego Gemutlicha i spisać wszystkie hasła. Wtedy na pewno uda mi się podjąć pieniądze! Odetchnęła z ulgą, gdyż przez chwilę myślała, że odeszła mu ochota na miłość.

– Nie uda ci się. Mmmmm... Zrób to jeszcze raz.

– Właśnie, że się uda.

– Aaaach... A właśnie, że nie.

– Nie ma takiego sejfu, do którego nie dałoby się włamać.

Poczytaj gazety.

Sięgnęła ręką "tam na dół", i jej oczy rozszerzyły się z niedowierzania.

– Och, to wszystko dla mnie? Jesteś wspaniałym, silnym mężczyzną, i bardzo cię kocham, ale "stary Gemutlich", jak go nazywasz, mimo wszystko jest od ciebie sprytniejszy...

Minutę później nie obchodziło jej już, jak sprytny jest Wolfgang Gemutlich.

Podczas gdy agent Mosadu kochał się w Wiedniu z osobistą sekretarką jednego z wiceprezesów Banku Winklera, w Bagdadzie Mikę Martin rozstawiał w drzwiach swojej chatki antenę satelitarną. Zbliżała się północ i już wkrótce jedenasty lutego miał ustąpić miejsca dwunastemu.

Do rozpoczęcia inwazji, którą wyznaczono na 20 lutego, zostało tylko osiem dni. W północnej części Arabii Saudyjskiej, w pobliżu granic z Kuwejtem i Irakiem, na stosunkowo niewielkim terenie zgromadzono największe siły lądowe, jakie skoncentrowano od czasu drugiej wojny światowej.

Nadal trwało nieustanne bombardowanie, mimo że większość celów umieszczonych na liście generała Hornera została "nawiedzona" już dwu- albo nawet trzykrotnie. Chociaż pojawiło się też sporo nowych – przede wszystkim w związku z krótkotrwałym zagrożeniem Izraela przez irackie scudy – to jednak udało się dogonić harmonogram. Wszystkie znane fabryki broni masowej zagłady uległy całkowitemu zniszczeniu, w tym także dwanaście wskazanych przez Jerycha.

Irackie Siły Powietrzne przestały praktycznie odgrywać jakąkolwiek rolę. Ich myśliwce przechwytyjące – jeżeli już popełniły ten błąd, żeby wdawać się w walkę z F-15, tomcatami, hornetami, falconami, phantomami i jaguarami – najczęściej nie wracały do bazy, w związku z czym w połowie lutego w ogóle przestały pokazywać się w powietrzu. Najlepsze maszyny i najlepszych pilotów wysłano do Iranu, gdzie lotnicy zostali internowani, pozostałe zaś samoloty albo zostały zestrzelone, albo zasypane gruzami hangarów, albo zniszczone ogniem broni pokładowej, jeżeli myśliwce sprzy-

mierzonych przyłapały je na odkrytym terenie.

Alianccy dowódcy nie potrafili zrozumieć, dlaczego Saddam zdecydował się oddać swoich najlepszych pilotów w ręce odwiecznego wroga. Tymczasem przyczyna była prosta: dyktator spodziewał się już w niedługim czasie osiągnąć całkowitą supremację w tym rejonie świata, a wówczas odzyskanie zarówno ludzi, jak i maszyn nie stanowiłoby żadnego problemu.

W całym kraju nie uchował się ani jeden cały most i nie funkcjonowała żadna elektrownia.

W połowie lutego alianci większość działań zbrojnych skierowali przeciwko wojskom irackim stacjonującym w południowym Kuwejcie oraz na terenach Iraku sąsiadujących bezpośrednio z tym państwem. B-52 bombardowały stanowiska artylerii, czołgi, wyrzutnie rakiet oraz pozycje piechoty na obszarze ciągnącym się od północnej granicy Arabii Saudyjskiej aż po szosę łączącą Bagdad z Basrą. Thunderbolty, zwane także "latającymi tucznikami", ze względu na grację, z jaką poruszały się po niebie, robiły to, co potrafiły najlepiej, to znaczy niszczyły czołgi. Do tego zadania wyznaczano także F-15 i tornada.

Generałowie w Rijadzie nie wiedzieli, że pod pustynią i wewnątrz wydrążonych gór pozostało czterdzieści nietkniętych instalacji przemysłowych związanych z wytwarzaniem broni masowej zagłady oraz kilka supertajnych baz lotniczych. Mimo to, od chwili zniszczenia fabryki w Al-Kubaj, humory zdecydowanie się poprawiły, i to zarówno czterem generałom, którzy wiedzieli, co się tam naprawdę znajdowało, jak i stacjonującemu w Rijadzie personelowi CIA i SIS.

Nastrój ten znalazł odzwierciedlenie w krótkiej depeszy, jaką tej nocy otrzymał Mikę Martin. Prowadzący operację oficerowie poinformowali go na wstępie, że nalot na podziemną fabrykę zakończył się sukcesem, mimo że utracono jedną maszynę, następnie zaś pogratulowali mu decyzji o pozostaniu w Bagdadzie oraz wyrazili zadowolenie z jego dotychczasowych osiągnięć. Na koniec dowiedział się, że nie zostało mu już wiele do zrobienia. Miał przekazać jeszcze jedną wiadomość dla Jerycha, podziękować mu za współpracę, poinformować, że pieniądze zostały przekazane na konto, oraz zapowiedzieć, iż po wojnie ktoś spróbuje ponownie nawiązać z nim kontakt. Zaraz potem powinien uciekać do Arabii Saudyjskiej, zanim naprawdę będzie za późno.

Martin złożył antenę, ukrył ją wraz z nadajnikiem w schowku pod podłogą i położył się do łóżka, ale przed zaśnięciem leżał długo na wznak, wpatrując się w sufit i rozmyślając. To ciekawe, że wojska aliantów nie mają zamiaru wkraczać do Bagdadu. A co z polowaniem na Saddama? Najwyraźniej coś się zmieniło.

Gdyby Mikę Martin znał treść rozmowy, jaka mniej więcej w tym samym czasie odbywała się w odległej zaledwie o półtora kilometra kwaterze głównej Muchabarat, z pewnością nie byłby taki spokojny.

Istnieją cztery stopnie zaawansowania w sprawach* technicznych: kompetentny, bardzo dobry, znakomity oraz samorodny talent. Ta ostatnia kategoria obejmuje osoby nie tylko dysponujące rozległą wiedzą, ale także wewnętrznym wyczuciem, instynktem, szóstym zmysłem, czyli po prostu czymś, co pozwala poznać nawet skomplikowany układ w sposób, którego nie da się nauczyć z podręcznika.

Jeżeli chodzi o radio, to major Muhsin Zajd był właśnie samorodnym talentem. Jeszcze całkiem młody, w silnych okularach nadających mu wygląd pilnego ucznia, żył wyłącznie sprawami związanymi z radiem. W jego pokoju piętrzyły się najnowsze numery zachodnich czasopism fachowych poświęconych tej dziedzinie, a kiedy w którymś z nich natrafiał na

opis jakiegoś nowego urządzenia, które mogłoby okazać się przydatne w kierowanym przez niego wydziale, natychmiast zgłaszał na nie zapotrzebowanie. Ponieważ Hasan Rahmani wysoko cenił majora, zazwyczaj podejmował wysiłki, aby zrealizować jego zamówienie.

Kilka minut po północy dwaj mężczyźni spotkali się w gabinecie szefa kontrwywiadu.

– Jest jakiś postęp? – zapytał Rahmani.

– Wydaje mi się, że tak – odparł Zajd. – Nie mamy już żadnych wątpliwości, że nadaje, ale problem polega na tym, że każda transmisja trwa tak krótko, iż nie sposób zlokalizować jej źródła. To znaczy, niezupełnie: przy odrobinie szczęścia i bardzo dużych umiejętnościach to się może udać.

– Jak daleko się posunęliście?

– Ustaliłem dość wąskie pasmo częstotliwości, w którym zazwyczaj nadaje. To znakomicie ułatwiło sprawę. Kilka dni temu dopisało nam szczęście, bo odezwał się właśnie wtedy, kiedy prowadziliśmy nasłuch.

Zajd postawił na biurku przenośny magnetofon kasetowy i włączył odtwarzanie. Z głośnika dobiegły zniekształcone, ja- zgotliwe dźwięki. Rahmani spojrział ze zdziwieniem na swego współpracownika.

– Co to ma być?

– Wiadomość została zaszyfrowana.

– No tak, oczywiście. Możesz ją rozszyfrować?

– Prawie na pewno nie, gdyż kodowanie odbyło się za pomocą specjalnego układu scalonego.

– I co z tego?

Rahmani był trochę zdezorientowany. Zajd żył w swoim prywatnym świecie i posługiwał się własnym językiem, choć teraz nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż bardzo się stara mówić jasno i wyraźnie, by jego zwierzchnik nie miał kłopotów ze zrozumieniem.

– To właściwie nie jest żaden szyfr. Żeby odtworzyć treść depechy, trzeba posłużyć się identycznym układem scalonym, gdyż liczba możliwych kombinacji sięga setek milionów.

– W takim razie, na czym ma polegać ten postęp?

– Na tym, że udało mi się go namierzyć.

Hasan Rahmani aż podskoczył za biurkiem.

– Naprawdę?

– Tak, za drugim razem. I wie pan co? Ten drugi raz był w środku nocy, dokładnie trzydzieści godzin przed zbombardowaniem Al-Kubaj. Moim zdaniem właśnie wtedy podał namiary fabryki. Ale to jeszcze nie wszystko...

– Mów dalej.

– On jest tutaj.

– Tutaj, w Bagdadzie?

Major Zajd z uśmiechem pokręcił głową. Najlepszą informację zostawił na sam koniec. Chciał, żeby go doceniono.

– Nie, panie generale. Tutaj, w Mansurze, w kwadracie o boku dwóch kilometrów.

Rahmani myślał intensywnie. Są już blisko, bardzo blisko...

Nagle zadzwonił telefon. Szef kontrwywiadu podniósł słuchawkę, przez chwilę słuchał w milczeniu, po czym odłożył ją na widełki i podniósł się z fotela.

– Wzywają mnie. Aha, jeszcze jedno: ile transmisji musisz jeszcze przechwycić, żeby zlokalizować go z większą dokładnością?

– Jeżeli będzie sprzyjało mi szczęście, to może nawet tylko jedną. Gdyby nadawał wystarczająco długo, co najmniej przez kilka sekund, wówczas podam panu gdzie jest, z dokładnością do stu metrów. *

Rahmani oddychał szybko, schodząc do czekającego na niego samochodu.

Uczestników zebrania dowiozły na miejsce dwa autobusy z zasłoniętymi oknami. Jednym przyjechało siedmiu ministrów, drugim sześciu generałów oraz trzech szefów służb specjalnych. Nikt z nich nie wiedział, dokąd jada, kierowcy zaś podążali za pilotującymi motocyklami.

Pozwolono im wysiąść dopiero wtedy, kiedy autobusy zatrzymały się na otoczonym wysokim murem dziedzińcu. Jazda trwała czterdzieści minut. Rahmani przypuszczał, że znajdują się poza Bagdadem, w odległości około pięćdziesięciu kilometrów od stolicy. Panowała całkowita cisza, a w słabym blasku gwiazd widać było jedynie obszerną willę o zaciemnionych oknach.

Siedmiu cywilnych ministrów czekało już w pokoju, w którym miało odbyć się zebranie. Generałowie w milczeniu zajęli miejsca, natomiast doktorowi Ubajdi, Rahmaniemu i Umarowi Chatibowi wskazano krzesła dokładnie naprzeciwko fotela zarezerwowanego dla samego ra'isa.

Prezydent zjawił się kilka minut później. Wszyscy zerwali się na równe nogi, on zaś łaskawym gestem dał im znak, że mogą usiąść. Niektórzy widzieli go po raz pierwszy od trzech tygodni.

Wydawał się bardzo zmęczony, miał podkrażone oczy i obwisłe policzki. Bez żadnych wstępów przeszedł od razu do meritum sprawy: wszyscy wiedzą o nalocie na Al-Kubaj. Istnienie tego miejsca było otoczone tak ścisłą tajemnicą, że jego dokładne położenie znało nie więcej niż dziesięć osób, a mimo to zostało zombardowane. Wszyscy goście, z wyjątkiem kilku najwyższych dostojników oraz najbardziej zaufanych inżynierów, przybywali tam z zawiązanymi oczami lub w zamkniętych pojazdach z zasłoniętymi szybami, a mimo to wróg dokonał zuchwałego ataku. W pokoju zapadła przesycona strachem cisza. Dowódcy - Radi (piechoty), Kadiri (wojsk pancernych), Riza (artylerii), Musuli (Korpus Inżynierski) oraz pozostali dwaj generałowie, z Gwardii Republikańskiej i Sztabu Generalnego - nie odrywali wzroku od dywanu.

- Nasz towarzysz Umar Chatib osobiście przesłuchiwał dwóch brytyjskich pilotów - ciągnął ra'is. - Teraz opowie nam, co się naprawdę stało.

Przedtem nikt nie miał odwagi spojrzeć na prezydenta, teraz spojrzenia wszystkich zebranych skupiły się na chorobliwie chudej postaci Umara Chatiba. Człowiek zwany Katem zwrócił głowę w kierunku ra'isa, po czym zaczął mówić bezbarwnym głosem.

Lotnicy nie próbowali niczego ukryć. Dowódca dywizjonu powiedział im przed startem, że alianckie samoloty szpiegowskie zauważyły wojskowe ciężarówki pojawiające się często w rejonie złomowiska. Na tej podstawie Bani Nadži doszli do wniosku, że złomowisko jest w rzeczywistości magazynem amunicji, w którym przechowuje się między innymi pociski z gazami bojowymi. Uznano je za obiekt drugorzędного znaczenia, przypuszczając, że nic nie chroni go przed atakiem z powietrza. Dlatego właśnie nalot przeprowadziły tylko dwie maszyny, a dwie inne miały oznaczyć cel. Pilotów poinformowano, że nie napotkają żadnego oporu. To wszystko, co widzieli zestrzeleni Brytyjczycy.

Ra'is spojrział na generała Faruka Rizę.

- Co o tym myślisz, rafik?

- Zazwyczaj przeprowadzają ataki w taki sposób, że najpierw wysyłają myśliwce, które mają zniszczyć stanowiska obrony przeciwlotniczej, dopiero potem zaś bombowce, sajjid ra'is - odparł generał odpowiedzialny za obronę przeciwlotniczą. - Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby nad ważnym celem zjawiły się tylko dwie maszyny.

Saddam skinął głową, ale jego ciemne oczy pozostały nieprzeniknione jak zwykle. Między innymi na tym polegała władza, jaką sprawował nad tymi ludźmi: nigdy nie byli w stanie przewidzieć jego reakcji.

– Rafik Chatib, czy istnieje możliwość, że ci dwaj ukryli coś przed tobą, albo że złożyli fałszywe zeznania?

– Nie, rais. Udało nam się skłonić ich do pełnej współpracy.

– W takim razie, czy mamy na tym zakończyć sprawę? – zapytał spokojnie prezydent. – Czy mamy uznać, że to był po prostu niefortunny zbieg okoliczności?

Zebrani zaczęli już kiwać głowami, kiedy nagle sparaliżował ich przeraźliwy ryk dyktatora:

– Mylicie się!!! Wszyscy się mylicie!

Sekundę później głos ścichł niemal do szeptu, ale strach pozostał. Doskonale wiedzieli, że lada chwila mogą usłyszeć najgroźniejsze oskarżenia i najbardziej surowe wyroki.

– Nie było żadnych ciężarówek, a już szczególnie wojskowych ciężarówek. To tylko pretekst, który podano lotnikom na wypadek, gdyby zostali schwytani. Prawda wygląda inaczej. Pomimo działającej klimatyzacji po plecach mężczyzn spływały strużki potu. Sytuacje takie jak ta powtarzały się w nie zmienionej formie niemal od zarania dziejów człowieka: rozwścieczony wódz rozkazywał czarownikowi, aby znalazł winnego, a wszyscy członkowie plemienia trzęśli się ze strachu, że magiczna laska wskaże akurat w ich kierunku.

– Został zawiązany spisek! – wysyczał ra'is. – Wśród nas jest zdrajca, który ośmielił się knuć przeciwko mnie.

Umilkł na dłuższą chwilę, aby lęk miał czas na dobre rozgościć się w sercach zebranych. Kiedy odezwał się ponownie, jego słowa były skierowane do trzech mężczyzn siedzących dokładnie na przeciwko niego.

– Znajdźcie go. Znajdźcie go i przyprowadźcie do mnie, a wtedy przekona się, jaka kara grozi za takie zbrodnie. Nie tylko on, ale i cała jego rodzina.

Zerwał się z fotela i szybkim krokiem wyszedł z pokoju, a za nim jego ochrona. Szesnastu mężczyzn, siedzących przy stole, robiło wszystko, żeby tylko nie patrzeć jeden drugiemu w oczy. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że któryś z nich będzie musiał zostać złożony w ofierze, ale nikt nie wiedział, kto. Każdy bał się o własną skórę.

Dało się jednak zauważyć, że piętnastu trzyma się z dala od szesnastego, czarownika, który nosił przydomek Al Mu'azzib, czyli Kat. To on miał dostarczyć ofiary.

Hasan Rahmani także zachował milczenie. Nie była to odpowiednia pora, żeby wspominać tajemniczych depeasz nadawanych z Bagdadu. Operacja, którą prowadził, wymagała ostrożności, subtelności i prawdziwej inteligencji. Nie życzył sobie brutalnej interwencji tajnej policji, gdyż ta unicestwiłaby dotychczasowe wysiłki.

Przerażeni ministrowie i generałowie jeden za drugim wychodzili w noc i wsiadali do autobusów, by wrócić do miasta i swoich obowiązków.

– Wcale nie trzyma ich w sejfie – powiedział nazajutrz rano Awi Hercog, alias Karim, podczas późnego śniadania, które jadł towarzystwie dowodzącego operacją Gidiego Barzilaia.

Mężczyźni umówili się w mieszkaniu Gidiego. Hercog zadzwonił z budki dopiero wtedy, kiedy miał całkowitą pewność, że Edith dotarła już do banku. Zaraz potem w dzielnicy Grinzing zjawił się zespół obserwacyjny, by towarzyszyć koledze w drodze na spotkanie, a jednocześnie upewnić się, że nikt go nie śledzi. Dostrzegliby każdego "ogona", nawet najbardziej dyskretnego. Na tym polegała ich praca.

Gidi Barzilai pochylił się nad obficie zastawionym stołem i utkwiał w rozmówcy błyszczące spojrzenie.

– Bardzo dobrze, koguciku. Wiem już, gdzie ich nie ma. Czy przypadkiem wiesz, gdzie są?

– Owszem. W biurku.

– W biurku? Chyba oszalałeś. Każdy może otworzyć biurko.

– Widziałeś je?

– Biurko Gemutlicha? Nie.

– Podobno jest bardzo duże, bardzo ozdobne i bardzo stare. Prawdziwy antyk. Ma tajny schowek, wykonany przez tego, kto je zrobił. Tak tajny, że prawie niemożliwy do odnalezienia. Gemutlich uważa, że taki schowek to lepsze niż kasa pancerna. Każdy włamywacz na pewno zainteresuje się sejfem, ale mało któremu przyjdzie do głowy grzebać w biurku. Zresztą, nawet gdyby to zrobił, i tak nie znalazłby schowka.

– Czy ona wie, gdzie jest schowek?

– Nie, bo stary nigdy go przy niej nie otwierał. Kiedy ma zamiar to zrobić, zamyka się w gabinecie na cztery spusty. Barzilai zamyślił się głęboko.

– Cwany z niego drań, muszę mu to przyznać.

– Mogę już skończyć ten romans?

– Jeszcze nie, Awi. Spisałeś się na medal, ale przez jakiś czas musisz kontynuować grę. Gdybyś teraz zniknął, ona natychmiast zaczęłaby rozpamiętywać waszą ostatnią rozmowę, dodałaby dwa do dwóch i mielibyśmy kłopot. Pobądź z nią jeszcze trochę, ale nie rozmawiaj o banku.

Kiedy Barzilai został sam w mieszkaniu, długo zastanawiał się nad problemem. Żaden z agentów, których miał do dyspozycji w Wiedniu, nie widział biurka, ale jest człowiek, który je oglądał. Gideon natychmiast wysłał zaszyfrowaną depezę do Kobięgo Drora w Tel-Awiiwie, ten zaś polecił wezwać "fotografa" i zamknąć go w jednym pokoju z rysownikiem.

Przez ponad pięć godzin "fotograf" siedział z zamkniętymi oczami i odchyłoną do tyłu głową, przypominając sobie rozmowę, którą jako prawnik z Nowego Jorku odbył z Wolfgangiem Gemutlichem. Jego główne zadanie polegało wówczas na zorientowaniu się w systemie zabezpieczeń banku, rozpoznaniu rodzaju zamków oraz zapamiętaniu rozmieszczenia czujników instalacji alarmowej, i wywiązał się z niego bez zarzutu. Biurko niespecjalnie go interesowało, ale teraz, kiedy siedział z zamkniętymi oczami w pokoju w podziemiach budynku przy bulwarze Króla Salomona, widział je tak wyraźnie, jakby znowu miał je przed sobą.

Dokładnie, centymetr po centymetrze, opisywał biurko rysownikowi. Od czasu do czasu otwierał oczy, spoglądał na szkic, wprowadzał jakieś poprawki i ponownie przymykał powieki. Rysownik najpierw posługiwał się tylko tuszem, potem zaś także akwarelami. Po pięciu godzinach dzieło było gotowe: realistyczny, kolorowy wizerunek biurka stojącego w gabinecie Herr Wolfganga Gemutlicha w Banku Winklera przy Ballgasse w stolicy Austrii.

Dwa dni później rysunek dotarł pocztą dyplomatyczną do ambasady Izraela w Wiedniu i natychmiast trafił do rąk Gideona Barzilaia, który poświęcił minione czterdzieści osiem godzin na dokładną analizę listy sayanów we wszystkich państwach Europy. Trud opłacił się, gdyż oficer Mosadu natrafił na nazwisko niejakiego monsieur Michela Levy'ego z bulwaru Raspaila w Paryżu, antykwarem, uważanego za jednego z czołowych ekspertów od zabytkowych mebli na kontynencie.

14 lutego wieczorem, czyli dokładnie wtedy, kiedy Gideon Barzilai otrzymał w Wiedniu portret pamięciowy starego biurka,

Saddam Husajn zwołał kolejne zebranie gabinetu. Stało się to ponownie za sprawą Umara Chatiba, który poprzez Husajna Kamila zawiadomił dyktatora o swoim kolejnym sukcesie. Spotkanie znów odbyło się po zapadnięciu zmroku, w położonej na uboczu willi.

Kiedy ra'is wszedł do pokoju, od razu dał znak Chatibowi, żeby ten przedstawił swój raport.

- Cóż mogę powiedzieć, sajjid ra'is? - Szef tajnej policji uniósł ręce i pozwolił im opaść w geście bezradności, a następnie pokornie zwiesił głowę. Był to prawdziwy majstersztyk gry aktorskiej. - Jak zwykle, ra'is miał rację, a my wszyscy głęboko się myliliśmy. Nalot na Al-Kubaj to rzeczywiście nie jest sprawa przypadku. Miała miejsce zdrada, ale udało nam się zdemaskować tego, kto zdradził.

W pokoju rozległ się szmer podziwu, który bardzo szybko przerodził się w gwar pochlebnych głosów. Mężczyzna siedzący w wyściełanym fotelu uśmiechnął się dobrotliwie i uniósł obie ręce na znak, że wrodzona skromność nie pozwala mu odbierać tylu wyrazów uwielbienia. Wrzawa ucichła, ale nie od razu.

I co, czyż nie mam zawsze racji? - zdawał się mówić uśmiech.

- W jaki sposób wpadliście na jego trop? - zapytał ra'is.

- Dzięki zbiegowi okoliczności i wytężonej pracy - odparł skromnie Chatib. - Oraz dzięki szczęściu, które jest darem Allaha, a ten, jak wszyscy wiemy, sprzyja naszemu ra'isowi. Wszyscy jak jeden mąż zaczęli kiwać głowami.

- Dwa dni przed atakiem wrogich samolotów na drodze w pobliżu fabryki ustawiono posterunek. Były to rutynowe działania, wymierzone w dezertersów i przemytników. Dowódca posterunku miał między innymi notować numery rejestracyjne i marki wszystkich przejeżdżających samochodów.

Dwa dni temu przejrzałem te notatki i stwierdziłem, że większość pojazdów to furgonetki i ciężarówki z tamtych okolic, i tylko jeden samochód, bardzo kosztowny, był zarejestrowany tutaj, w Bagdadzie. Sprawdziliśmy, że jego właściciel istotnie miałby powód, aby odwiedzić Al-Kubaj, ale okazało się, że wcale nie zatrzymał się w fabryce. W takim razie, po co w ogóle zjawił się na tamtym terenie?

Hasan Rahmani skinął z aprobatą głową. Była to dobra, detektywistyczna robota, lecz kłopot polegał na tym, że zupełnie nie pasował do Chatiba, który zazwyczaj wolał polegać na brutalnej przemocy.

- Właśnie, po co? - zapytał ra'is.

Chatib odczekał chwilę, aby spotęgować efekt.

- Po to, żeby dokładnie opisać położenie złomowiska, zmierzyć odległość od najbliższych charakterystycznych punktów w terenie i określić usytuowanie poszczególnych obiektów względem stron świata.

Odpowiedzią na te rewelacje było stłumione westchnienie, które wydobyło się z piersi większości zebranych.

- Ale do tego doszedłem później, sajjid ra'is. Najpierw zaprosiłem tego człowieka na szczerą rozmowę do kwatery głównej Al-Aman al-Amm.

Chatib wrócił pamięcią do tej "szczerzej rozmowy", która odbyła się w podziemiach budynku w dzielnicy Saadun, w pomieszczeniu zwanym "salą gimnastyczną".

Zazwyczaj szef tajnej policji zlecał prowadzenie przesłuchań swoim podwładnym, określając jedynie granice, do których mogli się posunąć, i nadzorując przebieg interwencji. Tym razem jednak chodziło o tak delikatną sprawę, że postanowił osobiście pełnić honory domu.

Z sufitu celi sterczały dwa stalowe haki umieszczone o metr od

siebie, do nich zaś były przytwierdzone dwa krótkie łańcuchy połączone drewnianą poprzeczką. Podejznanego przywiązano za przeguby do tej poprzeczki, dzięki czemu wisiał nad podłogą z ramionami skierowanymi w górę i na boki. Między jego kolanami tkwiła druga poprzeczka, także metrowej długości. Ponieważ nieszczęśnik zwisał z haków dokładnie pośrodku celi, oprawcy mieli do niego dostęp z każdej strony.

Po zadaniu pięćdziesięciu uderzeń Umar Chatib odłożył trzciniową laskę na ustawiony pod ścianą stolik i podszedł do więźnia. Przeróżliwe wrzaski ucichły; rozkrzyżowany mężczyzna już tylko jęczał, płacząc błagając o litość. Chatib spojrzał mu prosto w twarz.

- Jesteś głupcem, przyjacielu. Przecież tak łatwo mógłbyś położyć kres swoim cierpieniom. Zdradziłeś ra'isa, ale on jest litościwy. Wystarczy, żebyś wszystko wyznał.

- Nie, przysięgam na Allaha... Nikogo nie zdradziłem! Mężczyzna szlochał jak dziecko. Po policzkach spływały mu łzy rozpacz i bólu. Jest miękki, pomyślał Chatib. To nie potrwa długo.

- Owszem, zdradziłeś. Kubdat Allah... Wiesz, co to znaczy?

- Oczywiście! - zaskamlał więzień.

- I wiesz, gdzie ją przechowywano?

- Tak.

Chatib gwałtownie uniósł nogę, uderzając kolanem w obnażone jądra. Więzień z pewnością zwinąłby się w pół, ale nie mógł. Zwymiotował, a ślina zmieszana z treścią żołądkową pociekła po jego nagim ciele i zaczęła skapywać na podłogę z penisa.

- Tak... i co dalej?

- Tak, sajjidi.

- Już lepiej. I zapewne nasi nieprzyjaciele nie mieli pojęcia, gdzie ukryto Pięść Boga?

- Nie wiedzieli, sajjidi. To tajemnica.

Oprawca uderzył wiszącego mężczyznę w twarz.

- Ty plugawy manjuku, w takim razie jak to się stało, że dziś o świcie przyleciały angielskie myśliwce i zniszczyły nasza cudowną broń?

Więzień wybałuszył oczy. Jego zdumienie było tak wielkie, że nawet nie zwrócił uwagi na epitet, jakiego użył jego dręczyciel. "Manjuk" oznacza po arabsku mężczyznę, który podczas homoseksualnego stosunku odgrywa rolę kobiety.

- To przecież niemożliwe! Prawie nikt nie wiedział o Al-Kubaj...

- Ale wróg wiedział.

- Sajjidi, przysięgam, że nie miałem z tym nic wspólnego! Nie mogli tego znaleźć! Człowiek, który zbudował fabrykę, pułkownik Badri, zamaskował ją tak dobrze, że...

Przesłuchanie trwało jeszcze pół godziny, by zakończyć się w łatwy do przewidzenia sposób.

Głos ra'isa wyrwał Umara Chatiba z zamyślenia.

- Jak nazywa się ten zdrajca?

- To jeden z inżynierów, doktor Salah Siddiki, ra'is.

Prezydent lekko skinął głową, jakby przez cały czas podejrzewał tego człowieka.

- Czy wolno zapytać, dla kogo pracował ten nędzny pies? - odezwał się Hasan Rahmani.

Chatib posłał mu zabójcze spojrzenie.

- Tego nie powiedział, sajjid ra'is.

- Ale powie, na pewno powie... - mruknął prezydent.

- Sajjid ra'is... - wymamrotał Chatib z niepewną miną. -

Muszę z przykrością zameldować, że zdrajca umarł w trakcie przesłuchania.

Rahmani poderwał się jak dźgnięty nożem.

- Panie prezydencie, to skandal! - wykrzyknął, nie czekając, aż człowiek siedzący u szczytu stołu udzieli mu głosu. - To dowód karygodnej niekompetencji policji politycznej! Straciliśmy jedyną szansę, aby dowiedzieć się, w jaki sposób informacje były przekazywane nieprzyjacielowi.

Chatib ponownie spojrzął na niego z taką nienawiścią, że Rahmaniemu, który w szkole prowadzonej przez pana Hartleya czytał książki Kiplinga, przypomniał się wąż Krait i jego syk: "Strzeżcie się, gdyż ja jestem śmierć!"

- Co ty na to? - zapytał ra'is szefa tajnej policji.

- Sajjid ra'is, cóż mogę powiedzieć? - odparł ze skruchą Chatib. - Moi ludzie kochają cię jak ojca, albo nawet jeszcze bardziej. W każdej chwili są gotowi oddać za ciebie życie. Kiedy usłyszeli, że ten nikczemnik ośmielił się cię zdradzić, wpadli w szal i nikt nie był w stanie ich powstrzymać.

Gówno prawda, pomyślał Rahmani. Jednak ra'is skinął lekko głową; tego rodzaju argumenty zawsze do niego przemawiały.

- To zrozumiałe - powiedział. - Cóż, takie rzeczy czasem się zdarzają. A ty, generale Rahmani, który tak chętnie krytykujesz kolegę, czy odniosłeś jakieś sukcesy? Szef kontrwywiadu natychmiast zwrócił uwagę, że prezydent pomiął słowo rafik, czyli towarzysza. Był to znak, że musi zachować ostrożność. Wielką ostrożność.

- Na terenie Bagdadu działa obcy nadajnik, sajjid ra'is. Powtórzył wszystko, czego dowiedział się od majora Zajda. Kusiło go, aby zapowiedzieć, że już wkrótce schwyta tajemniczego radiooperatora, ale doszedł do wniosku, że lepiej nie składać przedwczesnych deklaracji.

- Ponieważ zdrajca już nie żyje, mogę wyjawić wam coś, czego nie mogłem powiedzieć jeszcze dwa dni temu - oznajmił Saddam. - Pięć Boga nie została zniszczona ani nawet zasypana. Dwadzieścia cztery godziny przed nalotem wydałem rozkaz, aby przewieziono ją w bezpieczniejsze miejsce. Owacja, która wybuchła po tym oświadczeniu, trwała ponad minutę. Każdy starał się jak najgłośniejszymi okazywać podziw dla geniuszu przywódcy.

Kiedy wreszcie entuzjazm osłabł, prezydent powiedział swoim współpracownikom, że Pięć Boga trafiła do Fortecy, której położenie pozostanie tajemnicą nawet dla nich. Tego dnia, kiedy pierwszy amerykański żołnierz postawi stopę na świętej irackiej ziemi, zostanie stamtąd wystrzelona, aby na zawsze zmienić bieg historii.

Rozdział dwudziesty

Wiadomość o tym, że brytyjskie tornada nie osiągnęły zamierzonego celu, stanowiła dla człowieka zwanego Jerrychem ogromny wstrząs. Z najwyższym trudem zmusił się, by zerwać się na nogi i dołączyć do owacji na cześć ra'isa.

W drodze powrotnej do Bagdadu siedział w tylnej części zaciemnionego autobusu, pogrążony głęboko w myślach. Powodem jego ponurego nastroju bynajmniej nie był fakt, że użycie broni, ukrytej teraz w jakiejś tajemniczej Fortecy, o której lokalizacji nie miał najmniejszego pojęcia, spowoduje śmierć wielu ludzi. Obchodziła go jedynie sytuacja, w jakiej on sam się znalazł.

Przez minione trzy lata ryzykował karierę i życie, przekazując nieprzyjacielowi najpilniej strzeżone tajemnice swojego kraju. Nie po to jednak, by zdobyć fortunę ukrytą bezpiecznie w zagranicznym banku, gdyż ten cel mógłby również osiągnąć na miejscu, w Iraku, kradnąc, dokonując malwersacji i biorąc łapówki. Naj-

bardziej zależało mu na tym, żeby pewnego dnia wymknąć się z kraju, przybrać nową tożsamość, przygotowaną dla niego przez zagranicznych mocodawców, i spędzić resztę życia w luksusie, korzystając ze zgromadzonych funduszy oraz ochrony zachodnich służb specjalnych. Doskonale wiedział, jaki los spotyka tych, którzy najpierw kradli, a potem po prostu uciekali. Nie byli pewni dnia ani godziny, aż wreszcie i tak ginęli z ręki wysłanych w ślad za nimi mścicieli.

Chciał pieniędzy i bezpieczeństwa; właśnie dlatego tak bardzo się ucieszył, kiedy Izraelczycy przekazali go Amerykanom. Mógł mieć pewność, że jankesi zaopiekują się nim, dotrzymają wszystkich ustaleń, stworzą mu nową tożsamość, dadzą nowy paszport, kupią w Meksyku posiadłość nad brzegiem morza i pozwolą żyć w spokoju i dobrobycie.

Teraz wszystko się zmieniło. Jeżeli zachowa milczenie, a Saddam użyje swojej strasznej broni, tamci pomyślą, że Jerycho ich okłamał. Ogarnięci wściekłością nie uwierzą, że on także został oszukany. Znajdą sposób, żeby zablokować jego konto, a wówczas cały trud pójdzie na marne. Musi ich w jakiś sposób zawiadomić, że zaszła pomyłka. Jeszcze trochę wysiłku i wreszcie wszystko skończy się tak, jak powinno: Irak zostanie pokonany, rais straci władzę, a on, Jerycho, znajdzie się bezpiecznie daleko stąd.

Zamknawszy się w gabinecie napisał kolejny list, jak zwykle po arabsku i jak zwykle na cienkim lotniczym papierze, który po złożeniu zajmuje tak mało miejsca. Opisał przebieg wieczornego spotkania, oraz wyjaśnił, że w chwili, kiedy wysyłał poprzednią wiadomość, broń rzeczywicie znajdowała się w Al-Kubaj. To nie jego wina, że nie było jej tam czterdzieści osiem godzin później, w chwili nalotu brytyjskich myśliwców bombardujących.

Napisał wszystko, co wiedział: że istnieje tajne miejsce zwane Kal'a, czyli Forteca, że Pięść Boga jest teraz właśnie tam, oraz że zostanie użyta w chwili, kiedy pierwszy amerykański żołnierz wkroczy do Iraku.

Krótko po północy wsiadł do samochodu na cywilnych numerach i zagłębił się w plataninę ulic Bagdadu. Nikt nie mógł mu tego zabronić, ba, nikt nie śmiał nawet zapytać, dlaczego to robi. Umieścił wiadomość pod płytą chodnikową na starym dziedzińcu przy ulicy Abu Nuwasa, po czym narysował kredą znak na ścianie za kościołem św. Józefa w dzielnicy chrześcijańskiej. Tym razem znak wyglądał nieco inaczej niż zazwyczaj. Jerycho miał nadzieję, że człowiek, który odbiera jego przesyłki, nie będzie tracił czasu. Tak się złożyło, że 15 lutego Mikę Martin wyjątkowo wcześniej wyruszył po zakupy. Rosyjska kucharka wręczyła mu długą listę produktów i wszystko wskazywało na to, że zdobycie ich zajmie mu bardzo dużo czasu. Zaczęły się kłopoty z żywnością. Rolnicy nadal chętnie by ją dowozili, ale nie mieli jak, gdyż niemal wszystkie mosty w kraju przestały istnieć, a środkowa część Iraku, gdzie znajduje się większa część terenów uprawnych, jest gęsto przecinana rzekami i kanałami. Co prawda natychmiast pojawili się liczni przewoźnicy, ale chłopci woleli pozostać w domach, niż płacić każdemu z nich za przeprawienie na drugi brzeg rzeki.

Na szczęście zaczął objazd miasta od targu korzennego na ulicy Szardża. Kiedy minął kościół św. Józefa i zobaczył na ścianie znak, niewiele brakowało, żeby spadł z roweru.

Znak powinien przypominać leżącą ósemkę przekreśloną w miejscu przecięcia linii pionową kreską. Na początku współpracy ustalono jednak, że w razie jakiejś nadzwyczajnej sytuacji kreskę mają zastąpić dwa krzyżyki, po jednym w każdym kółku. Taki właśnie znak widniał na murze za kościołem.

Martin natychmiast mocniej nacisnął na pedały i pojechał na dziedziniec przy ulicy Abu Nuwasa. Wyczekał, kiedy ruch był najmniejszy, pochylił się, jakby poprawiał rzemyk przy sandale, uniósł lekko płytę, wsunął pod nią rękę i wyjął cienką, zapakowaną w folię, kopertę. Jeszcze przed południem wrócił do willi, gdzie musiał wyjaśnić rozgniewanej kucharce, że robił co mógł, ale targ był pusty i że podobno dostawcy mają zjawić się nieco później. Pojedzie jeszcze raz po południu.

Kiedy przeczytał wiadomość od Jerycha, natychmiast stało się dla niego jasne, dlaczego ten wpadł w panikę. Martin szybko przygotował depezę, w której wyjaśnił pokrótce, iż uznał, że musi wziąć sprawę we własne ręce i samodzielnie podjąć decyzję. Nie miał czasu, żeby pytać o zdanie ludzi w Rijadzie, a następnie czekać na ich rozkazy. Dla niego najgorsze było to, że iracki kontrwywiad wie już o działającym na terenie Bagdadu nielegalnym nadajniku. Zastanawiał się, czy ludzie Rahmaniego znają choć w przybliżeniu lokalizację urządzenia, ale i tak nie mogło już być mowy o długich pogaduszkach z Rijadem. Właśnie dlatego zdecydował, że przejmie inicjatywę.

Najpierw odczytał wiadomość otrzymaną od Jerycha, potem nagrał jej tłumaczenie, na końcu zaś dołączył własną informację i przygotował całość do nadania.

Najbliższe "okienko" wypadało dopiero późno w nocy. Zawsze starał się nadawać nocą, kiedy wszyscy mieszkańcy willi byli pogrążeni we śnie. Jednak, podobnie jak Jerycho, on także mógł skorzystać z procedury awaryjnej. Polegała ona na wysłaniu ciągłego sygnału – w tym wypadku po prostu gwizdu – na zupełnie innej częstotliwości niż ta, co zwykle.

Martin upewnił się, że iracki kierowca pojechał z Kulikowem do ambasady oraz że służący i kucharka jedzą właśnie obiad, po czym, nie zważając na ryzyko, rozstawił antenę w otwartych drzwiach chatki i wysłał sygnał.

W pokoju łączności urządzonej w sypialni willi na przedmieściach Rijadu zapłonęło alarmowe światło. Dochodziło w pół do pierwszej po południu. Dyżurny radiooperator, nadający właśnie jakąś depezę do Londynu, przerwał ją w pół słowa, wrzasnął na kolegę, który siedział w sąsiednim pokoju i ustawił wyznaczoną na ten dzień częstotliwość zapasową.

– Co się dzieje? – zapytał drugi radiowiec* wsunawszy głowę przez uchylone drzwi.

– Sprowadź Steve'a i Simona! Zaraz będzie nadawał Czarny Niedźwiedź. To coś pilnego.

Kwadrans później Martin nadał depezę.

Przechwyciły ją nie tylko anteny zainstalowane na dachu willi w Rijadzie, ale także inne, znacznie bliżej, bo w okolicach Bagdadu. Wiadomość była tak długa, że nawet po "skondensowaniu" trwała cztery sekundy. Iraccy specjaliści od nasłuchu wyłapali dwie końcówki, ale to w zupełności wystarczyło, żeby dokonać precyzyjnego namiaru.

Martin błyskawicznie złożył urządzenie i schował je do skrytki pod podłogą. Ledwo zdążył uporać się z tym zadaniem, kiedy usłyszał czyjeś kroki na żwirowej ścieżce. Był to rosyjski służący, który, w przypływie dobrego humoru, przyszedł poczęstować go bułgarskim papierosem. Martin przyjął z wdzięcznością dar, wielokrotnie kłaniając się i mamrocząc szukran, szukran. Rosjanin, dumny ze swojej szczodroblewości, wrócił do willi.

Biedny skurczybyk, pomyślał. Co za życie!

Kiedy tylko biedny skurczybyk został sam, zaczął pośpiesznie pisać po arabsku na cienkim papierze, który wydobył z ukrycia pod

materacem. W tym samym czasie major Zajd ślęczał nad szczegółowym planem dzielnicy Mansur. Kiedy wreszcie zakończył obliczenia, sprawdził wynik i natychmiast zadzwonił do generała Hasana Rahmaniego, urzędującego zaledwie pięćset metrów od granicy niewielkiego obszaru w kształcie rombu, zaznaczonego na planie zielonym długopisem. Szef kontrwywiadu zgodził się przyjąć go o czwartej.

Chip Barber miotał się po salonie willi, wymachując trzymanym w rękę wydrukiem i klnąc tak, jak nie zdarzyło mu się już od trzydziestu lat, to znaczy od chwili, kiedy opuścił szeregi marines.

– Co on sobie właściwie wyobraża, do jasnej cholery? – zwrócił się z rozpaczliwym pytaniem do dwóch oficerów brytyjskiego wywiadu.

– Spokojnie, Chip – odezwał się Steve Laing. – Chłopak jest w stanie skrajnego napięcia nerwowego. Czuje, że pętla zaciska mu się na szyi. Gdybyśmy chcieli postępować według zasad sztuki wywiadowczej, już dawno temu powinniśmy go stamtąd wyciągnąć.

– Tak, wiem, to wspaniały facet, ale nie ma prawa tego robić! Pamiętajcie, że my wykładamy forszę na stół.

– Pamiętajmy – włączył się do rozmowy Paxman. – Jednak nasz człowiek zrobił już więcej, niż ktokolwiek oczekiwał, a jeżeli mimo wszystko postanowił jeszcze tam zostać, to tylko dlatego, żeby dokończyć robotę, tak samo dla was, jak i dla nas. Barber nieco się uspokoił.

– Trzy miliony dolarów... Może powiecie mi, w jaki sposób powinienem zawiadomić Langley, że Martin obiecał Jerychowi jeszcze trzy miliony zielonych za następną informację, pod warunkiem, że tym razem będzie prawdziwa? Ten iracki dupek powinien trafić w dziesiątkę za pierwszym razem. Równie dobrze może to robić celowo, żeby wyciągnąć od nas więcej pieniędzy.

– Chip, tutaj chodzi o bombę atomową – przypomniał mu Laing.

– Być może chodzi o bombę atomową – warknął Amerykanin. – Saddam być może wyprodukował wystarczającą ilość uranu i być może zrobił z niego bombę. Wszystko, czym dysponujemy, to papierkowe wyliczenia naukowców i deklaracje Saddama, o których nawet nie wiemy, czy naprawdę miały miejsce. Do licha, przecież ten Jerycho to zwykły płatny zdrajca i nikt nam nie zaręczy, że nie łże jak najęty! Uczeni mogą się mylić, Saddam kłamie za każdym razem, kiedy otworzy gębę... Czy za tę kupę forsy dostaliśmy coś naprawdę konkretnego?

– Chcesz zaryzykować? – zapytał spokojnie Steve Laing. Barber opadł na fotel.

– Nie – odparł po dłuższej chwili. – Nie chcę ryzykować. Załatwię to z Waszyngtonem, a potem spotkamy się z generałami. Muszą wszystko wiedzieć. Ale powiadam wam jedno, chłopcy: pewnego dnia spotkam się z tym Jerychem i jeżeli wtedy będę już wiedział, że nas okłamywał, powyrywam mu nogi z dupy i zatłukę go nimi na śmierć.

O czwartej po południu major Zajd zjawił się ze swoimi mapami i obliczeniami w gabinecie Hasana Rahmaniego. Poinformował zwierzchnika, że koło południa udało mu się przechwycić wystarczająco długi sygnał, aby zawęzić teren poszukiwań do zielonego rombu widocznego na planie Mansuru. Rahmani z powątpiewaniem przyjrzał się zaznaczonemu obszarowi.

– Ma co najmniej sto metrów na sto – zauważył. – Wydawało mi się, że nowoczesna technologia pozwala zlokalizować nadajnik z dokładnością do kilku metrów.

- Owszem, jeżeli ma się do dyspozycji wystarczająco dużo czasu - odparł młody major. - Niestety, te transmisje są bardzo krótkie, trwają najwyżej dwie, trzy sekundy. Nie ma mowy o wytyczeniu prostej linii między naszą anteną a nadajnikiem, a następnie powtórzeniu pomiaru w innym miejscu. Jedyne, co mogę uzyskać, to bardzo wąski stożek, którego wierzchołek wyznacza nasza antena odbiorcza. Im dalej od niej, tym stożek staje się szerszy, a jeżeli zrzućmy go na teren, to w odległości kilku kilometrów dwie rozbieżne linie mogą znajdować się nawet sto metrów od siebie. Proszę spojrzeć, to naprawdę nie jest duży obszar.

Rahmani poszedł za radą podwładnego. Istotnie, na zaznaczonym terenie znajdowały się tylko cztery budynki.

- Przyjrzyjmy im się z bliska - zaproponował.

Dwaj mężczyźni wsiedli do służbowego samochodu i pojechali do odległej o zaledwie kilkaset metrów części Mansuru. Stały tam eleganckie rezydencje przedstawicieli zamożnej klasy średniej. Wszystkie cztery posiadłości były otoczone wysokim murem, a wstępu strzegły solidne bramy. Kiedy zakończyli objazd, zrobiło się już prawie ciemno.

- Sprawdźcie je wszystkie z samego rana - polecił Rahmani. - Każę dyskretnie otoczyć ten obszar. Pan najlepiej wie, czego trzeba szukać, więc weźmie pan udział w rewizjach. Jeżeli znajdziemy nadajnik, znajdziemy też szpiega.

- Jest pewien problem, panie generale - odparł major. - Widzi pan tę małą tabliczkę przy furtce? To rezydencja radzieckiego dyplomaty.

Rahmani zastanawiał się przez chwilę. Z pewnością nie uzyskałby pochwały za wywołanie incydentu dyplomatycznego.

- Najpierw zajmijcie się tamtymi trzema - zdecydował. - Jeżeli niczego nie znajdziecie, załatwię zgodę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

W czasie, kiedy rozmawiali, jeden z ludzi zatrudnionych w willi znajdował się pięć kilometrów stamtąd. Ogrodnik Mahmud Al-Churi wsunął zawiniętą w folię kopertę do kamiennego wazonu stojącego na zaniedbanym grobie, a nieco później narysował kredą znak na ścianie siedziby stowarzyszenia dziennikarzy. Kiedy tuż przed północą ponownie wyszedł z domu, przekonał się, że znak zniknął.

Tego wieczoru w Rijadzie odbyło się bardzo poufne spotkanie. Wyznaczono je w jednym z pomieszczeń ukrytych dwa piętra pod budynkiem saudyjskiego Ministerstwa Lotnictwa, uczestniczyli w nim zaś czterej generałowie oraz dwaj cywile, Barber i Laing. Na początku spotkania właśnie oni zabrali głos, a kiedy umilkli, w pokoju na długą chwilę zapadła ponura cisza.

- Czy to pewne? - zapytał wreszcie jeden z generałów.

- Nie mamy stuprocentowej pewności - przyznał Barber -

ale wydaje nam się, że informacja jest bardzo prawdopodobna.

- Na jakiej podstawie tak przypuszczacie? - zainteresował się generał w mundurze wojsk lotniczych.

- Cóż, większość panów i tak się domyśliła, że od kilku miesięcy korzystamy z usług człowieka zajmującego bardzo wysokie stanowisko w Bagdadzie.

Odpowiedzią były twierdzące pomruki i kiwanie głowami.

- A ja już myślałem, że wszystkie te rewelacje widzicie w kryształowych kulach w Langley - zauważył z przekąsem generał lotnictwa, który wciąż nie mógł darować CIA, że ta podawała w wątpliwość doniesienia jego pilotów dotyczące liczby zniszczonych celów.

- Jak do tej pory - ciągnął nie zrażony Laing - dostarczał nam wyłącznie prawdziwych informacji. Jest mało prawdopodobne, żeby akurat teraz zaczął kłamać. Zresztą, nawet gdybyśmy go

podejrzewali, to czy wolno by nam było podjąć tak wielkie ryzyko?

Ponownie zapadło milczenie. Przerwał je najbardziej dociekliwy generał w mundurze USAF.

– Bardzo ładnie, panowie, ale nie wzięliście pod uwagę jednej rzeczy: sposobu wyekspediowania.

– Co pan przez to rozumie?

– Ano, to, że mieć broń to jedna sprawa, natomiast użyć jej skutecznie przeciwko wrogowi, to zupełnie co innego. Wszyscy wiemy, że Saddam nie zajął się jeszcze miniaturyzacją, bo to najnowocześniejsza technologia, bardzo trudna do opanowania. Nie może więc wystrzelić tej swojej Pięści Boga – jeżeli ją w ogóle ma – z działa czołgowego, armaty polowej, katuszy, ani też wyekspediować jej rakietą.

– A to dlaczego, generale?

– Ze względu na masę. Prymitywna bomba atomowa musi ważyć grubo ponad pół tony, a kiedy zniszczyliśmy fabrykę w saad-16, prace nad raketami Al-Ubajd i At-Tammuz dopiero co wyszły z fazy projektowej. To samo z Al-Abbas i Al-Badr: albo jeszcze nie przetestowane, albo o za małym udźwigu.

– A scudy? – zapytał Laing.

– Ta sama sprawa. Al-Husajn, która ma największy zasięg, rozpada się po powtórnym wejściu w atmosferę i ma udźwig zaledwie 160 kilogramów. Nawet podstawowy model scuda. jeszcze przed przeróbkami, mógł przenieść ładunek rzędu 600 kilogramów, a to też za mało, nie wspominając już o śmiesznym zasięgu.

– Pozostają jeszcze samoloty – zauważył Barber.

Generał spiorunował go spojrzeniem.

– Daję panom słowo honoru, że od tej chwili ani jedna iracka maszyna nie doleci do granicy, a większość nie zdoła nawet oderwać się od pasa startowego. Te, które jednak wystartują, zostaną zestrzelone najdalej w połowie drogi. Nasze AWACS-y i myśliwce już się o to zatroszczą.

– W takim razie, jak pan myśli: czym może być tajemnicza Forteca?

–• Prawdopodobnie to ukryty pod ziemią hangar połączony z powierzchnią długim tunelem, pełniącym jednocześnie funkcję pasa startowego. Trzymają tam jakiegoś MiGa albo mirage'a gotowego do lotu, ale jego też zestrzelimy, zanim zdąży schować podwozie.

Ostateczna decyzja należała do amerykańskiego generała siedzącego u szczytu stołu.

– Czy uda wam się znaleźć Fortecę? – zapytał spokojnie dwóch oficerów wywiadu.

– Tak, panie generale. Szukamy jej już teraz, ale będziemy potrzebowali jeszcze kilku dni – odparł Barber.

– W takim razie znajdźcie ją, a wtedy my ją zniszczymy.

– A co z terminem inwazji, panie generale?

– Zawiadomię was.

Tej nocy postanowiono, że lądowa inwazja na Irak i Kuwejt rozpocznie się dopiero 24 lutego.

Historycy podawali później dwa niezależne powody podjęcia takiej decyzji. Jednym z nich była zmiana kierunku natarcia amerykańskiej piechoty morskiej, co wymagało przegrupowania oddziałów i przewiezienia zapasów w inne miejsce.

Drugim było rzekomo włamanie się dwóch brytyjskich komputerowców do pamięci głównego komputera Ministerstwa Obrony, co spowodowało zafałszowanie prognoz pogody dla rejonu Zatoki Perskiej, w związku z czym poprzedni termin wyznaczono zbyt wcześnie, na okres, kiedy w tamtej części świata miały panować

niekorzystne warunki atmosferyczne.

W rzeczywistości dobra pogoda utrzymała się aż do 24 lutego, natomiast zaczęła się psuć tuż po rozpoczęciu inwazji. Generał Norman Schwarzkopf był silnym i wytrzymałym człowiekiem, zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym. Ale nawet on odczuwał skutki niesłychanego napięcia, w jakim żył od kilku dni.

To, że już niemal od pół roku pracował bez przerwy po dwadzieścia godzin na dobę, nie miało większego znaczenia. W tym czasie nie tylko kierował błyskawiczną koncentracją najpotężniejszego zgrupowania w historii ludzkości - już to jedno zadanie w zupełności wystarczyłoby, aby przygnieść człowieka mniejszego formatu - ale musiał także łagodzić konflikty występujące w momencie zetknięcia dwóch kultur, interweniować, kiedy groziły rozpadem koalicji, a wreszcie udzielać nie kończących się wyjaśnień na pytania i monity płynące obfitym strumieniem z Kapitolu.

Z tym wszystkim dawał sobie jednak radę. Powodem, dla którego przez ostatnie dni prawie nie mógł zmrużyć oka, było poczucie odpowiedzialności za życie tysięcy młodych ludzi zgromadzonych pod jego rozkazami.

Jeżeli nawet udawało mu się zasnąć, natychmiast wpadał w koszmar Trójkąta. Wszędzie i zawsze Trójkąt. Trójkątny skrawek ładu, położony na boku. Jego podstawę stanowiła linia prowadząca od Chafdży poprzez Dżubajl aż do Dammanu, Al-Chuby i Zahranu.

Pionowym bokiem trójkąta była biegnąca na zachód granica najpierw między Kuwejtem i Arabią Saudyjską, potem zaś między "Arabią Saudyjską a Irakiem. Ostatni bok wyznaczała linia łącząca najdalej wysunięte na zachód stanowiska sił koalicji z Zahranem.

Wewnątrz tego trójkąta na jego rozkazy czekało niemal pół miliona młodych mężczyzn i nieco kobiet. W osiemdziesięciu procentach byli to Amerykanie. Pozycje na wschodzie zajmowali Saudyjczycy, kontyngenty z innych krajów arabskich oraz marines, w centrum stały amerykańskie dywizje pancerne oraz piechoty zmechanizowanej, a wraz z nimi brytyjska 1. Dywizja Pancerna, zachodnie skrzydło obsadzili zaś Francuzi.

Początkowo w swoim przerażającym śnie generał widział, jak tysiące młodych ludzi rusza do ataku, by w chwilę potem zginąć w strugach trującego deszczu. Teraz koszmar stał się nie do zniesienia.

Zaledwie tydzień temu jeden z oficerów wywiadu wojskowego, przyglądając się mapie z wyraźnie zaznaczonym na niej trójkątem, rzucił od niechcienia:

- Na miejscu Saddama zrzuciłbym tam bombę atomową.

W jego przekonaniu był to znakomity dowcip.

Tej nocy generał Norman Schwarzkopf nie zasnął ani na chwilę. Wystarczyło, żeby tylko zamknął oczy, a natychmiast pojawiał się przed nim przeklęty Trójkąt.

Za małą przestrzeń, zbyt wielu ludzi.

W willi na przedmieściu Rijadu Laing, Paxman oraz dwaj / radiooperatorzy otworzyli karton piwa przemycony z brytyjskiej ambasady. Oni także ślęczeli nad mapą, i oni także dostrzegli Trójkąt.

- Wystarczy jedna bomba, jedna mała, prymitywna, głupia bomba, która wybuchnie w powietrzu albo na powierzchni ziemi...- mruknął Laing.

Nie musiał kończyć, pozostali zaś nie musieli być fizykami jądrowymi, żeby przewidzieć konsekwencje takiego zdarzenia.

W chwili eksplozji zginęłoby co najmniej 100000 żołnierzy. Później

z setek ton piasku i pyłu utworzyłaby się radioaktywna chmura, która, gnana wiatrem, zabijałaby wszystko, co napotka na swojej drodze.

Okręty znajdujące się na pełnym morzu zdołałyby może uciec, ale żołnierze wojsk lądowych i mieszkańcy saudyjskich miast nie mieliby najmniejszej szansy. Chmura powiększałaby się wędrując na wschód, nad Bahrajn i alianckie bazy lotnicze, zatruwając morze dotarłaby wreszcie do wybrzeży Iranu, gdzie spowodowałaby śmierć jednej z kategorii istot, którym Saddam Husajn odmawiał prawa do życia: "Persów, Żydów i much".

- Ale przecież on nie ma rakiety ani samolotu, który mógłby to zrobić! - powiedział Simon Paxman.

Daleko na północy, we wnętrzu wydrążonej góry, w długiej na 180 metrów lufie ogromnego działa o zasięgu 1000 kilometrów, spoczywała Pięść Boga, gotowa uderzyć, gdy tylko nadejdzie jej pora.

Mieszkańcy domu w dzielnicy Kadisijja jeszcze spali i byli zupełnie nie przygotowani na przyjęcie gości, którzy zjawili się o świcie. Wiele lat temu, kiedy budowano willę, właściciel kazał zasadzić wokół niej ogromny sad. Od czterech rezydencji w Mansurze, które już niebawem miały zostać przeszukane przez oddział dowodzony przez majora Zajda z kontrwywiadu, dzieliła ją odległość ponad pięciu kilometrów.

Południowo-zachodnie przedmieścia Bagdadu rozrastały się bardzo szybko. Znaczną część sadów wycięto, by zbudować kolejne domy, w pobliżu zaś poprowadzono ruchliwą szosę. Mimo to willa, w której mieszkał zamożny człowiek, dopiero od niedawna na emeryturze, nadal prezentowała się znakomicie. Przylegający do niej teren ogrodzono wysokim murem, w głębi ogrodu zaś zachowało się jeszcze nieco drzew owocowych.

Przed bramę zajechały dwie ciężarówki wypełnione żołnierzami dowodzonymi przez majora tajnej policji. Nikt się nie ceregielił: z zamkiem uporano się za pomocą serii z pistoletu maszynowego, brama stanęła otworem, żołnierze w okamgnieniu dopadli drzwi, wyważyli je i wtargnęli do środka, odtrącając brutalnie na bok starego służącego, który próbował zastąpić im drogę. Błyskawicznie rozbiegli się po domu, zrywając zasłony i otwierając kopniakami szafy, podczas gdy przerażony właściciel, także człowiek w podeszłym wieku, usiłował osłonić żonę.

Oddział w ciągu kilkunastu minut doszczętnie zdemolował budynek, ale niczego nie znaleziono. Właściciel błagał majora, aby ten powiedział mu, czego szuka, lecz oficer tylko odparł szorstko, że starzec dobrze wie, czego, i rewizja trwała w dalszym ciągu. Uporawszy się z domem żołnierze przystąpili do przeszukiwania ogrodu. W głębi, przy samym murze, natrafili na świeżo rozkopaną ziemię. Dwaj z nich wykręcali starcowi ramiona, natomiast reszta kopała w ogrodzie. Nieszczęśnik zapewniał ich, że nie wie, kto grzebał w ziemi pod murem, bo on sam niczego tam nie ukrył, ale żołnierze szukali dalej, aż wreszcie znaleźli.

Był to jutowy worek. Rozwiązano go, a wówczas okazało się, że w worku jest radiostacja. Major w najmniejszym nawet stopniu nie znał się na radiokomunikacji, nie mógł więc wiedzieć - a nawet gdyby wiedział, to z pewnością by się tym nie przejął - że stary aparat wysyłający sygnały w alfabecie Morse'a dzielił wieki całe od nowoczesnego nadajnika satelitarnego, który spoczywał bezpiecznie w schowku pod podłogą chatki Martina. Majora Al-Aman al-Amm nauczono jedynie tego, że wszelkie podejrzane aparaty stanowią narzędzie pracy szpiegów, i tylko to się dla niego liczyło. Starzec łkał rozpaczliwie, zaklinając się, że nigdy w życiu nie widział tego na oczy i że zapewne ktoś zakradł się w nocy przez mur i zakopał aparat w ogrodzie, ale żołnierze uciszyli go ciosami kolb

karabinowych. Tak samo postąpili z jego żoną, która także zaczęła krzyczeć.

Major przyjrzał się uważnie znaleźskiemu. Na worku widniały jakieś napisy, i choć nie był wykształconym człowiekiem, to bez trudu stwierdził, że są po hebrajsku.

Żołnierzom nie zależało na służącym ani na starej kobiecie, tylko na właścicielu. Mimo że liczył sobie ponad siedemdziesiąt lat, czterej ludzie zanieśli go twarzą w dół do ciężarówki i cisnęli do skrzyni jak worek fig.

Major się cieszył; skorzystał z anonimowej informacji i wykonał swój obowiązek. Jego przełożeni z pewnością będą zadowoleni. Zawiózł więźnia prosto do kwatery głównej Al-Aman al-Amm, gdzie znajdowała się osławiona "sala gimnastyczna", gdyż uznał, że jest to najlepsze miejsce dla przeklętych izraelskich szpiegów. Tego samego dnia, 16 lutego, Gidi Barzilai zjawił się w Paryżu, by pokazać Michelowi Levy'emu rysunek przedstawiający zabytkowe biurko. Stary antykwariusz był zachwycony, że może w czymś pomóc. Kiedy poprzednio poproszono go o przysługę, musiał wypożyczyć kilka starych mebli pewnemu katesie, który, udając kolekcjonera dzieł sztuki, chciał uzyskać wstęp do bardzo szacownego domu.

Okazjonalna współpraca z Mosadem stanowiła dla starego człowieka nie tylko znakomitą rozrywkę, ale także wprowadzała w jego ustabilizowane życie element przyjemnego ryzyka i niepewności.

– Boule – stwierdził bez wahania.

– Co takiego? – zapytał niepewnie Barzilai, obawiając się, że może czymś uraził staruszka.

– Boule – powtórzył antykwariusz. – Czasem pisze się go też Buhl. Słynny francuski wytwórca mebli. To jego styl, nie ma żadnych wątpliwości. Chociaż, zapewne, nie on to zrobił.

– W takim razie, kto?

Monsieur Levy przekroczył już osiemdziesiątkę, miał mocno przerzedzone siwe włosy i pomarszczoną skórę na czaszce, ale na jego policzkach kwitły żywe rumieńce, a błyszczące oczy świadczyły o nieprzeciętnej energii życiowej. Zdażył już odprowadzić na wieczny spoczynek wielu znacznie młodszych od siebie.

– Cóż, Boule przed śmiercią przekazał warsztat swojemu wychowankowi, Niemcowi Oebenowi, który później oddał pracownię innemu Niemcowi, Riesenerowi. Wydaje mi się, że zrobiono je za czasów Riesenera. Kto wie, może wykonał je sam mistrz? Co, chce pan to kupić?

Naturalnie staruszek żartował, gdyż doskonale wiedział, że Mosad nie zajmuje się skupowaniem dzieł sztuki.

– Powiedzmy, że się nim interesuję – odparł Barzilai. Levy był zachwycony. Znowu coś się dzieje! Wprawdzie nigdy się nie dowie, co, ale i tak szykowała się znakomita zabawa.

– Czy te biurka...

– Bureaux – poprawił go Levy. – Szczerze mówiąc, wolę posługiwać się terminem bureau.

– W porządku. A więc, czy te... bureaux miały czasem jakieś tajne skrytki?

Coraz lepiej, wręcz wspaniale. Och, ten cudowny dreszcz emocji, przypominający młode lata!

– Ma pan zapewne na myśli cachette, młody człowieku. Tak, oczywiście. Wiele lat temu, kiedy młody mężczyzna mógł w każdej chwili zostać wyzwany na pojedynek i zginąć w obronie czci niewieściej, dama musiała być bardzo, ale to bardzo ostrożna. Wówczas nie znano jeszcze telefonów, faksów ani magnetowidów, więc kochankowie przelewali swoje uczucia na papier. Jak jednak ukryć kompromitujące listy przed zazdrosnym mężem?

Na pewno nie w ściennym sejfie, bo też ich wtedy nie było. Ani nie w żelaznej szkatułce, bo mąż natychmiast zażądałby klucza. Pozostawały więc tylko skrytki w meblach. W owych czasach cieszyły się znaczną popularnością. Naturalnie, taki mebel musiał wyjść spod ręki dobrego fachowca, gdyż w przeciwnym razie skrytka od razu rzucałaby się w oczy.

- Jak można było się przekonać, że mebel, który... powiedzmy, chce się kupić, jest wyposażony w taką skrytkę?

Och, coraz wspanialej! Ten miły człowiek z Mosadu nie chce kupić zabytkowego biurka, tylko się do niego włamać!

- Miałby pan ochotę sprawdzić osobiście?

Antykwariusz przeprowadził kilka rozmów telefonicznych, po czym w towarzystwie swego gościa wsiadł do taksówki i podał kierowcy adres innego handlarza antykami. Tam szepnął coś gospodarzowi na ucho, ten zaś skinął głową i zostawił ich samych. Biurko, które oglądali, zadziwiająco przypominało to z Wiednia. Levy bezzwłocznie przystąpił do wyjaśnień.

- Skrytka z pewnością nie może być za duża, gdyż wówczas łatwo dałoby się ją wykryć, porównując zewnętrzne wymiary mebla z wewnętrznymi. Musi więc być płytka, najwyżej dwucentymetrowej głębokości, za to dość szeroka lub wysoka. Najłatwiej umieścić ją na przykład w ścianie, która wydaje się zrobiona z deski trzycentymetrowej grubości, a tymczasem składa się z dwóch cienkich płyt, między nimi zaś pozostawiono wolną przestrzeń. Po to, by się do niej dostać, trzeba odnaleźć mechanizm zwalniający. Wyjął jedną z górnych szuflad.

- Proszę tam sięgnąć.

Barzilai wsadził rękę do otworu.

- Teraz niech pan obmaca ścianki.

- Nic nie znalazłem - oznajmił po chwili katsa.

- Bo nic tam nie ma. Jednak mógłby znajdować się płaski przycisk, gałka albo zasuwka. Jeżeli jest przycisk, należy go nacisnąć, jeżeli gałka, trzeba ją przekręcić, a jeżeli zasuwka, to odsunąć i zobaczyć, co się stanie.

- A co się stanie?

- Rozlegnie się ciche pstryknięcie i jakiś fragment obudowy odskoczy na ukrytych sprężynach. Za nim będzie skrytka. Nawet pomysłowość osiemnastowiecznych mistrzów stolarskich miała swoje granice. W ciągu godziny monsieur Levy pokazał oficerowi Mosadu dziesięć miejsc, w których najczęściej umieszczano mechanizmy otwierające tajemne schowki.

- Proszę nigdy nie stosować siły - ostrzegł na koniec gościa. - I tak nic to nie da, a poza tym, łatwo wtedy zostawić jakieś ślady...

Szturchnął Barzilaia łokciem i uśmiechnął się szeroko. Katsa zaprosił starca na dobry obiad, po czym wsiadł do taksówki i pojechał z powrotem na lotnisko, by zdażyć na samolot do Wiednia.

Rankiem 16 lutego major Zajd wraz ze swoim zespołem wkroczył do pierwszej z trzech willi wytypowanych do przeszukania. Dwoch pozostałych pilnowali strażnicy, zakazując zdumionym i przerażonym mieszkańcom wychodzić z domu.

Major zachowywał się bardzo uprzejmie, ale wykonywał zadanie z żelazną konsekwencją. W przeciwieństwie do funkcjonariuszy Al-Aman al-Amm, buszujących w tym samym czasie po domu w dzielnicy Kadisijja, ludzie Zajda byli prawdziwymi specjalistami w swojej dziedzinie; nie czynili żadnych szkód, ale pracowali znacznie bardziej efektywnie.

Zaczęli od parteru, gdzie przede wszystkim szukali skrytek w ścianach wyłożonych boazerią, potem zaś metodycznie przetrzasali pomieszczenie za pomieszczeniem, szafę za szafą i zakamarek za

zakamarkiem. Przeszukali także ogród, lecz bez rezultatu. Około południa major nabrał pewności, że niczego nie znajdzie, przeprosił właścicieli, po czym wraz ze swoimi ludźmi przeniósł się do sąsiedniego domu, gdzie zaczął całą procedurę od początku.

W piwnicy pod budynkiem mieszczącym kwaterę główną Al-Aman al-Amm stary człowiek leżał na wznak na prostym drewnianym stole, przywiązany do niego za ręce i nogi. Otaczało go czterech specjalistów od wydobywania zeznań. Oprócz nich i więźnia w pomieszczeniu znajdowali się jeszcze lekarz oraz generał Umar Chatib, rozmawiający półgłosem w kącie z sierżantem Alim.

Szef tajnej policji poinformował swego pupila, jakie środki mają być zastosowane podczas przesłuchania, po czym skinął głową i wyszedł. W gabinecie czekało na niego mnóstwo papierkowej roboty. Sierżant Ali uniósł brwi; wyglądało na to, że powinien przebrać się w najbrudniejszy roboczy kombinezon.

Starzec w dalszym ciągu zapewniał płaczliwym głosem, że nic nie wie o żadnym nadajniku, a w ogrodzie nie był już od paru dni z powodu nie najlepszej pogody. Oprawcy nie zwracali najmniejszej uwagi na wyjaśnienia więźnia. Dwaj z nich uwolnili z więzów jego nogi, tylko po to jednak, żeby przywiązać mu do goleni kij od szczotki, przerzucić sznur przez jeden z wystających z sufitu haków, unieść nogi starca do pożądanej wysokości, tak że rozstawione szeroko stopy były skierowane ku środkowi pomieszczenia, i uwiązać sznur do haka. Ali wziął do ręki leżące pod ścianą dwa grube kable i zbliżył się do więźnia.

Kiedy zaczęła się bastonada, starzec przeraźliwie krzyczał, wkrótce jednak głos mu się załamał i stary człowiek stracił przytomność. W chwilę potem przywrócił go do życia strumień lodowatej wody z jednego ze stojących w kącie wiader.

Co jakiś czas mężczyźni robili sobie przerwę, by dać wytchnienie zmęczonym mięśniom – żeby jednak więźniowi za bardzo się wtedy nie nudziło, polewali jego rozbite na miazgę stopy słoną wodą. Starzec na przemian to mdlał, to krzyczał rozpaczliwie, to znów kłął się na wszystkie świętości, że nie ma pojęcia o obsłudze radiostacji i że z pewnością zaszła jakaś pomyłka.

Jeszcze przed południem spod krwawiącej siekaniny, w jaką zamieniły się stopy więźnia, zaczęły wyglądać białe kości. Sierżant Ali westchnął ciężko i dał znak podwładnym, żeby przystąpili do drugiego etapu przesłuchania. Sam odszedł na bok, zapalił papierosa i zaciągając się głęboko obserwował z umiarkowanym zainteresowaniem, jak jeden z jego asystentów za pomocą stalowego pręta metodycznie łamie więźniowi piszczele.

Starzec błagał lekarza jak kolega kolegę, żeby pozwolił mu umrzeć, ale ten z obojętną miną wpatrywał się w sufit. Otrzymał wyraźny rozkaz, aby, jak długo się da, utrzymać więźnia przy życiu i w pełnej świadomości.

O czwartej po południu na przeciwnym krańcu miasta major Zajd zakończył przeszukanie drugiej willi, dokładnie w chwili, kiedy w Paryżu Gidi Barzilai i Michel Levy wstawali od stołu po obfitym obiedzie. Tutaj też nic nie znalazł. Przeprosiwszy grzecznie małżeństwo, które z przerażeniem śledziło poczynania nieproszonych gości, wraz ze swoim zespołem przeniósł się do trzeciego, ostatniego budynku.

Starzec mdlał coraz częściej i lekarz potrzebował coraz więcej czasu, żeby go ocucić. W końcu musiał mu zrobić zastrzyk, który odniósł natychmiastowy skutek, wydobywając więźnia ze stanu zbliżonego do śpiączki i przywracając wrażliwość jego nerwom.

Kolejny etap "przesłuchania" polegał na przebijaniu rozgrzany mi do białości igłami moszny i jąder podejrzanego.

Kilka minut po szóstej stary człowiek ponownie stracił przytomność, lecz tym razem lekarz interweniował zbyt późno. Pracował w pocie czoła, a na jego twarzy malowało się narastające przerażenie, ale żaden ze środków pobudzających, nawet tych wstrzykiwanych w samo serce, nie zadziałał.

Ali wyszedł z salki, po pięciu minutach zaś wrócił w towarzystwie Umara Chatiba. Generał rzucił tylko jedno spojrzenie na nieruchome ciało; choć nie miał medycznego wykształcenia, dzięki długoletniemu doświadczeniu z łatwością potrafił stwierdzić zgon, nawet nie przeprowadzając szczegółowych oględzin. Bez słowa zamachnął się i rąbnął lekarza w twarz. Siła uderzenia była tak duża, a lęk przed gniewem Kata tak wielki, że nieszczęśnik runął na podłogę wraz ze swoimi strzykawkami i fiolkami.

- Kretyn! - syknął Chatib. - Zabieraj się stąd, ale szybko!

Lekarz w panice zgarnął do torby, co miał pod ręką, po czym chyłkiem wymknął się z pomieszczenia. Umar Chatib przez dłuższą chwilę w milczeniu przyglądał się dziełu sierżanta i jego pomocników. W powietrzu unosiła się znana mu doskonale woń, stanowiąca mieszaninę potu, przerażenia, moczu, odchodów, krwi, wymiocin i przypalonego ciała.

- Nie przyznał się do końca - powiedział Ali. - Przysięgam, że gdyby coś wiedział, wyciągnęlibyśmy to z niego.

- Wsadźcie go do worka i oddajcie żonie! - warknął Umar Chatib, po czym odwrócił się i wyszedł szybkim krokiem.

O dziesiątej wieczorem przed drzwiami domu w dzielnicy Kadisijja rzucono duży wór z białego, grubego płótna. Pomału i z wielkim trudem, gdyż oboje byli już bardzo słabi, służący i stara kobieta wnieśli go do środka i położyli na stole w salonie. Kobieta osunęła się na podłogę, po czym zaczęła głośno jęczeć i szlochać. Służący chciał zadzwonić, ale nie mógł, gdyż aparat został rozbity, a przewody wyrwane ze ściany. Nie potrafił czytać, więc wziął ze sobą książkę telefoniczną, poszedł z nią do mieszkającego po sąsiedzku aptekarza i poprosił go, aby ten spróbował skontaktować się z młodym panem. Z którymkolwiek z młodych panów.

O tej samej porze, kiedy aptekarz usiłował zmusić do działania dogorywającą iracką sieć telefoniczną, a Gidi Barzilai, już w Wiedniu, układał kolejną pilną depezę do Kobi Drora, major Zajd składał meldunek Hasanowi Rahmaniemu.

- Nie ma tam żadnego nadajnika - poinformował szefa

kontrwywiadu. - Gdyby był, na pewno byśmy go znaleźli. Ale teraz przynajmniej wiemy na pewno, że jest ukryty w czwartej willi, należącej do dyplomaty.

- Jesteście tego całkowicie pewni? - zapytał Rahmani.

- Tak jest, panie generale. Najbliższy budynek stoi w zbyt dużej odległości od tych czterech. Źródło sygnałów musi znajdować się w obrębie obszaru zaznaczonego na mapie. Ręczę za to głową.

Mimo to Rahmani wciąż jeszcze się wahał. Dyplomaci uwielbiali przy lada okazji składać protesty w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Po to, by uzyskać zgodę na przeszukanie rezydencji Kulikowa, będzie musiał zwrócić się bardzo wysoko. Tak wysoko, jak tylko uda mu się sięgnąć.

Odprawił majora, po czym zadzwonił do ministerstwa. Miał szczęście; minister spraw zagranicznych, który od kilku miesięcy prawie bez przerwy znajdował się w podróży, wyjątkowo był w Bagdadzie. Co więcej, pracował jeszcze w swoim gabinecie i zgodził się przyjąć Rahmaniego nazajutrz o dziesiątej rano.

Aptekarz, który był bardzo uczynnym człowiekiem, prawie przez całą noc nie odchodził od telefonu. Co prawda nie udało mu się skontaktować ze starszym synem nieżyjącego przyjaciela, ale dzięki znajomościom w wojsku zdołał przekazać wiadomość młodszemu.

Informacja dotarła do młodego oficera o świcie. Natychmiast wsiadł do samochodu i ruszył w drogę do domu. Zazwyczaj podróż z usytuowanej poza Bagdadem bazy lotniczej zajmowała mu dwie godziny, ale tego dnia, 17 lutego, potrzebował na nią aż sześciu godzin, gdyż co kilka kilometrów napotykał patrole i blokady drogowe. Wykorzystując przewagę, jaką dawał mu jego oficerski stopień, omijał nieruchomą kolumnę pojazdów, podsuwał żołnierzom pod oczy przepustkę i jechał dalej.

Niestety, nie miał możliwości ominięcia zburzonych mostów i przy każdym z nich musiał czekać na prom. Do domu rodziców w dzielnicy Kadisijja dotarł dopiero w południe.

Matka wybiegła mu na spotkanie, objęła go mocno, i rozpaczliwie szlochając przycisnęła twarz do jego piersi. Usiłował dowiedzieć się od niej, co się właściwie stało, ale stara kobieta wciąż jeszcze znajdowała się w głębokim szoku.

Wreszcie wziął ją na ręce i zaniósł na piętro do sypialni. Wśród rozsypanych na podłodze buteleczek z lekarstwami znalazł fiolkę pastylek nasennych, dał dwie matce i położył kobietę do łóżka.

Następnie zszedł do kuchni, poleciał staremu Talatowi, żeby zaparzył im obu kawę, po czym usiadł ze służącym przy stole i wysłuchał szczegółowej relacji z wydarzeń, jakie miały miejsce minionego poranka. Kiedy sługa skończył, pokazał młodemu panu miejsce w ogrodzie, gdzie żołnierze odkopali worek z nadajnikiem. Oficer uważnie przyjrzał się muirowi i bez trudu dostrzegł świeże ślady pozostawione przez kogoś, kto nocą przekradł się do ogrodu, by ukryć kompromitujący przedmiot. Młody człowiek bez słowa wrócił do domu.

Hasan Rahmani nie lubił czekać, ale tym razem nic nie mógł na to poradzić. Minister spraw zagranicznych Tarik Aziz przyjął go kilka minut przed jedenastą.

– Nie jestem pewien, czy dobrze pana zrozumiałem – powiedział siwowłosy minister, wysłuchawszy prośby Rahmaniego. – Przecież każda ambasada porozumiewa się ze swoim krajem przez radio, a depesze zawsze są szyfrowane.

– Owszem, panie ministrze, ale w tym wypadku mamy do czynienia z nielegalnym nadajnikiem, takim, jakim posługują się szpiedzy, wysyłającym skondensowane sygnały do odbiorcy, który na pewno nie znajduje się w Moskwie, lecz znacznie bliżej.

– "Skondensowane sygnały"?

Rahmani wyjaśnił ministrowi, na czym polega ta metoda.

– Mimo to sprawa nadal jest dla mnie niejasna. Dlaczego jakiś agent KGB – bo przecież to musi być operacja KGB – miałby potajemnie nadawać z rezydencji pierwszego sekretarza, jeżeli mogłby to samo robić zupełnie legalnie z budynku ambasady, gdzie jest zainstalowana znacznie silniejsza radiostacja?

– Nie mam pojęcia.

– W takim razie wolałbym, generale, gdyby przedstawił pan lepsze uzasadnienie swojej prośby. Czy naprawdę nie ma pan pojęcia o niczym, co dzieje się za drzwiami pańskiego gabinetu? Nie wie pan, że nie dalej niż wczoraj wróciłem z Moskwy, gdzie odbyłem ważne rozmowy z Michaiłem Gorbaczowem i jego osobistym wysłannikiem Jewgienijem Primakowem, który był u nas w ubiegłym tygodniu? Nie wie pan, że przywiozłem ze sobą propozycję pokojową, która – jeżeli ra'is ją zaakceptuje, a mam zamiar przedstawić mu wyniki rozmów za dwie godziny – pozwoli

Związkowi Radzieckiemu zażądać natychmiastowego zwołania Rady Bezpieczeństwa i zakazać Amerykanom kontynuowania nalotów!? Czy naprawdę spodziewa się pan, że akurat teraz, w tym momencie, zechcę wymierzyć policzek Związkowi Radzieckiemu, godząc się na przeprowadzenie rewizji w rezydencji pierwszego sekretarza jego ambasady? Doprawdy, pan chyba oszalał, panie generale.

Na tym rozmowa się zakończyła i Hasan Rahmani, wściekły lecz bezsilny, opuścił gmach Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Na szczęście Tarik Aziz, prawdopodobnie przez niedopatrzenie, pozostawił mu uchyloną furtkę: w swoim domu i w swoim samochodzie Kulikow mógł być nietykalny, ale poza tym...
- Otoczcie willę - polecił Rahmani zaraz po powrocie do biura dowódcy najlepszego oddziału inwigilacyjnego. - Macie być niezauważalni, ale nawet mysz nie może prześlizgnąć się bez waszej wiedzy. Śledźcie każdego, kto będzie wychodził albo wyjeżdżał z terenu rezydencji.

W południe agenci stali już w wyznaczonych miejscach. Mężczyźni w cywilnych ubraniach siedzieli w samochodach zaparkowanych w cieniu drzew, które otaczały ogrodzony murem ogród, inni zaś kręcili się w pewnym oddaleniu od willi, gotowi w każdej chwili stawić się na radiowe wezwanie, by podążyć za kimś, kto właśnie wyszedł na ulicę.

Młodszy syn siedział w salonie rodzinnego domu i wpatrywał się w długi płócienny worek ze zwłokami ojca. Wspominając dobre, dawno minione czasy nie zwracał uwagi na łzy, które ściekały mu po policzkach, plamiąc mundurową kurtkę. Jego ojciec był kiedyś zamożnym lekarzem o dużej prywatnej praktyce, opiekującym się nawet zamieszkałymi w Bagdadzie brytyjskimi rodzinami. Pomagały mu w tym kontakty towarzyskie. Nawiazywał je dzięki swojemu przyjacielowi Nigelowi Martinowi.

Wspominał chwile, które spędził wraz z bratem bawiąc się w ogrodzie Martinów z Mikiem i Terrym, i zastanawiał się, co też obecnie porabiają dwaj towarzysze jego dziecięcych zabaw.

Po godzinie zauważył, że niektóre plamy na płótnie wyraźnie się powiększyły. Wstał z krzesła i podszedł do drzwi.

- Talat!

- Tak, panie?

- Przyniesz nożyczki i duży kuchenny nóż.

Pułkownik Badri ostrożnie rozciął worek i odsłonił nagie ciało ojca.

Zgodnie z tradycją myciem i ubieraniem zwłok powinny zajmować się kobiety, ale syn wolał oszczędzić matce okropnego widoku. Sam umył ciało, obandażował zmasakrowane stopy i zakrył zwęglone genitalia. Przez cały czas płakał, a kiedy płakał, w jego duszy zachodziły ogromne zmiany.

O zmroku zadzwonił do imama z cmentarza Alwazia w Rusafie i zamówił pogrzeb na rano następnego dnia.

Rankiem 17 lutego, w niedzielę, Mikę Martin pojechał rowem do miasta, by zrobić nieco zakupów, a przede wszystkim sprawdzić, czy w którymś z umówionych miejsc nie pojawił się znak od Jerycha. Wrócił do domu tuż przed dwunastą, całe popołudnie zaś spędził pracując w ogrodzie. Pierwszy sekretarz Kulikow, który nie był ani muzułmaninem, ani chrześcijaninem, a więc nie świętował ani w piątek, ani w niedzielę, leżał w łóżku, gdyż zmogło go przeziębienie, i utyskiwał, że jego róże są w opłakanym stanie.

Kiedy Martin spokojnie podlewał kwiatki, po drugiej stronie muru zajmowali pozycje funkcjonariusze irackiego kontrwywiadu. Zastanowiwszy się doszedł do wniosku, że Jerycho musi mieć co

najmniej dwa dni na udzielenie odpowiedzi i w związku z tym postanowił wyruszyć na objazd ustalonych miejsc dopiero nazajutrz wieczorem.

Pogrzeb doktora Badriego odbył się kilka minut po dziewiątej. W owym czasie na bagdadzkich cmentarzach panował ożywiony ruch, więc imam miał mnóstwo roboty. Zaledwie kilka dni wcześniej Amerykanie zbombardowali ogólnie dostępny schron lotniczy, zabijając ponad 300 ludzi. Kilku żałobników biorących udział w innym pogrzebie zapytało młodego pułkownika, czy jego krewny także zginął z ręki Amerykanów. Oficer odpowiedział krótko, że zgon nastąpił z przyczyn naturalnych.

Zgodnie z tradycją muzułmańską pochówek następuje zaraz po śmierci, zwłoki zaś nie są składane do trumny, tylko zawijane w całun. Po krótkiej ceremonii pani Badri, jej syn, aptekarz oraz jeszcze kilka osób ruszyli w kierunku bramy cmentarza.

Kiedy dzieliło ich od niej jeszcze kilka metrów, pułkownik Badri usłyszał, że ktoś woła go po nazwisku. Na ulicy, w pobliżu bramy, stała elegancka limuzyna; ciemna szyba w prawych tylnych drzwiach była opuszczona, a głos dobiegał z wnętrza samochodu.

Usman Badri poprosił aptekarza, żeby odwiózł matkę do domu.

On sam wróci nieco później. Zaczekał, aż znikną za murem cmentarza, po czym podszedł do limuzyny.

– Proszę do środka, pułkowniku. Musimy porozmawiać.

Oficer otworzył drzwi i zajrzał do wnętrza. Człowiek, który do niego mówił, odsunął się, robiąc mu miejsce. Twarz była jakby znajoma, ale gdzie mógł ją widzieć?... Pułkownik wsiadł do samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi. Mężczyzna w ciemnoszarym garniturze nacisnął guzik; szyba podniosła się, odcinając ich od dochodzących z zewnątrz hałasów.

– Właśnie pochował pan ojca.

– Zgadza się.

Kim jest ten człowiek? Dlaczego nie może sobie skojarzyć jego twarzy?

– To okropne, co zrobiono z pańskim ojcem. Gdybym dowiedział się w porę, mógłbym temu zapobiec. Niestety, poinformowano mnie za późno.

Usman Badri poczuł się tak, jakby otrzymał potężny cios w żołądek. Już wiedział, kim jest jego rozmówca. Widział go dwa lata temu na jednym z oficjalnych przyjęć.

– Gdyby to, co teraz panu powiem, pułkowniku, trafiło do niepowołanych uszu, zginąłbym śmiercią znacznie bardziej straszliwą niż ta, jaka spotkała pańskiego ojca.

Taka kara grozi tylko za jedno przestępstwo, pomyślał Badri. Za zdradę.

– Kiedyś kochałem ra'isa – powiedział cicho mężczyzna.

– Ja też – odparł z goryczą oficer.

– Niestety, wiele się zmieniło. Ogarnęło go szaleństwo, i robi się coraz bardziej okrutny. Trzeba go powstrzymać. Naturalnie wie pan, co to jest Kal'a.

Badriego zaskoczyła nagła zmiana tematu.

– Oczywiście. To ja ją zbudowałem.

– Właśnie. Wie pan, co się teraz w niej znajduje?

– Nie.

Mężczyzna w garniturze opowiedział mu o Pięści Boga.

– On chyba nie zrobi tego naprawdę?... – wyszeptał Badri.

– Zrobi, może mi pan wierzyć. Ma zamiar użyć jej przeciwko Amerykanom. Właściwie moglibyśmy się tym nie przejmować, ale chyba domyśla się pan, jaka będzie odpowiedź Ameryki? Dokładnie taka sama. W tym mieście nie zostanie kamień na kamieniu, natomiast ra'is ocaleje i pozostanie u władzy. Czy chce pan przyłożyć do tego rękę?

Pułkownik Badri pomyślał o zmasakrowanych zwłokach ojca, nad którymi grabarze właśnie w tej chwili usypywali wzgórek suchej ziemi.

– Czego pan chce?

– Proszę opowiedzieć mi o Fortecy.

– Po co?

– Żeby Amerykanie mogli ją zniszczyć.

– Jak przekaże im pan informację?

– Proszę mi zaufać, mam swoje sposoby.

Pułkownik Usman Badri, młody inżynier, który niegdyś chciał wznosić piękne budowle zdolne przetrwać tysiące lat, tak jak czynili to jego przodkowie, wyjawiał człowiekowi zwanemu Jerychem najpilniej strzeżoną tajemnicę.

– Jeszcze współrzędne.

Badri podał współrzędne.

– Proszę wracać do domu, pułkowniku. Będzie pan bezpieczny.

Pułkownik Usman Badri wysiadł z samochodu i oddalił się szybkim krokiem. Wydawało mu się, że zamiast żołądka ma ciasno zawiązany supeł. Dopiero po stu metrach zadał sobie pytanie: Co ja najlepszego zrobiłem? Nagle zrozumiał, że musi jak najszybciej porozmawiać z bratem, starszym, mądrym bratem, który zawsze potrafił znaleźć wyjście nawet z najtrudniejszej sytuacji.

W poniedziałek z Tel-Awiwu przyleciał do Wiednia człowiek zwany "fotografem". Tak samo jak za pierwszym razem podawał się za prawnika ze znakomitej nowojorskiej firmy adwokackiej i miał wszelkie niezbędne dokumenty, które mogły o tym zaświadczyć.

Chociaż autentyczny prawnik wrócił już z urlopu, to szansę, że nienawidzący telefonów i faksów Gemutlich zadzwoni do Nowego Jorku, aby potwierdzić tożsamość gościa, były tak niewielkie, że Mosad zdecydował się podjąć ryzyko.

"Fotograf ponownie zamieszkał w hotelu Sheraton i napisał do Herr Gemutlicha list. Przeprosił go, że znowu zjawił się w stolicy Austrii bez uprzedzenia, oraz poinformował, iż w podróży towarzyszy mu księgowy firmy, który w imieniu klienta pragnie dokonać pierwszej, dość znacznej wpłaty na otwarte w Banku Winklera konto depozytowe.

Posłaniec doręczył list późnym popołudniem, następnego ranka zaś do hotelu dotarła odpowiedź, w której Herr Gemutlich proponował spotkanie o dziesiątej rano.

"Fotograf istotnie nie przyleciał do Wiednia sam, lecz towarzyszył mu nie żaden księgowy, tylko człowiek zwany po prostu Włamywaczem, gdyż taki właśnie był jego zawód.

Mimo iż Mosad może się poszczycić nie mającą sobie równych w świecie kolekcją paszportów, legitymacji, papierów firmowych oraz wszelkich innych dokumentów niezbędnych do tworzenia fałszywych tożsamości, to jednak największą renomą cieszą się jego włamywacze i ślusarze. O ich umiejętnościach krążą w międzynarodowym świecie szpiegowskim prawdziwe legendy. W tej dziedzinie ludzie z Mosadu są po prostu najlepsi. Gdyby to im zlecono dokonanie włamania do budynku Watergate, świat nigdy by się o niczym nie dowiedział.

Izraelscy specjaliści cieszą się tak znakomitą opinią, że przez wiele lat Century House prosił Tel-Awiw o ocenę najnowszych zamków, które brytyjscy producenci przedstawiali do zaakceptowania służbom specjalnym. Mosad, a jakże, badał je bardzo dokładnie, rozpracowywał w najdrobniejszych szczegółach, a następnie* oddawał Brytyjczykom wraz z zapewnieniem, że zamki są nie do sforsowania. Jednak SIS w końcu domyśliła się, że coś tu jest nie tak.

Kiedy następnym razem jedna z firm zwróciła się z prośbą o zatwierdzenie wyjątkowo skomplikowanego zamka, brytyjski wywiad wysłał do Tel-Awiwu jego wcześniejszą, znacznie prostszą wersję. Specjaliści Mosadu w krótkim czasie zapoznali się z działaniem zamka, nauczyli się go otwierać, po czym jak zwykle wydali opinię, że jest nie do sforsowania. Jednak do produkcji trafiła bardziej skomplikowana wersja.

Rok później stało się to przyczyną przykrego incydentu, kiedy doświadczony fachowiec Mosadu spędził trzy godziny w korytarzu pilnie strzeżonego biurowca w pewnej europejskiej stolicy, próbując na próżno uporać się z zamkiem, który, przynajmniej teoretycznie, nie powinien nastręczyć mu żadnych problemów. Ostatecznie musiał uznać się za pokonanego. Od tamtej pory Brytyjczycy samodzielnie testują swoje zamki, Mosad zaś pracuje nad nimi na własną rękę.

Specjalista od otwierania zamków, który przyleciał z Tel-Awiwu, był numerem dwa w swoim kraju. Został wybrany dlatego, że miał nad numerem jeden pewną, bardzo istotną, przewagę.

W nocy Gideon Barzilai zrobił mu sześciogodzinny wykład na temat dzieła Riesenera, niemieckiego mistrza sztuki stolarskiej, następnie zaś "fotograf opisał z najdrobniejszymi szczegółami rozkład pomieszczeń w siedzibie Banku Winklera. Ostatnim etapem tego przyspieszonego kursu było zapoznanie się z trasą i czasem wędrówek nocnego strażnika; dało się to ustalić dzięki wielogodzinnym obserwacjom pogrążonego w ciemności budynku, gdyż strażnik posługiwał się ręczną latarką, której światło doskonale widać przez niczym nie zasłonięte okna.

O piątej po południu w poniedziałek Mikę Martin poprowadził rozklekotany rower po wysypanej drobnym żwirem ścieżce, otworzył zardzewiałą furtkę w murze w tylnej części ogrodu Kulikowa, wyszedł, zamknął ją za sobą, wsiadł na rower i ruszył w kierunku najbliższej przeprawy promowej przez Tygrys. Znajdowała się w miejscu, gdzie kiedyś stał most Dżumhurijja - do czasu, kiedy zainteresowały się nim brytyjskie tornada.

Skręciwszy za róg dostrzegł najpierw jeden, a w chwilę potem także drugi samochód. Kiedy z drugiego pojazdu wysiedli dwaj mężczyźni i stanęli w rozkroku na środku jezdni, poczuł, jak żołądek ściska mu się ze strachu. Odważył się zerknąć przez ramię, ale drogę ucieczki miał odciętą. Wiedząc, że to już koniec, jakby nigdy nic jechał naprzód. Nie miał zresztą wyboru. Jeden ze stojących przed nim mężczyzn podniósł rękę.

- Hej, ty! - krzyknął. - Zatrzymaj się!

Martin zjechał do krawężnika i posłusznie wykonał polecenie. Pojawili się jeszcze trzej ludzie, w mundurach, z wycelowanymi w jego stronę karabinami.

Powoli podniósł ręce nad głowę.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Tego samego popołudnia w Rijadzie doszło do spotkania ambasadorów Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Wszystko wskazywało na to, że ma ono wybitnie nieformalny charakter, poświęcone jest zaś głównie typowo angielskiemu obyczajowi chrupania kruchych ciasteczek i picia herbaty.

Wśród gości przechadzających się po trawniku brytyjskiej ambasady znaleźli się także Chip Barber, oficjalnie pracownik ambasady USA, oraz Steve Laing, zatrudniony w sekcji kulturalnej przedstawicielstwa Zjednoczonego Królestwa. Jednak najbardziej niezwykłym, bo najrzadziej widywanym gościem był generał Norman Schwarzkopf, który wyjątkowo opuścił na chwilę swą podziemną siedzibę.

Bardzo szybko cała piątka zebrała się w jednym miejscu.

Naturalnie głównym tematem rozmów była zbliżająca się milowymi krokami wojna, ale właśnie tych pięciu mężczyzn dysponowało informacjami niedostępnymi dla pozostałych gości. Jedna z nich dotyczyła szczegółów planu pokojowego, który Tarik Aziz przedstawił Saddamowi Husajnowi. Plan został przywieziony z Moskwy i stanowił wynik niedawnych rozmów irackiego ministra spraw zagranicznych z Michałem Gorbaczowem. Jego pojawienie się dawało powody do obaw, ale z zupełnie innych przyczyn, niż można by przypuszczać.

Generał Schwarzkopf odrzucił już sugestię Waszyngtonu, żeby zaatakować wcześniej, niż początkowo planowano. Radziecki plan zakładał obustronne zawieszenie broni, po którym już następnego dnia miało rozpocząć się wycofywanie irackich wojsk z Kuwejtu. Szczegóły tej propozycji dotarły do rządu amerykańskiego bezpośrednio z Kremla.

Biały Dom odpowiedział, że plan stanowi dość interesującą inicjatywę, lecz jego poważną wadą jest to, iż pomija milczeniem wiele ważnych zagadnień. Między innymi nie wspomina się w nim ani słowem o zrzeczeniu się przez Irak wszelkich roszczeń terytorialnych wobec sąsiada, o kolosalnych zniszczeniach, jakie wojska okupanta poczyniły w Kuwejcie, o 500 płonących szybach naftowych i tysiącach ton ropy lejących się do Zatoki Perskiej, ani o dwustu rozstrzelanych Kuwejtczykach.

– Colin Powell twierdzi, że Departament Stanu posunął się jeszcze dalej, żądając bezwarunkowej kapitulacji – powiedział generał.

– Wcale mnie to nie dziwi – zauważył amerykański ambasador.

– Poradziłem im, żeby najpierw skonsultowali się z jakimś arabistą.

– Doprawdy? – zdziwił się uprzejmie ambasador Wielkiej Brytanii. – A dlaczego?

Obaj dyplomaci pracowali przez wiele lat na Bliskim Wschodzie, obaj też byli z wykształcenia arabistami.

– Ponieważ żaden Arab nie zgodzi się na takie ultimatum – odparł generał. – Prędzej umrze, niż pójdzie na coś takiego. Zapadło milczenie. Ambasadorowie wpatrywali się w szczerą twarz generała, poszukując na niej śladu ironii. Dwaj oficerowie wywiadu nie odezwali się ani słowem, lecz przez ich głowy przemknęła identyczna myśl: o to właśnie chodzi, drogi generale.

– Wyszedłeś z domu Rosjanina.

Zabrzmiało to nie jak pytanie, lecz jak stwierdzenie. Mężczyzna, który je wypowiedział, miał na sobie cywilne ubranie, ale z pewnością był oficerem.

– Tak, bej.

– Dokumenty.

Martin wyciągnął z kieszeni dowód tożsamości oraz wymięte i poplamione zaświadczenie wystawione przez pierwszego sekretarza Kulikowa. Oficer najpierw obejrzał dokument, porównał zdjęcie z twarzą stojącego przed nim człowieka, po czym zajął się listem. Izraelscy fałszerze spisali się na piątkę; dowód tożsamości nie wzbudził najmniejszych podejrzeń funkcjonariusza kontrwywiadu.

– Przeszukać go – polecił oficer.

Drugi cywil przesunął rękami po ciele Mahmuda Al-Churi, po czym pokręcił głową. Żadnej broni.

– Kieszenie.

Znajdowało się w nich kilka banknotów, parę monet, scyzoryk, różnokolorowe kawałki kredy oraz foliowa torebka. Oficera zainteresował jedynie ten ostatni przedmiot.

– Co to jest?

– Wyrzucił to jeden z niewiernych. Trzymam w tym tytoń.

- Ale teraz nie ma tam tytoniu.

- Nie, bej. Skończył mi się. Chciałem kupić trochę na bazarze.

- Nie mów do mnie bej, nie jestem Turkiem. Skąd pochodzisz?

Martin podał nazwę małej wioski na północy kraju.

- Okolice słynie ze wspaniałych melonów - dodał nieśmiało.

- Gównu mnie obchodzą twoje zakichane melony! - parsknął oficer, który coraz wyraźniej odnosił wrażenie, że jeszcze trochę, a jego żołnierze parskną śmiechem.

Na końcu ulicy, w odległości jakichś 200 metrów, zatrzymała się elegancka limuzyna. Oficer obejrzał się, spojrział ponownie na Martina, burknął: "Zaczekaj tutaj" i poszedł w kierunku samochodu.

- Kogo macie? - zapytał przez uchylone okno Hasan Rahmani.

- Ogrodnika, panie generale. Pracuje tutaj. Zajmuje się kwiatkami i robi zakupy dla kucharki.

- Wygląda na bystrego?

- Wręcz przeciwnie, jest tępy jak wół. Pochodzi z jakiejś wioski daleko na północy, gdzie uprawiają melony.

Rahmani zastanawiał się przez chwilę. Jeśli zatrzyma ogrodnika, Rosjanie zaczną się głowić, dlaczego ich pracownik nie wrócił do domu i będą mieli się na baczności. Istniało duże prawdopodobieństwo, że rosyjski plan pokojowy nie zostanie zaakceptowany, a wówczas kontrwywiad otrzyma zgodę na przeszukanie rezydencji. Rahmani doskonale wiedział, że każdy, nawet najgłupszy Irakijczyk, świetnie rozumie język pieniędzy. Wydobył z kieszeni portfel, wyjął z niego studinarowy banknot i wręczył go oficerowi.

- Daj mu to i powiedz, żeby zaraz po zrobieniu zakupów wrócił do domu. Niech ma oczy szeroko otwarte i rozgląda się za kimś z dużym srebrnym parasolem. Jeżeli będzie trzymał język za zębami i zamelduje nam jutro o wszystkim, co widział, dostanie wysoką nagrodę. Jeżeli wygada się przed Rosjanami, osobiście oddam go w ręce Al-Aman al-Amm.

- Tak jest, panie generale.

Oficer wrócił do ogrodnika i powtórzył mu słowa swojego zwierzchnika. Wieśniak sprawiał wrażenie mocno zdezorientowanego.

- Parasol, sajjidi

- Tak, wielki srebrny parasol, może czarny, skierowany w niebo. Widziałeś coś takiego?

- Nie, sajjidi - odparł ze smutkiem ogrodnik. - Jak tylko zaczyna padać, wszyscy od razu uciekają do domu.

- Na Allaha\ - jęknął oficer. - To nie jest parasol od deszczu, ty ośle, tylko do przesyłania wiadomości!

- Parasol do przesyłania wiadomości - powtórzył powoli ogrodnik. - Dobrze, sajjidi, będę szukał takiego.

- Jedź już - poleciał zdesperowany oficer. - I pamiętaj, żeby trzymać gębę na kłódkę!

Martin nie zwlekając wsiadł na rower i nacisnął na pedały.

Kiedy mijał stojącą przy krawężniku limuzynę, Rahmani odwrócił głowę. Po co jakiś wieśniak ma widzieć twarz szefa kontrwywiadu Republiki Iraku?

O siódmej Martin znalazł umówiony znak, o dziewiątej zaś odszukał wiadomość. Przeczytał ją w świetle sączącym się przez okno kawiarni - światło pochodziło z lamp naftowych, gdyż elektryczności nie było już od kilku dobrych dni - gwizdnął cicho, *po czym starannie złożył cienki papier i wepchnął go w gacie.

Nie miał po co wracać do willi. Nadajnik został "spalony", a próba wysłania w eter jeszcze choćby jednej depechy doprowadziła by do nieszczęścia. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pojechać na

dworzec autobusowy, ale zrezygnował z tego zamiaru, gdyż tam właśnie kręciło się najwięcej patroli tajnej policji i wojska, polujących na dezertorów.

Wybrał targ warzywny i znalazł ciężarówkę wracającą na zachód. Co prawda kierowca jechał tylko kilka kilometrów za Habbanijję, ale dobre i to; 20 dinarów przekonało go, żeby wziął pasażera. Wielu kierowców wyruszało za miasto tylko nocą, wierząc głęboko, że są wówczas niewidoczni dla przelatujących w górze samolotów nieprzyjaciela. Nie przyszło im do głowy, że wszystko jedno, w dzień czy w nocy, ich zdezelowane ciężarówki nie zajmują wysokiego miejsca na liście priorytetowych celów generała Chucka Hornera.

Jechali całą noc przy świetle reflektorów osiagającym jasność nie więcej niż jednej świecy. O świcie Martin znalazł się sam na szosie tuż za jeziorem Habbanijja, kierowca zaś skręcił w kierunku farm zajmujących żyzne ziemie górnej części doliny Eufratu. Po drodze dwa razy zatrzymywały ich patrole, ale Martin pokazywał żołnierzom zaświadczenie wystawione przez rosyjskiego dyplomatę i mówił, że pracował jako ogrodnik u niewiernych, którzy nagle postanowili wrócić do domu i wyrzucili go na bruk. Tak długo uskarżał się płaczącym tonem na sposób, w jaki go traktowano, aż wreszcie zniecierpliwieni żołnierze kazali mu zamknąć się i pozwalali ciężarówce jechać dalej.

Tego wieczoru Usman Badri podążał w tym samym kierunku co Martin, tyle tylko, że znacznie go wyprzedzał. Jechał do bazy myśliwców, w której jego starszy brat Abd al-Karim pełnił funkcję dowódcy dywizjonu.

W latach osiemdziesiątych belgijska firma o nazwie Sixco podpisała kontrakt na budowę ośmiu tajnych baz, gdzie miały stacjonować najlepsze irackie maszyny i najbardziej doświadczeni piloci. Charakterystyczną cechą tych baz było to, że niemal wszystko – kwatery, hangary, zbiorniki paliwa, magazyny amunicji, warsztaty, sale odpraw i potężne dieslowskie generatory – zostało ukryte pod ziemią. Na powierzchni pozostały jedynie pasy startowe trzykilometrowej długości, ale ponieważ nie otaczały ich żadne zabudowania, alianci przypuszczali, iż są to "gołe" lotniska rezerwowe, takie jak Al-Chardż w Arabii Saudyjskiej, zanim zjawili się tam Amerykanie.

Trzeba by przeprowadzić bardzo dokładne oględziny, żeby znaleźć potężne, metrowej grubości wrota umieszczone na końcu każdego pasa, strzegące dostępu do długich, prowadzących w dół, pochylni. Każda baza znajdowała się pośrodku otoczonego ogrodzeniem z drutu kolczastego kwadratu o boku 5 kilometrów; pozostawiono je w spokoju, ponieważ, tak jak Tarmijja, wydawały się nie używane.

Procedura startowa wyglądała następująco: po odprawie, która odbywała się w podziemnym, klimatyzowanym pomieszczeniu, piloci wsiadali do maszyn i uruchamiali silniki. Spaliny odprowadzano nad powierzchnię ziemi, gdzie mieszały się z gorącym pustynnym powietrzem. Kiedy silniki osiągnęły pełną moc, potężne wrota otwierały się na chwilę, samoloty ruszały w górę pochylni, z dużą prędkością wypadały na pas startowy, a kilka sekund później były już w powietrzu. Rzecz jasna natychmiast dostrzegały je krążące nad Zatoką Perską lub Morzem Czerwonym AWACS-y, ale wyglądało to tak, jakby irackie myśliwce pojawiły się dosłownie znikąd; Amerykanie przyjmowali więc założenie, iż wystartowały z jakiegoś odległego lotniska, a na ekranach radarów pojawiły się dopiero wówczas, gdy uzyskały większą wysokość.

Pułkownik Abd al-Karim Badri służył w jednej z baz Sixco zwanej po prostu KM 160, ponieważ znajdowała się w pobliżu

drogi łączącej Bagdad z Ar-Rutbą, dokładnie 160 kilometrów na zachód od stolicy. Jego młodszy brat dotarł do niepozornej budki strażniczej tuż po zachodzie słońca.

Ze względu na wysoką szarżę nieoczekiwanego przybysza strażnik połączył się telefonicznie z kwaterą dowódcy dywizjonu. Wkrótce potem, nie wiadomo skąd, przy budce zjawił się terenowy samochód z młodym porucznikiem Sił Powietrznych za kierownicą. Usman Badri zajął miejsce w pojeździe, ten zaś, pokonawszy zaledwie kilkaset metrów, zjechał w dół po niewielkiej, znakomicie zamaskowanej rampie. Wkrótce potem wysiedli z auta, porucznik zaś poprowadził gościa długimi betonowymi korytarzami. W ogromnych, sztucznych jaskiniach mechanicy pracowali przy MiGach 29, powietrze było czyste i pozbawione zapachów, wszędzie zaś dało się słyszeć ledwo uchwytnie brzęczenie generatorów.

Wreszcie dotarli do kwater oficerskich. Porucznik zastukał do drzwi, zczekał na pozwolenie, po czym otworzył je i wprowadził Usmana Badriego do apartamentu dowódcy.

Bracia padli sobie w ramiona. Trzydziestosiedmioletni Abd al-Karim również był pułkownikiem. Miał niezwykle piękną twarz o śniadej cerze, ozdobioną przyszczyżonym wąsikiem w stylu Ronalda Colmana. Choć nigdy nie mógł się uskarżać na brak zainteresowania ze strony płci przeciwnej – przyczyniały się do tego w równej mierze jego wygląd, poczucie humoru oraz mundur lotnika -- jednak się nie ożenił. Wszyscy generałowie Sił Powietrznych zgodnie twierdzili, że jest najlepszym pilotem myśliwskim w Iraku, a opinię tę potwierdzali Rosjanie, u których poznawał tajniki najnowocześniejszego radzieckiego myśliwca, MiGa 29.

- Co cię tutaj sprowadza, bracie? - zapytał.

Usman usiadł, wziął do ręki kubek ze świeżo zaparzoną kawą, po czym uważnie zaczął obserwować Abd al-Karima. Bez trudu dostrzegł na jego twarzy zmarszczki, których jeszcze niedawno tam nie widział, oraz ogromne znużenie widoczne w spojrzeniu.

Pułkownik Abd al-Karim Badri nie był ani głupcem, ani tchórzem. Brał udział w ośmiu lotach bojowych przeciwko Amerykanom i Brytyjczykom. Ze wszystkich wrócił cały i zdrowy, choć chyba tylko cudem uniknął czterech wycelowanych w niego pocisków i patrzył bezradnie, jak jego najlepszych kolegów strącano z nieba niczym bezbronne kaczkę.

Bardzo szybko zorientował się, że w tej wojnie iraccy piloci nie mają najmniejszych szans, przede wszystkim dlatego, że nie dysponują informacjami dotyczącymi pozycji, liczby i rodzaju maszyn przeciwnika, nie wiedzą skąd nadlatują, na jakiej wysokości ani z jaką prędkością. Od chwili, kiedy stacje radarowe przestały istnieć, a ośrodki dowodzenia zamieniły się w sterty gruzów, piloci byli zdani na samych siebie.

Amerkańskie AWACS-y namierzały ich samoloty już w chwili, kiedy te przekroczyły pułap 300 metrów, i przekazywały wszystkie dane własnym myśliwcom. Dla Irakijczyków każdy lot bojowy okazywał się lotem samobójczym.

Teraz jednak Abd al-Karim przestał na chwilę myśleć o tym wszystkim, uśmiechnął się słabo i czekał, aż brat podzieli się z nim nowinami. Kiedy je usłyszał, uśmiech zniknął.

Usman szczegółowo zrelacjonował wydarzenia minionych sześćdziesięciu godzin: przybycie oddziału Al-Aman al-Amm, rewizję, odkrycie nadajnika w ogrodzie, pobicie matki i służącego, wreszcie aresztowanie ojca. Opowiedział także, jak dotarła do niego wiadomość przekazana przez mieszkającego w sąsiedztwie aptekarza i jak popędził do domu, by znaleźć ciało ojca leżące na stole; co ujrzał, kiedy rozciął płócienny worek. Na koniec opisał przebieg pogrzebu, który odbył się przed południem.

Kiedy zaczął mówić o niezwykłym spotkaniu przed bramą

omentarza i o rozmowie, jaka odbyła się później, starszy brat pochylił się naprzód i dosłownie zawisł spojrzeniem na jego wargach.

– Naprawdę mu powiedziałaś? – zapytał Abd al-Karim.

– Tak.

– I to wszystko prawda? Naprawdę zbudowałaś Fortecę?

– Tak.

– I opowiedziałaś mu, gdzie ona jest, żeby mógł przekazać tę wiadomość Amerykanom.

– Tak. Uważasz, że postąpiłem niesłusznie?

Abd al-Karim zastanawiał się przez chwilę.

– Ilu ludzi w Iraku znało tę tajemnicę?

– Sześciu – odparł Usman.

– Kto?

– Ra'is; Husajn Kamil, który zajmował się sprawami finansowymi i dostarczaniem siły roboczej; Amir Sadi – pracował nad samym działem; generał Riza – przygotował obsługę; generał Musuli z Korpusu Inżynierskiego, który polecił mnie do tej roboty; no i ja.

– A piloci śmigłowców, dowożący na miejsce gości?

– Wiedzieli, w jakim kierunku mają lecieć, ale nie mieli pojęcia, co się tam znajduje. Poza tym, wszyscy siedzą teraz zamknięci w jakiejś bazie, nawet nie wiem gdzie.

– A goście?

– Żaden nie znał położenia Fortecy, ponieważ drogę w obie strony odbywali z zawiązanymi oczami.

– Jak sądzisz, kogo będzie podejrzewała policja polityczna, jeżeli Amerykanie zniszczą Pięść Boga? Saddama, ministrów, generałów, czy ciebie?

Usman złapał się za głowę.

– Na Allaha, co ja zrobiłem? – jęknął.

– Obawiam się, bracie, że wydałeś wyrok na nas wszystkich. Obaj doskonale znali obowiązujące reguły. Karą za zdradę była nie tylko śmierć zdrajcy, ale także ojca, wujów i braci, co miało doprowadzić do uschnięcia zarażonej gałęzi, a także dzieci, żeby później nie próbowały zemsty za cierpienia najbliższych. Usman Badri opuścił głowę i zaczął rozpaczliwie szlochać, ale brat ujął go za ramiona, pomógł wstać z krzesła i przycisnął do piersi.

– Uczyniłeś to, co należało. Teraz musimy się zastanowić, co zrobić, aby ocalić skórę. – Spojrzał na zegarek. – Nie mamy już połączenia telefonicznego z Bagdadem. Ocalały tylko podziemne kable łączące bazę z bunkrami dowodzenia, ale nie możemy skorzystać z tej drogi. Ile czasu potrzebujesz na dotarcie do domu? – Trzy, może cztery godziny.

– Masz osiem, żeby pojechać tam i z powrotem. Powiedz matce, by spakowała wszystkie cenne rzeczy do samochodu ojca. Potrafi go prowadzić, nie najlepiej, ale da sobie radę. Niech zabierze Talata i jedzie do jego wioski. Ma tam siedzieć tak długo, aż któryś z nas prześle jej wiadomość. Zrozumiałaś?

– Tak. Wrócę o świcie.

– Musisz być przed świtem. Jutro z samego rana mam odprowadzić do Iranu ostatni klucz MiGów. Ra'is chce w ten sposób ocalić przed zniszczeniem najlepsze maszyny. To oczywiście szaleństwo, ale może uda nam się ująć z życiem. Polecisz ze mną.

– Wydawało mi się, że to jednomiejscowe samoloty?

– Jeden egzemplarz to dwumiejscowa wersja UB. Przebierzesz się w mundur pilota. Kto wie, może będzie nam sprzyjało szczęście. A teraz już ruszaj.

Mikę Martin szedł na zachód drogą prowadzącą do Ar-Rutby, kiedy minął go samochód Usmana Badriego, pędzący w przeciwnym kierunku. Kierowca nie zwrócił uwagi na samotnego wieśniaka, ten

zaś, nawet gdyby chciał, nie mógłby dostrzec rysów twarzy człowieka siedzącego za kierownicą. Martin podążał ku odległej o 25 kilometrów przeprawie przez rzekę. Tam, przy zburzonym moście, ciężarówki musiały długo czekać na prom, więc powinno być mu łatwiej znaleźć kierowcę, który za skromną zapłatę zgodzi się zabrać go dalej na zachód.

Jeszcze przed świtem dobił targu, ale ciężarówka dowiozła go tylko do Muhammadi, gdzie znowu nastąpiła przymusowa przerwa w podróży. O trzeciej nad ranem po raz drugi minał go jadący z wielką prędkością samochód pułkownika Badriego, ale Martin nawet nie próbował go zatrzymać, gdyż było jasne, że kierowcy bardzo się śpieszy. Wkrótce potem na poboczu szosy zatrzymała się wyładowana po brzegi ciężarówka. Martin wręczył kierowcy kilka banknotów, dziękując w myślach temu, kto niedawno dał mu sto dinarów.

Należało przypuszczać, że o świcie pierwszy sekretarz Kulikow zawiadomi policję o zaginięciu ogrodnika. W trakcie rewizji w chatce zostanie odnaleziony blok papieru listowego – dość niezwykła rzecz w rękach niepiśmiennego wieśniaka – a potem nadajnik i antena. Najdalej w południe poszukiwania obejmą cały Bagdad i wszystkie główne drogi. Byłoby dobrze, gdyby o zachodzie słońca znajdował się już daleko na pustyni, podążając w kierunku granicy. Ciężarówka mijала właśnie KM 160, kiedy formacja MiGów 29 z rykiem silników wzbiła się w powietrze.

Usman Badri był przerażony, gdyż należał do ludzi, którzy śmiertelnie boją się latać. W podziemnej jaskini trzymał się na uboczu, podczas gdy jego brat wydawał ostatnie polecenia czterem młodym pilotom. Większość rówieśników Abd al-Karima zginęła w walkach powietrznych, ta czwórka zaś dopiero co ukończyła szkołę lotniczą. Młodzi ludzie z uwagą wysłuchali pułkownika, po czym potwierdzili, że rozkazy zostały zrozumiane i przyjęte. Nawet po opuszczeniu osłony w kabinie MiGa panował nieopisany hałas, kiedy turbiny dwóch silników RD 33 rozkręcały się do maksymalnych obrotów. W pewnej chwili skulony na tylnym fotelu Usman dostrzegł, jak otwierają się potężne wrota, w prostokącie gdzieś daleko z przodu pojawia się błękitne niebo, zaraz potem zaś hałas wzmógł się jeszcze bardziej, gdyż pilot włączył dopalacz. Smukła maszyna o podwójnym usterzeniu pionowym drżała jak w febrze, przytrzymywana w miejscu przez hamulce.

Kiedy wreszcie hamulce puściły, Usman odniósł wrażenie, że został kopnięty w plecy przez jakiegoś monstrualnego muła. MiG skoczył naprzód, ściany tunelu błyskawicznie umknęły do tyłu, a w chwilę potem maszyna wypadła na pas startowy. Usman zacisnął powieki i modlił się, jak jeszcze nigdy w życiu. Nagle łoskot kół ucichł, inżynier poczuł się jakoś dziwnie i otworzył oczy. Znajdowali się w powietrzu. Abd al-Karim położył maszynę w szeroki zakręt, dzięki czemu mogli zobaczyć kolejne myśliwce, wyskakujące z podziemnego tunelu. Kiedy ostatni z nich wzbił się w powietrze, wrota zamknęły się i nic już nie świadczyło o istnieniu podziemnej bazy.

Ponieważ model UB jest wersją szkoleniową, Usmana otaczało mnóstwo zegarów, wskaźników, przycisków, przełączników, lampek i pokręteł. Abd al-Karim przykazał mu, żeby niczego nie dotykał, a on z ulgą zastosował się do polecenia.

Na wysokości 300 metrów MiGi utworzyły luźną formację. Na czele leciał dowódca dywizjonu. Skierowali się na wschód z niewielkim odchyleniem na południe, tak by przemknąć nad przedmieściami Bagdadu, gdyż istniała szansa, że wśród mnóstwa odbić spowodowanych przez budynki i zakłady przemysłowe unikną wykrycia przez amerykańskie radary. Naturalnie ryzyko było ogromne, lecz pułkownik Abd al-Karim Badri nie miał wyboru.

Nie dość, że otrzymał jednoznacznie brzmiące rozkazy, to jeszcze miał własne powody, by jak najprędzej dotrzeć do Iranu.

Tego ranka sprzyjało mu szczęście, gdyż trafił na chwilę słabości nieprzyjaciela, jedną z tych, jakie nigdy nie powinny się zdarzać, a jednak się zdarzają. Otóż od czasu do czasu, kiedy kończący służbę AWACS wracał do bazy, inny zaś zajmował jego miejsce, następowała krótka przerwa w radarowej obserwacji terytorium Iraku. Przelot pięciu MiGów nad południowym Bagdadem odbył się akurat podczas takiej przerwy.

Pułkownik Badri miał nadzieję, że trzymając się pułapu 300 metrów zdoła uniknąć spotkania z amerykańskimi maszynami, które zazwyczaj latały na wysokości 6000 metrów i wyżej. Postanowił ominąć od północy miasteczko Al-Kut, a następnie najkrótszą trasą popędzić ku granicy z Iranem.

Dokładnie o tej samej porze kapitan Don Walker z 336.

Dywizjonu stacjonującego w Al-Chardż leciał na czele formacji składającej się z czterech F-15. Piloci otrzymali zadanie zbombardowania mostu na Tygrysie położonego na północ od Al-Kut, co miało uniemożliwić pancernym odwodom Gwardii Republikańskiej marsz w kierunku Kuwejtu.

336. Dywizjon dokonywał nalotów głównie nocą, ale tym razem nie mogli czekać nawet godziny, gdyż wówczas byłoby za późno. Generał Chuck Horner chciał, żeby most przestał istnieć zaraz. Każdy eagle niósł tysiackilogramową bombę naprowadzaną na cel promieniem lasera oraz pociski raketowe klasy powietrze-powietrze. Bomba, umocowana pod jednym skrzydłem samolotu, była znacznie cięższa od rakiet, zainstalowanych pod drugim; co prawda automatyczne urządzenia korekcji lotu rekompensowały różnicę obciążenia, ale żaden pilot nie wyruszał chętnie do walki z takim, rozmieszczonym asymetrycznie, ładunkiem. Odległość między MiGami, lecącymi teraz zaledwie 150 metrów nad powierzchnią gruntu, a zbliżającymi się z południa F-15 wynosiła 130 kilometrów i szybko się zmniejszała.

Pierwszym sygnałem ostrzegawczym, jaki otrzymał

Abd al-Karim Badri, było ciche świergotanie w słuchawkach. Jego brat także je słyszał, ale nie wiedział, co ono oznacza. Świergotanie pochodziło z wykrywacza radaru, który przechwycił promieniowanie wysyłane przez radary czterech amerykańskich maszyn. Wykrywacze zainstalowane w pozostałych irackich samolotach także nadały ostrzeżenie, ale piloci MiGów mogli tylko jeszcze bardziej zmniejszyć pułap i pędzić prosto przed siebie, po kursie niemal dokładnie prostopadłym do kursu nieprzyjacielskich myśliwców.

Kiedy odległość zmalała do 110 kilometrów, melodyjny świergot ustąpił miejsca dokuczliwemu brzęczeniu. Oznaczało ono, że wrogie radary odebrały fale odbite od irackich maszyn i skoncentrowały na nich swoją wiązkę.

Siedzący za plecami Dona Walkera nawigator natychmiast dostrzegł zmianę we wskazaniach radaru, który przestał omiatać całą przestrzeń przed pędzącym samolotem, zaczął natomiast wysyłać bardziej skupione wiązki promieniowania, by uzyskać dokładniejszy obraz.

- Mamy pięć nie zidentyfikowanych obiektów na godzinie dziesiątej w dole - poinformował pilota, po czym włączył system rozpoznawania swój-wróg. Trzej pozostali nawigatorzy uczynili to samo.

System swój-wróg to proste urządzenie, w jakie są wyposażone wszystkie bojowe maszyny. Nadajnik wysyła na ściśle określonych częstotliwościach sekwencję zakodowanych sygnałów, którą codziennie się zmienia. Samolot, odbierający taką sekwencję, odpowiada również tajnym kodem: "jestem przyjacielem". Wróg nie potrafi tego zrobić. Pięć kropek przesuwających się szybko po ekranie

radaru mogło przecież być alianckimi maszynami wracającymi do bazy po przeprowadzonym ataku. Rachunek prawdopodobieństwa kazał przypuszczać, że tak właśnie jest, gdyż obecnie nad Irakiem latały niemal wyłącznie myśliwce i bombowce sił koalicji. Tim trzykrotnie wysłał przewidzianą na ten dzień sekwencję sygnałów, ale nie otrzymał odpowiedzi.

- Nieprzyjaciel - poinformował pilota.

Don Walker odblokował przyciski zwalniające rakiety, mruknął: "Schodzimy" do pozostałych trzech pilotów, a następnie skierował dziób myśliwca ostro w dół.

Abd al-Karim Badri doskonale wiedział, że nie ma najmniejszych szans. Zdawał sobie z tego sprawę już od chwili, kiedy usłyszał sygnał wykrywacza radarów. Nie potrzebował uciekać się do pomocy systemu swój-wróg, aby domyślić się, że za sterami czterech pędzących mu na spotkanie maszyn z pewnością nie siedzą iraccy piloci. Wiedział też, że jego młodzi koledzy niewiele wskórają w starciu z tak groźnym przeciwnikiem.

On może i mógłby pokusić się o nawiązanie równorzędnej walki, gdyby miał do dyspozycji inny samolot, nie zaś treningową wersję MiGa, skonstruowaną z myślą o szkoleniu pilotów, a nie o lotach bojowych. W przeciwieństwie do jednomiejscowych maszyn, dysponujących radarami informującymi pilota o wszystkim, co dzieje się przed, pod, nad i za jego samolotem, ta maszyna została wyposażona w prymitywne urządzenie przeczesujące jedynie wąski, 60-stopniowy wycinek przestrzeni przed dziobem samolotu. Wiedział, że ktoś go atakuje, ale nie mógł zobaczyć napastnika.

- Co masz na radarze? - warknął do skrzydłowego.

- Czterech nieprzyjaciół na godzinie trzeciej w górze, schodzą szybko do nas - odparł młody pilot drżącym z emocji i lęku głosem. A więc śmiały plan zawiódł. Amerykanie pikowali z wysokości kilku tysięcy metrów, by rozprawić się z nimi jak z rzutkami na strzelnicy.

- Rozproszyc się, włączyć dopalacze i lecieć najkrótszą trasą do Iranu! - krzyknął.

Młodym lotnikom nie trzeba było tego powtarzać. Z ośmiu dysz wylotowych strzeliły długie płomienie, a cztery MiGi przekroczyły barierę dźwięku i z wciąż wzrastającą prędkością rzuciły się do ucieczki. Miały w zbiornikach wystarczająco dużo paliwa, żeby, pomimo działających dopalaczy, dotrzeć do Iranu. Nawet gdyby Amerykanie także zdecydowali się skorzystać z dopalaczy, z pewnością nie udałoby im się ich dogonić.

Abd al-Karim Badri znajdował się w znacznie gorszym położeniu. Przygotowując szkolną wersję znakomitego myśliwca radzieccy inżynierowie, by zrekomensować wzrost masy spowodowany dodaniem drugiego fotela i zdublowanego zestawu urządzeń sterowniczych, znacznie ograniczyli pojemność wewnętrznych zbiorników paliwa.

Co prawda myśliwiec niósł pod skrzydłami dwa dodatkowe zbiorniki, ale to także, było za mało. Pułkownik miał do wyboru cztery rozwiązania i niespełna dwie sekundy, by zdecydować się na któreś z nich.

Mógł włączyć dopalacz, umknąć Amerykanom i wrócić do bazy, gdzie czekało go aresztowanie, przesłuchania w kwaterze głównej Al-Aman al-Amm, męczarnie i śmierć.

Mógł z włączonym dopalaczem lecieć prosto do Iranu. Zaraz po przekroczeniu granicy skończyłoby się paliwo, a nawet gdyby jemu i bratu udało się bezpiecznie katapultować, wylądowałiby na terenach zamieszkałych przez perskich pasterzy, którzy ogromnie ucierpieli podczas niedawnej wojny od bomb zrzuconych na nich przez irackich lotników.

Mógł wreszcie włączyć dopalacz, wymknąć się Amerykanom,

przelecieć nad terytorium Arabii Saudyjskiej, katapultować się tam i oddać do niewoli. Z tego rozwiązania zrezygnował prawie natychmiast, gdyż nawet przez chwilę nie pomyślał, że spotkałby się wówczas z ludzkim traktowaniem.

Niespodziewanie przyszedł mu do głowy fragment wiersza, którego w dzieciństwie nauczył się na pamięć w szkole pana Hartleya. Tennyson? Wordsworth? Nie, Macaulay. Coś o ostatnich chwilach życia człowieka. Pamiętał, że recytował ten wiersz przed całą klasą.

Każdy, kto stąpa po tej ziemi,
Prędzej czy później spotka śmierć na swej drodze.

A czyż można umrzeć pięknie
Niż walcząc z podniesionym czołem
Za ojców prochy

I świątynie bogów swych?

Pułkownik Abd al-Karim Badri włączył dopalacz, poderwał dziób swojego MiGa i popędził w górę, na spotkanie Amerykanom. W chwilę potem dostrzegł na ekranie radaru cztery F-15. Dwa ruszyły w pościg za oddalającymi się jednomiejscowymi MiGami, jeden został nieco z tyłu, natomiast ten, który leciał na przedzie, spadał wprost na niego. Badri poczuł, jak przez kadłub myśliwca przebiega lekkie drżenie, towarzyszące zawsze przekraczaniu bariery dźwięku.

- Chryste, on wali prosto na nas! - wykrztusił Tim Nathanson siedzący za plecami Dona Walkera.

Pilot doskonale widział to na swoim ekranie radaru. Cztery słabnące punkciki oddalały się szybko w kierunku Iranu, jeden zaś, coraz wyraźniejszy, zbliżał się błyskawicznie, by nawiązać walkę. Cyfry na odległościomierzu zmieniały się w oszałamiającym tempie, gdyż dwie maszyny pędziły ku sobie z łączną prędkością ponad 3200 kilometrów na godzinę. Amerykański pilot nie mógł jeszcze dostrzec MiGa gołym okiem, ale już wkrótce miało to nastąpić. Pułkownik Usman Badri był całkowicie oszołomiony. Włączony dopalacz wcisnął go w fotel z ogromną siłą, na kilka sekund pozbawiając przytomności.

- Co się dzieje? - wykrzyknął, kiedy doszedł do siebie. Palec Dona Walkera spoczywał na przycisku urządzenia spustowego.

Amerykanin miał do wyboru dwa rodzaje pocisków: AIM-7 sparrow, którymi sterowało się za pomocą radaru, oraz AIM-9 sidewinder, o mniejszym zasięgu, wyposażone w detektory promieniowania cieplnego.

Kiedy dystans zmalał do 25 kilometrów, ujrzał w oddali niewielką, ale szybko rosnącą, czarną kropkę. Wkrótce dostrzegł podwójne usterzenie pionowe, co świadczyło o tym, że ma przed sobą MiGa 29, jeden z najlepszych myśliwców świata - naturalnie pod warunkiem, że trafił we właściwe ręce. Walker nie mógł wiedzieć, że to nieuzbrojona wersja szkolna UB, miał natomiast prawo podejrzewać, że nieprzyjacielski myśliwiec niesie pod kadłubem radzieckie pociski AA-10, o równie dużym zasięgu jak jego AIM-7. Dlatego właśnie zdecydował się najpierw użyć sparrowów. Z odległości 20 kilometrów wystrzelił dwie rakiety. Pociski natychmiast przechwyciły promienie radaru odbijane od MiGa i ochoczo popędziły w jego kierunku.

Abd al-Karim Badri dostrzegł dwa równoczesne błyski. Oznaczało to, że zostało mu zaledwie kilka sekund życia... chyba że zdoła zmusić Amerykanina do zmiany kursu. Sięgnął ręką w dół i szarpnął dźwignię.

Don Walker często zastanawiał się, jak to jest, kiedy ktoś chce cię zabić, i teraz miał wreszcie okazję się tego dowiedzieć. Pod kadłubem MiGa także coś błysnęło. Poczuł, jak czyjaś niewidzialna

ręka skręca mu wnętrzości w ciasny węzeł. Spoglądał na własną śmierć, która pod postacią dwóch pocisków pędziła im na spotkanie. Dwie sekundy po tym, jak wystrzelił AIM-7, zaczął żałować, że nie wybrał sidewinderów. Powód był prosty: sidewindery samodzielnie wyszukiwały drogę do celu i mogły go trafić niezależnie od miejsca, w jakim znajdował się eagle, sparrowami natomiast należało kierować za pomocą radaru. Pozbawione tej pomocy natychmiast "głupiały" i zaczynały wyczyniać przedziwne łamańce, by w końcu spaść na ziemię, nie czyniąc nikomu krzywdy. Już miał zamiar wykonać gwałtowny skręt, kiedy dostrzegł, że "pociski" wystrzelone przez MiGa koziołkują w powietrzu i opadają ku ziemi, i uświadomił sobie ze zdumieniem, że nie były to wcale rakiety, tylko dodatkowe zbiorniki paliwa. Iracki pilot uciekł się do podstępu, a on, Don Walker z Tulsy w stanie Oklahoma, prawie dał się nabrać jak dziecko.

Siedzący za sterami MiGa Abd al-Karim Badri zrozumiał, że Amerykanin nie skręci. Wystawił na próbę nerwy tamtego człowieka i przegrał. Niewiele myśląc podniósł jeszcze bardziej dziób maszyny i na pełnej szybkości pomknął w górę.

– Dokąd lecimy? – wykrzyknął przerażony Usman. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, był spokojny głos Abd al-Karima: – Spokojnie, bracie. Zaraz spotkamy się z naszym ojcem. Allah jest wielki.

Rakiety uderzyły w cel. Walker zobaczył, jak w odległości pięciu kilometrów od niego na niebie rozkwita płomienista kula, a w chwilę potem szczątki irackiego myśliwca runęły ku ziemi. Dopiero teraz młody Amerykanin poczuł, że po plecach i piersi spływają mu strużki potu.

Spojrzał w bok, na swojego skrzydłowego Randy'ego Roberta, który podniósł dłoń z wystawionym w górę kciukiem. Walker odpowiedział takim samym gestem. Zaraz potem dołączyły do nich dwa pozostałe myśliwce, gdyż pogoń za pozostałymi MiGami nie przyniosła żadnych rezultatów, i niewielka formacja kontynuowała lot w kierunku mostu na północ od Al-Kut.

Od chwili nawiązania kontaktu radarowego do zniszczenia maszyny pułkownika Abd al-Karima Badriego minęło zaledwie 38 sekund.

"Fotograf i "księgowy" zjawili się w Banku Winklera punktualnie o dziesiątej rano. Młodszy mężczyzna niósł teczkę zawierającą 100000 dolarów w gotówce. Pieniądze te pożyczono od pewnego sayana zajmującego się bankowością, który znacznie się uspokoił dowiedziawszy się, że cała suma zostanie na kilka dni zdeponowana w Banku Winklera, a potem podjęta i zwrócona mu w bardzo krótkim czasie.

Na widok pieniędzy Herr Gemutlich rozpromienił się. Jednak jego entuzjazm z pewnością by nieco osłabł, gdyby bankier przyjrzał się uważniej teczce i zauważył, że ma ona podwójne dno, a z pewnością zamieniłyby się w przerażenie, gdyby wiceprezes Banku Winklera ujrział zawartość ukrytej przegródki.

Księgowy przeszedł na chwilę do pokoju panny Hardenberg, aby prawnik i bankier mogli spokojnie uzgodnić szczegóły procedury umożliwiającej korzystanie z konta, a następnie został poproszony z powrotem, w celu przyjęcia pokwitowania potwierdzającego przekazanie pieniędzy. O jedenastej operacja dobiegła końca; Herr Gemutlich wezwał portiera, który miał odprowadzić gości do drzwi.

Po drodze księgowy szepnął coś na ucho prawnikowi, ten zaś przetłumaczył to portierowi. Mężczyzna w uniformie skinął głową, zatrzymał windę i cała trójka wyszła na pierwsze piętro. W tej samej chwili do ich uszu dotarły jakieś hałasy z parteru. Były doskonale

słyszalne, gdyż od głównego holu dzieliło ich zaledwie sześć metrów korytarza i kilkanaście marmurowych stopni.

Portier mruknął coś przepraszająco, podszedł do szczytu schodów i spojrział w dół. Widok, który ukazał się jego oczom, kazał mu zapomnieć o gościach; pośpiesznie zbiegł po stopniach, by przerwać gorszącą scenę.

Trzech podpitych osobników nie wiadomo w jaki sposób wtargnęło do holu i teraz molestowali recepcjonistkę, domagając się od niej pieniędzy na dalszą zabawę. Roztrzęsiona kobieta powiedziała później, że posłużyli się podstępem, gdyż jeden z nich przedstawił się jako doręczyciel.

Oburzony portier natychmiast przystąpił do akcji i w krótkim czasie zdołał wyrzucić awanturników na ulicę. W ogólnym zamieszaniu nikt nie zauważył, że jeden z nich zdołał ukradkiem wepchnąć puste pudełko po papierosach w otwór rygla zamkowego nieruchomego skrzydła drzwi, uniemożliwiając w ten sposób ich zatrzaśnięcie. Nikt też nie zwrócił uwagi na czwartego mężczyznę, który przemknął skulony przed biurkiem recepcjonistki, a następnie wyprostował się i jakby nigdy nic stanął przy schodach, gdzie natychmiast dołączył do niego prawnik z Nowego Jorku.

Obaj mężczyźni zaczęli spokojnie, aż portier wyrzuci awanturników tam, gdzie było ich miejsce, to znaczy na ulicę. Kiedy wrócił, otrzępując z odrazą ręce, przekonał się, iż dwaj dystyngowani goście zeszli już sami po schodach. Przepraszając stokrotnie za niesmaczną scenę, wypuścił ich na zewnątrz.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi banku, księgowy odetchnął z ulgą.

- Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał robić tego jeszcze raz - powiedział.

- Nie przejmuj się, spisałeś się znakomicie - odparł prawnik. Mężczyźni rozmawiali po hebrajsku, gdyż "księgowy" nie znał żadnego innego języka. W rzeczywistości pracował jako skromny kasjer w Beerszewie, w Wiedniu zaś znalazł się wyłącznie dlatego - po raz pierwszy i zarazem ostatni w życiu biorąc udział w tajnej operacji wywiadu - że zrzędzeniem losu był także bliźniakiem Włamywacza, który cicho niczym duch wślizgnął się już do szafy gospodarczej w toalecie na półpiętrze. Miał tam pozostać przez dwanaście godzin.

Mikę Martin dotarł do Ar-Rutby późnym popołudniem. Potrzebował aż dwudziestu godzin na pokonanie drogi, którą samochodem przejechałby w ciągu zaledwie sześciu.

Na obrzeżu miasta spotkał pasterza prowadzącego stado kóz. Kiedy się rozstali, Martin był właścicielem czterech zwierząt, które nabył za resztę pieniędzy, jaka mu została, pasterz zaś po raz kolejny z niedowierzaniem przeliczał wymięte banknoty. Za te cztery kozy dostał prawie dwukrotnie więcej, niż zapłacono by mu na targu.

Kozy zdawały się nie mieć nic przeciwko wycieczce na pustynię, mimo iż teraz swobodę poruszania ograniczał im długi powrót. Nie mogły wiedzieć, że stanowią jedynie kamuflaż, który powinien uzasadnić obecność Martina na pozbawionym dróg pustkowiu.

Największy problem polegał na tym, że nie miał ze sobą kompasu - wraz z resztą ekwipunku pozostał w kryjówce pod podłogą chatki w Mansurze. Posługując się tandetnym zegarkiem i słońcem, oraz ustaliwszy najlepiej jak mógł swoje położenie wobec wznoszącego się nad miastem masztu radiowego, wytyczył przybliżoną drogę do koryta wyschniętego potoku, w którym ukrył motocykl.

Ze względu na kozy ośmiokilometrowa wędrówka zajęła mu sporo czasu, lecz zwierzęta spełniły swoją rolę, gdyż dwa razy

Martin dostrzegł przypatrujących mu się przez lornetkę żołnierzy, ale nikt go nie zatrzymywał.

Tuż przed zachodem słońca wreszcie dotarł na miejsce. Uwolnił kozy, które nie zwlekając ruszyły w dalszą wędrówkę, zaczekał, aż zapadnie ciemność, po czym zaczął kopać. Wkrótce wydobył na powierzchnię zawiniętą w foliowe worki terenową yamahę, z silnikiem o pojemności 125 centymetrów sześciennych i dodatkowymi zbiornikami paliwa, oraz kompas, pistolet i amunicję.

Przez wiele lat żołnierze SAS posługiwali się trzynastostrzałowymi browningami, jednak ostatnio przeczucili się na dziewięciomilimetrowe szwajcarskie sauery. Taki właśnie pistolet Martin wsadził za pasek od spodni. Od tej chwili skończyło się udawanie; iraccy wieśniacy nie jeżdżą nocą po pustyni na japońskich motocyklach, tym bardziej z bronią za pasem. Jeżeli ktoś go zauważy, będzie musiał strzelać i uciekać.

Na motocyklu pokonywał zdradliwy teren znacznie szybciej niż land-roverem. O północy dolał paliwa, zjadł część wojskowych racji żywnościowych, które także czekały na niego w kryjówce, napił się wody i ruszył prosto na południe, ku granicy z Arabią Saudyjską.

Nie miał pojęcia, kiedy ją przekroczył. Wszędzie dokoła roztaczał się lekko pofałdowany teren pokryty piaskiem, kamieniami, skałami i żwirem. Nie wiedział nawet, jaką odległość pokonał, gdyż motocykl nie miał licznika kilometrów, Martin zaś musiał sporo kluczyć, wyszukując najpewniejszą drogę wśród licznych wąwozów i skalnych szczelin. Zdawał sobie sprawę, iż jadąc na południe prędzej lub później dotrze do drogi, która biegnie wzdłuż niemal całej granicy Arabii Saudyjskiej z Irakiem, i wtedy będzie miał pewność, że dotarł do swoich.

Teren stał się łatwiejszy, więc Martin zwiększył prędkość do około 30 kilometrów na godzinę. Nagle zobaczył półciągarówkę; gdyby nie czuł się tak bardzo zmęczony, z pewnością zareagowałby znacznie szybciej; niestety, zanim zdążył cokolwiek zrobić, przednie koło motocykla wplątało się w przeciągnięty na wysokości czterdziestu centymetrów drut, maszyna przekoziółkowała, on zaś runął na ziemię, przetoczył się kilka razy, po czym znieruchomiał na plecach. Kiedy otworzył oczy, zobaczył stojącą w pewnej odległości postać trzymającą w dłoniach coś, co błyszczało metalicznie w świetle gwiazd.

- Bouge pas, mec.

To nie było po arabsku. Zmęczony umysł pracował na zwolnionych obrotach. Haileybury... Tak, i ten nieszczęsny nauczyciel bezskutecznie usiłujący wbić mu do głowy arkana języka Corneille'a, Racine'a i Moliere'a.

- Ne tirez pas - powiedział, starannie i powoli wymawiając każde słowo. - Je suis Anglais.

W Legii Cudzoziemskiej służy jedynie trzech brytyjskich sierżantów, jeden z nich zaś nazywa się McCullin.

- Doprawdy? - odparł po angielsku sierżant McCullin. - Cóż, w takim razie bądź tak miły i włącz do samochodu. Aha, może wezmę ten pistolet, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Patrol legionistów miał poszukiwać ewentualnych dezertersów z irackiej armii. Przy pomocy sierżanta McCullina, który pełnił rolę tłumacza, Martin wyjaśnił francuskiemu porucznikowi, kim jest i skąd się wziął w tej okolicy. Francuz łatwo mu uwierzył, gdyż jedną ze specjalności Legii Cudzoziemskiej są także operacje przeprowadzane na głębokim zapleczu nieprzyjaciela. Na szczęście okazało się, że oddział ma bezpośrednią łączność radiową z dowództwem.

Włamywacz przez cały wtorek cierpliwie tkwił w szafie ze Szcotkami. Do jego uszu docierały różne odgłosy: otwieranie

i zamykanie drzwi, kroki mężczyzn, którzy przyszli skorzystać z toalety, szum wody, klekotanie windy. Siedział na teczce, oparty plecami o ścianę, i od czasu do czasu zerkał na fosforyzującą tarczę zegarka.

Od wpół do szóstej pracownicy zaczęli wychodzić z banku.

O szóstej zjawiał się nocny strażnik i przejmował obowiązki od portiera, odnotowującego na liście wszystkie osoby opuszczające budynek. Po wyjściu portiera nocny strażnik zamykał drzwi, włączał system alarmowy, po czym zasiadał w holu na parterze przed ekranem małego telewizora, który codziennie przynosił ze sobą do pracy, i oglądał program aż do chwili, kiedy nadchodziła pora pierwszego obchodu.

Według zespołu obserwacyjnego nawet sprzątaczkę nie były ani na chwilę zostawiane bez dozoru. Pracowały w poniedziałki, środy i piątki, a więc we wtorkowy wieczór szafa gospodarcza stanowiła najbezpieczniejsze schronienie w całym gmachu. W soboty kobiety sprzątały prywatne gabinety wyższych urzędników, co odbywało się zawsze pod czujnym okiem portiera.

Strażnik także postępował według nie zmieniającego się schematu. Trzykrotnie obchodził budynek: o dziesiątej wieczorem, drugiej w nocy i piątej rano. Od objęcia dyżuru do pierwszego obchodu oglądał telewizję, a podczas najdłuższej przerwy, między dziesiątą a drugą, drzemał za biurkiem, nastawiwszy uprzednio mały budzik, aby wiedzieć, kiedy nadejdzie pora, by wyruszyć na kolejny spacer po banku. Włamywacz miał zamiar wykonać zadanie właśnie w tym czasie.

Wcześniej widział już zarówno gabinet Gemutlicha, jak i prowadzące do niego drzwi; choć bardzo solidne, na szczęście nie były wyposażone w instalację alarmową. Instalacja alarmowa została natomiast doprowadzona do okna, na podłodze zaś, pod dywanem, znajdowały się dwa czujniki naciskowe.

Punktualnie o dziesiątej agent Mosadu usłyszał klekot windy; strażnik wyruszył na pierwszy obchód. Zaczynał zawsze od ostatniego piętra, przemierzając na piechotę kolejne kondygnacje aż do parteru.

Pół godziny później starszy mężczyzna w uniformie otworzył drzwi męskiej toalety, wsadził do środka głowę, omiótł pomieszczenie snopem światła z latarki, po czym zamknął drzwi i wrócił za biurko w głównym holu. Jednak, zamiast zapaść w drzemkę, włączył telewizor, by obejrzeć nocny program.

O 10.45 Włamywacz wymknął się z toalety i w całkowitej ciemności wspinał się po schodach na trzecie piętro. Sforsowanie zamków w drzwiach gabinetu Gemutlicha zajęło mu piętnaście minut. Wreszcie ostatnia zapadka ustąpiła i drzwi stanęły otworem. Chociaż mężczyzna miał na głowie elastyczną opaskę z przymocowaną ołówkową latarką, wyjął z teczki drugą, znacznie większą, i oświetlił nią podłogę, aby nie stąpać na ukryte pod dywanem czujniki. Dotarłszy do biurka wyłączył ją, by pracować dalej jedynie przy blasku mniejszej, tej na czole.

Ponadstuletnie, mosiężne zamki w trzech górnych szufladach nie sprawiły mu najmniejszego problemu. Wyjawszy wszystkie szuflady wsunął rękę do pustej przestrzeni i zaczął szukać przycisku, gałki albo zasuwki. Bez powodzenia. Dopiero godzinę później w głębi, po prawej stronie, natrafił na maleńką, najwyżej dwucentymetrową dźwigienkę. Pchnął ją, a* wówczas rozległo się ciche pstryknięcie i nie wyróżniający się niczym szczególnym fragment inkrustacji wysunął się nagle do przodu.

Skrytka w kształcie tacy miała zaledwie półtora centymetra głębokości, ale okazało się to w zupełności wystarczające, by pomieścić dwadzieścia dwie kartki cienkiego papieru. Każda z nich była kopią umowy określającej zasady korzystania z kont depozy-

towych, którymi zarządzał Wolfgang Gemutlich.

Włamywacz wyjął z teczki aparat fotograficzny oraz aluminiowy statyw o teleskopowych nogach, pozwalający wykonywać zdjęcia ze ściśle określonej odległości, tak by uzyskać najlepszą ostrość.

Pierwsza kartka zawierała szczegóły ustaleń poczynionych minionego dnia przez rzekomego prawnika z Ameryki. Ta, której szukał, była siódma od dołu. Poznał ją po numerze konta, na jakie Izrael przez dwa lata dokonywał wpłat, zanim Jerycho został przekazany Amerykanom.

Na wszelki wypadek agent sfotografował każdą z umów, po czym umieścił papiery w skrytce, zamknął ją, powkładał szuflady na miejsce i wyszedł z gabinetu, starannie zamykając drzwi na wszystkie zamki. Dziesięć po pierwszej znalazł się ponownie w szafie w męskiej toalecie.

Kiedy w banku zaczął się poranny ruch, Włamywacz odczekał pół godziny, aż wszyscy urzędnicy przyjdą do pracy. Pierwszy gość zjawił się za dziesięć dziesiąta. Gdy tylko winda pojechała na górę, agent Mosadu wymknął się z toalety, przekradł się do końca korytarza i ostrożnie zajrzał do głównego holu. Miejsce portiera było puste; pojechał z klientem na górę.

Włamywacz wyjął z kieszeni sygnalizator i dwa razy nacisnął guzik. Kilka sekund później rozległ się dzwonek do drzwi.

- /a? - zapytała recepcjonistka przez domofon.

- Lieferung - odparł zniekształcony głos.

Kobieta wcisnęła guzik, drzwi odtworzyły się i do holu wkroczył szeroko uśmiechnięty człowiek z wielkim obrazem zawiniętym w szary papier i kilkakrotnie obwiązany sznurkiem.

- Gotowe, szanowna pani - oznajmił. - Wyczyszczony na sto dwa, można wieszać.

Drzwi zamknęły się za nim, ale nie zatrzasnęły, gdyż w otworze zatrasku tkwiła zwinięta paczka po papierosach.

Posłaniec oparł obraz na krawędzi biurka. Pakunek był tak wielki - miał co najmniej półtora metra długości i metr dwadzieścia wysokości - że całkowicie zasłonił recepcjonistkę.

- A ja o niczym nie wiem... - zaprotestowała kobieta.

Posłaniec wystawił głowę zza obrazu.

- Proszę tylko potwierdzić odbiór - powiedział, podsuwając jej formularz przypięty do plastikowej podkładki. Recepcjonistka przeczytała tekst, a w tym samym czasie Włamywacz zbiegł po schodach i wymknął się na ulicę.

- Ale tu jest napisane, że obraz ma być dostarczony do Galerii Harzmanna!

- Zgadza się. Ballgasse czternaście.

- Tutaj jest Ballgasse osiem, Bank Winklera. Galeria mieści się trochę dalej.

Speszony dostawca przeprosił za pomyłkę, zabrał pakunek i wyszedł. Chwilę potem w holu zjawił się portier. Recepcjonistka opowiedziała mu przebieg zdarzenia, a on wzruszył ramionami, zajął miejsce za biurkiem i ponownie pogrążył się w lekturze porannej gazety.

Kiedy o świcie w bazie lotniczej na przedmieściach stolicy Arabii Saudyjskiej wylądował śmigłowiec blackhawk z Mikiem Martinem na pokładzie, oczekiwał na niego niewielki, ale bardzo zniecierpliwiony komitet powitalny. Oprócz Chipa Barbera i Steve'a Lainga, których widoku Martin mógł się spodziewać, w jego skład wchodził także pułkownik Bruce Craig. Dowódca Mike'a przyleciał prosto z Hereford, gdzie pozostał już tylko jeden batalion SAS. Spośród pozostałych trzech, dwa brały udział w operacjach na zachodnich pustkowiach Iraku, jeden zaś, podzielony na mniejsze oddziały, uczestniczył w różnych misjach na całym świecie.

- Masz to, Mikę? - zapytał Laing.
- Tak. Odebrałem od Jerycha wiadomość, ale już nie mogłem nadać jej przez radio.
Wyjaśnił pokrótce, dlaczego, po czym wręczył Laingowi wymięta kartkę z raportem Jerycha.
- Człowieku, nawet nie wiesz, co myśmy tu przeżywali przez ostatnie czterdzieści osiem godzin - powiedział Barber. - Wykonał pan kawał dobrej roboty, majorze.
- Chwileczkę, panowie - odezwał się pułkownik Craig. - Skoro mój oficer nie jest już wam potrzebny, to czy mogę go zabrać? Laing studiował treść informacji, mozoląc się z odczytywaniem ręcznego arabskiego pisma.
- Słucham? No, chyba tak. Z naszymi najserdeczniejszymi podziękowaniami, ma się rozumieć.
- A co pan chce z nim zrobić, pułkowniku? - zapytał Chip Barber.
- No, ulokuję go w jednym z naszych namiotów po drugiej stronie lotniska, każe nakarmić...
- Mam lepszy pomysł - odparł Amerykanin. - Majorze, co by pan powiedział na wielki, soczysty befsztyk z frytkami, godzinna kąpiel w marmurowej wannie i ogromne, miękkie łóżko?
- A gdzie to wszystko dają? - roześmiał się Martin.
- W hotelu Hyatt, niedaleko stąd. Dwudziestoczworgodzinny pobyt na koszt Agencji. Wyraża pan zgodę, pułkowniku?
- Jasne. W takim razie, do zobaczenia jutro mniej więcej o tej porze, Mikę.
Podczas krótkiej podróży do hotelu stojącego dokładnie naprzeciwko Kwatery Głównej lotnictwa sprzymierzonych Martin przetłumaczył Laingowi i Barberowi wiadomość od Jerycha; Oficer SIS pilnie notował każde jego słowo.
- Wspaniale - mruknął Barber. - Chłopcy poleca tam i zamienią to w kupę złomu.
Po to, żeby brudnemu i cuchnącemu irackiemu chłopu dano pokój w hotelu Hyatt, potrzebna była osobista interwencja Chipa Barbera. Zaraz potem oficer CIA przeszedł na drugą stronę ulicy, do budynku Ministerstwa Lotnictwa.
Martin istotnie najpierw wylegiwał się całą godzinę w wannie wypełnionej gorącą wodą z płynem do kąpieli, potem ogolił się, a kiedy wyszedł z łazienki, na stoliku czekał już obiecany befsztyk z frytkami. Był dopiero w połowie posiłku, kiedy zmorzył go sen. Ledwo zdołał dotrzeć do wielkiego, miękkiego łóżka i paść na nie, a już w pokoju rozległo się jego donośne chrapanie.
W czasie, kiedy spał, wydarzyło się mnóstwo rzeczy. Przede wszystkim, do pokoju dostarczono świeżą bieliznę, spodnie, pantofle i koszulę.
W Wiedniu Gideon Barzilai wysłał do Tel-Awihu informacje o sposobie uruchomienia konta Jerycha.
Kiedy Edith Hardenberg wróciła z pracy, Karim zabrał ją do kawiarni, gdzie wyjaśnił, że musi wrócić na tydzień do Jordanii, by zobaczyć się z chorą matką. Edith bardzo mu współczuła, i poprosiła, żeby wracał najszybciej, jak tylko będzie mógł.
Do bazy At-Ta'if, gdzie szpiegowski samolot TR-1 przygotowywał się do kolejnego lotu nad kompleks przemysłowy Asz-Szarkat, dotarły z Czarnej Dziury kolejne rozkazy. Pilot otrzymał nowe mapy oraz współrzędne łańcucha wzgórz w północnej części Dżabal al-Hamrin. Co prawda dowódca jednostki protestował przeciwko takim zmianom, dokonywanym w ostatniej chwili, ale uspokoił się, kiedy powiedziano mu, że jest to osobiste polecenie generała Chucka Hornera.
TR-1 wystartował kilka minut po drugiej, o czwartej zaś na ekranie monitora w jednym z pomieszczeń Czarnej Dziury zaczęły

pojawiać się rejestrowane przez niego obrazy. Co prawda tego dnia nad wzgórzami panowała paskudna pogoda, lecz dzięki najnowocześniejszym urządzeniom zainstalowanym na pokładzie maszyny, działającym nie tylko w zakresie promieniowania widzialnego, ale wykorzystującym także radar oraz czujniki podczerwieni, jakość zdjęć była bez zarzutu. Ich analizą zajmowali się pułkownik Beatty z USAF oraz Joe Peck z RAF-u, dwaj najlepsi specjaliści w całej Czarnej Dziurze.

Konferencja rozpoczęła się o szóstej. Uczestniczyło w niej tylko ośmiu mężczyzn. W głębokim fotelu zasiadł zastępca generała Hornera, równie stanowczy, choć bardziej dobronny generał Buster Glosson. Dwaj oficerowie wywiadu, Steve Laing i Chip Barber, brali udział w zebraniu, ponieważ to oni dostarczyli informację o celu i znali kulisy jej zdobycia. Zadanie dwóch analityków, Beatty'ego i Pecka, polegało na interpretacji zdjęć, natomiast trzej oficerowie sztabowi – dwaj Amerykanie i Brytyjczyk – mieli przekazać dokąd należy podejmowane decyzje, i dopilnować, aby zostały zrealizowane.

Pułkownik Beatty rozpoczął od stwierdzenia, które miało stać się motywem przewodnim spotkania.

– Napotkaliśmy .na pewien problem – oświadczył.

– Proszę się nim z nami podzielić – zachęcił go Glosson.

– Panie generale, współrzędne, które otrzymaliśmy, nie są współrzędnymi SATNAV-u, wskazującymi miejsce z dokładnością do kilku metrów. W tym przypadku mamy do czynienia z obszarem o powierzchni około kilometra kwadratowego, a dla pewności powiększyliśmy go do dwóch kilometrów kwadratowych.

– I co?

– I oto, co uzyskaliśmy.

Pułkownik Beatty wskazał ścianę, na której wisiało ogromne zdjęcie lotnicze o wymiarach dwa na dwa metry. Przez chwilę wszyscy wpatrywali się w nie w milczeniu.

– Nic tam nie widzę – stwierdził wreszcie generał. – Tylko góry i góry.

– Właśnie na tym polega nasz problem, panie generale. Tam po prostu nic nie ma.

Spojrzenia ludzi w mundurach natychmiast skierowały się ku dwóm funkcjonariuszom wywiadu. Bądź co bądź, to oni upiekli ten pasztet.

– A co tam miało właściwie być? – zapytał uprzejmie Buster Glosson.

– Działo – odparł Laing.

– Działo?

– Tak zwane działo Babilon.

– Wydawało mi się, że przechwyciliście wszystkie, jeszcze w fazie produkcji?

– Nam też się tak wydawało. Mam jednak wrażenie, że jednemu udało się przemknąć.

– Jeśli sobie przypominam, już przerabialiśmy ten temat. Bomba może być przeniesiona przez raketę albo zrzucona z samolotu. Żadne działo nie zdoła wystrzelić tak ogromnego pocisku.

– Akurat to zdoła, panie generale. Skonsultowałem się ze specjalistami w Londynie. Lufa długości 180 metrów, kaliber tysiąc milimetrów, ładunek bojowy ponad pół tony. Zasięg około tysiąca kilometrów, zależnie od rodzaju materiału miotającego.

– A odległość stamtąd do Trójkąta?

– Siedemset pięćdziesiąt kilometrów. Generale, czy pańskie myśliwce mogą strącić pocisk armatni?

- Nie.

- A rakiety patriot?

- Ewentualnie, jeżeli znalazłyby się o właściwym czasie we właściwym miejscu, ale raczej nie.

- Problem polega na tym, że tego działa tam nie ma - przypomniał pułkownik Beatty.

- Może zostało schowane pod ziemią, tak jak fabryka w Al-Kubaj? - zasugerował Barber.

- Tam Irakijczycy urządzili na wierzchu złomowisko, a tutaj nie ma po prostu nic - zwrócił mu uwagę Peck. - Żadnej drogi, linii energetycznej, budek strażniczych... Tylko pasmo dzikich wzgórz poprzecinane dolinami.

- A jeżeli posłużyli się takim samym podstępem jak w Tarmijji, to znaczy ogrodzili tak wielki teren, że nie mieści się na żadnym zdjęciu?

- Sprawdziliśmy już to - odparł Beatty. - Analizowaliśmy fotografie obejmujące obszar w promieniu 75 kilometrów, ale niczego nie znaleźliśmy.

- Może więc celowo zastosowali taki manewr, aby nas zmylić? - podsunął pomysł Barber.

- Niemożliwe. Irakijczycy zawsze chronią swoje cenne obiekty, nawet przed okolicznymi mieszkańcami. Tymczasem... Proszę tylko popatrzeć. - Beatty podszedł do zdjęcia i wskazał skupisko zabudowań. - Wioska, niemal dokładnie pośrodku wskazanego obszaru. Dym z kominów, stada kóz pasące się w dolinie... W pobliżu są jeszcze dwie podobnej wielkości.

- Mogli wydrążyć całą górę - nie dawał za wygraną Laing. - Tak jak wy zrobiliście z Górą Cheyenne.

- Owszem, tylko że my zbudowaliśmy całą serię pomieszczeń i tuneli oddzielonych od siebie potężnymi ścianami, a w tym przypadku chodzi o 180-metrową lufę. Gdyby chciał pan schować coś takiego we wnętrzu góry, cały interes zwałiby się panu na głowę. Zamek, oporopowrotnik, kwatery dla obsługi, magazyn amunicji - wszystko to można schować pod ziemią, ale przynajmniej część lufy musiałaby wystawać nad powierzchnię. Tutaj nic nie wystaje.

Zebrani przez dłuższą chwilę przyglądali się w milczeniu fotografii. Widać na niej było trzy wzgórza oraz fragment czwartego. Nigdzie nie dało się dostrzec ani śladu drogi lub potężnych wrót, strzegących dostępu do podziemnych pomieszczeń.

- Jeżeli to jednak gdzieś tam jest, to może po prostu zbombardować cały teren? - zaproponował Peck. - * Każda wydrążona góra musiałaby się wtedy zawalić, grzebiąc wszystko, co ukryto w jej wnętrzu.

- Dobry pomysł - powiedział Beatty. - Generale, B-52 z pewnością dałyby sobie z tym radę.

- Czy wolno mi podzielić się z panami pewną myślą? - zapytał Chip Barber.

- Naturalnie - odparł generał.

- Gdybym był Saddamem Husajnem i gdybym cierpiał na tak zaawansowaną paranoję, a jednocześnie wiedział, że mam tylko jeden egzemplarz broni, która może odmienić losy wojny, powierzyłbym nad nią pieczę zaufanemu człowiekowi i wydał mu rozkaz, żeby jej użył, gdy tylko Forteca zostanie zaatakowana. Krótko mówiąc, jeżeli pierwsze bomby nie trafiają w cel - a raczej nie ma co liczyć na tak szczęśliwy zbieg okoliczności, bo teren jest bardzo rozległy - pozostałe mogą spaść ułamek sekundy za późno. Generał Glosson pochylił się do przodu w fotelu.

- Do czego konkretnie pan zmierza?

- Panie generale, jeżeli Pięść Boga rzeczywiście została ukryta pod tymi wzgórzami, to dokonanie tego wymagało przeprowadzenia

niesłychanie precyzyjnej operacji. Stuprocentową pewnością, że udało nam się zniszczyć głowicę, uzyskamy jedynie wówczas, jeśli zdobędziemy się na taką samą precyzję. Oznacza to wysłanie jednego samolotu, który zjawi się niespodziewanie nad celem i zniszczy go pierwszą bombą.

– Doprawdy nie wiem, ile razy jeszcze będę musiał to powtarzać, ale problem polega na tym, że nie znamy dokładnego umiejscowienia celu! – powiedział zniecierpliwionym tonem pułkownik Beatty.

Steve Laing nie zwrócił uwagi na jego słowa.

– Wydaje mi się, że wprowadzenie w życie planu zaproponowanego przez mojego kolegę wymaga wcześniejszego oznaczenia celu...

– Wtedy konieczny jest udział dwóch maszyn! – zaprotestował Peck. – Na przykład zespołu korsarz – tornado. Poza tym, pilot kierujący promieniem lasera musi widzieć to, w co ma mierzyć.

– Ze scudami jakoś się udawało – nie ustępował Laing.

– Owszem, bo ludzie z SAS podawali nam przez radio namiary, a my przylatywaliśmy i rozwalaliśmy wyrzutnie na kawałki, ale oni byli na miejscu, najwyżej kilometr od celu, i obserwowali cel przez lornetki.

– Otóż to.

W pokoju ponownie zapadła cisza. Przerwał ją generał Glosson.

– Proponuje pan, żebyśmy wysłali tam ludzi, którzy wskażą nam cel z dokładnością do kilku metrów?

Dyskusja trwała jeszcze dwie godziny, ale w miarę upływu czasu stawała się coraz bardziej jasne, że jedynym możliwym do zaakceptowania planem działania jest ten przedstawiony przez Lainga. Najpierw odszukać Pięść Boga, potem wskazać ją samolotom i zniszczyć za pierwszym podejściem, zanim Irakijczycy zorientują się, o co chodzi.

O północy porucznik RAF-u zastukał do drzwi apartamentu w hotelu Hyatt. Mimo kilkakrotnych prób nie uzyskał żadnej odpowiedzi, więc nocny recepcjonista otworzył drzwi zapasowym kluczem i wpuścił go do środka. Porucznik wszedł do sypialni, pochylił się nad leżącym na łóżku mężczyzną i potrząsnął go za ramię.

– Proszę wstawać, panie majorze. Czekają na pana po drugiej stronie ulicy.

Rozdział dwudziesty drugi

– Jest – powiedział Mikę Martin dwie godziny później.

– Gdzie? – zdumiał się pułkownik Beatty.

– Gdzieś tutaj. – Martin pochylał się nad stołem, na którym leżało lotnicze zdjęcie obejmujące znacznie większy fragment pasma Dżabal al-Hamrin, o wymiarach mniej więcej osiem na osiem kilometrów. – Te trzy wioski. – Wskazał palcem. – Ta... ta i ta.

– Co z nimi?

– To atrapy. Są wspaniale podrobione i wyglądają dokładnie tak, jak powinny wyglądać górskie wioski, ale mieszkają w nich wyłącznie żołnierze.

Pułkownik Beatty przyjrzał się z niedowierzaniem trzem osadom. Jedna z nich znajdowała się w dolinie, w bezpośrednim sąsiedztwie trzech wzgórz wyznaczających środek zdjęcia, dwie pozostałe przycupnęły na zboczach wzniesień w nieco większej odległości. Żadna nie była wystarczająco duża, by dorobić się własnego meczetu. W każdej stała wielka szopa, w której gromadzono przed zimą zapasy paszy dla zwierząt, kilka mniejszych, stanowiących schronienie dla kóz i owiec, oraz kilkanaście ubogich, rozpadających się chatynek z kamienia i gliny, takich samych, jakich mnóstwo

można zobaczyć w górzystych rejonach Bliskiego Wschodu. Latem w pobliżu wioski zieleń się zapewne niewielkie poletka, ale zimą okolica była zupełnie pusta. O tej porze roku w górach Iraku panują niskie temperatury, niebo jest zazwyczaj zasnuwane chmurami i często pada dokuczliwy, lodowaty deszcz. Dość powszechny pogląd, że cały Bliski Wschód to gorąca kraina, nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością.

- W porządku, majorze: pan zna Irak, ja nie. Dlaczego uważa pan, że to atrapy?

- Proszę zwrócić uwagę, że okolica jest niemal zupełnie jałowa. Skąd nagle tyle osad, tyle ludzi i zwierząt? Wszyscy pomarliiby z głodu.

- Niech mnie szlag trafi! - zaklął z uczuciem Beatty. - Przecież to takie oczywiste!

- Ale najważniejsze, że teraz wiemy już na pewno, iż tym razem Jerycho nie myli się ani nie próbuje nas okłamać. Musieli mieć coś ważnego do ukrycia, skoro zadali sobie tyle trudu.

Kilkanaście minut wcześniej do zebranych dołączył pułkownik Craig, dowódca 22. Regimentu SAS. Zamienił szeptem kilka słów z Laingiem, po czym zwrócił się do Martina:

- A więc jakie jest twoje zdanie, Mikę?

- Że to tam jest. Przypuszczam, że z odległości około kilometra i przez dobrą lornetkę dałoby się wszystko wypatrzeć.

- "Góra" chce posłać cały oddział. Ty w ogóle przestań o tym myśleć.

- Przecież tam na pewno aż roi się od pieszych patroli, pułkowniku.

- I co z tego? Patrole można ominąć.

- A jeśli się nie uda? Nikt z naszych nie mówi po arabsku równie dobrze jak ja, i pan doskonale o tym wie. Poza tym, śmigłowce raczej nie wchodzą w grę, więc trzeba będzie skakać z dużej wysokości.

- Wydawało mi się, że powinieneś mieć już dosyć walki.

- Bzdura. Nie walczyłem, tylko bawiłem się w chowanego.

Proszę mnie do tego wyznaczyć, pułkowniku. Inni brali udział w akcjach na pustyni, a ja w tym czasie podlewałem kwiatki w ogrodzie.

Pułkownik Craig ze zdziwieniem uniósł brwi. Nie pytał Lainga, jakie właściwie zadanie wykonywał Martin - doskonale wiedział, że nie otrzymałby na to pytanie szczerzej odpowiedzi - niemniej jednak trochę zaskoczyła go wiadomość, że jeden z jego najlepszych oficerów zajmował się pracami ogrodniczymi.

- Jedź ze mną do bazy, tam omówimy szczegóły. Jeżeli spodoba mi się twój plan, dostaniesz tę robotę.

Jeszcze przed pierwszym braskiem generał Schwarzkopf wyraził zgodę na przeprowadzenie operacji. W wydzielonym zakątku bazy lotniczej w Rijadzie, gdzie ulokował się sztab SAS, Mikę Martin przedstawił pułkownikowi Craigowi szczegóły swego planu i otrzymał zezwolenie na jego realizację. Koordynacją poczynań na lądzie miał się zajmować właśnie pułkownik Craig, natomiast przygotowanie ewentualnej operacji powietrznej spadło na barki generała Glossona.

- Jak myślisz, komu powinniśmy to zlecić? - zapytał Buster Glosson przy porannej kawie swego przyjaciela i zwierzchnika, Chucka Hornera.

Generał Horner natychmiast przypomniał sobie pewnego oficera, który dwa tygodnie wcześniej złożył mu niesłychanie wulgarną propozycję.

- Dajmy to chłopcom z 336. - powiedział.

Mikę Martin rozstrzygnął na swoją korzyść dyskusję z pułkownikiem Craigiem prezentując kolejno trzy argumenty, których logice

niczego nie dało się zarzucić. Po pierwsze – był najwyższym stopniem oficerem SAS nie biorącym akurat udziału w żadnej operacji. Po drugie – przed wysłaniem go do Bagdadu dowodził batalionem B, który teraz działał na pustyni pod tymczasowym dowództwem jego zastępcy. Wreszcie po trzecie – tylko on mówił biegle po arabsku.

Jednak tym, co ostatecznie zadecydowało o pozytywnej decyzji Craiga było doświadczenie Martina w wykonywaniu skoków spadochronowych z dużej wysokości. Nauczył się tego w szkole spadochronowej RAF-u w Brize Norton, potem zaś doskonalił swoje umiejętności w Netheravon, gdzie wykonywał skoki pokazowe wraz z całą formacją Czerwonych Diabłów.

Jedynym sposobem na to, by niepostrzeżenie dostać się w góry na północy Iraku, był desant z dużej wysokości, na przykład 8000 metrów, przy czym otwarciu spadochronu mogło nastąpić dopiero jakieś 1000 metrów nad ziemią. Z całą pewnością nie jest to robota dla nowicjuszy.

W normalnych warunkach przygotowywanie takiej misji powinno trwać co najmniej tydzień, ale tym razem nikt nie miał aż tyle czasu, należało więc równolegle pracować nad wszystkimi etapami operacji: skokiem, marszem w kierunku celu i wyborem najlepszego miejsca do podjęcia obserwacji. Między innymi z tego powodu Martin chciał mieć w zespole ludzi, którym bez wahania powierzyłby swoje życie.

Pierwsze pytanie, jakie w wydzielonym dla SAS zakątku bazy lotniczej skierował do pułkownika Craiga, brzmiało:

– Kogo może mi pan dać?

Lista była krótka, gdyż wielu ludzi brało udział w operacjach prowadzonych nie tylko na pustyni, ale także w innych rejonach świata. Jedno nazwisko natychmiast rzuciło mu się w oczy.

– Peter Stephenson, biorę go z zamkniętymi oczami.

– Masz szczęście, bo tydzień temu właśnie wrócił z akcji – powiedział Craig. – Chyba zdążył już nabrać sił.

Martin poznał sierżanta Stephensona w czasach, kiedy ten był jeszcze kapralem, on zaś kapitanem. Podobnie jak Martin, Stephenson specjalizował się w skokach z dużej wysokości.

Pułkownik wskazał kolejne nazwisko.

– Ten też jest dobry. Świetnie chodzi po górach. Myślę, że przyda ci się co najmniej dwóch takich.

Palec pułkownika spoczywał przy nazwisku kaprała Bena Eastmana.

– Ma pan rację. Jego też znam. Kto jeszcze?

Ostatnim członkiem zespołu został kapral Kevin North. Martin nigdy nie miał okazji z nim współpracować, ale North także świetnie sobie radził w górskim terenie i cieszył się znakomitą opinią swego dowódcy.

Po skompletowaniu grupy Martin rozdzielił zadania między jej członków, sobie pozostawiając najtrudniejsze, czyli koordynację i sprawowanie ogólnej kontroli.

Przede wszystkim należało wybrać samolot, który miał dowieźć uczestników operacji nad miejsce zrzutu. Miał bez wahania zdecydował się na herculesa, tradycyjnie używanego przez spadochronowe oddziały SAS. W owym czasie nad Zatoką Perską latało dziewięć maszyn tego typu. Ich baza mieściła się w pobliskim międzynarodowym porcie lotniczym im. króla Chalida. W porze śniadania nadeszła jeszcze lepsza wiadomość: trzy z nich należały do 47. Dywizjonu z Lyneham w Wiltshire, tego samego, który już od wielu lat współpracował ze spadochroniarzami z SAS. Członkiem załogi jednej z tych maszyn był niejaki porucznik Glyn Morris.

Przez cały czas trwania wojny nad Zatoką Perską zadanie

herculesów polegało na rozwożeniu zaopatrzenia z Rijadu do baz RAF-u w Tabuk, Muharrak, Zahranie, a nawet Sib w Omanie. Morris nadzorował załadunek i wyładunek, ale w rzeczywistości pojawił się na tej planecie po to, by pełnić funkcję instruktora spadochronowego. Martin wielokrotnie skakał pod jego nadzorem.

Na przekór powszechnemu przekonaniu, że komandosi i SAS samodzielnie organizują od A do Z operacje desantowe, wszystkie sprawy związane z transportem lotniczym pozostają w gestii RAF-u, a ścisła współpraca opiera się na przekonaniu każdej ze stron, że druga doskonale wie, co robi.

Komandor Ian Macfadyen, dowodzący kontyngentem RAF-u nad Zatoką Perską, bez żadnych pytań oddał do dyspozycji SAS wskazanego przez pułkownika Craiga herculesa, mechanicy zaś natychmiast przystąpili do przystosowywania maszyny do zadania, jakie miała wykonać.

Najważniejsza przeróbka polegała na założeniu instalacji tlenowej w przedziale towarowym. C-130 do tej pory latały na niewielkich wysokościach, wożąc tylko ładunki, więc były jej pozbawione. Porucznik Morris doskonale wiedział, jak należy dokonać koniecznych modyfikacji, do pomocy zaś wziął sobie sierżanta Sammy'ego Dawlisha, także instruktora spadochronowego, który latał na innym herculesie. Pracowali przez cały dzień, dzięki czemu o zachodzie słońca wszystko było związane na ostatni guzik.

Drugie, nie mniej ważne zadanie wiązało się z samymi spadochronami. Do tej pory żołnierze SAS nie mieli okazji skakać nad terytorium Iraku, gdyż przekraczali granicę samochodami terenowymi, ale, rzecz jasna, w planach operacyjnych uwzględniono także ewentualność desantu powietrznego. Dlatego właśnie w obozie SAS znajdował się klimatyzowany magazyn, w którym przechowywano spadochrony. Martin zażądał ośmiu głównych i ośmiu zapasowych, mimo że on i jego ludzie potrzebowali jedynie czterech każdego rodzaju, sierżant Stephenson zaś otrzymał polecenie rozłożenia, dokładnego sprawdzenia i ponownego złożenia wszystkich szesnastu sztuk.

Spadochrony, z których korzysta SAS, są popularnie zwane "kwadratami", mimo iż w rzeczywistości mają kształt prostokątny. Wykonano je z dwóch warstw materiału; podczas lotu uwięzione między nimi powietrze tworzy coś w rodzaju sztywnego skrzydła, umożliwiającego skoczkowi bardziej precyzyjne manewrowanie. Takie właśnie spadochrony widuje się najczęściej podczas różnego rodzaju pokazów.

Dwaj kaprale mieli zająć się pozostałym wyposażeniem, w którego skład wchodziły między innymi: cztery komplety ubrań, cztery duże plecaki, manierki z wodą, hełmy, pasy, broń, koncentraty żywnościowe, amunicja, zestawy pierwszej pomocy... Lista wydawała się nie mieć końca. Każdy plecak musiał zawierać ponad 40 kilogramów ekwipunku.

Jednocześnie w wydzielonym hangarze obsługa naziemna pracowała przy herculesie, sprawdzając silniki oraz wszystkie urządzenia, od których mogło zależeć bezpieczeństwo lotu.

Dowódca dywizjonu wyznaczył najlepszą załogę; nawigator od razu udał się wraz z pułkownikiem Craigiem do Czarnej Dziury, aby wybrać optymalne miejsce zrzutu.

Z kolei Martina wzięło w obroty sześciu techników - czterech Amerykanów i dwóch Brytyjczyków - demonstrując mu działanie "zabawek", którymi miał się posłużyć po to, by odnaleźć cel, ustalić jego położenie z dokładnością do kilku metrów, a następnie przekazać wiadomość do Rijadu. Kiedy uznali, że wie już wszystko, co powinien, starannie zapakowali

cenny sprzęt, aby uchronić go przed uszkodzeniem, i zanieśli do hangaru, gdzie w szybkim tempie rosła góra ekwipunku. Martin dołączył do ludzi, którzy w jednym z pomieszczeń w Czarnej Dziurze pochyłali się nad stołem zasłanym zdjęciami, które tego ranka wykonał inny TR-1. Tym razem pogoda była znakomita, dzięki czemu na fotografiach dało się dostrzec każdy załom skalny i szczelinę Dżabal al-Hamrin.

- Należy przyjąć, że to cholerne działo jest wycelowane na południe lub południowy wschód - powiedział pułkownik Craig. - Wynikałoby z tego, że najlepszy punkt obserwacyjny byłby gdzieś tutaj. - Wskazał popękane zbocze górskie położone na południe od domniemanej Fortecy. - Jeżeli zaś chodzi o miejsce zrzutu, to proponuję tę dolinkę, około czterdziestu kilometrów na południe... Jak widzicie, jej dnem płynie mały strumień.

Martin przyjrzał się uważnie. Dolina mogła mieć najwyżej 500 metrów długości i jakieś 100 szerokości, jej trawiaste zbocza były gęsto pokryte skałami, na dnie zaś błyszczała wąska nitka górskiego potoku.

- To najlepsze, co udało się znaleźć? - zapytał.

Craig wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, nie mamy wielkiego wyboru. Następne takie miejsce jest aż siedemdziesiąt kilometrów od celu, a jeśli spróbujecie wylądować bliżej, na pewno was zauważą. \ Za dnia, wodząc palcem po mapie, trudno zabłądzić. Ciemną nocą, kiedy będą spadali przez lodowate powietrze z prędkością 200 kilometrów na godzinę, sprawy znacznie się skomplikują. W dole- nie zobaczą żadnych świateł, które wskazywałyby im odległość od zbliżającej się ziemi.

- W porządku - powiedział.

Nawigator natychmiast wyprostował się i ruszył do wyjścia.

- Biorę się do obliczeń.

Czekało go pracowite popołudnie. Musiał wytyczyć trasę nocnego przelotu do miejsca zrzutu, czyli do punktu nad ziemią, w którym czterej skoczkowie opuszczą samolot, by wylądować dokładnie w maleńkiej dolinie. W fazie swobodnego spadania z pewnością zniesie ich wiatr; jego zadanie polegało między innymi na tym, aby obliczyć, jak bardzo.

Dopiero o zmierzchu wszyscy spotkali się ponownie w hangarze, do którego nie miał wstępu nikt oprócz nich i załogi. Hercules stał gotowy do lotu, ze zbiornikami wypełnionymi paliwem. Pod prawym skrzydłem piętrzył się stos sprzętu, który mieli zabrać ze sobą. Sierżant Dawlish złożył każdy z szesnastu spadochronów tak starannie, jakby to on miał z nich korzystać, Stephenson zaś skontrolował jakość wykonanej roboty. W kącie hangaru postawiono duży stół; Martin rozciągnął na nim przyniesione z Czarnej Dziury zdjęcia i wraz ze Stephensonem, Eastmanem i Northem przystąpił do wyznaczania trasy marszu, która doprowadzi ich od miejsca lądowania do popękanego zbocza góry, skąd będą obserwować Fortecę dopóty, dopóki okaże się to konieczne. Należało się liczyć z tym, że uciążliwa wędrówka zajmie im dwie noce, dzień natomiast spędzą w ukryciu.

Wreszcie każdy własnoręcznie spakował swój plecak. Na samym wierzchu umieścili szerokie pasy z licznymi kieszeniami, które mieli założyć zaraz po wylądowaniu.

O zachodzie słońca przyniesiono hamburgery i wodę mineralną, a potem nie pozostało im nic innego, jak czekać na start. Wyznaczono go na 21.45, zrzut natomiast miał nastąpić około 23.30.

Martin zawsze był zdania, że najgorsze ze wszystkiego jest oczekiwanie; po długim, niezwykle pracowitym dniu trudno

sobie wyobrazić coś gorszego. Człowiek, który nie ma się na czym skupić, zaczyna po pewnym czasie wracać myślami do kolejnych etapów przygotowań, stąd zaś już tylko krok do graniczącego z pewnością podejrzenia, że mimo zachowania nadzwyczajnej uwagi i wielokrotnych kontroli, coś zrobiono nie tak jak należy. Niektórzy próbują wtedy jeść, inni czytać, spać albo pisać listy do domu, inni zaś cały ten czas spędzają w toalecie.

O dziewiątej ciągnik przeholował herculesa na płytę lotniska, by piloci, nawigator i mechanik pokładowy mogli sprawdzić działanie silników. Dwadzieścia minut później przed hangar zajechał mikrobus z zaciemnionymi szybami, który miał zawieźć ludzi i sprzęt do stojącej z opuszczoną rampą załadunkową maszyny.

Czekali tam na nich dwaj instruktorzy oraz ludzie z obsługi naziemnej. Ci ostatni po zamknięciu rampy sprawdzili, czy z zewnątrz wszystko jest w porządku, a następnie wsiedli do mikrobusu i odjechali do hangaru.

We wnętrzu maszyny czterej żołnierze, dwaj instruktorzy spadochronowi oraz kierujący zrzutem zajęli miejsca i przypięli się pasami. O 21.44 hercules oderwał się od pasa startowego lotniska w Rijadzie, a zaraz potem skierował swój zaokrąglony dziób prosto na północ.

Dokładnie w chwili, kiedy maszyna RAF-u rozpoczynała nocny lot, w rejonie bazy pojawił się amerykański śmigłowiec; zczekał, aż transportowiec wzbije się w powietrze, po czym usiadł na płycie lotniska. Wrócił właśnie z bazy Al-Chardż, skąd przywiózł dwóch ludzi: Steve'a Turnera, dowódcę 336. Dywizjonu Myśliwskiego, oraz pilota tegoż dywizjonu, którego Turner uważał za najlepszego specjalistę od precyzyjnych nalotów na cele naziemne przeprowadzanych z niewielkich wysokości.

Ani dowódca 336. Dywizjonu, ani kapitan Don Walker nie mieli najmniejszego pojęcia, dlaczego zostali wezwani do Rijadu. Dowiedzieli się tego dopiero godzinę później, w małym pokoju odpraw w podziemiach gmachu saudyjskiego Ministerstwa Lotnictwa. Powiedziano im także, że nikt, z wyjątkiem nawigatora kapitana Walkera, nie może dowiedzieć się o szczegółach operacji.

Wkrótce potem zostali odwiezieni z powrotem do bazy. Zaraz po starcie pasażerom herculesa pozwolono odpiąć pasy i swobodnie poruszać się po maszynie. Martin przeszedł na przód samolotu, wspiał się po oświetlonej blaskiem czerwonych lampek drabince i na jakiś czas zniknął w kabinie pilotów.

Początkowo lecieli na wysokości 3000 metrów, potem zaś wznieśli się na 7500 i przekroczyli granicę Iraku, pozornie zupełnie sami na usianym gwiazdami niebie.

Krażący nad Zatoką AWACS przez cały czas kontrolował jednak nie tylko przestrzeń powietrzną w promieniu wielu kilometrów od nich, ale także teren bezpośrednio przed i pod nimi. Gdyby nagle ożył jakiś iracki radar, któremu cudem udało się do tej pory uniknąć wizyty alianckiego lotnictwa, natychmiast zajęłyby się nim dwa klucze sunących nieco niżej łasic, uzbrojonych w antyradarowe pociski rakietowe.

Gdyby z kolei jakiś iracki pilot spróbował akurat tej nocy wzbic się w powietrze swoim MiGiem lub mirage'em, musiałyby zmierzyć się albo z formacją brytyjskich jaguarów lecącą wyżej i na lewo od transportowca, albo z amerykańskimi F-15C, które zajęły pozycję także nieco powyżej, tyle tylko, że z prawej strony. Zwyczajny hercules był w tej chwili chroniony jak żaden inny samolot na świecie. Piloci, którzy zapewniali mu ochronę, nie mieli pojęcia, co

jest tego przyczyną; oni tylko wykonywali rozkazy. Nawet gdyby tej nocy na terenie Iraku działał jakiś radar, i gdyby jego obsługa dostrzegła na ekranie przesuającą się formację, z pewnością doszłoby do wniosku, że alianckie samoloty zmierzają ku którejś z baz położonych w Turcji. Oficer kierujący zrzutem starał się pełnić honory domu, częstując gości herbatą, kawą, napojami chłodzącymi i ciasteczkami. Czterdzieści minut przed zrzutem nawigator włączył ostrzegawczą lampkę, informując spadochroniarzy, że nadeszła pora, by rozpocząć ostatnie przygotowania.

Każdy z czterech żołnierzy założył dwa spadochrony, główny i zapasowy, oraz plecak, który zawisł na długich pasach między nogami. Broń, czyli wyposażone w tłumiki pistolety maszynowe Heckler & Koch MP5 SD, została przypięta do klamer z przodu po lewej stronie, butle z tlenem do takich samych klamer na brzuchu. Na koniec wszyscy założyli na głowy hełmy, twarze zaś ukryli pod maskami tlenowymi, połączonymi na razie z główną konsolą, pod którą znajdowały się duże, stacjonarne butle. Kiedy wszyscy byli gotowi, pilot zaczął obniżać ciśnienie w przedziale ładunkowym, aż wreszcie zrównało się ono z tym, które panowało na zewnątrz.

Wszystko to trwało prawie dwadzieścia minut. Potem znowu pozostało im tylko czekanie. Piętnaście minut przed zrzutem instruktorzy dali znak skoczkom, żeby ci podłączyli przewody tlenowe do butli osobistych. Każda z nich wystarczała na pół godziny, a sam skok miał trwać od trzech do czterech minut. W tej chwili jedynie nawigator transportowca wiedział dokładnie, gdzie się znajdują, ale czterej żołnierze SAS ufali jego umiejętnościom, wierząc, że zostaną zrzućeni we właściwym momencie. Do tej pory oficer kierujący zrzutem porozumiewał się z nimi gestami* teraz wskazał skoczkom światła nad konsolą. Cała czwórka dźwignęła się z miejsc i powoli, niczym kosmonauci zmierzający do statku, ruszyli w kierunku ogona maszyny. Towarzyszyli im dwaj instruktorzy, także z maskami tlenowymi na twarzach. Żołnierze stanęli rzędem przed zamkniętym jeszcze włazem, po raz ostatni sprawdzając zamocowanie obciążającego ich ładunku.

Na cztery minuty przed czasem właz otworzył się i oczom skoczków ukazała się czarna, ponad siedmiokilometrowa pustka wypełniona pędzącym z ogromną prędkością powietrzem. Dwie minuty do skoku. Cała czwórka zbliżyła się do rampy, nie spuszczać wzroku z lamp, które były zainstalowane po obu stronach otworu. Kiedy zapłonęło czerwone światło, błyskawicznie naciągnęli gogle, a kiedy lampki błysnęły zielenią, odwrócili się plecami do przepaści i kolejno runęli w nią z rękami przyciśniętymi mocno do piersi.

Pierwszy spadał sierżant Stephenson.

Czterej ludzie lecieli w dół bez najmniejszego dźwięku. Na wysokości tysiąca metrów zadziałały ciśnieniowe bezpieczniki i spadochrony otworzyły się z trzaskiem. Spadający jako drugi Martin dostrzegł dwadzieścia metrów niżej jakiś prostokątny cień, a w chwilę potem poczuł gwałtowne szarpnięcie i zawisł na boleśnie wpijających mu się w ciało pasach, kiedy rozwinięty prostokąt materiału raptownie zmniejszył jego prędkość opadania z 200 do 24 kilometrów na godzinę.

Kiedy osiągnęli 300 metrów, opuścili plecaki jeszcze niżej, tak że zawisły im pod stopami. Miały tam pozostać aż do ostatnich chwil przed lądowaniem, kiedy zrzucą je, uwiązane do pięciometrowych nylonowych linek.

Spadochron sierżanta zaczął lekko skręcać w prawo, więc Martin podążył jego śladem. Niebo było bezchmurne, a w blasku

gwiazd dostrzegł w dole, rosące z każdą sekundą, czarne kształty gór. Nagle Martin zobaczył to, co sierżant prawdopodobnie widział już od paru ładnych chwil: błyszcząca wstążkę strumienia torującego sobie drogę przez dno doliny.

Peter Stephenson wylądował dokładnie w punkcie zero, kilka metrów od strumienia, na miękkim materacu z trawy i mchu. Martin zrzucił plecak, ściągnął linki, usłyszał głuchy łomot, z jakim plecak runął na ziemię, po czym łagodnie opadł na obie nogi.

Kapral Eastman przemknął nad jego głową, zawrócił i opadł w odległości niespełna 50 metrów. Zaraz potem Martin zajął się wyplątywaniem ze spadochronowej uprzęży, więc nie widział lądowania Kevina Northa.

Kapral North spadał ostatni. Niespodziewany podmuch wiatru zepchnął go na górski stok odległy o jakieś 100 metrów od trawiastego terenu ciągnącego się wzdłuż brzegów strumienia. Usiłował zbliżyć się do kolegów, ale jego plecak zetknął się z ziemią, podskoczył kilka razy, po czym zaklinował się między dwiema skałami.

Szarpnięcie okazało się tak silne, że ściągnęło Northa od razu na ziemię; niestety, zetknął się z nią nie stopami, a całym lewym bokiem. Zbocze było pokryte wieloma kamieniami, z których jeden zmiotł mu kość udową.

Kapral usłyszał trzask łamanej kości, ale szok spowodowany nagłym upadkiem sprawił, że w pierwszej chwili nie poczuł bólu. Jednak kiedy ból się pojawił, był wręcz obezwładniająco silny. North przetoczył się na bok, ściskając oburącz złamaną nogę.

- Nie, tylko nie to! - jęczał przez zaciśnięte zęby. - Boże, nie! Nie wiedział, że jeden z odłamków kości przeciął niczym skalpel tętnicę udową i krew zaczęła obfitym strumieniem zalewać wielką ranę, w jaką zamieniło się jego zmiotnięte udo.

Koledzy znaleźli go minutę później. Zdażyli już odpiąć spadochrony i uwolnić się od balastu plecaków, przekonani, że on gdzieś niedaleko robi to samo. Kiedy zorientowali się, że coś jest nie w porządku, natychmiast wyruszyli na poszukiwania. Stephenson wyjął z kieszeni ołówkową latarkę i oświetlił nogę.

- Cholera... - syknął.

Co prawda mieli zestawy-pierwszej pomocy, a nawet łąbki, ale to było stanowczo za mało. Kaprala mogła uratować jedynie natychmiastowa operacja. Stephenson podbiegł do plecaka Northa, wyjął apteczkę i zaczął przygotowywać zastrzyk morfiny, ale okazało się to niepotrzebne, gdyż wraz z upływem krwi ból szybko słabł.

North otworzył oczy, z trudem skoncentrował spojrzenie na twarzy Mike'a Martina, po czym szepnął:

- Przepraszam, szefie.

Zaraz potem opuścił powieki, a dwie minuty później już nie żył.

W innym czasie i miejscu Martin zapewne pozwoliłby sobie na to, żeby okazać ból po stracie takiego człowieka jak North, teraz jednak nie mogło o tym być mowy. Dwaj pozostali członkowie zespołu doskonale to rozumieli i bez słowa czekali na jego rozkazy. Początkowo Martin miał zamiar zebrać spadochrony, wynieść je poza dolinę i poszukać jakiejś skalnej szczeliny, w której dałoby się je ukryć, teraz jednak musiał zmienić plany, gdyż trzeba było coś począć z ciałem Northa.

- Pete, zajmij się sprzętem, który tu zostawiamy. Poszukaj jakiegoś zagłębienia terenu, albo spróbuj coś wygrzebać. Ben, ty zbierz trochę kamieni.

Martin odpiął pistolet maszynowy Northa, zdjął z szyi martwego żołnierza metalową tabliczkę z jego nazwiskiem,

stopniem wojskowym i przynależnością służbową, po czym pośpieszył na pomoc Eastmanowi. We dwóch, pracując nożami i gołymi rękami, wyłobili w miękkiej ziemi płytką bruzdę, złożyli w niej ciało, a następnie nakryli je czterema rozwiniętymi spadochronami, czterema zapasowymi, butlami z tlenem, uprzężą i linkami. Potem zaczęli znosić na to miejsce kamienie, ale nie układali ich w regularny stos, który łatwo mogłoby zwrócić czyjaś uwagę, lecz usypywali w nieforemną stertę, starając się uformować ją tak, jakby odłamki skalne zsunęły się w to miejsce z pobliskiego zbocza. Wodą ze strumienia zmyli plamy krwi z kamieni i trawy, a w puste miejsca po poruszonych skałach nawrzucali mokrej trawy, ziemi i mchu. Należało uczynić wszystko, aby dolina wyglądała dokładnie tak samo, jak przed ich przybyciem.

Mieli nadzieję, że jeszcze do świtu co najmniej przez pięć godzin będą maszerować, ale przykre zadanie zajęło im aż trzy godziny. Część zawartości plecaka Northa spoczęła w grobie razem z kapralem – przede wszystkim ubrania, zapasy żywności i wody – część zaś rozdzielili między siebie.

Opuścili dolinę dopiero godzinę przed wschodem słońca. Rolę przewodnika objął sierżant Stephenson; szedł wysunięty nieco naprzód, a przed grzbietem każdego wzniesienia przypadał do ziemi i ostrożnie wysuwał głowę, aby upewnić się, czy po drugiej stronie nie czeka na nich przykra niespodzianka.

Trasa marszu prowadziła bez przerwy w górę, ale sierżant narzucił mordercze tempo. Choć nieduży i szczupły, a w dodatku o pięć lat starszy od Martina, potrafił zachodzić każdego na śmierć, nawet wówczas, gdy dźwigał czterdziestokilogramowy plecak.

Chmury zjawiły się akurat wtedy, kiedy były najbardziej potrzebne; opóźniły nieco świt, dając im dodatkową godzinę. W ciągu dziewięćdziesięciu minut ostrego marszu przeszli 13 kilometrów, pokonując dwa wzgórza i kilka mniejszych wzniesień. Wreszcie jednak zrobiło się na tyle jasno, że dalsza wędrówka stała się zbyt ryzykowna i trzech żołnierze SAS zaczęli rozglądać się w poszukiwaniu kryjóWKi, w której mogliby spędzić dzień.

Martin wybrał poziomą rozpadlinę pod skalnym nawisem, osłoniętą dodatkowo dość gęstą, wysoką trawą. Cała trójka posiliła się, zaspokoiła pragnienie, po czym wślizgnęła się do szczeliny. Kapral i sierżant ułożyli się do snu, Martin zaś pierwszy stanął na warcie.

O jedenastej obudził Stephensona, po czym szybko zapadł w sen. O czwartej po południu poczuł, że ktoś lekko trąca go w bok. Otworzywszy oczy ujrział Eastmana przyciskającego palec do ust. Martin wytężył słuch; z wozu, z miejsca odalonego najwyżej o trzy metry od ich kryjóWKi, dobiegały gardłowe głosy.

Sierżant Stephenson uniósł pytająco brwi: Co robimy? Martin przez chwilę przysłuchiwał się rozmowie. Czterej iraccy żołnierze najwyraźniej mieli już dość patrolowania odludnego, trudno dostępnego terenu, byli znudzeni i bardzo zmęczeni. Zamierzali spędzić tu noc.

Brytyjczycy stracili już i tak zbyt wiele czasu. Najpóźniej o szóstej powinni wyruszyć w dalszą drogę, gdyż od Fortecy dzieliło ich jeszcze wiele godzin marszu. Powinni przybyć na miejsce na tyle wcześniej, by pod osłoną nocy zająć dogodne stanowiska obserwacyjne na pokrytym szczelinami górskim zboczu.

Tymczasem wszystko wskazywało na to, że Irakijczycy lada chwila rozejdą się po okolicy w poszukiwaniu opału na ognisko, a wówczas któryś z nich z pewnością zajrzy za spłachetek trawy, gdzie ukryli się żołnierze SAS. Nawet gdyby tak się nie stało, minie

wiele godzin, zanim zasną na tyle głęboko, żeby Martin i jego ludzie zdołali niepostrzeżenie wymknąć się z rozpadliny.

Na jego znak sierżant i kaprał wydobyli noże o szerokich, obustronnych ostrzach, a potem cała trójka bezszelestnie wypełzła z kryjówek.

Kiedy było już po wszystkim, Martin przejrzał książeczki wojskowe martwych Irakijczyków. Wszyscy nosili patronimikum Al-Ubajdi, świadczące o przynależności do plemienia Ubajdi, zamieszkującego od wieków tę część północnego Iraku, wszyscy też byli żołnierzami Gwardii Republikańskiej. Zapewne oddziały, które miały chronić Fortecę, składały się wyłącznie z ludzi urodzonych i wychowanych w górach, potrafiących odnaleźć drogę w trudnym terenie i zdolnych pokonywać bez odpoczynku nawet bardzo znaczne odległości.

Ukrycie czterech ciał w płytkiej jaskini, a następnie zamaskowanie wejścia kamieniami i gałęziami zajęło ponad godzinę, ale kiedy trójka Brytyjczyków uporała się z tym zadaniem, tylko bardzo bystry obserwator zdołałby dopatrzeć się czegoś podejrzanego. Na szczęście Irakijczycy nie mieli radia, a więc poszukiwania mogły rozpocząć się dopiero w jakiś czas po upływie terminu ich powrotu do bazy. Przy odrobinie szczęścia nawet za dwa lub trzy dni.

Zaraz po zapadnięciu zmroku trójka z SAS ruszyła w dalszą drogę. W blasku gwiazd starali się rozpoznać kształty gór, które do tej pory widzieli tylko na lotniczych fotografiach, i kierując się wskazaniem kompasu podążali prosto ku zamaskowanej Fortecy.

Mapa, jaką posługiwał się Martin, stanowiła szczytowe osiągnięcie współczesnej kartografii; narysowano ją na podstawie szczegółowych zdjęć wykonanych przez TR-1 i zaznaczono na niej najkrótszą trasę przemarszu z punktu zrzutu do celu. Zatrzymując się od czasu do czasu, by odczytać wskazania SATNAV-u i przyjrzeć się mapie przy świetle ołówkowej latarki, Martin mógł na bieżąco kontrolować tempo i kierunek marszu. O północy nie miał już wątpliwości, że i jedno, i drugie jest w jak najlepszym porządku. Mieli pokonać jeszcze około 16 kilometrów.

Podczas szkolenia w Walii Martin i jego ludzie potrafili w bardzo podobnym terenie utrzymać średnią prędkość siedmiu kilometrów na godzinę – jest to tempo, w jakim można odbyć szybki spacer z psem, tyle tylko, że wówczas idzie się po równym chodniku i bez czterdziestokilogramowego ciężaru na plecach. Jednak w nieznanymi górach, gdzie w każdej chwili mogli stanąć twarzą w twarz ze śmiertelnym niebezpieczeństwem, tempo marszu musiało być wolniejsze.

Niewątpliwą przewagę nad Irakijczykami zapewniały im noktowizyjne gogle, sterujące na krótkich szypułkach niczym oczy jakiegoś owada. Działanie tych urządzeń polegało na wychwytywaniu nawet najdrobniejszych ilości promieniowania świetlnego i kierowaniu go wprost na źrenicę patrzącego.

Dwie godziny przed świtem ujrzeli przed sobą masyw Fortecy i rozpoczęli wspinaczkę na górę po lewej stronie. Szczyt, który wybrali, wznosił się na południowym skraju obszaru wskazanego przez Jerycha, a ze skalnych szczelin pod samym wierzchołkiem powinien roztaczać się widok na całą południową fasadę Fortecy – jeśli to rzeczywiście była Forteca.

W ciszy słyszeli jedynie swoje szybkie, chrapliwe oddechy. Wspinali się przez całą godzinę. Idącemu na czele sierżantowi Stephensonowi udało się trafić na wąską ścieżkę wydeptaną przez kozy, dzięki czemu forsowny marsz stał się nieco łatwiejszy. W pobliżu wierzchołka natrafili na rozpadlinę sfotografowaną przez TR-1. Kryjówka okazała się znacznie lepsza, niż oczekiwali

Martin: szczelina miała około dwóch i pół metra długości, półtora głębokości i pięćdziesięciu centymetrów szerokości, z przodu zaś znajdował się niewielki występ skalny, jakby specjalnie stworzony po to, by urządzić na nim wygodne stanowisko obserwacyjne.

Trzej mężczyźni wydobyli z plecaków siatki maskujące i zabrali się do urządzania tymczasowej siedziby w taki sposób, aby nie dostrzegło jej niczyje niepowołane oko.

Żywność i wodę upchano w kieszeniach pasów, wyposażenie techniczne oraz broń leżały w zasięgu ręki. Kilka minut przed wschodem słońca Martin skorzystał z jednego z urządzeń. Był to nadajnik, znacznie mniejszy od tego, jakim posługiwał się w Bagdadzie, bo wielkości zaledwie dwóch paczek papierosów, zasilany niklowo-kadmową baterią o bardzo długiej żywotności. Aparat nadawał tylko na jednej, ustalonej z góry, częstotliwości, w Rijadzie zaś, przy potężnym odbiorniku, trwał 24-godzinny dyżur. Po to, by zwrócić na siebie uwagę, należało kilkakrotnie nacisnąć guzik nadawania, potem zaś poczekać na potwierdzenie odbioru.

Do zestawu należała również składana antena, także mniejsza od tej, którą Martin pozostawił w Bagdadzie. Co prawda teraz znajdował się znacznie dalej od Rijadu, ale za to na dużo większej wysokości.

Rozstawił antenę, skierował ją na południe, podłączył do nadajnika i zaczął naciskać guzik. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, przerwa. Jeden, dwa, trzy, przerwa. Jeden, przerwa. Jeden.

Pięć sekund później dostał odpowiedź: cztery piśnięcia, przerwa, cztery piśnięcia, przerwa, dwa.

Tym razem przytrzymał dłużej przycisk, zbliżył usta do mikrofonu i powiedział wyraźnie:

- Niniwa przybyła do Tyru. Powtarzam: Niniwa przybyła do Tyru.

Zwolnił przycisk. W chwilę potem rozległa się seria szybkich piśnięć: trzy, przerwa, jedno, przerwa, cztery. Wiadomość odebrana, koniec połączenia.

Martin schował nadajnik do wodoszczelnego futerału, wziął do ręki silną lornetkę i ostrożnie wychynął znad skalnego występu. Za jego plecami sierżant Stephenson i kapral Eastman tkwili w wąskiej szczelinie jak sardynki w puszce, ale chyba było im dosyć wygodnie. Pomału rozchylił maskujące gałęzie, po czym podniósł do oczu lornetkę, za którą każdy miłośnik ptaków bez wahania oddałby prawą rękę.

Kiedy rankiem 23 lutego na wzgórze Hamrin padły pierwsze promienie słońca, major Mikę Martin rozpoczął obserwację najwspanialszego dzieła swego kolegi ze szkoły, Usmana Badriego - Fortecy, Kala, której nie mogła odnaleźć żadna maszyna.

W Rijadzie Steve Laing i Simon Paxman błyskawicznie przebiegli wzrokiem treść depechy dostarczonej im przez zadyszanego radiooperatora.

- Niech mnie cholera! - wykrzyknął Laing. - Udało mu się! Siedzi na tej pieprzonej górze!

Dwadzieścia minut później do bazy Al-Chardż dotarł rozkaz wydany osobiście przez generała Glossona.

Kapitan Don Walker wrócił do bazy 22 lutego na krótko przed świtem, zdrzemnął się trochę, a rankiem, kiedy piloci biorący udział w nocnych lotach kończyli składać raporty i kładli się spać, wziął się ostro do pracy.

Po południu przedstawił zwierzchnikom gotowy plan, który został przekazany do Rijadu i zaakceptowany przez dowódców znacznie wyższego szczebla. Aż do wieczora trwało wyszukiwanie

odpowiednich maszyn i pilotów.

Plan dotyczył nalotu na iracką bazę lotniczą daleko na północ od Bagdadu, zwaną Tikrit Wschód, położoną w pobliżu rodzinnego miasta Saddama Husajna. Atak miał odbyć się nocą, a do przeprowadzenia go wyznaczono cztery F-15 uzbrojone w tysiackilogramowe bomby sterowane laserem: maszynę Dona Walkera, jego skrzydłowego Randy'ego Robertsa, oraz jeszcze dwa samoloty.

Cudownym zrządzeniem losu Tikrit Wschód znalazła się w dziennym wykazie celów na 22 lutego, a także na dni następne, mimo iż plan ataku powstał za ledwie przed dwunastu godzinami. Wyznaczone załogi zostały zwolnione od wszelkich obowiązków i miały aż do odwołania czekać w pełnej gotowości na rozkaz do startu.

O dziesiątej wieczorem 22 lutego misję odwołano. Czterej piloci i czterej nawigatorzy otrzymali polecenie udania się na odpoczynek, natomiast pozostałe załogi 336. Dywizjonu poleciały polować na czołgi Gwardii Republikańskiej rozlokowane na północ od Kuwejtu. Kiedy rankiem 23 lutego samoloty wróciły do bazy, cztery bezczynne załogi stały się obiektem uszczypliwych żartów.

Trasa przelotu grupy wyznaczonej do zniszczenia Tikrit Wschód prowadziła korytarzem powietrznym między Bagdadem a granicą Iranu, zakręcała pod kątem 45 stopni nad jeziorem As-Sadijja, a następnie wiodła prosto na północny wschód, aż do Tikritu. Don Walker właśnie kończył śniadanie w dywizjonowym kasy- nie, kiedy otrzymał polecenie natychmiastowego stawienia się przed obliczem dowódcy. \

- Facet, który ma ci oznaczyć cel, jest już na miejscu - usłyszał. - Lepiej trochę odpocznij, bo chyba czeka cię męcząca noc.

O wschodzie słońca Mikę Martin rozpoczął obserwację góry. Zmieniając ogniskową mógł albo przyglądać się poszczególnym krzaczkom, albo lustrować znacznie większy teren.

Przez pierwsze godziny nie zauważył niczego nadzwyczajnego: góra jak góra, porośnięta trawą i różnymi krzewami, pomiędzy którymi gdzieś tam prześwitywała naga skała, a tu i ówdzie leżały rozrzucone głazy i kamienie. Jak wszystkie wzniesienia w okolicy, miała nieregularny kształt.

Co jakiś czas zamykał oczy, by dać im odpocząć, opierał czoło na przedramieniu i czekał kilka minut, a potem znów obser- wował.

Jeszcze przed południem zaczął dostrzegać pewien schemat; na niektórych częściach zbocza trawa wyglądała trochę inaczej niż wszędzie dokoła, krzaki zaś zdawały się rosnać w rzędach, jakby posadzone ręką człowieka. Nigdzie jednak nie było żadnych drzwi, włazów ani klap, żadnej drogi zrytej kołami ciężarówek, żadnych kominów wentylacyjnych, najmniejszych nawet śladów prac ziem- nych. Dopiero przesuwające się po niebie słońce pozwoliło mu odkryć tajemnicę góry.

Kilka minut po jedenastej wydało mu się, że w trawie coś błyszczy. Natychmiast skierował lornetkę na to miejsce i obejrzał je w maksymalnym powiększeniu. Słońce akurat skryło się za chmurę, ale kiedy wyłoniło się zza niej, błysk pojawił się ponownie: Wkrótce potem Martin dostrzegł jego przyczynę: odsłonięty kawałek drutu. Pozwolił trochę odpocząć oczom, a następnie przyjrzał się ponownie. Rzeczywiście, był to drut biegnący ukosem przez zbocze. Pokrywała go zielona izolacja, która jednak na krótkim, może trzydziestocentymetrowym odcinku została zdrapana, odsłaniając lśniący metal. Teraz, kiedy wiedział już, czego szukać, bez trudu zauważył inne druty, tworzące gęstą siatkę. W południe wiedział już, że siatka, przysłaniająca znaczną część zbocza, miała utrzymać na miejscu cienką warstwę gleby.

Kilkanaście minut później zobaczył tarasy. Fragment góry składał się z betonowych bloków ułożonych w taki sposób, że dolna krawędź wyższego była cofnięta o jakieś dziesięć centymetrów w stosunku do górnej krawędzi niższego. Na utworzonych w ten sposób wąskich tarasach rosły krzaki. Co prawda bloki były różnej wysokości, dzięki czemu ich celowe ułożenie nie rzucało się od razu w oczy, ale jeżeli ktoś już raz zwrócił na nie uwagę, bez większego trudu mógł potwierdzić trafność swoich obserwacji.

Martin uważnie badał całe zbocze i stwierdził, że tarasy kończą się w pewnym miejscu, by ponownie pojawić się nieco dalej, po lewej stronie. Wczesnym popołudniem rozwiązał i tę tajemnicę. Analitycy z Rijadu mieli rację – przynajmniej do pewnego stopnia. Istotnie, gdyby ktoś spróbował po prostu wydrażyć górę, ta zapadłaby się do środka. Genialny projektant zdecydował się więc na inne rozwiązanie: wybrał trzy położone blisko siebie wzgórza, usunął ich części leżące wewnątrz utworzonego przez nie trójkąta, dzięki czemu powstał ogromny krater, następnie zaś wypełnił przerwy między ich zewnętrznymi stokami, dostosowując wygląd sztucznych zboczy do układu prawdziwych. Betonowe bloki niejednakowej wysokości ułożono w taki sposób, aby utworzyć mniejsze i większe tarasy, które następnie przysypano tysiącami ton ziemi. Po to, by uchronić cienką warstwę gleby przed erodującym działaniem wiatru i wody, przykryto ją drucianą siatką, przypuszczalnie zakotwiczoną do betonowego masywu, potem zaś posiano trawę i posadzono krzewy. Rośliny miały już wystarczająco dużo czasu, aby upodobnić się do tych, które porastały zachowane w nie naruszonej formie fragmenty trzech wzgórz.

Szczyt nowo powstałej góry tworzyła zapewne ogromna kopuła o nierównej powierzchni, także przysypana ziemią i pokryta sztucznymi głazami pomalowanymi na taki sam kolor, jaki miały skały okolicznych wzniesień.

Martin skoncentrował poszukiwania w rejonie, w którym – jak mu się wydawało – sztuczna kopuła powinna łączyć się z krawędzią gigantycznego krateru.

To, czego szukał, znalazł około piętnastu metrów poniżej szczytu. Wcześniej spoglądał tam co najmniej pięćdziesiąt razy, ale nie zauważył niczego nadzwyczajnego.

Był to skalny, zszarzały występ, a może wielki głaz, przez który biegły poziomo dwie równoległe, czarne linie. Im dłużej im się przyglądał, tym bardziej wydawało mu się zastanawiające, że ktoś zadał sobie tyle trudu, by wspiać się na trudno dostępne zbocze i namalować je na skale. Nagły podmuch północno-wschodniego wiatru poruszył gałęziami krzewów i źdźbłami traw... a także obiema liniami. Kiedy wiatr ucichł, linie natychmiast przestały się poruszać. Dopiero wtedy Martin odgadł, że w rzeczywistości są to stalowe linki, niknące w trawie po obu stronach skały. Zwrócił też uwagę na dziwnie regularne ułożenie mniejszych kamieni, otaczających kręgiem duży głaz.

Jaką rolę miały pełnić linki? A może, gdyby ktoś mocno za nie pociągnął, głaz poruszyłby się i runął w przepaść?

O wpół do czwartej zrozumiał, że to wcale nie jest głaz, tylko wielka płachta brezentu, przyciśnięta kręgiem skalnych odłamków.

Wystarczyło szarpnąć za linki, aby płachta odsunęła się, odsłaniając... Właśnie, co?

Wpatrywał się w nią tak długo, aż wreszcie dostrzegł zarys jakiegoś okrągłego kształtu, mniej więcej półtorametrowej średnicy. Szary brezent zakrywał wylot niemal dwustumetrowej lufy działa Babilon, skierowanej na południowy wschód, w stronę oddalonego o 750 kilometrów Zahranu.

– Dalmierz – rzucił za siebie.

Oddał Stephensonowi lornetkę, wziął zaś od niego inne, przy-

pominające nieco lunetę, urządzenie. Przyłożywszy je do oka zobaczył w wizjerze ani trochę nie powiększone zbocze góry kryjącej w swoim wnętrzu monstrualne działo. Pośrodku wizjera znajdowały się cztery rozmieszczone gwiazdziście znaczki w kształcie litery V. Martin delikatnie obracał pokrętłem, aż wreszcie znaczki połączyły się, tworząc mały krzyżyk, po czym odsunął przyrząd i spojrzął na skalę: 1080 metrów.

- Kompas.

Przyrząd, który podał mu Stephenson, w niczym nie przypominał tradycyjnego kompasu. Martin zbliżył go do oka, naprowadził miejsce przecięcia dwóch cienkich jak włos linii na środek brezentowej płachty i nacisnął guzik. Ułamek sekundy później na ciekłokrystalicznym ekranie pojawił się wynik: 348 stopni, 10 minut i 18 sekund.

SATNAV dostarczył mu ostatecznej potrzebnej informacji: z dokładnością do 15 metrów wskazał miejsce, w którym Martin i jego niewielki oddział znajdowali się na powierzchni planety. Rozstawienie anteny w tak ograniczonej przestrzeni nie należało do łatwych zadań, ale uporali się z tym w ciągu dziesięciu minut. Martin wezwał Rijad, natychmiast otrzymał odpowiedź, po czym, powoli i wyraźnie, odczytał do mikrofonu trzy sekwencje liczb: swoje współrzędne, wskazany przez kompas kierunek, w którym znajduje się cel, oraz dokładną odległość. Reszta, to znaczy odnalezienie tego miejsca na mapie oraz poinstruowanie pilota, należała do ludzi w Rijadzie.

Martin wsunął się do szczeliny, umościł się najwygodniej jak mógł i próbował zasnąć, jego miejsce zaś zajął Stephenson, który miał pilnować, czy nie nadchodzi iracki patrol.

O wpół do dziewiątej, w całkowitej ciemności, Martin przetestował znacznik celu. Urządzenie przypominało kształtem dużą latarkę z pistoletowym uchwytem, nie wiadomo czemu wyposażoną w celownik. Wsunął baterię, przyłożył celownik do oka i skierował przyrząd na Fortecę. Widział wyraźnie całą górę, jakby była skąpana w silnym blasku zielonego księżyca. Martin odnalazł brezentową płachtę, maksymalnie powiększył obraz, a następnie nacisnął spust.

Pojedynczy, niewidzialny promień światła przeciął dolinę, na stoku po przeciwnej stronie pojawił się zaś mały czerwony punkt. Martin przesunął go na środek brezentu, przytrzymał tam przez chwilę, po czym, całkowicie usatysfakcjonowany, wyłączył urządzenie i wpełzł z powrotem pod siatki maskujące.

O 22.45 cztery F-15 wystartowały z bazy Al-Chardż i szybko osiągnęły docelowy pułap 6000 metrów. Dla trzech załóg była to rutynowa wyprawa nad jedną z irackich baz lotniczych. Każdy eagle niósł po dwie tysiackilogramowe, sterowane laserem bomby, a także zwykły zestaw pocisków rakietowych klasy powietrze-powietrze.

Tankowanie, które odbyło się w powietrzu na południe od granicy Iraku, przebiegło bez zakłóceń. Zaraz potem samoloty ustawiły się w luźny szyk i formacja, opatrzona kryptonimem "Sójka", pomknęła niemal dokładnie na północ, by o 23.14 przemknąć nad miasteczkiem As-Samawa.

Maszyny jak zwykle leciały z wyłączonymi światłami pozycyjnymi, załogi zaś zachowywały ciszę radiową, gdyż i tak każdy pilot doskonale widział partnerów na ekranie radaru. Niebo było bezchmurne, a z AWACS-a krążącego nad Zatoką Perską nadeszła wiadomość, że ani jeden iracki myśliwiec nie wzbił się w powietrze.

- Punkt zwrotny za pięć - odezwał się o 23.39 nawigator Dona Walkera.

Oznaczało to, że za pięć minut formacja znajdzie się nad jeziorem As-Sadijja.

W chwili, kiedy maszyny weszły w 45-stopniowy zakręt, który miał je wyprowadzić na kurs do Tikrit Wschód, piloci usłyszeli wyraźny głos Dona Walkera:

- Tu "Sójka Jeden", mam kłopoty z silnikiem. Powtarzam: mam kłopoty z silnikiem. Wracam do bazy. "Sójka Trzy", przejmujesz dowodzenie.

"Sójka Trzy" oznaczało Bulla Bakera. Począwszy od tej chwili sprawy zaczęły się komplikować w bardzo zagadkowy sposób. Skrzydłowy Walkera, Randy "R-2" Roberts, zbliżył się do maszyny dowódcy, ale choć wytężał wzrok, nie mógł dostrzec żadnych objawów awarii któregoś z silników - mimo to eagle Walkera wyraźnie tracił szybkość i wysokość. Według procedury razem z nim powinien wrócić do bazy jego skrzydłowy, chyba że problem nie był zbyt poważny. Awaria silnika, szczególnie nad terytorium nieprzyjaciela, należała do najpoważniejszych problemów, jakie można sobie wyobrazić.

- Roger - potwierdził przyjęcie rozkazu Baker. Zaraz potem załogi wszystkich myśliwców ponownie usłyszały głos Walkera:

- "Sójka Dwa", dołącz do "Sójki Trzy". Powtarzam: dołącz do "Sójki Trzy". To rozkaz. Kontynuujcie lot do Tikrit Wschód. Zdumiony skrzydłowy posłusznie zwiększył moc silników i wrócił na swoje miejsce w szyku. Na radarze widział wyraźnie, jak samolot jego dowódcy w dalszym ciągu traci wysokość. W tej samej chwili zarówno on, jak i pozostali dwaj piloci uświadomili sobie, że Don Walker zrobił coś niewiarygodnego: z jakiegoś powodu - prawdopodobnie zdenerwowany kłopotami z silnikiem - nadał ostatnią wiadomość otwartym tekstem, a w dodatku wymienił nazwę celu. Młody sierżant USAF, obsługujący jeden z pulpitych na pokładzie AWACS-a, natychmiast połączył się z dowódcą misji.

- Mamy kłopoty, panie kapitanie. "Sójka Jeden" ma awarię silnika i wraca do bazy.

- Przyjąłem do wiadomości - odparł dowódca misji. W większości samolotów funkcję tę pełni pierwszy pilot, jednak w AWACS-ach zakres jego odpowiedzialności dotyczy jedynie samej maszyny. Rozkazy odnoszące się do innych statków powietrznych wydaje inny oficer.

- Ależ, panie kapitanie! - zaprotestował sierżant. - On nadał wiadomość otwartym tekstem. Czy mam odwołać operację?

- Nie - stwierdził krótko dowódca misji. - Kontynuować. Sierżantowi opadła szczeka. Przecież to zupełne szaleństwo! Jeżeli Irakijczycy przechwycili rozmowę pilotów, postawią w stan pogotowia obronę przeciwlotniczą w bazie Tikrit. W tej samej chwili Walker odezwał się ponownie.

- Tu "Sójka Jeden". Mayday. Mayday. Awaria obu silników. Katapultujemy się.

Wciąż nadawał otwartym tekstem!

- Panie kapitanie, "Sójka Jeden" spadł! Musimy przerwać akcję.

- Przyjąłem do wiadomości. Kontynuować.

Dowódca misji zerknął na zegarek. Postępował zgodnie z rozkazami, jakie niedawno otrzymał. Nie rozumiał ich, ale miał zamiar ściśle się do nich zastosować.

Formacja "Sójka" znajdowała się wówczas dziewięć minut od celu, gdzie już z pewnością czekał na nią komitet powitalny.

W eterze zapanowało ponure milczenie.

Sierżant w dalszym ciągu widział na ekranie radaru kropczkę oznaczającą "Sójkę Jeden", bardzo nisko, nad samą powierzchnią jeziora. Opuszczony przez załogę eagle lada chwila powinien runąć do wody.

Cztery minuty później dowódca misji nagle zmienił zdanie.

- AWACS do "Sójki", wracajcie do bazy. Powtarzam: wracajcie do bazy.

Piloci trzech myśliwców, przygnębieni i wściekli, położyli maszynę w głęboki skręt i skierowali się z powrotem w stronę, z której przylecieli. Iraccy artylerzyści w Tikrit Wschód czekali na nich jeszcze przez godzinę.

Sygnały, które wymieniały między sobą amerykańskie samoloty, zostały przechwycone także przez iracką stację nasłuchową ulokowaną na południowym skraju pasma Dżabal al-Hamrin. Zadanie dowodzącego nią pułkownika sprowadzało się do tego, aby nie dopuścić, żeby jakiegokolwiek nieprzyjacielskie maszyny pojawiły się nad wzgórzami. Kiedy cztery F-15 skręciły nad jeziorem, pułkownik ogłosił czerwony alarm; w drodze nad Tikrit Wschód myśliwce musiały zahaczyć o Dżabal al-Hamrin, kiedy jeden z nich zawiadomił o awarii, a następnie spadł do wody, pułkownik rozpromienił się, kiedy zaś pozostałe trzy zawróciły do bazy, odetchnął z ulgą i odwołał alarm.

Don Walker wyrównał lot 30 metrów nad powierzchnią jeziora, nadał sygnał "Mayday", po czym wprowadził do komputera pokładowego nowe współrzędne celu i pomknął prosto na północ. Jednocześnie uruchomił system LANTIRN, stanowiący dokładny odpowiednik brytyjskiego systemu TIALD. Pozwala on pilotowi widzieć przez powleczone specjalną substancją okulary teren, nad którym leci, a to dzięki działającemu jak silny reflektor emiterowi promieni podczerwonych, zainstalowanemu pod skrzydłem maszyny. Kolumny cyfr w wizjerze zmieniały się w szybkim tempie, informując o szybkości, pułapie lotu oraz odległości pozostającej do miejsca, w którym należało zrzucić bomby. - ,

Naturalnie Don mógłby zawierzyć automatycznemu pilotowi, który bezbłędnie poprowadziłby samolot nad górzystym obszarem, podczas gdy on siedziałby wygodnie z założonymi rękami, ale wolał sam przerzucać maszynę ze skrzydła na skrzydło, wprowadzać ją w wąskie gardła wąwozów, omijać skalne iglice i niemal szorować kadłubem samolotu o dna dolin.

W bazie Al-Chardż, korzystając ze zdjęć dostarczonych z Czarnej Dziury, starannie wytyczył kurs, który pozwalał mu przez cały czas pozostawać poniżej linii horyzontu. Naturalnie wymagało to stałych nerwów i świetnego wyczucia maszyny, ale gra była warta świeczki/

Kiedy Walker wysłał sygnał "Mayday", nadajnik Martina wyemitował kilka zakodowanych impulsów, a sam Martin ponownie wypełził na skalną półkę, wycelował znacznik celu w stronę góry, umieścił czerwoną kropkę dokładnie pośrodku brezentowej płachty i zamarł w oczekiwaniu. Aż do chwili pojawienia się samolotu kropka nie mogła przesunąć się ani o milimetr.

- Najwyższa pora - mruknął Eastman. - Już mi tyłek zaczął przymarzać do skały.

- Nie przejmuj się - odparł Stephenson, upychając ekwipunek w plecaku. - Zaraz będziesz miał okazję się rozgrzać.

Na wierzchu pozostał jedynie nadajnik.

Tim Nathanson, nawigator Walkera, odczytywał z komputera te same informacje, co pilot. Cztery minuty... Trzy trzydzieści... Trzy... Liczby zmniejszały się coraz bardziej, w miarę jak eagle z ogłuszającym rykiem przelatywał nad kolejnymi grzbietami. Przemknął nad doliną, gdzie wylądował oddział Martina, i w ciągu kilku sekund przebył odległość, na której pokonanie oni potrzebowali wielu godzin.

- Dziewięćdziesiąt sekund do zrzutu.

Eagle zaczął się lekko wznosić, a w tej samej chwili trzej

przyczajeni w skalnej szczelinie Brytyjczycy usłyszeli dobiegający z południa huk jego silników.

Kiedy odliczanie dobiegło końca, myśliwiec wypadł z za grzbietu górskiego położonego 5 kilometrów na południe od celu. Dwie zbliżone kształtem do torped bomby oderwały się od kadłuba i przez chwilę także mknęły w górę, pchane potężną siłą bezwładności.

Rozlokowani w trzech niby-wioskach żołnierze Gwardii Republikańskiej zostali dosłownie wymieceni z prycz przez potworny hałas, ale błyskawicznie pozbierali się i pognali na stanowiska, a już kilka sekund później dachy rzekomych lepianek zaczęły odsuwać się na doskonale naoliwionych prowadnicach, odsłaniając baterie działek i wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych.

Bomby rozpoczęły najpierw powolny, potem zaś coraz szybszy lot w dół. Ukryte w ich nosach czujniki łakomie poszukiwały niewidocznego gołym okiem promienia. Mikę Martin leżał wyciągnięty na skalnej półce, która zakołysała się od huku wraz z resztą góry, i utrzymywał czerwoną kropkę dokładnie pośrodku paszczy monstrualnego działa. /

Nie zauważył, kiedy uderzyły bomby. Nagle obiekt celownika wypełnił się tak jaskrawym światłem, że musiał czym prędzej odwrócić wzrok i osłonić ręką oczy. Noc zamieniła się w przeraźliwie jasny, krwistoczerwony dzień.

Obie bomby uderzyły jednocześnie, na trzy sekundy przed tym, zanim ukryty głęboko we wnętrzu góry pułkownik zdażył wyciągnąć rękę w kierunku czerwonej dźwigni.

Kiedy sekundę później Martin odsłonił oczy, zobaczył, jak cały szczyt Fortecy rozbłyskuje jaskrawym płomieniem. Przez ułamek sekundy widać było lufę gigantycznego działa, uniesioną w powietrze siłą wybuchu. Zaraz potem duma irackich inżynierów runęła w otchłań ognistego krateru.

- Zupełnie jak w piekle... - szepnął z podziwem sierżant Stephenson.

Porównanie wydawało się jak najbardziej na miejscu. Pomarańczowy ogień nieco przygasł i spłynął na dno wydrążonej góry, dzięki czemu nad okolicą zapadł krwisty półmrok. Martin uruchomił nadajnik, wysyłając serię impulsów do słuchaczy w Rijadzie.

Zaraz po zrzućeniu bomb Don Walker wykonał gwałtowny skręt, ale ponieważ znajdował się nad otoczoną dość okazałymi górami doliną, musiał jednocześnie poderwać maszynę, by uniknąć uderzenia w któryś z okolicznych szczytów. Przez ułamek sekundy F-15 zawisł nad wioską najbardziej oddaloną od Fortecy, a wówczas z ziemi pomknęły w jego stronę dwie rakiety. Nie były to rosyjskie SAM-y, lecz znacznie nowocześniejsze, francusko-niemieckie rolandy.

Pierwszy poszybował za nisko i eksplodował na krawędzi skalnej grani oddzielającej dwie doliny, drugi zaś przemknął tuż nad nim i kilkaset metrów dalej dopadł celu. Walker odczuł potworny wstrząs, kiedy eksplozja pozbawiła jego maszynę prawego silnika i niemal całego skrzydła.

Eagle zatoczył się w powietrzu, ciągnąc za sobą ognistą smugę płonącego paliwa. Precyzyjne przyrządy niczego już nie pokazywały, a stery przestały reagować na polecenia pilota. Było po wszystkim. Walker zrozumiał, że jego maszyna już zginęła, a trzydzieści ton płonącego metalu lada chwila runie na ziemię.

- Katapult!

Osłona kabiny rozpadła się na tysiące kawałków, a fotel poszybował w powietrze. Czujniki błyskawicznie oszacowały odległość od ziemi, uznały, że jest niebezpiecznie mała i zdetonowały ukryte w fotelu mikroładunki wybuchowe, uwalniając pilota i po-

zwalając rozwinąć się spadochronowi.

Walker jeszcze nigdy w życiu nie katapultował się z uszkodzonego samolotu. Wstrząs psychiczny był tak wielki, że na chwilę pozbawił go możliwości działania. Na szczęście konstruktorzy przewidzieli taką ewentualność i czasza spadochronu wystrzeliła w górę bez udziału pilota. Oszołomiony Walker stwierdził, że powoli opada ku ziemi, której nie jest w stanie dojrzeć. Zaledwie kilka sekund później zobaczył ją na chwilę przed tym, jak z ogromną siłą rąbnęła od spodu w jego nogi, potem zaś toczył się po kamienistym gruncie, rozpaczliwie usiłując sięgnąć do kłamy na piersi. Wreszcie mu się to udało i znieruchomiał na splechotku trawy, a niesiony wiatrem spadochron poszybował gdzieś w ciemność.

- Tim! - zawołał Don Walker. - Tim, nic ci nie jest? Zerwał się na nogi i pobiegł przed siebie, pewien, że jego nawigator wylądował gdzieś niedaleko. Nie mylił się. Obaj lotnicy spadli do małej doliny, którą od Fortecy oddzielało jeszcze jedno, znacznie większe obniżenie terenu. Na północy żarzyła się krwawo słaba poświata, wydobywając z ciemności zarysy poszarpanych szczytów.

Po trzech minutach wpadł na coś twardego i boleśnie stłukł sobie kolano. W pierwszej chwili pomyślał, że to skała, ale zaraz potem przekonał się, że to jego fotel. A co z Timem? Znalazł go kilkanaście metrów dalej. Nawigator również zdążył się katapultować, ale tak się nieszczęśliwie złożyło, że eksplozja uszkodziła mikroładunki wybuchowe, które miały oddzielić go od fotela. Dopiero kiedy runął na górskie zbocze, wciąż przypięty pasami, ze spadochronem pod plecami, siła uderzenia oswoodziła go z pułapki. Niestety, za późno. Żaden człowiek nie przeżyłby upadku z takiej wysokości.

Tim Nathanson leżał na wznak na łagodnym zboczu blisko dna doliny, z twarzą zasłoniętą ciemnym wizjerem hełmu. Walker odwrócił się gwałtownie, zerwał maskę tlenową i szlochając głośno pognął na oślep przed siebie. \

Biegł tak długo, aż wreszcie opadł z sił, a wówczas wczołgał się do skalnej szczeliny i znieruchomiał tam z nogami podkulonymi pod brodę.

Dwie minuty po eksplozji Martin nawiązał łączność z Rijadem. Zaczekał na potwierdzenie, że jego sygnały są odbierane, po czym powiedział wyraźnie do mikrofonu:

- Przybył Barabasz. Powtarzam: przybył Barabasz.

Następnie trzech ludzi z SAS spakowali nadajnik, zarzucili plecaki i najszybciej, jak tylko mogli, zaczęli schodzić w dół, ku dolinie. Lada chwila w okolicy miało zaroić się od patroli, poszukujących amerykańskich lotników.

Sierżant Stephenson zapamiętał kierunek, w którym spadał myśliwiec. Jeżeli załoga zdołała się katapultować, to pilot i nawigator powinni wylądować na spadochronach gdzieś na południe od Fortecy. Brytyjczycy gnali co sił w nogach, aby uprzedzić żołnierzy z plemienia Ubajdi, którzy gromadnie wysypali się ze wszystkich trzech wiosek i zaczęli systematycznie przeczesywać teren.

Dwadzieścia minut później Mikę Martin i jego ludzie znaleźli nawigatora. Nie mogli mu już w żaden sposób pomóc, więc ruszyli dalej. Nie minęło nawet dziesięć minut, kiedy za ich plecami rozległ się terkot pistoletów maszynowych; Irakijczycy także natrafili na ciało i w bezsilnej wściekłości posiekali je na strzępy seriami pocisków. Nie pomyśleli o tym, że w ten sposób zdradzają przeciwnikowi swoją pozycję.

Don Walker prawie nie poczuł ostrza noża sierżanta Stephensona; zimna stal musnęła jego gardło delikatnie jak piórko, po

czym się cofnęła. Podniósłszy głowę pilot zobaczył jakiegoś szczupłego, chyba czarnowłosego mężczyznę w mundurze kapitana Gwardii Republikańskiej, mierzącego do niego z pistoletu maszynowego.

- Paskudna pora na odwiedzinę - przemówił po angielsku mężczyzna. - Proponuję, żebyśmy czym prędzej się stąd wynieśli. Tej nocy generał Norman Schwarzkopf siedział samotnie w swoim apartamencie na trzecim piętrze budynku saudyjskiego Ministerstwa Obrony. Podczas minionych siedmiu miesięcy zjawiał się tutaj niezmiernie rzadko, gdyż większość tego czasu spędził albo ze swoimi żołnierzami na pierwszej linii, albo głęboko pod ziemią z członkami sztabu. W tym przestronnym, wygodnie urządzonej pokoju krył się tylko wtedy, kiedy chciał być zupełnie sam. Siedział przy biurku, na którym wśród wielu innych stał także czerwony telefon, dzięki niemu generał mógł w każdej chwili połączyć się z Waszyngtonem. Za dziesięć pierwsza w nocy z 23 na 24 lutego zadzwonił jeden ze zwykłych, niepozornych aparatów.

- Generał Schwarzkopf? - zapytał głos z wyraźnym angielskim akcentem.

- Mam dla pana wiadomość, generale.

- Proszę strzelać.

- Wiadomość brzmi: przybył Barabasz. Przybył Barabasz, panie generale.

- Dziękuję - powiedział głównodowodzący sił koalicji i odłożył słuchawkę.

Punktualnie o czwartej rano wojska lądowe ruszyły do natarcia.

Rozdział dwudziesty trzeci

Trzej ludzie z SAS narzucili tak ostre tempo marszu, że Don Walker, który przecież nie niósł plecaka i do tej pory uważał, iż ma niezłą kondycję, nie mógł za nimi nadążyć. Wielokrotnie osuwał się bez sił na kolana, pewien, że nie zrobi już ani kroku i że nawet śmierć byłaby lepsza od potwornego bólu rozrywającego wszystkie jego mięśnie. Jednak za każdym razem czyjeś stalowe ręce podnosiły go i stawiały na nogi, w uszach zaś dźwięczał mu głos sierżanta Stephensona.

- Dawaj, kolego, jeszcze tylko trochę - mówił z cockneyowskim akcentem weteran SAS. - Widzisz ten grzbiet? Po drugiej stronie trochę sobie odpoczniemy.

Była to jednak nieprawda.

Mikę Martin nie skierował się na południe, ku nizinom, gdyż przypuszczalnie roiło się tam już od zmotoryzowanych patroli Gwardii Republikańskiej, lecz poprowadził oddział na wschód, w wyższe partie gór, ciągnące się aż do granicy z Iranem. Żołnierze z plemienia Ubajdi cały czas deptali uciekinierom po piętach.

Wkrótce po wschodzie słońca sześciu najbardziej wytrzymałych Irakijczyków zdecydowanie wysforowało się do przodu. Kiedy minęli wierzchołek kolejnego wzniesienia, dostrzegli samotną, zgarbioną sylwetkę siedzącą na ziemi i odwróconą plecami do nich. Żołnierze natychmiast otworzyli ogień; postać osunęła się bezwładnie na kamienie, gwardziści zaś pobiegli co sił w nogach i otoczyli ją ciasnym kręgiem.

Kiedy zobaczyli, że rzekome zwłoki to w rzeczywistości wypchany trawą plecak, owinięty siatką maskującą, z położonym na wierzchu hełmem pilota, było już za późno. Kilka serii pistoletów maszynowych MP5 z tłumikiem załatwiło sprawę.

Po jakimś czasie dotarli w pobliże miasteczka Chanakin, wówczas Martin zarządził przerwę i wysłał wiadomość do Rijadu. Stephenson i Eastman stali na straży, pilnując, czy z zachodu nie zbliża się pościg.

Wiadomość była krótka: z akcji wyszli cało trzej ludzie SAS i pilot. Na wypadek, gdyby transmisja została przechwyco-

na, Martin nie podał ich pozycji. Zaraz potem ruszyli w dalszą drogę.

Wysoko w górach, blisko granicy, natrafili na prymitywny szałas zbudowany z kamieni przez pasterzy, latem wypasających tutaj stada kóz i owiec. W tej kryjówce przeczekali czterodniową, błyskawiczną wojnę lądową, podczas której alianckie czołgi przeto- czyły się po irackich dywizjach i wjechały do Kuwejtu.

Pierwszego dnia wojny zachodnią granicę Iraku przekroczył samotny żołnierz. Był to izraelski komandos, wyznaczony do tego zadania, gdyż doskonale znał język arabski.

Izraelski śmigłowiec w barwach jordańskich sił powietrznych, wyposażony w dodatkowe zbiorniki paliwa, nie zauważony przez nikogo przemknął nad pustynią i wysadził swego jedyne go pasażera już na terytorium Iraku, na południe od przejścia granicznego w Ruwajszid. Zaraz potem wzbił się w powietrze, zawrócił i ruszył w drogę powrotną do Izraela.

Podobnie jak Martin, żołnierz dysponował lekkim terenowym motocyklem z szerokimi oponami. Choć maszyna wyglądała na starą i mocno zniszczoną – doprowadzenie jej do takiego stanu kosztowało kilku specjalistów sporo czasu – to jej silnik był w znakomitym stanie, a przytroczone po obu stronach tylnego koła kanistry wypełniała benzyna.

Komandos pojechał wiodącą na zachód drogą, by o zmroku dotrzeć do Bagdadu.

Obawy przełożonych żołnierza, dotyczące jego bezpieczeństwa, okazały się mocno przesadzone. Po stolicy rozeszły się już szeptane wieści o miażdżącej klęsce, jaką iracka armia poniosła na południu kraju i w Kuwejcie. Wieczorem pierwszego dnia wojny funkcjonariusze Al-Aman al-Amm skryli się w koszarach i nie wystawiali stamtąd nosa.

Teraz, kiedy ustały naloty – wszystkie alianckie maszyny brały udział w walkach na linii frontu – ludzie wylegli na ulice, rozprawiając swobodnie o niezbyt odległej chwili, kiedy Amerykanie i Brytyjczycy wkroczą do Bagdadu, by obalić Saddama Husajna. Euforia trwała tydzień, potem zaś stało się jasne, że alianci jednak nie nadejdą i Al-Aman al-Amm znowu zaczął siać postrach wśród poddanych raisa,

Na głównym dworcu autobusowym kłębił się tłum żołnierzy; większość miała na sobie niekompletne mundury, czasem tylko bieliznę, gdyż resztę porzucili na pustyni. Byli to dezertery, którym udało się wymknąć żandarmerii, czekającej na nich zaraz za oddziałami liniowymi. Sprzedawali za bezcen swoje kałasznikowy, żeby zdobyć pieniądze na bilet do rodzinnej wioski. Na początku tygodnia cena pistoletu maszynowego wynosiła 35 dinarów, ale już cztery dni później płaciło się tylko połowę tej sumy.

Izraelczyk miał wykonać jedno zadanie i uporał się z nim jeszcze przed północą. Mosad znał usytuowanie trzech skrzynek kontaktowych, z których korzystał Alfonso Benz Moncada porozumiewając się z Jerychem. Ze względów bezpieczeństwa Martin zrezygnował z dwóch z nich, trzecia natomiast nadal funkcjonowała. Izraelski komandos podrzucił do wszystkich trzech jednobrzmiące wiadomości, zrobił odpowiednie znaki kredą, ponownie wsiadł na motocykl i ruszył z powrotem na zachód, dołączając do rzeszy uchodźców, którzy zmierzali w tym kierunku.

Potrzebował całego dnia, aby dotrzeć w pobliże granicy. Zjechał z drogi na pustynię, przemknął się między posterunkami granicznymi do Jordanii, odszukał ukryty nadajnik i wysłał umówiony sygnał. Wkrótce potem nad pustynią pojawił się ten sam śmigłowiec, co poprzednio.

Komandos od pięćdziesięciu godzin nie zmrużył oka i prawie nic nie jadł, ale bez zarzutu wywiązał się z zadania i bezpiecznie

wrócił do kraju.

Trzeciego dnia wojny lądowej na Bliskim Wschodzie Edith Hardenberg przysłała do banku zdenerwowana i jednocześnie trochę zaniepokojona. Minionego ranka, kiedy miała już wyjść do pracy, zadzwonił telefon. Jakiś mężczyzna, mówiący nie-nagannie po niemiecku z wyraźnym salzburskim akcentem, przedstawił się jako sąsiad jej matki i powiedział, że Frau Hardenberg miała przykry wypadek: poślizgnęła się i spadła ze schodków prowadzących na ganek domku, doznając dość poważnych obrażeń.

Edith natychmiast zadzwoniła do matki, ale numer był ciągle zajęty. Porządnie już zaniepokojona połączyła się z centralą telefoniczną w Salzburgu, gdzie poinformowano ją, że linia działa, a więc w grę może wchodzić jedynie awaria aparatu.

Natychmiast zawiadomiła bank, że nie przyjdzie do pracy, wsiadła w samochód i nie zważając na paskudną pogodę pojechała do Salzburga. Na miejsce dotarła jeszcze przed południem, by zastać matkę w znakomitym zdrowiu. Nie spadła z żadnych schodów, nic jej nie dolegało, tylko jakiś wandal przeciął przewód telefoniczny.

Kiedy Edith wróciła do Wiednia, było już za późno, żeby iść do pracy.

Nazajutrz zastała Wolfganga Gemutlicha w paskudnym nastroju. Zbeształ ją za nieobecność, po czym z ponurą miną wysłuchał wyjaśnień. Bardzo szybko wyszła na jaw przyczyna jego wzburzenia: otóż minionego dnia "w banku zjawił się jakiś młody człowiek i zażyczył sobie rozmowy z Herr Gemutlichem.

Gość poinformował na wstępie, że nazywa się Aziz i jest synem posiadacza konta na hasło, na którym zgromadzono dość znaczną kwotę. Niestety, ojciec nie czuje się najlepiej, więc przysłał do Wiednia syna, aby ten w jego zastępstwie dokonał pewnej operacji,.

Następnie Aziz junior przedstawił dokumenty stwierdzające ponad wszelką wątpliwość, że istotnie otrzymał od ojca pełnomocnictwa upoważniające go do działania w jego imieniu. Herr Gemutlich, mimo iż bardzo się starał, nie dopatrywał się w nich najmniejszego uchybienia; nie pozostało mu więc nic innego, jak tylko spełnić wolę klienta.

Młody Arab jakby nigdy nic poinformował zdruzgotanego bankiera, że ojciec postanowił wycofać cały depozyt. Wyobraża sobie pani, panno Hardenberg? Wycofać! I to zaledwie trzy dni po tym, jak na konto wpłynęła okrągła suma trzech milionów dolarów, zwiększając jego łączny stan do ponad dziesięciu milionów!

Edith Hardenberg spokojnie wysłuchiwała opowieści pracodawcy, po czym zadała kilka pytań dotyczących młodego gościa. Tak, miał na imię Karim, bliznę na brodzie i niewielki sygnet z różowym opalem na serdecznym palcu. Gdyby Herr Gemutlich nie był tak bardzo pochłonięty rozpamiętywaniem tego, co uważał za swoją osobistą klęskę, może zastanowiłoby go, skąd jego sekretarka zna takie szczegóły wyglądu człowieka, którego przecież nigdy w życiu nie widziała.

Wiceprezes Banku Winklera od dawna podejrzewał, że właścicielem szybko rosnącego konta jest zapewne jakiś Arab, ale nie miał pojęcia, iż pochodzi on akurat z Iraku i ma syna.

Po pracy Edith Hardenberg wróciła prosto do swego małego mieszkania i wzięła się do gruntownego sprzątnięcia. Szorowała, czyściła i odkurzała przez cztery godziny, potem zaś wyniosła do pojemnika na śmieci dwa wielkie kartonowe pudła. Jedno z nich zawierało najróżniejsze perfumy, kremy i płyny do kąpieli, drugie

natomiast frywolną damską bieliznę.

Sąsiedzi powiedzieli później policji, że przez cały wieczór słuchała muzyki – nie ukochanego Mozarta ani Straussa, tylko części opery Verdiego "Nabucco". Pewien człowiek obdarzony szczególnie dobrym słuchem rozpoznał w tym fragmencie chór niewolników z trzeciego aktu.

Nad ranem muzyka umilkła, panna Hardenberg zaś wyszła z mieszkania, położyła na tylnym siedzeniu samochodu dwa przedmioty zabrane z kuchni, po czym usiadła za kierownicą i odjechała.

O siódmej rano, w parku na Praterze, znalazł ją pewien emerytowany księgowy. Zboczył z głównej alei podążając za swoim psem, który postanowił wysiusiać się w pobliskim zagajniku.

Frdulein Hardenberg miała na sobie skromną szarą jesionkę, ciepłe rajstopy i pantofle na niskim obcasie. Włosy były upięte w ciasny kok z tyłu głowy. Gruby sznur do bielizny, przywiązany do gałęzi dębu, okazał się wystarczająco mocny, by utrzymać ciężar szczupłego ciała, a przewrócony kuchenny taboret leżał na trawie metr od sztywnych stóp.

Wisiała spokojnie i cicho, z ramionami opuszczonymi wzdłuż tułowia. Edith Hardenberg do końca życia pozostała skromną, schludną kobietą.

28 lutego był ostatnim dniem wojny lądowej. Na pustyni rozciągającej się na zachód od Kuwejtu iracka armia została najpierw otoczona, potem zaś unicestwiona. Na południe od Al-Kuwajt ten sam los spotkał pancernerne dywizje Gwardii Republikańskiej, które wkroczyły tam 2 sierpnia ubiegłego roku. Siły okupujące miasto, złupiwszy wszystko, co dało się jeszcze złupić, podpaliły resztę, po czym rzuciły się do panicznej ucieczki na północ.

Bezładna kolumna ciężarówek, samochodów osobowych, furgonetek i transporterów opancerzonych dotarła jedynie do miejsca, w którym szosa przecina pasmo wzgórz Mutla. Tam właśnie dopadły ją F-15, jaguary, tomcaty, hornety, tornada, thunderbolty i phantomy, zamieniając jej czoło i straż tylną w płonące sterty zmiażdżonego metalu. Pozostali uciekinierzy nie mogli się ani cofnąć, ani podążać naprzód, po bokach zaś wznosiły się strome zbocza i ziały głębokie przepaście. Wielu ludzi straciło tam życie, reszta zaś dostała się do niewoli.

O zachodzie słońca w mieście pojawiły się pierwsze oddziały wyzwolicieli.

Wieczorem Martin ponownie nawiązał łączność z Rijadem i dowiedział się o zwycięstwie. Dopiero wtedy podał pozycję małego oddziału, a także współrzędne względnie płaskiej łąki, jedynej, jaka udało się znaleźć w okolicy.

Trzej żołnierze SAS i Amerykanin nie mieli już co jeść, pili zaś jedynie wodę z roztopionego śniegu. Było im bardzo zimno, gdyż bali się rozpaścić ognisko, aby nie ściągnąć na siebie uwagi. Co prawda wojna już się skończyła, ale pozbawione łączności radiowej patrole mogły o tym nie wiedzieć.

O świcie przyleciały po nich dwa śmigłowce typu Blackhawk z amerykańskiej 101. Dywizji Powietrznodesantowej. Po to, aby dotrzeć bez lądowania w pobliże miasteczka Chanakin, musiały wystartować z irackiej bazy nad Eufratem, zajętej w wyniku największej operacji, jaką kiedykolwiek przeprowadzono wyłącznie przy użyciu śmigłowców. Dla zabrania czterech ludzi, w zupełności wystarczyłaby jedna maszyna; druga niosła na pokładzie zapas paliwa.

Tak na wszelki wypadek w chwili, kiedy na łące odbywała się operacja tankowania, w górze przemknęła formacja ośmiu F-15.

Don Walker osłonił ręką oczy i wytężył wzrok.

- To moje chłopaki! - wykrzyknął.

Amerykańskie samoloty towarzyszyły śmigłowcom aż do granicy z Arabią Saudyjską. Tam, nad prowizorycznym lądowiskiem, pokiwały skrzydłami i opuściły podopiecznych. Na ziemi czekał już kolejny blackhawk, który miał zabrać Dona Walkera do Zahranu, stamtąd zaś do Al-Chardż, nieco dalej stał zaś helikopter typu Puma w barwach RAF-u. Na jej pokładzie kapral, sierżant i major SAS dotarli do bazy.

Tego samego wieczoru doktor Terry Martin, przebywający w wygodnym wiejskim domu wśród rozległych pól hrabstwa Sussex, dowiedział się wreszcie, gdzie naprawdę przebywał jego brat, i że teraz, cały i zdrowy, wrócił już do Arabii Saudyjskiej.

Uczony mało co nie zemdlał z przejęcia, ale szybko wziął się w garść. Agent SIS odwiózł go do stolicy, a następnego dnia znakomity arabista podjął swoje obowiązki na Wydziale Orientalistyki i Afrykanistyki Uniwersytetu Londyńskiego.

Dwa dni później, 3 marca, w namiocie ustawionym na skraju małego irackiego lotniska Safuan, dowódcy sił koalicyjnych spotkali się z dwoma generałami z Bagdadu w celu omówienia warunków kapitulacji. Delegacji alianckiej przewodniczyli generałowie Norman Schwarzkopf i sir Peter de la Billiere oraz książę Chalid Ibn Sułtan. Wszyscy po dziś dzień są święcie przekonani, że na lotnisku Safuan zjawiło się tylko dwóch irackich generałów.

W rzeczywistości było ich trzech.

Amerykanie podjęli nadzwyczajne środki ostrożności, aby nie dopuścić do ewentualnej próby zamachu. Pustynne lotnisko otoczyła cała dywizja, gotowa odeprzeć każdy, nawet najbardziej niespodziewany, atak.

Dowódcy wojsk koalicyjnych przylecieli z południa śmigłowcami, Irakijczykom natomiast polecono dojechać do skrzyżowania dróg na północ od miejsca spotkania. Tam przesiedli się do amerykańskich kołowych transporterów opancerzonych, które dowiozły ich na skraj pasa startowego, gdzie rozstawiono namioty.

Dziesięć minut po rozpoczęciu rozmów od strony Basry pojawił się jeszcze jeden czarny mercedes. Posterunkiem na skrzyżowaniu dróg dowodził wówczas kapitan z amerykańskiej 7 Brygady Pancerniej; wszyscy oficerowie wyżsi rangą przebywali na lotnisku. Rzecz jasna, limuzyna została zatrzymana.

Na tylnej kanapie siedział człowiek w mundurze irackiego generała brygady, trzymając w ręku czarną teczkę. Ani on, ani kierowca nie mówili po angielsku, kapitan zaś nie znał arabskiego. Właśnie miał zamiar zapytać drogą radiową o instrukcje, kiedy zjawił się jeep prowadzony przez pułkownika amerykańskich Zielonych Beretów. Drugi pułkownik, siedzący na miejscu pasażera, miał na klapie munduru insygnia G2, czyli wywiadu wojskowego.

Obaj oficerowie wylegitymowali się przed dowódcą posterunku, który sprawdził autentyczność ich dokumentów i zsalutował słuźbiście.

-• Wszystko w porządku, kapitanie - powiedział pułkownik Zielonych Beretów. - Czekaliśmy na tego palanta. Wygląda na to, że złapał po drodze gumę, albo coś w tym rodzaju.

Ten z wywiadu wskazał teczkę trzymaną przez irackiego generała. ,

- W tej teczce jest lista z nazwiskami naszych jeńców wojennych. Generał Schwarzkopf chce mieć ją zaraz na stole rokowań.

Ponieważ wszystkie transportery opancerzone odjechały już na lotnisko, pułkownik Zielonych Beretów obcesowym gestem wskazał

generałowi miejsce z tyłu jeepa. Kapitan zupełnie nie wiedział, co powinien zrobić. Z jednej strony, nikt nie poinformował go o jeszcze jednym irackim generale, z drugiej natomiast, jego oddział zdrowo naraził się Niedźwiedziowi, informując go o zdobyciu Safuanu na kilka godzin przed rzeczywistym osiągnięciem celu. Brakowało tylko tego, żeby teraz opóźnił niezwykle ważne negocjacje, zatrzymując listę amerykańskich jeńców... Jeep odjechał w kierunku Safuanu, kapitan zaś wzruszył ramionami i dał znak irackiemu kierowcy, żeby postawił samochód obok innych limuzyn.

W drodze na lotnisko jeep najpierw przez niemal półtora kilometra jechał między rzędami stojących po obu stronach drogi czołgów. Potem nastąpiła przerwa, w oddali pojawiły się zaś sylwetki śmigłowców typu Apache, otaczających szczelnym kordonem miejsce spotkania.

Gdy tylko minęli czołgi, pułkownik G2 odwrócił się i powiedział po arabsku:

- Jest pod siedzeniem. Przebieraj się, szybko.

Irakijczyk miał na sobie ciemnozielony mundur generała sił lądowych swego kraju, ten zaś, który wy dobył spod siedzenia, był jasnobrunatny, z dystynkcjami pułkownika Saudyjskich Sił Specjalnych.

Tuż przed kordonem śmigłowców jeep skręcił ostro w prawo, ominął kraniec pasa startowego i pojechał na południe, by 30 kilometrów dalej dotrzeć do asfaltowej szosy prowadzącej w kierunku Kuwejtu.

Wszędzie stały amerykańskie czołgi, zwrócone na zewnątrz kręgu. Ich dowódcy otrzymali rozkaz niedopuszczenia żadnego nie upoważnionego pojazdu ani człowieka do miejsca, w którym odbywały się negocjacje. Usadowieni w wieżyczkach obojętnie przyglądali się wyjeżdżającemu z zakazanej strefy jeepowi z dwoma amerykańskimi oficerami i saudyjskim pułkownikiem.

Osiem kilometrów przed portem lotniczym pułkownik wywiadu wyjął z kieszeni radiosygnalizator i kilka razy nacisnął guzik. Samolot, do tej pory krążący poza zasięgiem lotniskowych radarów, zaczął podchodzić do lądowania.

Załogę tymczasowej wieży kontrolnej, urządzonej w samochodowej przyczepie, stanowili Amerykanie, zniżająca lot maszyna był to brytyjski HS 125 - osobisty samolot dowódcy brytyjskiego kontyngentu, generała de la Billiere'a. Nie było co do tego żadnych wątpliwości: nie tylko miała odpowiednie oznaczenia, ale pilot posługiwał się także właściwym kryptonimem. Kontroler ruchu powietrznego bez wahania udzielił zgody na lądowanie.

HS 125 nie podkołował w pobliżu zrujnowanego budynku portu lotniczego, lecz zatrzymał się na końcu pasa startowego, gdzie czekał już na niego jeep US Army. Otworzyły się drzwi w kadłubie, wysunęła drabinka i trzech pasażerowie jeepa błyskawicznie wdrapali się na pokład. Samolot natychmiast zaczął zawracać.

- Grandby Jeden prosi o zezwolenie na start - usłyszał w słuchawkach zdumiony kontroler, który właśnie zajmował się podchodzącym do lądowania kanadyjskim herculesem z ładunkiem lekarstw na pokładzie.

- Chwileczkę, Grandby Jeden. Jaki jest twój plan lotu? Oznaczało to mniej więcej tyle: "Czekaj, do jasnej cholery! Ktoś posypał ci pieprzu na ogon?"

- Przykro mi, ale nie mogę czekać - nadeszła odpowiedź z HS 125. Kontroler miał już wielokrotnie okazję rozmawiać z pilotami RAF-u. Wszyscy mówili tak samo: jak uczniowie szkoły podstawowej. - Właśnie przyjęliśmy na pokład puł-

kownika Saudyjskich Sił Specjalnych, członka sztabu księcia Chalida. Jest poważnie chory. Generał Schwarzkopf polecił, żeby jak najprędzej odwieźć go do szpitala, więc sir Peter oddał do dyspozycji swój samolot. Ponownie proszę o zezwolenie na start.

Brytyjski pilot wspominał jednym tchem o dwóch generałach, jednym księciu i jednym pułkowniku. Kontroler miał stopień sierżanta i głowę na karku. Liczył na to, że uda mu się zrobić karierę w Siłach Powietrznych USA i doskonale zdawał sobie sprawę, że opóźniając ewakuację chorego saudyjskiego pułkownika może tej karierze tylko zaszkodzić.

- Grandby Jeden, masz zezwolenie - powiedział do mikrofonu.

HS 125 wystartował z lotniska w Kuwejcie, ale zamiast skierować się do Rijadu, gdzie jest jeden z najlepszych szpitali na Bliskim Wschodzie, podążył prosto na zachód, wzdłuż północnej granicy królestwa.

Pełniący tam straż AWACS natychmiast zapytał go, kim jest i dokąd leci. Tym razem głos z wyraźnym angielskim akcentem wyjaśnił uprzejmie, że Grandby Jeden zmierza do brytyjskiej bazy w Akrotiri na Cyprze, z rannym przyjacielem generała de la Billiere'a na pokładzie. Co prawda dowódcy misji w AWACS-ie nic nie było wiadomo o takim locie, ale w jaki sposób miał mu zapobiec? Kazać zestrzelić maszynę dowódcy brytyjskich wojsk biorących udział w wojnie nad Zatoką Perską?

Kwadrans później HS 125 opuścił saudyjską przestrzeń powietrzną i przekroczył granicę Jordanii.

Irakijczyk siedzący w tylnej części kabiny pasażerskiej nie miał pojęcia o tych wszystkich wydarzeniach, za to przepełniał go coraz większy podziw dla sprawności działania Brytyjczyków i Amerykanów. Co prawda przez pewien czas nie wiedział, jak zareagować na ostatnią wiadomość, którą od nich otrzymał, lecz po namyśle przyznał im rację: lepiej uciec już teraz, niż czekać nie wiadomo na co, a potem organizować wszystko na własną rękę. Śmiały plan, który przedstawiono mu w liście, powiódł się w stu procentach.

Z kabiny pilotów przyszedł jeden z dwóch lotników w tropikalnych mundurach RAF-u, pochylił się nad pułkownikiem wywiadu i szepnął mu coś na ucho. Pułkownik uśmiechnął się szeroko.

- Witamy na wolności, generale - powiedział po arabsku do Irakijczyka. - Właśnie opuściliśmy saudyjską przestrzeń powietrzną. Już niedługo będzie pan siedział w samolocie rejsowym lecącym do Stanów. Aha, byłbym zapomniał: mam tu coś dla pana.

Wyjął z kieszeni na piersi wąski pasek papieru i pokazał go irackiemu generałowi, który z nie ukrywaną przyjemnością stwierdził, iż jest to wyciąg z jego wiedeńskiego konta. Kwota dość znacznie przekraczała dziesięć milionów dolarów.

Oficer Zielonych Beretów otworzył schowek w ścianie działowej, wyjął z niego szklaneczki i trzy miniaturki szkockiej, przelał zawartość buteleczek do szklanek, a następnie wręczył każdemu porcję.

- Cóż, przyjacielu... Za spokojną emeryturę w szczęściu i dobrobycie.

Wypił pierwszy, potem uczynił to drugi Amerykanin. Irakijczyk uśmiechnął się i także podniósł szklanekę do ust.

- Teraz proszę odpocząć - powiedział pułkownik G2. -

Będziemy na miejscu za niecałą godzinę.

Zostawili go samego w tej części kabiny, on zaś oparł

głowę na zagłówek fotela i przymknąwszy powieki wrócił myślami do minionych dwudziestu tygodni, które przyniosły mu fortunę.

Podjął ogromne ryzyko, ale się opłacało. Przypomniawszy sobie ten dzień, kiedy wraz z innymi uczestnikami zebrania w pałacu prezydenckim dowiedział się od ra'isa, że Irak ma broń atomową. Przeżył wówczas prawdziwy wstrząs, pogłębiony jeszcze przez fakt, że zaraz potem Amerykanie raptownie zerwali kontakty. Jednak niebawem nawiązali je ponownie, domagając się, aby jak najprędzej dowiedział się, gdzie jest przechowywana bomba.

Nie miał o tym najmniejszego pojęcia, lecz zachęta w postaci pięciu milionów dolarów sprawiła, iż postanowił pójść na całość. Na szczęście okazało się, że wszystko jest znacznie prostsze, niż można by przypuszczać.

Doktor Salah Siddiki został aresztowany na ulicy, dostarczony do kwatery głównej tajnej policji i oskarżony o to, że zdradził Amerykanom miejsce ukrycia bomby, w ten sposób umożliwiając im jej zniszczenie. Oszołomiony i przerażony nie tylko podał współrzędne Al-Kubaj, ale opowiedział także ze szczegółami o sobie, w jaki zamaskowano podziemną fabrykę. Skąd miał wiedzieć, że jest przesłuchiwany nie dwa dni po bombardowaniu, lecz trzy dni przed nim?

Kiedy Jerycho usłyszał o zestrzeleniu dwóch brytyjskich lotników, ogarnęła go panika. Za wszelką cenę starał się ustalić, czy powiedziano im, skąd alianci uzyskali informacje o lokalizacji obiektu. Ulga, jaką poczuł w chwili, kiedy nabrał całkowitej pewności, że piloci byli święcie przekonani, iż atakują po prostu jeszcze jeden skład amunicji, trwała bardzo krótko – dokładnie do momentu, gdy ra 'is oświadczył, że musi dostać zdrajcę w swoje ręce. Trzeba więc było błyskawicznie usunąć doktora Siddiki, przykutego łańcuchami do ściany celi pod "salą gimnastyczną". Dokonano tego, wstrzykując uczonemu prosto w serce dużą ilość powietrza, co spowodowało natychmiastowy zgon. Usunięto także raporty z jego przesłuchań, wprowadzając w to miejsce nowe. Jednak na najcięższą próbę Jerycho został wystawiony w chwili, kiedy Saddam Husajn oznajmił, iż bomba została przewieziona w jakieś supertajne miejsce zwane Fortecą. Co za forteca? I gdzie ona mogła być?

Z zeznań doktora Siddiki wynikało, że najlepszym specjalistą od kamuflażu w całym Iraku jest niejaki pułkownik Usman Badri z Korpusu Inżynierskiego. Niestety, okazało się, iż młody oficer należy również do najbardziej fanatycznych zwolenników prezydenta. W jaki sposób można było wpłynąć na zmianę jego poglądów?

Bardzo prosto: aresztować pod sfabrykowanymi zarzutami jego ukochanego ojca, poddać starca torturom, a wreszcie zgładzić. Podczas spotkania, do którego doszło w samochodzie przy bramie cmentarza, wstrząśnięty i nagle pozbawiony złudzeń pułkownik Badri bez oporów zdradził pilnie strzeżoną tajemnicę. Człowiek o pseudonimie Jerycho, zwany także Katem, czuł się pogodzony ze światem. Ogarnęło go dziwne otępienie – prawdopodobnie efekt napięcia, w jakim żył od kilku dni. Spróbował poprawić się w fotelu, lecz ani ręce, ani nogi nie słuchały wysyłanych przez mózg rozkazów. Dwaj amerykańscy pułkownicy przyglądali mu się uważnie, rozmawiając w języku, którego nie znał, a który na pewno nie był angielskim. Usiłował coś powiedzieć, ale nie mógł nawet otworzyć ust.

HS 125 skręcił na południowy zachód, zmniejszając jednocześnie wysokość do trzech tysięcy metrów. Nad wybrzeżem Jordanii, a dokładnie nad Zatoką Akaba, pułkownik Zielonych Beretów

otworzył drzwi kabiny pasażerskiej. Do wnętrza maszyny natychmiast wdarł się gwałtowny wicher, mimo że samolot leciał z najmniejszą dopuszczalną prędkością.

Dwaj oficerowie dźwignęli bezwładnego jak wielka lalka męzczyzną. Generał Umar Chatib nie stawiał oporu, kiedy wypychali go przez otwarte drzwi. Po trzykilometrowym locie z ogromną siłą zderzył się z powierzchnią Zatoki Akaba i został niemal zmiądzony, a w chwilę później do dzieła przystąpiły rekiny.

HS 125 skręcił na północ i przekroczył granicę izraelskiej przestrzeni powietrznej, by wkrótce potem wylądować w bazie Sde Dow na północ od Tel-Awiwu. Tam obaj piloci zrzucili mundury RAF-u, pułkownicy zaś amerykańskie, po czym wszyscy włożyli uniformy izraelskiej armii. Samolot został błyskawicznie przemalowany i zwrócony sayanowi z Cypru, który go wypożyczył.

Pieniądze z Wiednia trafiły najpierw do banku Kanoo na Bahrajnie, potem do Ameryki, stamtąd zaś część przekazano do banku Hapoalim w Tel-Awiwie, na konto rządu Izraela. Było tego dokładnie tyle, ile Izrael zapłacił Jerychowi za jego informację, zanim na arenę wkroczyła CIA. Reszta, czyli ponad osiem milionów dolarów, trafiła na tak zwany "fundusz rozrywkowy" Mosadu.

Pięć dni po zakończeniu działań wojennych w Dżabal al-Hamrin pojawiły się dwa amerykańskie śmigłowce dalekiego zasięgu. Ciało Tima Nathansona nigdy nie udało się odnaleźć. Iraccy żołnierze posiekali je kulami, resztą zaś zajęły się szakale, fenki i kruki. Kości młodego nawigatora po dziś dzień leżą gdzieś w górskich dolinach, niewiele ponad sto kilometrów od miejsca, gdzie jego praprzodkowie w znoju i trudzie budowali potęgę Babilonu.

Kiedy do Georgetown dotarła wiadomość o jego śmierci, ojciec zmówił kadisz za duszę syna, po czym zamknął się zupełnie sam w wielkiej rezydencji i pograżył w rozpacz.

Odnaleziono natomiast zwłoki kaprala Kevina Northa. Brytyjscy żołnierze wydobyli je spod kamieni i spadochronów, włożyli do foliowego worka i umieścili na pokładzie amerykańskiego śmigłowca, który zawiózł je do Rijadu. Stamtąd transportowym herculesem poleciały do Anglii.

W połowie kwietnia w kwaterze głównej SAS na przedmieściu Hereford odbyła się krótka ceremonia.

Żołnierze SAS nie mają swojego cmentarza. Większość z tych, którzy zginęli, spoczywa na obcej ziemi, w miejscach o dziwnie brzmiących nazwach. Wielu pozostało w piaskach Libii, gdzie w 1941 i 1942 walczyli z oddziałami Rommla. Wielu poległo na greckich wysepkach, górach Abruzzi, w Jurze i Wogezach. Wielu pozostało na zawsze w Malezji i na Borneo, w Jemenie i Omanie, w dżunglach i na smaganych lodowatym wichrem pustkowiach, a także w zimnych wodach Atlantyku koło Falklandów.

Nieliczne ciała, które udało się przywieźć do Wielkiej Brytanii, przekazano rodzinom. Jednak nawet wówczas na nagrobnych płytach nie pojawiła się żadna wzmianka o SAS, gdyż w oficjalnych zawiadomieniach o śmierci na polu bitwy w rubryce "przynależność służbowa" zawsze figurowała nazwa jakiejś innej formacji: strzelcy górscy, spadochroniarze, gwardziści...

Jest tylko jeden pomnik. Pośrodku placu apelowego na terenie koszar w Hereford wznosi się niska, przysadzista wieża z drewnianych bali pomalowanych na ciemnobrazowy kolor. Na jej szczycie zegar odmierza niestrudzenie godziny, więc nic dziwnego, że nazywa się ją po prostu Wieżą Zegarową. Wokół jej podstawy umieszczono miedziane płyty z wrytymi nazwiskami wszystkich

poległych oraz nazwami miejsc, w których dosięgła ich śmierć. W kwietniu pojawiło się pięć kolejnych nazwisk. Jeden człowiek został rozstrzelany w niewoli, dwaj zginęli w potyczce na granicy, czwarty zmarł w wyniku wychłodzenia organizmu po kilku dniach przebywania w niskiej temperaturze i strugach lodowatego deszczu. Piątym był kapral North.

Tego deszczowego kwietniowego dnia wokół Wieży zebrało się kilku dawnych dowódców regimentu: John Simpson, hrabia Johnny Slim i sir Peter de la Billiere. Przybyli także dyrektor Sił Specjalnych J.P. Lovat, pułkownik Bruce Craig, major Mikę Martin oraz kilku innych.

Ponieważ byli u siebie w domu, ci, którzy jeszcze nie przeszli na emeryturę albo do innej formacji, mogli włożyć piaskowe berety z emblematem składającym się ze skrzydlatego sztyletu i motta: "Tylko śmiałkowie zwyciężą".

Ceremonia nie trwała długo; wstęga opadła z tablicy, odsłaniając pięć nowych nazwisk, zebrani przez chwilę spoglądali na nie w milczeniu, po czym zasalutowali i rozeszli się do budynków.

Krótko potem Mikę Martin wsiadł do samochodu, wyjechał poza teren koszar i skręcił w kierunku wiejskiego domu na skraju wsi w Herefordshire. Po drodze myślał o tym wszystkim, co wydarzyło się na ulicach i pustyniach Kuwejtu, na niebie nad nimi, w uliczkach i zaułkach Bagdadu oraz na stokach wzgórz Hamrin. Ponieważ z natury był skrytym człowiekiem, cieszył się z jednego: że nikt się o tym nie dowie.

Posłowie

Z każdej wojny powinna wypływać jakaś nauka. Jeżeli tak się nie dzieje, oznacza, to, że ofiara tych, którzy stracili w niej życie, poszła na marne.

Po wojnie w Zatoce Perskiej ludzie powinni sobie uświadomić dwie sprawy – inna rzecz, czy wielkie mocarstwa zechcą przyjąć je do wiadomości.

Po pierwsze: jest niewybaczalną głupotą ze strony trzydziestu najbardziej uprzemysłowionych państw świata, które mają 95 procent najnowocześniejszego uzbrojenia na planecie, sprzedawać tę broń oraz technologie służące do jej produkcji agresywnym, niebezpiecznym szaleńcom, kierując się wyłącznie krótkowzroczną chęcią zysku.

Przez ponad dziesięć lat polityczna głupota, biurokratyczne zaślepienie i prymitywna chciwość ludzi Zachodu pozwalała irackiemu reżimowi bez przeszkód rozbudowywać militarną potęgę. Koszty zniszczenia tej potęgi znacznie przekroczyły zyski, jakie osiągnięto podczas jej budowy.

Stosunkowo łatwo można by zapobiec powtórzeniu się tego zjawiska, kontrolując wymianę handlową ze wszystkimi potencjalnie niebezpiecznymi państwami i surowo karząc tych, którzy próbowali by nawiązać kontakty innymi, nieoficjalnymi drogami. Analizując ilość i rodzaj kupowanych przez te kraje materiałów można by ocenić, czy jakiś rząd nie szykuje się przypadkiem do produkcji broni masowej zagłady.

Druga nauka dotyczy metod i znaczenia zbierania informacji. Wraz z końcem zimnej wojny pojawiły się nadzieje, że będzie można z tego całkowicie zrezygnować, jednak rzeczywistość pokazała nam, iż jest inaczej.

Postęp, jaki w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych dokonał się w dziedzinie wywiadu elektronicznego, przekonał niektóre rządy państw wolnego świata, że maszyna potrafi wszystko. Czynniki ludzki zszedł na drugi, a czasem nawet na trzeci plan.

Podczas wojny nad Zatoką Perską Zachód wykorzystał cały arsenał najnowocześniejszych środków technicznych, jakie miał do

dyspozycji. Środki te, przede wszystkim ze względu na nieprawdopodobnie wysokie koszty opracowania i produkcji, były do tej pory uważane za całkowicie niezawodne.

Niestety, okazało się, że jest inaczej. Dzięki pomysłowości, doskonałemu wykształceniu i ciężkiej pracy irackim inżynierom udało się tak znakomicie ukryć część arsenału oraz potencjału przemysłowego niezbędnego do jego wytworzenia, że żadna maszyna nie była w stanie go odnaleźć. Alianccy piloci, choć imponowali odwagą i umiejętnościami, także dawali się często zwieść doskonałym atrapom lub arcydziełom kamuflażu. To, że mimo wszystko nie doszło do użycia broni bakteriologicznej, gazów bojowych ani broni jądrowej, w znacznej mierze należy zawdzięczać szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. W tym przypadku można śmiało posłużyć się najkrótszym podsumowaniem bitwy pod Waterloo: "Niewiele brakowało".

W końcu stało się jednak jasne, że w pewnych szczególnych warunkach i w pewnych szczególnych miejscach wykonanie pewnych szczególnych zadań można zlecić jedynie najstarszemu znanemu urządzeniu służącemu do zbierania informacji: ludzkiemu oku.

Koniec